

TERRY BROOKS
NAPAR CZAROWNIC

Przełożył Robert Rogala

*Dla Lisy, za to, że była zawsze przymnie,
i dla Jill, aby nigdy nie przestała wierzyć w samą siebie.*

Wszystkie dzieci - poza jednym - dorastają. Szybko dowiadują się, że będą kiedyś dorosłe, a Wendy dowiedziała się o tym tak:

Kiedy miała dwa lata, bawiła się pewnego dnia w ogrodzie: zerwała kwiatek i pobiegła z nim do swojej mamy. Przypuszczam, że musiała wyglądać zachwycająco, bo pani Dar-ling położyła rękę na sercu i zawołała:

- Ach, dlaczego nie możesz pozostać taka na zawsze?!

To było wszystko, co sobie powiedziały, ale od tej chwili Wendy wiedziała, że musi dorosnąć. Zawsze się o tym wie, kiedy się ma już dwa lata. Dwa lata to początek końca.

J. M. Barrie, *Piotruś Pan*
w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego,
Nasza Księgarnia, Warszawa 1958.

MISTAYA

Na gałęzi starego, białego dębu, sięgającego niemal samego nieba, przysiadła wrona o czerwonych oczach i patrzyła przez gęste listowie na zgromadzonych poniżej ludzi. Na skąpanej w słońcu polanie urządzali sobie piknik - takiej właśnie nazwy użył Holiday. Na bujnej wiosennej trawie rozciągnięto jaskrawy obrus i wykładano nań zawartość kilku koszyków. Wrona przypuszczała, że owo jedzenie może być dla człowieka źródłem niemałej przyjemności. Były tam tace pełne mięsa i serów, miski wypełnione surówkami i owocami, bochny chleba, a także oplecione wikliną butle ciemnego piwa i schłodzonej wody. Przed każdym położono talerz, serwetkę oraz kubki i sztućce. Pośrodku biesiadnego obrusa ustawiono wazon polnych kwiatów.

Większość prac wykonywała Willow, sylfida o szmaragdowych włosach i drobnej, gibkiej figurze. Zżywieniem krzątała się przez cały czas, wesoło zagadując do wszystkich. Za pomocników miała psa i kobolda. Ten pierwszy to Aberna-ty, nadworny skryba

królestwa Landover, drugi zaś - Par-snip, który przygotowywał większość posiłków na zamku. Qu-estor Thews, siwobrody czarodziej w wytartym i wymiętym ubraniu, przechadzał się dokoła i przyglądał ze zdziwioną miną młodym gałązkom i nie znanym mu leśnym kwiatom. Bunion, drugi kobold, ten groźny, przed którym prawie nic nie mogło się ukryć, gdyż był w stanie niemalże wszystko wysledzić, patrolował skraj polany, zachowując nieustanną czujność.

Król siedział samotnie przy skraju jasnego obrusa. Ben Holiday, władca Landover, patrzył gdzieś na drzewa, pogrążony we własnych myślach. Piknik był jego pomysłem, czymś, co urządzano w świecie, z którego przybył. Chciał, aby inni mogli poznać ten zwyczaj i doświadczyć czegoś nowego. Wyglądało na to, że mają z tego większą przyjemność niż on sam.

Wrona o czerwonych oczach siedziała zupełnie nieruchomo pod osłoną gałęzi starego dębu, świadoma obecności dorosłych, ale tak naprawdę zainteresowana jedynie dzieckiem. Inne ptaki - niektóre o bardziej olśniewającym upierzeniu, niektóre o słodszy głosie - fruwały po lesie, przeskakując z drzewa na drzewo, bez troski i swobodnie. Ich śmiałość i nieostrożność kontrastowała z zachowaniem wrony, która starała się pozostać niewidoczna. Żadne oczy nie mogły jej dojrzeć z wyjątkiem oczu dziecka; poza tym nie mogła zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Wrona czekała ponad godzinę, aż mała ją zauważy, aż jej bezgłośnie wezwania dotrą do niej, aż jej cichy rozkaz zostanie wysłuchany i lśniące zielone oczy zwrócą się ku górze, w półmrok listowia. Dziecko chodziło wokoło, bawiąc się to tym, to tamtym, jakby bez celu, ale już było widać, że czegoś szuka.

Jeszcze trochę cierpliwości, upomniała siebie czerwonoooka wrona. Cierpliwość zostanie wynagrodzona.

Wtem dziecko znalazło się bezpośrednio pod jej gałęzią. Uniosło twarzą, szukając czegoś lśniącymi zielonymi oczami, i natychmiast to znalazło. Oczy małej zatrzymały się na oczach wrony, szmaragdowe na purpurowych, ludzkie na ptasich. Doszło do wymiany słów, których nie było potrzeby wypowiadać; podzieliły się w ciszy myślami o życiu, o pragnieniach i marzeniach, o potędze wiedzy i o dojmującej potrzebie rozwoju. Dziewczynka stała nieruchomo jak kamień, ze wzrokiem skierowanym ku *górze*; wiedziała już, że może się nauczyć wielu cudownych rzeczy, jeśli tylko znajdzie właściwego nauczyciela.

Wrona o czerwonych oczach zamierzała zostać tym nauczycielem.

Tą wroną była wiedźma Nocny Cień.

Ben Holiday odchylił ciało do tyłu, oparł się na łokciach i pozwolił, aby od zapachu piknikowych dań zaczęło mu burczeć w pustym brzuchu. Od śniadania minęło kilka godzin i przez ten czas powstrzymywał się przed zjedzeniem czegokolwiek. Całe szczęście, koniec czekania był już bliski. Willow z pomocą Abernathy'ego i Parsnipa rozpakowywała pojemniki i ustawiała ich zawartość na obrusie. Już wkrótce będą mogli zacząć jeść. Dzień był wymarzony na piknik: niebo było czyste i błękitne, słońce grzało ziemię i młodą trawę, kolejny raz odsuwając w niepamięć wspomnienia o mroźnej zimie. Kwiaty rozkwitły, a gałęzie drzew ponownie ugięły się pod ciężarem liści. Zbliżał się środek lata, dnia wciąż przybywało, a kolorowe księżycy Landover goniły się po ciemnym niebie, coraz bardziej zmniejszając odległości między sobą.

Willow zauważyła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się doń, co rozpało w nim natychmiast tę samą miłość, jaką czuł za pierwszym razem, jak gdyby znowu spotkali się o północy w wodach jeziora Irrylyn i ona mówiła mu o przeznaczeniu, które doprowadziło do ich spotkania.

- Może byś tak nam pomógł, czarodzieju? - warknął Abernathy do Questora Thewsa, wrywając Bena z zamyślenia. Skryba był najwyraźniej rozdrażniony, że tamten nie robi nic, aby im ulżyć w przygotowaniach do posiłku.

- Hmm? - Questor oderwał wzrok od niesamowitego purpurowo-żółtego kwiatu, patrząc na niego nieobecny wzrokiem. Czarodziej zawsze wyglądał na zamyślonego, bez względu na to, czy jego myśli były czymś zajęte, czy nie.

- Pomógł nam! - powtórzył ostro Abernathy. - Kto nie pracuje, ten nie je, znasz to powiedzenie?

- Nie ma potrzeby zaraz się złościć! - Questor Thews zostawił swoje badania na rzecz naglącej potrzeby uspokojenia przyjaciela. - Poczekaj. To nie tak się robi! Pozwól, że ci pokażę.

Przymawiali sobie jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu wkroczyła między nich Willow i załagodziła sytuację. Ben pokręcił głową. Ileż to już lat naskakują na siebie w ten sposób? Od czasu, gdy czarodziej zamienił skrybę w psa? Może jeszcze wcześniej? Ben nie był tego pewien częściowo dlatego, że był tutaj stosunkowo krótko, a częściowo dlatego, że odkąd opuścił Ziemię, czas stracił dla niego znaczenie. Przyjmując, że Landover i Ziemia istnieją jako dwa oddzielne światy, poprawił się. Założenie to miało charakter raczej metaforyczny niż rzeczywisty. Bo jakże zdefiniować granicę, której nie wyznaczają słupy graniczne bądź stosowne pomiary naniesione na mapy, lecz czarodziejskie mgły? Jak można oddzielić te ziemie, skoro z jednej na drugą przechodzi się, stawiając jeden krok, ale nie

można tego dokonać bez magicznych słów bądź talizmanu? Landover było tutaj, a Ziemia tam, po prawej i po lewej stronie, ale to w żaden sposób nie wyjaśniało problemu odległości między nimi.

Ben Holiday przybył na Landover, gdy jego nadzieje i marzenia związane z życiem w starym świecie rozsypały się w proch, a rozsądek ustąpił miejsca rozpacz. „Kup magiczne królestwo, a odnajdziesz swoje nowe życie!” - obiecywało ogłoszenie w bożonarodzeniowym katalogu domu towarowego Rosen's. „Zostań królem krainy, w której bajki twego dzieciństwa stają się rzeczywistością!” Pomysł wydawał mu się zupełnie niewiarygodny, a jednocześnie nie miał siły mu się oprzeć. Decyzja kupna wymagała najwyższego aktu wiary i Ben zdobył się na niego. Dokonał zakupu i ruszył w nieznane. Przybył do miejsca, które nie miało prawa istnieć, a jednak istniało. Landover miało w sobie wszystko, czego oczekiwał, i równie dużo tego, czego nie mógł przewidzieć. Postawiło mu zadania, których nie mógł sobie wcześniej wyobrazić. Ostatecznie dało mu jednak to, czego pragnął: nowy początek, nowe możliwości, nowe życie. Zawładnęło jego wyobraźnię. Całkowicie go przekształciło.

Wciąż jednak działy się rzeczy, które go zaskakiwały i krzyżowały mu plany. Nie rezygnował z prób zrozumienia wszystkich niuansów oferowanych przez krainę. Na przykład sprawa pokonywania czasu. Czas tutejszy różnił się od czasu w jego starym świecie; dowiedział się o tym, gdy kilkakrotnie przechodził tam i z powrotem i zorientował się, że pory roku nie są z sobą zsynchronizowane. Wiedział o tym również stąd, że właściwie pobyt tutaj nie miał na niego wielkiego wpływu. Coś się różniło w sposobie jego starzenia się tutaj. Nie był to proces ciągły. Zmiany nie następowały w tym samym tempie, minuta po minucie, godzina po godzinie i tak dalej. Trudno było w to uwierzyć, ale czasami w ogóle się nie starzał. Wcześniej się tego tylko domyślał, teraz miał już zupełną pewność. Wiedzę o tym zawdzięczał dedukcji, która jednak nie opierała się na obserwacji własnego tempa starzenia się, gdyż niełatwo było je zmierzyć z powodu braku obiektywizmu i dystansu.

Nie. Pochodziła ona z obserwacji Mistai.

Rozejrzał się za nią. Stała z zadartą do góry główką przed potężnym, wiekowym białym dębem, wpatrując się intensywnie w jego gałęzie. Zmarszczył brwi. Jeśli istniało słowo, którym miałby opisać swą córkę, prawdopodobnie byłoby nim właśnie to: intensywność. Do wszystkiego podchodziła z determinacją jastrzębia szukającego łupu. Nic nie było w stanie rozproszyć jej uwagi bądź jej zdekoncentrować. Gdy skupiła się na czymś, oddawała temu całą duszę. Miała fantastyczną pamięć, która prawdopodobnie żądała od niej, aby studiowała określoną rzecz, aż stanie się jej własnością. Było to osobliwe zachowanie, jak na małe dziecko, ale też sama Mistaya była dziwna.

Już samo określenie jej wieku stanowiło problem. To stąd właśnie, z badania tempa jej wzrostu, brało się coraz mocniejsze przekonanie Bena, że jego podejrzenia co do samego siebie nie są bezpodstawne. Mistaya urodziła się dwa lata temu, jeśli wziąć za podstawę przemijanie pór roku na Lando-ver, takich samych pór, które na Ziemi wyznaczają okres jednego roku. Tak więc powinna mieć dwa lata. Ale nie miała. Ten wiek miała już dawno za sobą. Wyglądała na prawie dziesięć lat. Była dwuletnią dziewczynką, kiedy miała dwa miesiące. Rosła w tempie wręcz zawrotnym. W ciągu miesięcy stawała się starsza o całe lata. Nie działo się to jednak w sposób ciągły. Były momenty, kiedy w ogóle nie rosła - przynajmniej nie w sposób zauważalny - po czym przez jedną noc przybywało jej kilka miesięcy, a nawet cały rok. Dorastała fizycznie, umysłowo, społecznie, emocjonalnie i w każdy inny dający się mierzyć sposób. Niezupełnie jednocześnie i nie w tym samym tempie, ale koniec końców każda z cech zrównała się z innymi. Wydawało się, że w pierwszym rzędzie dorasta umysłowo; tak, był o tym prawie zupełnie przekonany. W końcu przecież mówiła, kiedy miała trzy - miesiące, nie lata. Mówiła tak, jakby miała osiem albo dziewięć. Teraz, w wieku dwóch czy dziesięciu lat bądź jakimkolwiek innym, zależnie od miary, którą miało się ochotę posłużyć, mówiła tak, jakby miała lat dwadzieścia pięć.

Mistaya. Imię to wybrała Willow. Ben polubił je od samego początku. Misty Holiday*. Uważał, że jest to bardzo przyjemna gra słów. Sugerowało świeżość, nostalgię i miłe wspomnienia. Pasowało do jej wyglądu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Właśnie wydostał się z kabałowej szkatuły; ona sama i jej matka uciekły z Wielkiej Czeluści, gdzie Mistaya przyszła na świat. Willow nie chciała z początku rozmawiać o narodzinach dziecka, lecz ponieważ oboje skrywali przed sobą jakieś tajemnice, w końcu - aby zachować wobec siebie uczciwość - wyznali je przed sobą. On powiedział jej o Nocnym Cieniu; ona opowiedziała mu o Mistai. Nie było to łatwe, lecz z pewnością potrzebne. Willow szybciej sobie poradziła z sekretami Bena niż on z jej tajemnicami. Mistaya mogła wyrosnąć na kogokolwiek, biorąc pod uwagę charakter jej narodzin. Zrodzona z drzewa w postaci kielka, karmiona glebą z Ziemi, Lando-ver i czarodziejskich mgieł, przyszła na świat w ociekającej wilgocią, mglistej martwocie Wielkiej Czeluści. Mistaya była amalgamatem różnych światów, różnych mocy magicznych i różnej krwi. Lecz gdy ujrzał ją po raz pierwszy, leżącą w prowizorycznym beciku, miał przed sobą doskonałą, piękną dziewczynkę-niemowlę: oślepiające zielone oczy, które przeszywały człowieka do samego dna jego duszy, jasna, różowa skóra, miodowoblond włosy i rysy, w których na pierwszy rzut oka można było rozpoznać rysy Bena i Willow.

Ben już na samym początku pomyślał, że wszystko to jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Już niedługo miał odkryć, że się nie myli.

Obserwował, jak Mistaya w ciągu zaledwie kilku miesięcy przemyka przez okres dzieciństwa. Obserwował, jak w tym samym tygodniu stawia swoje pierwsze kroki i uczy się pływać. W tym samym czasie zaczęła mówić i biegać. Opanowała czytanie i podstawy matematyki przed ukończeniem pierwszego roku życia. Już wtedy kręciło mu się w głowie na myśl

* Imię to może się kojarzyć m.in. z pełnymi mgły wakacjami. O tym, że będzie ojcem fenomenalnie rozwiniętego dziecka, geniusza, jakiego nikt w jego starym świecie nigdy na oczy nie widział. Lecz nawet te przypuszczenia nie sprawdziły się do końca. Dojrzewała, ale nie w każdym kierunku przebiegało to równie prędko. Rozwijała się do pewnego punktu, a potem proces ów zwyczajnie się zatrzymywał. Na przykład po tym, jak opanowała podstawy matematyki, straciła zupełnie zainteresowanie dla tego przedmiotu. Nauczyła się czytać i pisać, ale nigdy z żadną z tych umiejętności nie zrobiła niczego więcej. Wydawała się czerpać przyjemność z przeskakiwania od jednej nowej rzeczy do następnej i nigdy nie dało się racjonalnie wytłumaczyć, dlaczego dociera do tego właśnie miejsca, a nie dalej.

Nie przejawiała żadnego zainteresowania dla typowo dziecięcych zajęć. Nie zdarzyło się to ani razu. Zabawy z lalkami, rzucanie i łapanie piłki czy skakanie przez gumę były dla innych dzieci, nie dla niej. Mistaya pragnęła wiedzieć, z czego składają się różne przedmioty, w jaki sposób funkcjonują i do czego służą. Fascynowała ją przyroda. Wychodziła na długie spacerzy, które jak sądził Ben, znacznie przekraczały fizyczne możliwości tak małego dziecka. W ich trakcie nieustannie studiowała wszystko, co znajdowała wokół siebie, zadając różnorodne pytania i układając wszystko na półkach i w szufladach swej pamięci. Pewnego razu - była wówczas bardzo mała, miała zaledwie kilka miesięcy i już uczyła się mówić - znalazł ją ze szmacianą lalką. Przez krótką chwilę myślał, że może się nią bawi, lecz ona spojrzała mu głęboko w oczy i zapytała tym swoim poważnym głosem, dlaczego wytwórca lalki wybrał ten właśnie, a nie inny szew, żeby przymocować jej kończyny.

Taka była Mistaya. Konkretna i niezwykle poważna. Kiedy zwracała się do niego, mówiła „ojcze”. Nigdy „tato” czy „tatusiu”. „Ojcze” albo „matko”. Uprzejmie, ale dość oficjalnie. Jej pytania były poważne i nigdy nie traktowała ich lekką ręką. Ben również nauczył się ich nie lekceważyć. Kiedy pewnego razu się roześmiał, gdy powiedziała mu coś, co wydało mu się zabawne, obdarzyła go spojrzeniem, które sugerowało, że powinien dorosnąć. Nie chodzi o to, że nie potrafiła się śmiać albo że nie umiała dostrzegać zabawnych sytuacji w swoim życiu, lecz o to, że jej poczucie humoru było dość osobliwe. Bardzo często rozśmieszał ją Abernathy. Dokuczała mu niemiłosiernie; zawsze wyglądało to poważnie, jakby wcale nie miała zamiaru żartować, po czym nagle wybuchała szczerym śmiechem,

właśnie wtedy, kiedy zaczynał pojmować, o co chodzi. Znosił to z zadziwiającym spokojem. Kiedy była małą dziewczynką, nieustannie jeździła na jego grzbiecie i szarpała go za uszy. Nie okazywała przy tym złośliwości, a jedynie figlarną swawolę. Abernathy nie zniósłby takiego traktowania ze strony żadnej innej żywej istoty. Odnosiło się natomiast wrażenie, że u Mistai nawet mu się to podoba.

Na ogół jednak uważała, że dorośli są ograniczeni i nudni. Nie była zachwycona ich próbami kierowania nią i zapewniania jej ochrony. Nienajlepiej reagowała na słowo „nie” oraz na ograniczenia, które stawiali jej rodzice i nauczyciele. Nauczycielem był sam Abernathy, ale i on w prywatnej rozmowie wyznał, że jego droga uczennica często się nudzi na jego lekcjach. Do jej ochrony został wyznaczony Bunion, lecz gdy tylko nauczyła się chodzić, musiał dokonywać nie lada wysiłków, aby mieć ją cały czas w zasięgu wzroku. Kochała Bena i Willow i była do nich przywiązana, choć okazywała to w dziwny, pełen rezerwy sposób. Jednocześnie uważała, że są uwikłani w konwencje, na które w jej życiu nie ma miejsca. Kiedy próbowali jej coś wyjaśniać, wyraz jej oczu jasno sugerował, że nie pojmują podstawowej prawdy o niej, bo gdyby tak było, nie traciliby na to czasu.

Miało się wrażenie, iż uważa, że dorośli są złem koniecznym w jej młodym życiu, więc im szybciej dorośnie, tym lepiej. To mogło wyjaśniać, często myślał Ben, dlaczego w ciągu jednego roku staje się starsza o dwa lata. To również mogło wyjaśniać, dlaczego od chwili gdy zaczęła mówić, zwracała się do dorosłych w dorosły sposób, używając pełnych, gramatycznie poprawnych zdań. Wystarczył jej jeden raz, żeby utrwalić w pamięci i odtworzyć nowy sposób wyrażania się. Teraz, kiedy Ben prowadził z nią rozmowę, wyglądało to tak, jakby rozmawiał z samym sobą. Przemawiała do niego zupełnie w taki sam sposób, w jaki on zwracał się do niej. Szybko porzucił wszelkie próby zwracania się do niej jak do normalnego dziecka bądź też - niech Bóg broni - przemawiania do niej tonem protekcyjnym, ponieważ mogłaby wówczas w ogóle stracić zainteresowanie dla tego, co mówi. Jeśli zwracało się do Mistai, tonem pobłażliwym, ona natychmiast przyjmowała ten sam ton w stosunku do swego rozmówcy. W wypadku jego córki niełatwo było znaleźć prostą odpowiedź na pytanie, kto jest dzieckiem, a kto dorosłym.

Jedyną osobą, której problem dorosłości nie dotyczył, był Questor Thews. Związek Mistai z czarodziejem całkowicie różnił się od związków z innymi dorosłymi, nie wyłączając jej rodziców. Przy Questorze wydawała się dość zadowolona z tego, że jest dzieckiem. Nie rozmawiała z nim tak, jak na przykład z Benem. Z uwagą przysłuchiwała się wszystkiemu, co mówił, uważała na wszystko, co robił, i na ogół była zadowolona z tego, że w jakimś sensie jest jej przełożonym. Łączyły ich więzy, które czasami łączą dziadków z wnukami. Ben

sądził, że dzieje się tak głównie z powodu magicznej mocy, którą włada czarodziej. Mistaya była nią zafascynowana, nawet wtedy, gdy nie wszystko przebiegało w sposób zaplanowany przez Questora, co zdarzało się nie tak znowu rzadko. Questor pokazywał jej zawsze jakieś sztuczki magiczne, eksperymentował przy niej z różnymi nowymi pomysłami. Uważał, aby nie wypróbować czegoś niebezpiecznego, kiedy Mistaya znajdowała się w pobliżu. Chodziła za nim wszędzie bądź przesiadywała z nim całe godziny w nadziei, że się jej uda ujrzeć choćby mały fragment tej siły, którą dysponował.

Z początku Ben martwił się tym. Wydawało mu się, że zainteresowanie Mistai magią bardzo przypomina wczesno-dziecięcą fascynację ogniem, a nie chciał, aby się poparzyła. Ona jednak nie prosiła o to, aby pozwolono jej wypróbować zaklęcia bądź runy, nie błagała o to, aby jej objaśnić działanie jakiegoś czaru, lecz z szacunkiem wysłuchiwała Questora, ostrzegającego ją przed niebezpieczeństwami wynikającymi z niewprawnego posługiwania się magią. Wyglądało na to, że sama nie chce próbować. Questor był dla niej po prostu kimś niezwykle osobliwym, kogo należy poznać, a nie naśladować. Było to dość dziwne, ale wcale nie bardziej niż cokolwiek innego związanego z Mistayą. Oczywiście jej ciążenie w stronę magii miało logiczny związek z jej pochodzeniem: była dzieckiem zrodzonym z magii, jej antenatami były istoty czarodziejskie, w jej żyłach płynęła czarodziejska krew.

Jaki będzie efekt tego wszystkiego? - zastanawiał się Ben. Mijał czas, a on czekał na rozwój wydarzeń. Nie tak sobie wyobrażał swego potomka, kiedy Willow powiedziała mu, że zostanie ojcem. Mistaya nie przypominała żadnego z dzieci, które do tej pory spotkał. Była w dużej mierze zagadką. Kochał ją, uważał, że jest intrygująca i cudowna, i nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Skłoniła go do rewizji takich pojęć, jak „dziecko” i „rodzic”, oraz zmuszała, aby codziennie na nowo się zastanawiał, w jakim kierunku zmierza jego życie.

Jednocześnie jednak przerażała go myśl - nie o tym, kim jest teraz, ale o tym, kim któregoś dnia może się okazać. Jej przyszłość przypominała mu podróż po rozległej, niezbadanej krainie, nad którą, jak się obawiał, nie będzie miał żadnej kontroli. Co mógłby uczynić, aby mieć pewność, że jej wędrówka przebiegnie spokojnie i bez przeszkód?

Willow, jak się wydawało, nie zaprzęta sobie głowy tymi problemami. Bo też Willow podchodziła do sprawy wychowania dziecka w taki sam sposób jak do wszystkiego innego. Życie stawia każdego przed wyborami, które należy podjąć, daje możliwości, z których należy skorzystać, oraz rzuca przeszkody, które trzeba pokonać - ona wszystko to robiła wtedy, gdy przychodziła właściwa pora, ani chwili wcześniej. Nie było sensu martwić się czymś, na co nie ma się wpływu. Każdy kolejny dzień z Mistayą był nowym wyzwaniem, z którym trzeba sobie było poradzić, i nową radością, którą należało się delektować. Willow

dała córce tyle, ile mogła, i otrzymała w zamian tyle, ile było do wzięcia - i była za to wdzięczna. Bez końca powtarzała Benowi, że Mistaya jest kimś wyjątkowym, dzieckiem różnych światów i różnych ras, istot czarodziejskich i ludzi, królów i mistrzów magii. Przeznaczenie wycisnęło na niej swoje piętno. W swoim czasie dokona czegoś cudownego. Muszą stworzyć takie warunki, aby jej to umożliwić. Muszą pozwolić jej dorosnąć w sposób, który jej odpowiada.

Tak, to wszystko jest jasne, pomyślał ponuro Ben. Łatwiej jednak powiedzieć, niż zrobić.

Patrzył na córkę, jak z głową podniesioną do góry wpatruje się w konary wielkiego dębu, i zastanawiał się, co jeszcze powinien uczynić. Czuł, że zadanie wychowywania jej przerasta go. Czuł się zbyt słaby, żeby dźwignąć ciężar jej osobliwej natury.

- Ben, czas na jedzenie - oznajmiła Willow, wyrывая go z zamyślenia. - Zawołaj Mistayę.

Podniósł się z wysiłkiem na nogi, odsuwając od siebie dręczące go myśli.

- Misty! - zawołał. Nie odwróciła się do niego, wciąż zapatrzona na drzewo. - Mistayo!

Żadnej reakcji. Stała jak posąg.

Questor Thews podszedł do niego z boku.

- Chyba znowu zatopiła się w swoim własnym małym świecie, mój panie. - Mrugnął do Bena, po czym złożył dłonie w trąbkę i przystawił do ust. - Mistayo, no chodź już! - rozkazał głosem prawie tak ciekim jak głos kobiety.

Odwróciła się, przez moment wahała, po czym pośpiesznie ruszyła do przodu, rozsiewając dookoła iskry słońca odbite w jej blond włosach i połyskując błyszczącymi z ożywienia szmaragdowymi oczami. Gdy przebiegała obok Questora Thewsa, uśmiechnęła się doń delikatnie.

Zdawało się, że prawie w ogóle nie dostrzega Bena.

Nocny Cień obserwowała, jak dziecko oddala się od dębu, aby przyłączyć się do pozostałych. Siedziała nieruchomo pod osłoną gałęzi, na wypadek gdyby komuś z nich przyszło do głowy zajrzeć w to miejsce. Nikt się tam jednak nie pokwapił. Skupili się na jedzeniu i picciu, śmiejąc się i rozmawiając, obojętni na to, co się właśnie wydarzyło. Dziewczynka należała już teraz do niej; ziarno jej przyszłego zwycięstwa zostało zasiane głęboko w jej duszy i wystarczyło je tylko podlewać, aby w przyszłości wystąpić z roszczeniami o prawo do niej. Ta chwila nadejdzie. Już wkrótce,

Plan, nad którym wiedźma od dawna pracowała, został uruchomiony. Kiedy dobiegnie końca, Ben będzie zniszczony.

Czerwonooka wrona dobrze pamiętała, a wspomnienia rozpałały ją niczym żywy ogień.

Minęły dwa lata, odkąd Nocny Cień uciekła z kabałowej szkatuły. Gorycz z powodu zdrady króla-marionetki nie opuszczała jej serca, tak jak i pamięć o nieudanej zemście na jego żonie i córce. Cierpliwie czekała na okazję, żeby znowu uderzyć. Holiday przeniósł ją do kabałowej szkatuły, uwięził w zamglonych krańcach labiryntu, odebrał tożsamość, ograbił z magicznej mocy, pozbawił możliwości obrony i podstępem skłonił ją, by mu się oddała. To, że żadne z nich nie zdawało sobie wówczas sprawy z tego, kim są, nie miało żadnego znaczenia. To, że magiczna moc potężnej istoty złapała ich w swoje sidła razem ze smokiem Strabo, było nieistotne. Tak czy inaczej to Holiday był za to odpowiedzialny. To on ujawnił jej słabość i sprawił, że zapalała doń uczuciem, jakim przysięgła sobie nigdy już nie obdarzyć żadnego mężczyzny. Zawsze go nienawidziła, co było jeszcze bardziej dotkliwe. Wszystko to sprawiało, że nie mogła w żaden sposób pogodzić się z tym, co zaszło.

Podtrzymywała swoją wściekłość w stanie ciągłego wrzenia. Gotujący się w niej ból nie pozwalał zapomnieć i utrzymywał ją w przekonaniu o słuszności tego, co musi zrobić. Być może zadowoliliby się dzieckiem urodzonym w Wielkiej Czeluści. Być może wystarczyłoby jej to, że odebrała je matce, a ją samą zniszczyła, zostawiając Holidayowi ten spadek jako karę za jego zdradę. Niestety, to nie nastąpiło. Interweniowały czarodziejskie istoty, które ją powstrzymały, i od tego czasu musiała żyć ze wspomnieniem wyrządzonej krzywdy.

Aż do chwili obecnej. Teraz dziewczynka była już na tyle duża i niezależna zarówno od ludzi, jak i czarodziejskich istot, aby chcieć odkrywać nie wyjawione jej jeszcze prawdy. Można było upomnieć się o nią innymi sposobami niż siłą. Mista-ya byłaby dla Nocnego Cienia balsamem, którego wiedźma z Wielkiej Czeluści rozpaczliwie potrzebowała, aby się ponownie stać pełną osobą. Mała byłaby jednocześnie orężem potrzebnym jej, aby skończyć z Benem Holidayem.

Czerwonooka wrona spojrzała w dół, na to zgromadzenie rodziny i przyjaciół, i pomyślała, że są to ostatnie chwile szczęścia, jakimi się mogą cieszyć.

Po chwili zerwała się z pocętkowanego liściami półmroku i poszybowała w stronę swego domu.

RYDALL Z MARNHULL

Następnego ranka, gdy budzące się słońce dopiero zaczynało rozjaśniać wschodni horyzont łukiem srebrnej zorzy, a ziemia wciąż jeszcze ukrywała się pod mrokami nocy, Willow poderwała się z łóżka tak gwałtownie, że wyrwała tym Bena z głębokiego snu. Siedziała sztywna i drżała, z pościelą odrzuconą do tyłu, a jej ciało było zimne jak lód. Natychmiast przyciągnął ją do siebie i przytulił. Po chwili dreszcze zaczęły ustępować i pozwoliła się delikatnie wsunąć pod pościel.

- To było ostrzeżenie - powiedziała szeptem, kiedy ponownie odzyskała mowę. Leżała blisko niego, nieruchoma, jakby się obawiała, że zaraz ją coś uderzy. Jej twarz zniknęła, wtulona w pierś Bena.

- Coś ci się przyśniło? - zapytał, głaszcząc jej plecy i starając się ją uspokoić. Napięcie wciąż przeżyło jej ciało. - Co to było?

- To nie był sen - powiedziała, ocierając się ustami o jego skórę. - To było ostrzeżenie. Przeczucie czegoś, co ma się wydarzyć. Czegoś strasznego. Odczułam przerażający mrok, który zalał mnie jak potężna rzeka, i czułam, jak w nim tonę. Ben, ja nie mogłam oddychać.

- Już wszystko w porządku - rzekł spokojnie. - Jestem przy tobie.

- Nie - zareagowała natychmiast. - Na pewno nie jest w porządku. To przeczucie dotyczyło nas wszystkich: ciebie, mnie i Mistai. Ale najbardziej ciebie. Ben, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Nie wiem, skąd ono przyjdzie, wiem jednak, że coś się zdarzy, i jeśli nie będziemy na to przygotowani, to... - Zawiesiła głos, nie chcąc kończyć myśli.

Ben westchnął i przytulił ją mocniej. Jej długie szmaragdowe włosy spływały na jego ramiona i na poduszkę. Wiedział dobrze, że nie należy zadawać Willow pytań, gdy chodzi o sny i przeczucia. Stanowiły one nieodłączną część życia istot niegdyś czarodziejskich, które darzyły je takim samym zaufaniem, jak ludzie darzą intuicję. Rzadko się na nich zawodziły. W czasie snu Willow odwiedzały istoty czarodziejskie oraz zmarli. Udzielały jej wtedy rad i ostrzegały. Z przeczuciami było trochę inaczej; nie dawały tej samej pewności, nie pojawiały się też tak często, lecz to nie umniejszało ich wartości. Skoro Willow była zdania, że coś im grozi, to rozsądniej będzie uwierzyć, że tak rzeczywiście jest.

- Nie było żadnej wskazówki, o jaki rodzaj zagrożenia może chodzić? - zapytał po chwili, starając się dowiedzieć czegoś więcej.

Nieznacznym ruchem głowy odpowiedziała przecząco.

- Będzie ono jednak ogromne. Nigdy nie czułam czegoś tak intensywnie, przynajmniej od czasu naszego spotkania. - Przerwała. - Niepokoi mnie to, że nie wiem, skąd się to przeczucie wzięło. Zazwyczaj poprzedza je jakieś niewielkie wydarzenie, czasem jakaś aluzja bądź wzmianka. Sny są zsyłane przez kogoś, kto chce się podzielić z nami swymi myślami

albo udzielić nam rady. Przeczucia natomiast nie mają kształtu, są niemymi widmami, których jedynym zadaniem jest ostrzec nas, przygotować na niepewną przyszłość. Nawiedzają nas w trakcie snu. Przyciągane są drobnymi niteczkami podejrzeń i wątpliwości, których zadaniem jest chronić nas przed czymś niespodziewanym. W naszym śnie otwierają się ścieżki, które na jawie pozostają zamknięte. Ścieżka, którą przywędrowało do mnie to przecucie, musiała być naprawdę szeroka i prosta, bo jego rozmiary były iście monstrualne. - Przywarła do niego jeszcze mocniej, gdy odżyło w niej mrozące krew w żyłach wspomnienie.

- Już od wielu miesięcy żyjemy bez żadnych zagrożeń - powiedział cicho Ben, cofając się myślą w przeszłość. - Na Landover zapanował pokój. Nocny Cień i Strabo przestali nas niepokoić. Władcy Greensward zakończyli właśnie. Nawet skalne trolle od jakiegoś czasu nie sprawiają kłopotów. Nie ma wieści o niepokojach w krainie czarodziejskich mgieł. Zupełny spokój.

Zamilkli, leżąc razem w wielkim łożu, obserwując, jak światło wpełza na parapety okien i mrok zaczyna chować się po kątach, wsłuchując się w odgłosy budzącego się dnia. Maleńki ptaszek o jaskrawoczerwonym upierzeniu sfrunął z murów obronnych, przeleciał obok ich okna i zniknął.

Willow uniosła w końcu głowę i spojrzała na Bena. Nieskazitelna twarz była blada i nieruchoma.

- Nie wiem, co robić - powiedziała szeptem. Pocałował ją w czubek nosa.

- Zrobimy to, co będziemy musieli.

Podniósł się z łóżka i podszedł do umywalki stojącej na cokole opodal okna wychodzącego na wschód. Zatrzymał się, żeby popatrzeć na budzący się dzień. Niebo w górze było bezchmurne, a promienie wschodzącego słońca rozpylały jasność, która zaczynała już trawić obfitość zieleni i błękitów. Rozciągające się za połyskującymi murami Sterling Silver lesiste pagórki przypominały szorstki koc kryjący pod sobą wciąż jeszcze śpiące kształty ziemi. Na łące, za jeziorem otaczającym wyspę z zamkiem, kwiaty zaczynały rozwierać już swoje kielichy. Na dziedzińcu bezpośrednio pod nim następowała właśnie zmiana warty, a stajenni ruszali karmić zwierzęta.

Ben spryskał twarz wodą podgrzaną przez zamek na powitanie nowego dnia. Sterling Silver był żywą istotą; miał magiczną moc pozwalającą mu troszczyć się o króla i jego dwór, tak jak matka troszczy się o swoje dzieci. Od chwili przybycia Bena na Landover zamek nie przestawał wprawiać go w zdumienie: gdy na swoje życzenie znajdował wannę napełnioną wodą o temperaturze idealnej do kąpieli, gdy w miejscu, o którym tylko pomyślał, rozbłyskały światła, gdy w zimne noce czuł pod stopami ciepło kamiennej posadzki bądź gdy

pomieszczenia do przechowywania jedzenia mogły być zgodnie z życzeniem chłodne i suche. Teraz był już oswojony z tymi małymi cudami i nie myślał o nich wiele.

Tego ranka jednak, z nie znanych mu powodów, zauważył, że to właśnie robi. Wytarł rękami twarz i popatrzył na skrzącą się w umywalce taflę wody. Spoglądało na niego jego własne odbicie, silna, brązowa od słońca, pociągła twarz o przenikliwych niebieskich oczach, orlim nosie i przeredzających się na skroniach włosach. Delikatne fale na wodzie wykrzywiały twarz i dodawały zmarszczek, których nie miał. Pomyślał, że wygląda cały czas tak samo jak w momencie przybycia ze starego świata. Wygląd może mylić, mówi przysłowie, lecz w tym wypadku nie było to wcale takie pewne. Magia była kamieniem węgielnym życia na Landover, a tam gdzie w grę wchodzi czary, wszystko jest możliwe.

Uzmysłowił sobie, że podobnie się mają sprawy z Mista-ya. Jej życie nieustannie zmuszało do rewizji sposobu patrzenia na kwestię zachodzących zmian.

Willow wstała z łóżka i podeszła do niego. Nie miała na sobie ubrania, ale jak zawsze wydawała się tego nieświadoma, przez co jej nagość była czymś naturalnym i stosownym. Wziął ją w ramiona, przytulił i ponownie pomyślał o tym, jak jest szczęśliwy, że może być z nią, jak bardzo ją kocha i jak jej rozpaczliwie potrzebuje. Wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, a piękno to, jego zdaniem, było w równej mierze zewnętrzne co wewnętrzne. Stała się jego wielką miłością, tą miłością, którą stracił, kiedy Annie zginęła w starym świecie - całe to wydarzenie zdawało się tak odległe w czasie, iż prawie o nim zapomniał. Po śmierci Annie obawiał się, że już nigdy nie spotka towarzyszkę życia. Willow dawała mu siłę, napełniała radością i zapewniała jego życiu równowagę.

Ktoś zapukał do drzwi komnaty sypialnej.

- Panie mój! - usłyszeli ostre wołanie Abernathy'ego. W jego głosie dało się słyszeć niepokój. - Czy już wstałeś?

- Tak. O co chodzi, Abernathy? - zapytał Ben, wciąż trzymając w objęciach Willow i spoglądając nad jej uniesioną głową w kierunku drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę porozmawiać z Waszą Wysokością - odpowiedział Abernathy. - To pilne.

Willow uwolniła się z ramion Bena i szybko odeszła, aby włożyć długą białą suknię. Ben zaczekał, aż się ubierze, po czym podszedł i otworzył drzwi. Za nimi stał Abernathy, próbując bez powodzenia ukryć niecierpliwość pomieszana z przerażeniem. Jedno i drugie było wyraźnie widoczne w jego oczach. Zachowanie psów zawsze zdradza pewien rodzaj niepokoju i Abernathy, chociaż był psem tylko z wyglądu, nie stanowił wyjątku. Trzymał się prosto w swoim purpurowo-złotym mundurze, który znamionował jego urząd nadwornego

skryby, a palcami - wszystkim, co pozostało z jego ludzkiego kształtu od czasu przeobrażenia w miękkołosego teriera - gmerał nerwowo przy grawerowanych, metalowych guzikach, jak gdyby się upewniał, czy wszystkie wciąż się znajdują na swoim miejscu.

- Panie mój. - Abernathy zrobił krok do przodu i nachylił się, aby nikt go nie mógł usłyszeć. - Przepraszam, że w ten sposób rozpoczynam dzień Waszej Wysokości, ale u bram pojawili się dwaj jeźdźcy. Wygląda na to, że przybyli tutaj z zamiarem wyzwania cię. Nie chcą wyjawić swej tożsamości. Jeden z nich rzucił rękawicę na środek mostu. Czekają na twoją odpowiedź, panie.

Ben skinął głową, tłumiąc w sobie szereg pochopnych reakcji.

- Zaraz tam będę.

Zamknął drzwi i szybkim krokiem poszedł się ubrać. Zdał Willow relację z tego, co się stało. Człowiekowi żyjącemu na Ziemi pod koniec dwudziestego wieku rzucanie wyzwania za pomocą ciśnietej rękawicy może się wydać czymś osobliwym, lecz na Landover nie należało tego lekceważyć. Tutaj wciąż przestrzegano zasad walki i rzucona rękawica mogła znaczyć tylko jedno: wyzwanie zostało rzucone i należało na nie odpowiedzieć. Nawet król nie mógł tego zignorować. Szczególnie król, pomyślał Ben, wciągając wysokie buty.

Wstał i zapiął guziki munduru. Przez chwilę ścisnął w dłoni medalion spoczywający na piersi - symbol jego władzy, talizman, który go chronił. Gdyby został wyzwany na pojedynek, do walki stanąłby nie on, lecz jego szermierz, rycerz o imieniu Paladyn, który bronił wszystkich królów Landover od początków istnienia królestwa. Medalion miał moc przywoływania Paladyna, który tak naprawdę był *alter ego* króla. To Ben zamieszkiwał ciało i umysł Paladyna, gdy ten staczał za niego boje; stawał się swoim własnym szermierzem, tracąc na jakiś czas tożsamość w wojennych umiejętnościach i życiu kogoś innego. Nie od razu Ben odkrył prawdę o naturze Paladyna. Jeszcze więcej czasu musiało upłynąć, zanim zdołał pogodzić się z tą prawdą.

Puścił medalion. Będzie miał czas zastanawiać się nad tym, jeśli się okaże, że naprawdę został wyzwany na pojedynek, jeśli Paladyn będzie potrzebny, jeśli zagrożenie będzie realne, jeśli...

Ujął Willow pod ramię i opuścili komnatę. Przeszli szybko przez hol i wspięli się po schodach na mury obronne, wychodzące prosto na główne wejście do zamku. Usytuowany na wyspie pośrodku jeziora, Sterling Silver był połączony z lądem zbudowaną przez Bena, potem wielokrotnie przebudowywaną groblą, która dawała gościom bezpośredni dostęp do bram zamku. Na Landover nie toczono obecnie żadnych wojen. Pokój panował od czasu objęcia władzy przez Bena, a ten dawno już zdecydował, że nie ma powodu wznosić barier

między władcą a jego poddanymi.

Rzecz jasna, wyzywanie władcy na pojedynek przez rzucenie rękawicy nie było czymś codziennym pośród jego poddanych.

Otworzył drzwi prowadzące na zwieńczone blankami mury obronne i wszedł na balkon wychodzący na groblę. Questor Thews i Abernathy już tam stali, rozmawiając ze sobą przyciszonymi głosami. Bunion skakał po wystęпах muru tam i z powrotem, zwinnie i szybko, na co pozwalały mu jego koboldzie pazury, bez trudu czepiające się kamieni. Bunion potrafił, jeśli tylko zechciał, zejść prosto w dół po murze. Jego jaskrawożółte oczy świeciły groźnymi szparkami, a pokaźne zęby sterczały w grymasie uśmiechu.

Questor i Abernathy odwrócili pośpiesznie głowy w kierunku Bena i Willow i szybko ruszyli im na spotkanie.

- Panie mój, zrobisz oczywiście, jak zechcesz - powiedział Questor w typowym dlań lakonicznym stylu. - Doradzałbym jednak dużą ostrożność. Wokół tych dwóch unosi się aura magii, której nawet ja, z moimi zdolnościami, nie mogę przeniknąć.

To rzeczywiście dowód nie do odparcia! - zauważył figlarnie Abernathy, nastawiając swoje psie uszy, po czym obdarzył Bena pełnym bóleści spojrzeniem. - Panie, to są bezczelne, a całkiem możliwe, że i obłąkane istoty, może zatem powinieneś się zastanowić, czy nie warto wtrącić ich na jakiś czas do lochów.

- Ja również was witam - powiedział wesoło Ben. - Całkiem miły dzień na rzucanie rękawic, nie sądzicie? - Posłał im wymuszony uśmiech, zbliżając się do nich. - Wiecie co? Posłuchajmy najpierw, co mają do powiedzenia, zanim cokolwiek zdecydujemy.

Zbliżyli się zwartą grupą do balustrady. Ben spojrzał w dół. Na środku mostu widać było dwóch jeźdźców odzianych w czarne szaty, siedzących na czarnych koniach. Większy z nich miał na sobie zbroję, pałasz, a do siodła przytroczony berdysz. Przyłbica była opuszczona. Mniejszy, w długich szatach i z kapturem na głowie, garbił się jak stara baba zażywająca odpoczynku, skrywając twarz i dłonie w fałdach materii. Żaden się nie poruszył. Żaden nie nosił jakichkolwiek insygniów ani nie trzymał proporca.

Czarna rękawica jeźdźca w zbroi leżała przed nimi pośrodku mostu.

- Sam widzisz, panie, co mam na myśli - wyszeptał tajemniczo Questor.

Ben nie wiedział, ale to nie miało znaczenia. Nie mając ochoty przedłużyć tej konfrontacji, zawołał w dół do dwójki na moście:

- Jestem Ben Holiday, król Landover. Czego chcecie ode mnie?

Szyszak jeźdźca w zbroi odchylił się lekko do tyłu.

- Panie. Nazywam się Rydall. Jestem królem krainy Marnhull i wszystkich ziem

leżących na wschód od krainy czarodziejskich mgieł aż po Wielką Nieprzeby tość. - Głos miał głęboki, stentorowy. - Przybyłem tutaj, panie, z żądaniem, abyś ustąpił z tronu. Chcę go przejść pokojowo, lecz użyję siły, gdy zostanę do tego zmuszony. Żądam twej korony, twego tronu oraz medalionu, symbolu twego panowania. Żądam władzy nad twymi poddanymi oraz twego królestwa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Ben poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Jasne jest dla mnie to, Rydallu, królu krainy Marnhull, że musisz być głupcem, spodziewając się, iż poświęcę ci mój czas.

- To ty, panie, będziesz głupcem, jeśli nie potraktujesz mnie poważnie - odparł tamten pośpiesznie. - Wysłuchaj mnie uważnie, zanim cokolwiek powiesz. Królestwo moje leży poza mgłami czarodziejskiej krainy. Wszystko, co leży po tamtej stronie, należy do mnie. Dawno temu zdobyłem te ziemie, wszystkie, jakie były, siłą i potęgą mojej armii. Całe lata szukałem przejścia przez mgły, lecz magiczne moce trzymały mnie w szachu. Sytuacja się jednak zmieniła. Dokonałem wyłomu w głównej linii twojej obrony, Benie Holidayu, władco Landover, i twój kraj stanął w końcu dla mnie otworem. Dysponujesz niewielką armią. Przewaga liczebna moich wojsk jest druzgocąca. Moi zaprawieni w boju rycerze rozbijają cię w ciągu jednego dnia. W tej chwili czekają u twych granic na moje rozkazy. Jeśli ich wezwę, zaleją całe Landover jak zaraza i zniszczą wszystko, co napotkają na swej drodze. Nie znasz niczego, co byłoby w stanie ich powstrzymać, a kiedy już raz porwą się do boju, trzeba będzie sporo czasu, zanim ponownie będzie można zdobyć nad nimi kontrolę. Nie muszę się chyba wyrażać jaśniej, władco Landover?

Ben obrzucił szybkim spojrzeniem Willow i swoich doradców.

- Czy ktokolwiek z was słyszał kiedyś o tym facecie? - zapytał cicho. Wszyscy troje potrząsnęli głowami.

- Holiday, poddajesz się? - zawołał ponownie Rydall swoim potężnym głosem.

Ben odwrócił się.

- Raczej nie. Może innym razem. Posłuchaj, królu Rydallu. Nie sądzę, abyś przyszedł tutaj, wierząc, iż zrobię to, o co prosisz. Nikt o tobie nie słyszał. Nie masz przy sobie niczego, co poświadczaloby twój tytuł bądź dowodziło istnienia armii. Siedzisz na swoim koniu i rzucasz pod moim adresem groźby i żądania. Widzę jedynie dwóch mężczyzn, zupełnie samych, którzy przybyli znikąd. - Przerwał. - A jeśli każę was pojmać i wrzucić do lochu?

Rydall roześmiał się szyderczo, śmiechem równie potężnym i grubym jak jego głos.

- Nie radziłbym ci tego próbować, panie. Mogłoby się okazać, że jest to o wiele

trudniejsze, niż ci się teraz wydaje.

Holiday wyprostował się.

- Podnieś swoją rękawicę i wracaj do domu. Na mnie czeka śniadanie.

- Nie, panie. To ty musisz podnieść rękawicę, jeśli odrzucasz moje wezwanie do poddania się. - Rydall pchnął konia krok do przodu. - Twoje ziemie leżą na drodze mej armii i nie mogę ich obejść. Nie chcę ich obchodzić. W ten czy inny sposób zdobędę je, lecz krew tych, co poniosą śmierć, splami nie moje dłonie. Ty będziesz nosił jej ślad. Wybór należy do ciebie, panie.

- Już wybrałem - odpowiedział Ben. Rydall znowu się roześmiał.

- Odważne słowa. Nie sądziłem zresztą, że mi się tak łatwo poddasz. Wiedziałem, że będę musiał dowieść ci swej siły, przekonać cię, że jeśli odmówisz mi tego, czego żądam, to tobie, a być może i tym, których kochasz, stanie się coś złego.

W Benie na nowo wezbrała wściekłość.

- Groźbami niczego u mnie nie zyskasz, Rydallu, władco krainy Marnhull. Nasza rozmowa jest skończona.

- Zaczekaj, panie! - wykrzyknął pośpiesznie tamten. - Nie przerywaj tak popędliwie...

- Wracaj tam, skąd przyszedłeś! - rzucił Ben, odwracając się już od niego.

Wtem zobaczył Mistayę. Stała sama jedna na murze obronnym, kilkanaście metrów od nich, i wpatrywała się w Rydalla. Była zupełnie nieruchoma. Miodowoblond włosy spływały w dół po wąskich ramionach, elfia twarz wyrażała najwyższe skupienie, a szmaragdowe oczy koncentrowały się na jeźdźcach opodal bramy. Zdawała się nie zauważać nic innego, całą uwagę kierując na dół, ku miejscu gdzie czekali Rydall i jego towarzysze.

- Mistayo - zawołał cicho Ben. Nie chciał, żeby stała w miejscu, gdzie łatwo było ją zauważyć, nie chciał, żeby się znajdowała tak blisko krawędzi. Poczuł, jak pot występuje mu na czoło. - Mistayo! - zawołał, tym razem głośniej.

Nie słyszała albo nie chciała słyszeć. Ben zostawił swą switę i podszedł do niej. Bez słowa chwycił ją w pasie, podniósł i odsunął od muru. Mistaya nie opierała się. Oplotła ręce wokół jego szyi i pozwoliła, aby ponownie postawił ją na ziemię. Nie pokazał po sobie zdenerwowania, gdy nachylał się nad nią, mówiąc cicho:

- Proszę cię, wejdź do środka.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, jakby próbowała przeniknąć coś myśłą, po czym posłusznie się odwróciła i zniknęła w drzwiach.

- Władco Landover, Benie Holidayu! - zawołał z dołu Rydall.

Z zaciśniętymi zębami Ben ruszył po raz ostatni w stronę muru.

- Nie mamy już o czym rozmawiać, Rydallu! - odkrzyknął z wściekłością.

- Pozwól panie, że każę go pojmać i sprowadzić przed twoje oblicze! - warknął Abernathy.

- Jeszcze tylko jedno słowo! - zawołał Rydall. - Jak powiedziałem, nie oczekuję, abys poddał się bez udowodnienia ci, że nie kłamię. Chcesz zatem, panie, abym ci go dostarczył? Mam ci dowieść, że potrafię zrobić to, czym ci groziłem?

Ben wziął głęboki oddech.

- Zrobisz, jak zechcesz, Rydallu z Marnhull. Pamiętaj jednak, że odpowiesz za swój wybór.

Zapanowała długa chwila ciszy, podczas której obaj mężczyźni mierzyli się skupionym wzrokiem. Mimo złości i stanowczości Ben poczuł, jak po krzyżu przechodzą mu ciarki, jak gdyby to Rydall, a nie on, zyskał więcej z tej walki na spojrzenia. Poczuł się przez chwilę bardzo niepewnie.

- Żegnaj tymczasem, Benie Holidayu, władco Landover - odezwał się w końcu Rydall.

- Wrócę za trzy dni. Być może wówczas twoja odpowiedź będzie brzmiała inaczej. Zostawiam rękawicę w miejscu, gdzie ją rzuciłem. Nikt oprócz ciebie nie będzie w stanie jej podnieść. A obiecuję ci, że ją podniesiesz.

Obrócił konia i ruszył galopem przed siebie. Drugi jeździec ociągał się przez chwilę, wciąż przygarbiony i nieruchomy. Przez cały ten czas ani razu się nie poruszył ani nie przemówił. W żaden też sposób nie ujawnił swej tożsamości. Teraz odwrócił się bez pośpiechu i ruszył za Rydalle. Razem przebyli otwartą połąć łąk porośniętych polnymi kwiatami, z których cienie ustępowały już przed napływającym światłem, i wkrótce zniknęli w pobliskim lesie.

Ben Holiday i jego towarzysze obserwowali ich w milczeniu, aż jeźdźcy zupełnie zniknęli z widoku.

Śniadaniu tego ranka towarzyszyła ponura atmosfera. Ben, Willow, Questor i Abernathy siedzieli blisko siebie, zbici w gromadkę przy jednym końcu długiego stołu w jadalni, i rozmawiali, jedząc bez apetytu. Mistaya zjadła wcześniej, po czym kazano jej iść się pobawić. Zaraz potem Ben wysłał Bu-niona, aby jej pilnował.

- Zatem nikt nie słyszał o Rydallu? - zapytał kolejny raz Ben. Wciąż wracał do tego samego pytania. - Jesteście tego pewni?

- Panie mój, ten człowiek jest kimś obcym na Landover - zapewnił go Questor Thews.

- Nie ma żadnego Rydalla ani królestwa Marnhull w obrębie naszych granic.

- Ani, z tego co wiemy, nigdzie indziej! - rzucił gorączkowo Abernathy. - Rydall twierdzi, że przybył spoza krainy czarodziejskich mgieł, lecz na dowód tego mamy jedynie jego własne słowa. Nikt nie może się przedostać przez mgły, panie mój. Czarodziejskie istoty nie pozwoliłyby na to. Jedynie magia umożliwia przejście, ale jej właścicielami są tylko czarodziejskie istoty. Rydall nie wydaje się jedną z nich.

- Być może, podobnie jak ja, posiada talizman, który mu umożliwia przejście - zasugerował Ben.

Questor nachylił się, marszcząc czoło.

- A może to ten jego towarzysz w czarnej pelerynie? Mówiłem wam, że wyczuwam emanującą z tej pary magię, ale wątpię, aby pochodziła ona od Rydalla. Być może ten drugi ma magiczną moc, może jest istotą tego samego rodzaju co Gorse. Ktoś taki mógłby zapewnić sobie przejście.

Ben przywołał w myślach postać Gorse'a, ciemną moc magiczną uwolnioną i przyniesioną z powrotem na Landover w czasie, gdy Mistaya miała przyjść na świat. Taka istota z pewnością była zdolna uporać się z krainą czarodziejskich mgieł i sprowadzić bezmiar nieszczęść na każdego, kto stanąłby jej na drodze.

- Dlaczego jednak istota o takiej sile miałaby służyć Rydallowi? - zapytał nagle. - Czy nie powinno być raczej odwrotnie?

- Być może ta czarodziejska istota jest jego niewolnikiem - zasugerowała nieśmiało Willow. - A może wszystko wygląda zupełnie inaczej i to Rydall tak naprawdę jest tym, który służy.

- Jeśli ten w czarnej pelerynie ma władzę nad magiczną mocą, to jest to możliwe, ale wciąż wygląda na to, że jest raczej odwrotnie - dumął Questor. - Szkoda, że nie udało mi się przeniknąć maski, za którą się chował.

Ben odchylił się na oparcie krzesła.

- Zastanówmy się nad tym przez chwilę. Ta dwójka, Rydall i jego towarzysz, pojawia się znikąd. Jeden z nich, a może obaj, mają magiczną moc, o znacznej sile, jak sami twierdzą. Nie wiemy jednak, do czego ta magia jest zdolna. Wiemy jedynie, iż żądają bezwarunkowego oddania korony Landover w ich ręce oraz że wydają się pewni, iż wcześniej czy później osiągną swój cel. Ale dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzył bezmyślnie Questor Thews. Ben odsunął swój talerz i wbił wzrok w czarodzieja.

- Innymi słowy - ciągnął dalej - przedstawiają swoje żądanie, nie dostarczając nam żadnego dowodu na to, żebyśmy mogli ich potraktować poważnie. Nie ujawniają magii, która

mogłaby nas zastraszyć, ani armii, którą się tak chełpią. Zwyczajnie wysuwają żądanie i odjeżdżają, dając nam trzy dni do namysłu. Namysłu nad czym? Nad ich żądaniem, które i tak już odrzuciliśmy? Nie sędzę.

- Myślisz, że będą chcieli zademonstrować swoją siłę - wyraziła swe przypuszczenie Willow.

- Owszem. - Ben skinął głową. - Nie dali nam tych trzech dni ot tak sobie. Poza tym pogróżka rzucona przed odjazdem była dość oczywista. Rydall zbyt szybko się wycofał ze swego żądania natychmiastowego poddania się. Po cóż je wysuwać, skoro nie ma się zamiaru go egzekwować? Toczy się tutaj jakaś gra i obawiam się, że jeszcze nie wszystkie jej reguły są nam znane.

Pozostali pokiwali z powagą głowami.

- Co powinniśmy robić? - zapytał w końcu Questor. Ben wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Przez chwilę pogrążył się w zadumie. - Skorzystajmy z krainoglądu, Questorze, i sprawdźmy, czy na Landover znajdziemy jakiś ślad Rydalla bądź jego armii. Nie chcę alarmować ludności i ostrzegać przed zagrożeniem, dopóki się nie upewnię, że ma ono realne podstawy, a tymczasem nie zaszkodzi wzmocnić nasze patrole na granicy.

- Nie zaszkodziłoby również wzmocnić strażę tutaj, w zamku - mruknął Abernathy, prostując się. - W końcu zagrożenie wydaje się skierowane bezpośrednio w nas.

Ben się zgodził. Ponieważ nikt nie miał już nic więcej do dodania, wstali od stołu i udali się do swoich codziennych zajęć, z których większość była już zaplanowana wiele tygodni naprzód i nie miała nic wspólnego z Rydallem i jego groźbami. Ben ze spokojem zajął się swoimi sprawami, choć obawy wywołane wizytą króla Marnhull wcale w nim nie osłabły.

Kiedy znalazł trochę czasu, wszedł na najwyższą wieżę zamku, do małej, okrągłej komnaty, której połowa pozbawiona była ścianami od podłogi do sufitu. Roztaczał się stąd widok na całą krainę. Wzdłuż krawędzi, na wysokości bioder, wznosiła się barierka chroniąca przed wypadnięciem, a pośrodku stał srebrny pulpit zwrócony w kierunku chmur. W metalu wyrzeźbionych było setki zawitych i powykręcanych znaków runicznych. To właśnie był krainogląd. Ben zamknął drzwi do pomieszczenia, przekręcił klucz w zamku, po czym wyjął z komody podniszczoną mapę Landover i zbliżył się do pulpitu. Rozciągnął mapę na jego powierzchni i przymocował zaciskami.

Następnie stanął na wprost pulpitu, chwycił się rękoma barierki i skupił uwagę na mapie. Spod dłoni zaczęły rozchodzić się ciepłe drgania. Skoncentrował się na krainie jezior,

gdyż właśnie od tego miejsca chciał rozpocząć swoje poszukiwania.

Upłynęło kilka sekund i mury wieży pozostały daleko w tyle, a on leciał nad Landover, trzymając w rękach jedynie barierkę. Było to złudzenie, teraz już to wiedział, wciąż bowiem pozostawał w zamku, a jedynie jego umysł swobodnie przemierzał połącie królestwa. Choć była to tylko fikcja, stworzona magiczną mocą krainoglądu, miała jednak przeogromną siłę - Szybował ponad lasami, rzekami, jeziorami i bagnami krainy jezior i każdy szczegół tego, co widział w dole, stawał mu przed oczami z taką wyrazistością jak polującemu orłu. Poszukiwania nie przyniosły żadnego efektu. Nie znalazł żadnego śladu Rydalla ani jego towarzysza w czarnym płaszczu, ani ich armii. Na granicy z krainą czarodziejskich mgieł panował spokój.

Sprawa ta pochłaniała myśli Bena jeszcze w południe, gdy Willow wzięła go na stronę. Wyszli do ogrodu rozciągającego się przed pokojami na parterze, które Willow zajmowała tylko z Mistayą. Dziewczynki nie było z nimi, spożywała posiłek z Parsnipem w kuchni.

- Chcę wysłać stąd Mistayę - oznajmiła Willow bez żadnego wstępu, wbijając w niego wzrok. - Jutro.

Ben popatrzył na nią i przez chwilę nic nie mówił.

- Twoje przeczucie? Kiwnęła głową.

- Było zbyt silne, aby je zignorować. Być może jego przyczyną było przybycie Rydalla, a może nie. Czułabym się jednak lepiej, gdyby przez jakiś czas Mistaya była gdzie indziej. Dość kłopotów może nam sprawić bronienie samych siebie.

Ruszyli wijącą się ścieżką w stronę szpaleru rododendronów i zatrzymali się. Ben wciągnął ich woń. Przypomniał sobie słowa Rydalla, w których kryła się groźba nieszczęść mogących spaść na tych, których kochał. Rydall musiał dostrzec Mistayę, gdy stała na murach.

Ben złożył ręce na piersiach i spojrzał daleko przed siebie.

- Masz pewnie rację. Gdzież mogłaby być jednak bezpieczniejsza niż wewnątrz tych murów?

Willow ujęła jego dłoń.

- U mojego ojca. U Władcy Rzeki. Wiem, że w przeszłości niezbyt dobrze się nam z nim układało, że czasami był nam przeciwny. Nie zamierzam go bronić. Kocha jednak swoją wnuczkę i na pewno dopilnuje, aby dobrze się o nią troszczono. Jest w stanie zapewnić jej lepszą ochronę niż my. Nikt nieproszony nie może dostać się do kraju istot czarodziejskich. Ich czary, mimo zmniejszenia swej mocy po opuszczeniu mgieł, są wciąż potężne. Mistaya

będzie bezpieczna.

Miała oczywiście rację. Władca Rzeki i jego poddani mieli moc magiczną o znacznej sile, a ich kraj stanowił dobre schronienie przed niepożądanymi gośćmi. Znalezienie drogi do niego bez przewodnika było zupełnie niemożliwe; znalezienie drogi wyjścia było również trudne. Jednak Ben nie był przekonany. Władcę Rzeki nie łączyły zbyt silne więzi z córką i choć uradowały go narodziny Mistai, a nawet odbył podróż do zamku, aby ją ujrzeć, to wciąż trzymał się na uboczu i pozostał jak zawsze niezależny. Godził się z tym, że Ben nosi tytuł króla Landover, choć czynił to niechętnie, lecz zupełnie nie rozumiał, jaką rolę może odgrywać ta monarchia w życiu mieszkańców krainy jezior. Przeciwstawił się Benowi przy niejednej już okazji i nie krył swych ambicji poszerzenia granic własnego państwa.

Jednak podobnie jak Willow, Bena dręczyły obawy o to, że Mistaya może nie być bezpieczna w Sterling Silver. Myślał o tym od czasu, gdy zabrał córkę z murów obronnych zamku. Jeśli przecucie Willow było prawdziwe, a nie było powodu myśleć, że jest inaczej, to realne niebezpieczeństwo czaiło się właśnie tutaj, gdyż zagrożenie, przed którym stanęła jego rodzina, dotyczyło głównie jego samego. Należało przenieść Mi-stayę w inne miejsce, a nie było bezpieczniejszego miejsca na Landover od krainy jezior.

- W porządku - zgodził się. - Pojedziesz razem z nią? Willow pokręciła powoli głową.

- Nie, Ben. Moje miejsce jest przy tobie. Zostanę tutaj. Jeśli będę mogła, pomogę ci się bronić. Może będę miała kolejne przecucia.

- Willow... - zaczął.

- Nie, Ben. Nie prosz mnie o to. Już wcześniej zostawiałam je wbrew moim chęciom i za każdym razem byłam bliska utraty ciebie. Tym razem nie odejdę. Mój ojciec dobrze się zatroszczy o Mistayę. - Jej oczy nie pozostawiały cienia wątpliwości, że sprawa jest już postanowiona. - Wyślij kogoś innego, kto dopilnuje bezpiecznej przeprawy. Na przykład Questora albo Abernathy'ego. Ben chwycił mocno jej dłoń.

- Wyślę ich obu. Questor poprowadzi Mistayę, a Abernathy ostudzi zapędy maga do zbyt pochopnego używania czarów. Wyślę również królewską straż, żeby ich eskortowała.

Willow przywarła doń całym ciałem, nie mówiąc ani słowa. Ben objął ją ramieniem. Stali tak objęci w promieniach południowego słońca.

- Muszę ci powiedzieć, że nie lubię się z nią rozstawać - powiedział w końcu Ben.

- Ja też nie - odpowiedziała półgłosem Willow. Czuł na swej piersi, jak bije jej serce. - Rozmawiałam wcześniej z Mistayą. Zapytałam, co robiła na murach i dlaczego przyglądała się Rydallowi. - Zamilkła na chwilę. - Mistaya powiedziała, że go zna.

Ben zeszywniał.

- Jak to zna?

- Zapytałam ją o to, ale nie potrafiła odpowiedzieć. - Willow pokręciła głową. - Myślę, że tak samo była zdezorientowana jak i my.

Ponownie zamilkli. Stali wciąż objęci, wpatrzeni w bujną zieleń roślin i wsłuchani w odgłosy owadów i ptaków rozbrzmiewające na tle dochodzącej z zamku krzątaniny. Cóż mogło łączyć Mistayę z Rydallem? Ben poczuł nagły ścisk w żołądku.

- Wyślemy ją z pierwszymi promieniami słońca - powiedział półgłosem i poczuł, jak ramię Willow mocniej go obejmuje.

GWIZDEK

Tego wieczora rodzice powiedzieli Mistai, że wysyłają ją w odwiedziny do jej dziadka z krainy jezior i że wyjazd zaplanowany jest nazajutrz. Zapytała wprost, czy coś się stało, na co odpowiedzieli, że nie. Zabrzmiało to jednak tak, że była pewna, iż trafnie odgadła.

Była jednak na tyle bystra, aby wiedzieć, że nie należy się sprzeciwiać rodzicom i dalej ich pytać o przyczynę tej decyzji, choć i tak miała pewność, że wiąże się to w jakiś sposób z człowiekiem, który pojawił się rano u bram zamku. Z zadowoleniem jednak odłożyła tę sprawę do czasu, gdy będzie mogła porozmawiać na osobności z jednym z nich. Najprawdopodobniej będzie to matka, gdyż matka była wobec niej bardziej szczerą niż ojciec. Nie chodziło o to, że ojciec ją oszukiwał; chodziło o to, że wciąż widział w niej małą dziewczynkę, której należy oszczędzać kontaktów z tą mniej przyjemną stroną życia. Było to dość dokuczliwe, lecz Mistaya pogodziła się z tym. Ojcu trudno było ją zrozumieć, w każdym razie trudniej niż matce. Stosował wobec niej kryteria, o których ona nie miała pojęcia; powstały one i rozwinęły się w jego starym świecie, noszącym nazwę Ziemia, gdzie o czarach nikt praktycznie nie słyszał, a czarodziejskie istoty, zdaniem jego mieszkańców, istniały tylko w baśniach. Oczywiście kochał ją i zrobiłby dla niej wszystko. Lecz miłość i zrozumienie w codziennym życiu niekoniecznie idą ze sobą w parze. Tak też było w tym wypadku.

Nie tylko jej ojciec nie potrafił jej zrozumieć. Większość mieszkańców zamku uważała ją, z tego lub innego powodu, za trochę dziwną. Niemal od samego początku zdawała sobie z tego sprawę, lecz nie martwiła się tym. Jej pewność siebie i niezależność sprawiały, że to, co myśleli inni, nie miało dla niej prawie żadnego znaczenia. Matka zapewniała jej komfort psychiczny, a ojciec, mimo że nie potrafił się w tym wszystkim połapać, zawsze służył pomocą. Abernathy pozwalał, aby robiła z nim to, za co każde inne dziecko powędrowałoby z miejsca do swojego pokoju, żeby przemyśleć, czym są dobre maniere. Bunion i Parsnip byli tak samo dziwni jak ona: dwa koboldy, które ciągle szczerzyły zęby i

strzygły uszami, jeżąc sierść i świergocząc ze sobą w swoim tajemniczym języku, którego jak sądzili, nie rozumie, gdy tymczasem prawda była zupełnie inna.

Ale przede wszystkim był Questor Thews. Kochała tego starca tak, jak tylko dziecko może kochać wybranego dziadka lub babcię. Łączyła tych dwoje tajemnicza więź, jak gdyby od urodzenia dzielili ten sam pogląd na życie. Questor nigdy nie traktował jej z protekcyjną wyższością. Zawsze był otwarty na jej pytania i opinie. Słuchał tego, co mówiła, i natychmiast jej odpowiadał. Bywał roztargniony i partaczył to i owo, pokazując jej różne sztuczki magiczne, ale odnosiło się wrażenie, że w ten sposób jeszcze bardziej podbija jej serce. Czuła, że Questor naprawdę ma ją za osobę wyjątkową - osobę, nie dziecko - i wierzy w to, iż jest ona w stanie zrobić prawie wszystko. Zdarzało się, oczywiście, że ją od czasu do czasu strofował i karmił, lecz robił to zawsze w taki sposób, że nie czuła się dotknięta; ujmowała ją jego delikatność. Nie było w nim gorącej miłości, jaką darzyła ją matka, ani determinacji jej ojca, a także pewnie i ich zaangażowania, lecz to wszystko nadrabiał taką przyjaźnią, o jaką trudno w życiu.

Mistaya uradowała się, gdy jej powiedziano, że Questor będzie jej opiekunem w czasie podróży na południe. Cieszyła się również z obecności Abernathy'ego, lecz zdecydowanie bardziej z Questora. Już sama podróż może być czymś przyjemnym. Nie opuszczała zamku od czasu, gdy była jeszcze małą dziewczynką i zaczynała dopiero stawiać pierwsze kroki. Były to zaledwie jednodniowe wypadki. Pikniki i przejażdżki konno się nie liczyły. To będzie prawdziwa przygoda, wyprawa do miejsca, w którym nigdy nie była. Odkryje wiele nowych rzeczy i będzie mogła się nimi dzielić z Questorem. Zapowiada się świetna zabawa.

Po głębszym zastanowieniu musiała przyznać, że emocje związane z podróżą brały się częściowo też stąd, iż będzie mogła wyrwać się od rodziców. Gdy znajdowali się w pobliżu, zawsze była dokładniej pilnowana i nie na wszystko jej pozwalano. Nie rób tego. Nie dotykaj tamtego. Nie odchodź. Odsuń się. Do tego te nie kończące się lekcje, na których im tak zależało, a które w większości nie uczyły jej tego, co - jej zdaniem - liczy się w życiu naprawdę. Tylko wtedy, gdy była z Questorem sam na sam, czuła, jak poszerzają się jej horyzonty i zaczynają otwierać przed nią nowe możliwości. Jej entuzjazm brał się też z fascynacji magią, której się oddawał czarodziej, zajęcia prawdziwie pasjonującego i ważnego. Mista-ya uwielbiała obserwować, co wyjdzie z zaklęć i magicznych sztuczek Questora, nawet jeśli się nie udawały. Sądziła, że któregoś dnia nauczy się panować nad czarami tak jak on. Była tego całkiem pewna.

W tajemnicy próbowała raz i drugi zaklęcia oraz sztuczki magicznej i zobaczyła, że

prawie jej się udały.

Zachowała to oczywiście dla siebie. Wszyscy, łącznie z Questorem Thewsem, mówili jej, że używanie czarów jest szalenie niebezpieczne. Wszyscy powtarzali, aby nawet nie myślała o tym, żeby spróbować samej. Solennie obiecywała tego nie robić, za każdym razem, gdy ją upominano, lecz prawo wyboru i tak zatrzymała dla siebie.

Wiedziała, nawet jeśli tamci nie zdawali sobie z tego sprawy, że magia stanowi integralną część jej życia. Matka dość wcześnie opowiedziała jej o dziedzictwie, jakie posiadała z chwilą narodzin. Była dzieckiem człowieka i istoty niegdyś czarodziejskiej, dzieckiem trzech światów, zrodzonym z trzech różnych ziem. Przyszła na świat w kryjówce więdźmy, w zagłębieniu zwanym Wielką Czeluścią, w norze Nocnego Cienia. Wszystko, co było w jej krwi, zawierało domieszki magii. Dlatego, inaczej niż pozostałe dzieci, osiągnęła wiek dziesięciu lat w ciągu zaledwie dwóch. Rosła krótkimi zrywami. Proces dorastania wciąż pozostawał dla niej tajemnicą, lecz i tak rozumiała go lepiej niż jej rodzice. Inteligencja zawsze rozwijała się najszybciej, a dopiero za nią emocje i ciało. Nie potrafiła przewidzieć czasu i sposobu zachodzenia zmian ani nad nimi zapanować, lecz była absolutnie świadoma tego, że się rozwija.

Sądziła również, że bycie dzieckiem nie jest czymś szczególnie ważnym ani godnym pożądania, że jest ono niezbędnym krokiem na drodze do dorosłości, a to było jedyne, czego pragnęła. Dzieci stały w hierarchii stworzeń o jeden stopień wyżej od zwierząt domowych; dbano o nie, regularnie karmiono, często wysyłano na dwór, żeby się pobawiły, i to właściwie wszystko, na co im pozwalano. Dorośli mogli robić, co tylko chcieli, jeśli mieli ochotę brać na siebie odpowiedzialność za swe czyny. Mistaya od samego początku orientowała się w zasadach rządzących dynamiką własnego rozwoju i z niepokojem wyczekiwała chwili, gdy przebrnie przez etap wstępny i posmakuje prawdziwego życia. Miotła się pod ciężarem ograniczeń narzucanych jej zarówno przez fizjologię, jak i rodziców, nie potrafiąc zapanować ani nad jednym, ani nad drugim. Wycieczka do krainy jezior i jej dziadka miała być wytchnieniem, na które tak długo czekała.

Posłusznie zatem przyjęła wolę rodziców w tej sprawie, ciesząc się w tajemnicy ze swego szczęścia, i zaczęła snuć plany. Wyglądało na to, że nie ustalono jeszcze, na jak długo ma wyjechać, a zatem może to potrwać kilka tygodni. Mistaya nie miała nic przeciwko temu. Cała wiosna, a nawet lato w krainie jezior z istotami niegdyś czarodziejskimi - to ekscytująca perspektywa. Lubiła dziadka, choć widziała się z nim tylko raz. Przybył do zamku, aby ją zobaczyć, kiedy była bardzo mała; miała wtedy zaledwie pięć miesięcy. Władca Rzeki był wysokim, szczupłym mężczyzną o srogim obliczu, wodnikiem o srebrnej skórze i gęstych

czarnych włosach spływających po karku na ramiona. Ściągnięte usta i chłód w objęciu zdawały się mówić, iż woli się nie przyznawać do zbyt bliskiej znajomości z nią, jak gdyby obawiał się o to, kim może się ona w końcu okazać. W czasie spotkania nie miała nad nim litości. Nie zważając na jego powściągliwość, podeszła doń dziarskim krokiem i powiedziała:

- Dzień dobry, dziadku. Cieszę się, że cię mogę poznać. Mam nadzieję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

Śmiałość i szczerość dokonały cudu. Dziadek natychmiast poczuł do niej sympatię, wzruszony, że tak małe dziecko może być tak towarzyskie, zadowolony z tego, że zależy jej na przyjaźni z nim. Zabrał ją na spacer; rozmawiali o wielu różnych sprawach, a w końcu zaprosił ją do złożenia mu wizyty. Zatrzymał się tylko na jeden dzień, po czym wrócił do siebie. Matka wyjaśniła jej, że nie lubi spać pod dachem i że zamki w szczególności budzą w nim niepokój. Powiedziała, że jest istotą leśną i rzadko ośmiela się oddalić daleko od swego domu. To, że w ogóle przyjechał ją odwiedzić, należy traktować jako wielki komplement. Mistaya zadowolona z tego zapytała, kiedy będzie mogła go odwiedzić, lecz jej pytanie nie znalazło wówczas odpowiedzi, po czym najwyraźniej o nim zapomniano. Od tego czasu nie widziała się z nim. Ciekawe byłoby się dowiedzieć, co teraz o niej myśli.

Po obiedzie była zajęta przygotowaniami do podróży i nie miała okazji zapytać matki lub ojca o mężczyznę przy bramie. Tej nocy spała niespokojnie i zbudziła się przed wschodem słońca. Pośród uścisków i całowania, którymi rodzice przypominali jej o swoim przywiązaniu, wyruszyła w drogę wraz z pierwszym blaskiem słońca. Towarzyszyli jej Questor Thews, Abernathy i tuzin żołnierzy przybocznej gwardii królewskiej. Jechała na swoim ulubionym kucyku o imieniu Lekka Stopa i obserwowała, jak budzi się nowy dzień i słońce goni za cieniami umykającymi przez łąki i pagórki w poszukiwaniu kryjówki pośród mroku lasów. Sześciu gwardzistów jechało z przodu i sześciu z tyłu. Questor dosiadał starego deresza o dziwnym imieniu Sowa. Abernathy, który nie znosił koni, jechał w powozie wiozącym jej ubrania i rzeczy osobiste. Woźnica męczył wszystkich swoim gderaniem, że muszą jechać szlakiem wiodącym na południe przez wysokie trawy.

Mistaya odczekała, aż Sterling Silver zniknie bezpiecznie z oczu, po czym zbliżyła swego kuca do konia czarodzieja i zapytała:

- Kim był ten człowiek przy bramie, Questorze, przed którym chciał mnie schować ojciec?

Questor się zachnął.

- Awanturnikiem o imieniu Rydall. Twierdził, że jest królem krainy Marnhull, o której żaden z nas nigdy nie słyszał. Twierdził, że leży on po drugiej stronie krainy czarodziejskich

mgieł, lecz oboje wiemy, że to prawie niemożliwe.

- Czy to dlatego zostałam wysłana w odwiedziny do mojego dziadka?

- Owszem.

- Dlaczego?

- Bo może się okazać - czarodziej wzruszył ramionami - że będzie bardziej niebezpieczny, niż wygląda. Poza tym formułował groźby.

- Jakie groźby?

- Trudno powiedzieć; były dość niejasne. - Krzaczaste białe brwi ściągnęły się srogo - Rydall chce, aby twój ojciec oddał mu koronę i pozwolił mu zostać królem. Czysty nonsens. Twierdził jednak, że bezpieczniej będzie dla niego, jeśli zrobi to, czego on żąda. Twój ojciec właśnie bada tę sprawę.

Mistaya milczała przez chwilę, zastanawiając się.

- Kim był ten drugi, ten w czarnej pelerynie?

- Nie wiem.

- Magiem?

Questor zerknął na nią, a na jego wąskiej twarzy odbiło się zdziwienie.

- Owszem, może nim być. Dawało się tam wyczuć magię. Ty również czułaś?

Kiwnęła głową.

- Myślę, że znam jednego z nich. Zdziwienie przeszło w zdumienie.

- Naprawdę? Jak to możliwe?

- Nie wiem. - Zmarszczyła czoło. - Po prostu czułam to, stojąc tam na murze. - Umilkła na chwilę. - Na początku myślałam, że to chodzi o tego dużego mężczyznę, Rydalla. Teraz jednak nie jestem pewna. To mógł być ten drugi. - Wzruszyła ramionami, tracąc zainteresowanie dla tej sprawy. - Czy myślisz, Questorze, że spotkamy po drodze jakieś bagniki?

Jechali równym tempem przez cały dzień, zatrzymując się kilkakrotnie, aby dać odpocząć koniom, i raz na posiłek, tak że przed zachodem słońca dotarli do południowych brzegów jeziora Irrylyn. Tam rozłożyli się obozem na noc. Mistaya poszła popływać w ciepłych wodach jeziora, a potem, razem z Abernathym i dwoma żołnierzami, nałowić ryb na kolację. Po upływie kilka minut mieli już kilkadziesiąt ryb, co wywołało niezadowolenie Mistai i skargi do skryby, że to wszystko poszło zbyt łatwo. Strażnicy zanieśli ryby do obozu, aby je oczyścić i ugotować, a dziewczynka z psem usiedli na brzegu jeziora i patrzyli ponad srebrzystymi wodami, jak słońce zanurza się w blasku czerwieni i różu za odległą linią horyzontu.

- Myślisz, Abernathy, że matce i ojcu coś grozi? - zapytała go, gdy zostali sami. Z twarzy i głosu emanowała niewiarygodna powaga.

Abernathy zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią, po czym potrząsnął kudłatą głową.

- Nie, Mistayo. Nie sędzę. Nawet jeśli tak, nie byłoby to po raz pierwszy. Kiedy jest się królem bądź królową, ciągle grozi jakieś niebezpieczeństwo. Jakąkolwiek władzę się dzierży, zawsze istnieje zagrożenie. Twoi rodzice to bardzo zaradni ludzie, wyszli cało z wielu różnych sytuacji. Na twoim miejscu nie martwiłbym się o nich.

Spodobała jej się ta odpowiedź i kiwnęła głową uspokojona.

- Dobrze, nie będę. Czy ty i Questor zostanieecie ze mną, gdy już dotrzemy do Elderew?

- Tylko przez dzień, może nieco dłużej. Potem będziemy musieli wracać. Twój ojciec będzie nas potrzebował. Nie możemy przebywać zbyt długo poza zamkiem.

- Oczywiście, rozumiem - zgodziła się, raczej zadowolona z tego, że zostanie sama. Jej dziadek również znał się na magii. Zastanawiała się, czy uda jej się namówić go, żeby ją czegoś nauczył. Była ciekawa, czy pozwoli jej trochę poeksperymentować.

Szara postać wypełzła zza drzew z jednej strony jeziora i wtopiła się w krzaki okalające jego brzegi. Mistaya i Abernathy siedzieli na kupce płaskich kamieni i mieli dobry widok na wszystko, co mogło się ewentualnie do nich zbliżyć. Ich uwagi nie uszły ukradkowe ruchy skradającej się postaci.

- Bagniak? - zapytała pełnym podniecenia szeptem.

Abernathy pokręcił głową.

- To jakiś duch. Sądząc po jego braku ostrożności, jest jeszcze młody i niezbyt bystry. Szturchnęła delikatnie skrybę łokciem.

- Szczeknij na niego, Abernathy. Proszę cię. Jeden raz, ale za to głośno.

- Mistayo...

- Proszę. Nie będę cię już ciągnęła za uszy do końca podróży.

Pies westchnął.

- Wielkie dzięki.

- Zrobisz to? - nalegała. - Tylko raz. Chcę zobaczyć, jak skacze.

Szczęki Abernathy'ego poruszyły się.

- Hmm.

Krótki i ostry dźwięk, który z siebie wydał, roztrzaskał swym wybuchem ciszę zapadającego zmierzchu. W dole, z samego środka krzaków, w których się skrywał,

wyskoczył duch i rzucił się z powrotem do lasu jak wypuszczony z procy.

Mistaya pękała ze śmiechu.

- To było cudowne! Takie śmieszne! Uwielbiam, kiedy to robisz, Abernathy! Zawsze mnie to rozśmiesza!

Uściskała go z całych sił i pociągnęła lekko za uszy.

- Rozśmieszasz mnie, ty stary włochaczu.

- Hmm - powtórzył Abernathy. Było jednak widać, że jest zadowolony.

Kolacja z gotowanych ryb okazała się wyborna. Członkowie niewielkiej karawany zasiedli do posiłku i wkrótce wszystko zniknęło z talerzy. Zdaniem Mistai było to lepsze od pikniku. Siedziała do późna i opowiadała sobie historie z żołnierzami gwardii królewskiej, mimo wyraźnej dezaprobaty Abernathy'ego. Kiedy w końcu owinęła się w koce, odmawiając skorzystania z puchowego materaca przywiezionego specjalnie dla jej wygody, natychmiast zmorzył ją sen.

Obudziła się, gdy jeszcze było ciemno. Wszyscy wokół niej mocno spali; Questor Thews wydawał chrapliwe dźwięki brzmiące niczym zardzewiałe wrota. Dziewczynka zamrugała oczami, usiadła i rozejrzała się dokoła.

Z odległości kilku zaledwie metrów wpatrywało się w nią dwoje oczu, odbijających jasnożółte światło resztek gasnącego ogniska.

Mistaya rzuciła ukradkowe spojrzenie, nie obawiając się niczego. Oczy należały do salamandry. Nigdy nie widziała tego zwierzęcia, lecz wiedziała, jak wygląda, z opisów zapamiętanych z nie kończących się lekcji udzielanych przez Abernathy'ego na temat rodzimych gatunków fauny. Czekala chwilę, aż obraz stanie się ostry i będzie mogła nabrać pewności. Salamandra czekała razem z nią. Kiedy mogła już widzieć wyraźnie, spostrzegła, że znajduje się twarzą w twarz z dziwnym stworzeniem o długim ciele zabarwionym różnymi odcieniami brązu, z krótkimi nogami zakończonymi płetwami, mordce przypominającej trochę gryzonia, wielkimi obwisłymi uszami oraz gładkim i wiotkim ogonie jaszczurki. Nie ma wątpliwości, to salamandra, pomyślała.

Wydeła usta i posłała całusa w jej stronę. Salamandra zamrugała oczami.

Nagle sobie przypomniała, że salamandry są podobno istotami czarodziejskimi. Rzadko się je spotyka na Landover, a poza krainą jezior prawie w ogóle.

- Milutka jesteś - powiedziała półgłosem.

W odpowiedzi salamandra zamerdała ogonem. Odeszła kilka kroków, odwróciła się i czekała. Mistaya wysunęła się ze swoich koców. Salamandra znowu ruszyła. Nie może być

wątpliwości, o co jej chodzi, pomyślała dziewczynka. A to dopiero! Już przygoda! Wciągnęła wysokie buty i skradając się przez uśpione obozowisko, poszła za swoją nową towarzyszką. Salamandra ani przez chwilę nie oddaliła się od niej za bardzo, świadomie prowadząc ją za sobą.

Było już za późno, gdy przypomniała sobie, że z jednej i drugiej strony obozu stoi strażnik na warcie, i znalazła się przy jednym z nich, zanim mogła cokolwiek zrobić. Strażnik jednak zdawał się jej nie zauważać. Patrzył daleko przed siebie w mrok, niepomny na nic innego. Najpierw salamandra, a potem Mistaya przeszły tuż obok niego.

Czary! - pomyślała dziewczynka, czując wypełniające ją na nowo podniecenie.

Salamandra zaprowadziła ją w pobliski las. Szły dość długo, lawirując w labiryncie gęsto stłoczonych drzew i zarośli, przeprawiając się w bród przez strumienie, schodząc w dół jarów i wspinając się na pagórki. Noc była ciepła i bezwietrzna, gęsta od zapachu sosny i jaśminu. Zewsząd dochodziło granie świerszczy, a z okolicznych krzaków szelest rozbiegających się w pośpiechu małych gryzoni. Mistaya badała każdy szczegół, wszystkiemu się przysłuchiwała, starając się, aby nic nie uszło jej uwagi. Nie miała pojęcia, dokąd szły, lecz nie martwiła się o drogę powrotną. Przypuszczała, że salamandra prowadzi ją do kogoś, i miała nadzieję, że będzie to ktoś władający magiczną mocą.

W końcu dotarły do polany. Szeroki łan księżycowego blasku odbijał się słabym światłem od zielonej połaci bagna, w którym kończył swój bieg strumień, biorący początek w odległym źródle. Przytłumiona trawami i rozkwitającymi tylko nocą liliami woda była gładka jak szklana tafla. Salamandra zbliżyła się do jej krawędzi na odległość metra i usiadła. Mistaya podeszła do niej i czekała.

Nie trwało długo, jak wody moczarów zakipiały, następnie się rozstały, a spod ich powierzchni zaczęło się coś wynurzać. Jej oczom ukazała się gładka i ciemna postać kobiety biorącej w całości swój kształt z błota. Wzniosła się do rozmiarów znacznie przekraczających przeciętny wzrost kobiet, a tym bardziej dziewcząt. Jej bujny kształt górujący nad Mistayą połyskiwał w świetle księżyca wilgocią. Stała na wodach stawu, jak gdyby były twardym łądem. Otworzyła oczy i odnalazła wzrok Mistai.

- Witaj, Mistayo - pozdrowiła ją cichym, głębokim głosem, który pobrzmiwał wilgotną ziemią i chłodnym mrokiem.

- Witaj, pani - odpowiedziała Mistaya.

- Jestem Matką Ziemią - powiedziała kobieta.- Jestem przyjaciółką twojej matki.

Opowiadała ci o mnie?

Mistaya skinęła głową.

- Byłaś, pani, jej najlepszą przyjaciółką, kiedy była małą dziewczynką. Powiedziałaś jej, pani, o moim ojcu, zanim jeszcze przybył na Landover. Pomagasz dbać o dobro kraju i wszystko, co w nim żyje. Znasz się na magii.

Matka Ziemia zaśmiała się cicho.

- Troszeczkę. Potrafię robić to i owo. Najczęściej jednak muszę wykonywać ciężką pracę. Lubisz zatem magię?

- Tak. Bardzo. Nie wolno mi jednak się nią zajmować.

- Ponieważ jest niebezpieczna dla ciebie?

- Tak.

- Ale ty w to nie wierzysz?

- Nie chodzi o to, że nie wierzę. - Mistaya zawahała się. - Chodzi raczej o to, że nie rozumiem, jak mam się nauczyć bronić przed nią, jeśli nie będę jej używała.

Oczy kobiety roziskrzyły się niczym srebrne stawy.

- Dobra odpowiedź. Niewiedza nie chroni; wiedza, owszem. Czy wiedziałaś, Mistayo, że pomogłam twojej matce przygotować się do twoich narodzin? To ja poleciłam jej zebrać garść ziemi, z której się urodziłaś, wiedziałam bowiem o tobie to, czego nie wiedziała twoja matka: że magia będzie stanowiła bardzo ważny element w twoim życiu i że mogłabyś nie umieć się obronić przed jej skutkami, gdyby nie wypełniała w jakiejś części twego ciała. W równej mierze potrzebowałaś ziemi z krainy czarodziejskich mgieł, jak i ze światów twego ojca i twojej matki.

- Czy ja jestem istotą czarodziejską? - zapytała szybko Mistaya.

Matka Ziemia potrząsnęła głową.

- Ciebie nie tak łatwo określić, drogie dziecko - odpowiedziała. - Nie jesteś tak zwyczajnie tym lub tamtym. Jesteś mieszanką kilku istot. Jesteś wyjątkowa. Nie ma nikogo takiego jak ty na całym Landover. Co sądzisz o tym?

Mistaya się zastanawiała.

- Chyba będę musiała się do tego przyzwyczaić.

- To nie będzie takie proste - ciągnęła Matka Ziemia. - Na każdym kroku będą czekały na ciebie przeszkody. Możesz sądzić, że dorastanie jest trudne, lecz będzie jeszcze trudniejsze. Przed tobą jeszcze niejedna trudna lekcja; próby, które mogą cię zgubić, jeśli nie będziesz ostrożna. Doświadczenie jest nieodzownym nauczycielem wszystkich dzieci chcących wejść w dorosłe życie, pełnym odkryć, rozczarowań i nagród, sukcesów i niepowodzeń. Sztuką jest umiejętność znalezienia równowagi w tym wszystkim, a potem przetrwania, aby zamienić wiedzę w mądrość. Dla ciebie będzie to szczególnie trudne,

Mistayo, ponieważ będziesz musiała brać lekcje i przechodzić próby związane z trzema światami. To będzie wymagało niezwyklej uwagi z twojej strony.

- Nie obawiam się tego - odpowiedziała odważnie Mistaya.

- Widzę, że nie.

Mistaya zmarszczyła czoło w zamyśleniu.

- Matko Ziemio, czy widzisz, co mnie czeka? Potrafisz zobaczyć przyszłość?

Srebrzyste oczy Matki Ziemi przymknęły się i otworzyły powoli jak u kota.

- Och, moje dziecko, bardzo chciałabym to widzieć. Jakże łatwe byłoby życie! Lecz, niestety, nie umiem. Widzę jedynie możliwości. Przyszłość może się okazać tym lub tamtym. Zazwyczaj jest to kilka wariantów. W życiu tych, którzy zamieszkują tę krainę, widzę jedynie pojawiające się w przelocie ciemne chmury i tęcze. Czasem potrafię ubiec bądź zmienić to, co może się wydarzyć. Przyszłość, Mistayo, nigdy nie jest z góry ustalona. Dla każdego z nas jest ona pustym płótnem, które musimy zamalować własnym życiem.

- Matka i ojciec sądzą, że coś nam grozi - powiedziała dziewczynka. - Czy to prawda?

- Owszem - odpowiedziała Matka Ziemia. - Jedna z tych ciemnych chmur, o których wspomniałam, nadciąga w twoją stronę. Będzie sprawdzianem twojej stanowczości i wypróbuje twoją intuicję. Wygląda na to, że będzie to prawdziwie czarna chmura i musisz się jej wystrzegać. To jest powód, dla którego sprowadziłam cię dzisiejszej nocy do mnie.

- Ażebymnie ostrzec?

- Nie tylko, Mistayo. Już wcześniej zostałaś ostrzeżona i moja przestroga niczego nie zmienia. - Matka Ziemia zamigotała, unosząc jedną rękę i wskazując palcem. - Salamandra, która cię przywiodła do mnie, ma na imię Gwizdek. Służy u mnie od bardzo dawna i spisuje się dobrze. Twoja matka zna ją od dziecka. Gwizdek jest istotą czarodziejską, przysłała z mgieł dawno, dawno temu, aby zostać moją towarzyszką. Salamandry mogą żyć zarówno pośród mgieł, jak i poza nimi, i służą temu, komu chcą. Niezależne w chwili wyboru, stają się na zawsze lojalne po jego dokonaniu. Mają potężną magiczną moc. Jest to dobra, uzdrawiająca magia. Przeciwdziała magii użytej do rania i niszczenia. Nie może całkowicie ochronić przed tamtą, lecz może zmieniać jej skutki, aby nie były takie dotkliwe. Gwizdek pomaga swoimi czarami tym, którym służy, a czasami także ich przyjaciółom.

Mistaya spojrzała na salamandrę, która patrzyła na nią wielkimi, maślanymi oczami.

- Wygląda na bardzo miłą - stwierdziła.

- Teraz należy do ciebie - powiedziała miękko Matka Ziemia. - Daję ci ją na okres, którego potrzebujesz, żeby przeistoczyć się w kobietę. Gdy będziesz dorastała, Gwizdek będzie twoją towarzyszką i obrońcą. Ochroni cię przed częścią nieszczęść, które mogą

sprorowadzić na ciebie te ciemne chmury zbliżające się do twego życia. - Jej ramię opadło, skrząc się w blasku księżyca. - Musisz jednak, Mistayo, zrozumieć jedno: Gwizdek nie może cię ochronić przed wszystkim. Nikt tego nie potrafi. Jeśli czarna magia zostanie użyta przeciwko tobie, salamandra może stać się twoją tarczą. Lecz jeśli czarna magia będzie pochodziła od ciebie, to nie będzie mogła ci pomóc. Musisz odpowiadać za swoje wybory życiowe. Musisz ponieść konsekwencje własnych działań i decyzji. Jeśli popełnisz błąd i zrobisz coś niemądrego, Gwizdek nie będzie w stanie temu zapobiec. Będą to nauzki okresu dorastania, które musisz znieść.

Brwi Mistai ściągnęły się, a usta zwały w wąską kreskę.

- Nie będę robić błędów ani zachowywać się niemądrze, jeśli to będzie ode mnie zależało - powiedziała z naciskiem. - Będę ostrożna przy dokonywaniu wyborów, Matko Ziemi.

Zdawało się, że dziwne oczy kobiety nagle posmutniały.

- Zrobisz, na co cię tylko będzie stać, moje dziecko. Nie oczekuj niczego więcej.

Mistaya zastanawiała się nad czymś.

- Czy ja mam magiczną moc, która może mi pomóc? - zapytała niecierpliwie. - Moją własną moc?

- Owszem, Mistayo. I być może będzie mogła ci pomóc. Może jednak również przynieść ci szkodę. Gdybyś się zdecydowała jej użyć, będziesz musiała się liczyć z pewnym ryzykiem.

- Ale ja nawet nie wiem, jaka to magia. Jak mam się nią posługiwać? W jaki sposób może mnie skrzywdzić?

- Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie - powiedziała Matka Ziemia.

Mistaya westchnęła, okazując zniecierpliwienie.

- Mówisz, pani, jak mój ojciec.

- Czas już, żebyś wracała - oznajmiła Matka Ziemia, ignorując jej skargę. - Zanim to zrobisz, jest coś, co musisz wiedzieć o Gwizdku. Zawsze będzie przy tobie, choć ty nie zawsze będziesz ją widziała. Będzie czuwała nad tobą w sposób, który uzna za stosowny, zatem nie przerażaj się, jeśli od czasu do czasu nie będziesz mogła jej znaleźć. Poza tym nigdy nie wolno ci jej dotykać. Salamandry nie są do tego stworzone. Zatem uważaj. I jeszcze jedno: pamiętaj, że Gwizdek nie potrzebuje jedzenia ani wody od ciebie. Sama potrafi się zatroszczyć o siebie. Musisz jednak wymawiać jej imię co najmniej jeden raz dziennie. Możesz je wypowiedzieć w dowolny sposób. Jeśli tego nie zrobisz, ryzykujesz, że ją stracisz. Jeśli nie będzie czuła, że jest potrzebna, opuści cię i wróci do mnie. Rozumiesz to?

Mistaya kiwnęła zdecydowanie głową.

- Tak, Matko Ziemio. Będę dbała o Gwizdka. - Nagle coś sobie uświadomiła. - Matko Ziemio, podróżuję, żeby się spotkać z moim dziadkiem w krainie jezior. Co będzie, jeśli on nie pozwoli wejść Gwizdkowi do swego domu? To bardzo srogi człowiek i dość surowy, jeśli chodzi o niektóre sprawy.

- Nie martw się o to, moje dziecko - uspokoiła ją Matka Ziemia. - Salamandry to istoty czarodziejskie. Wchodzą i wychodzą, gdzie chcą i kiedy chcą. Nie można im tego zabronić, chyba że użyje się potężnych czarów. Gwizdek będzie przy tobie wszędzie, gdzie się tylko udasz.

Mistaya spojrzała na salamandrę i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Matko Ziemio. Dziękuję za Gwizdka. Już ją pokochałam.

- Żegnaj, Mistayo.- Matka Ziemia zaczęła się zanurzać w muł. - Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałam, drogie dziecko.

- Nie zapomnę! - odrzyknęła Mistaya. - Żegnaj, pani. - Po chwili jeszcze raz krzyknęła: - Zaczekaj! Kiedy znowu ciebie ujrzę, pani?

Lecz ducha ziemi już nie było. Zniknął w wodzie. Bagno migotało jeszcze bladym światłem księżyca odbitym od drobnych zmarszczek w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Na polanie było pusto i cicho.

Mistaya zrobiła się nagle znowu senna. To była wspaniała przygoda i czekała z niecierpliwością na inne. Ziewnęła, przeciągnęła się, po czym uśmiechnęła się do Gwizdka.

- Ty też jesteś zmęczona? - zapytała cicho. Gwizdek wpatrywała się w nią. - Wracajmy zatem do obozu, do łóżka. Dobrze, maleńka?

Salamandra zamerdała radośnie ogonkiem.

Mistaya już ruszyła, a Gwizdek posłusznie podążyła za nią. Razem wróciły przez las do obozu i do przeznaczenia, które czekało tam na nie.

ZAKLĘCIE

Wrona o czerwonych oczach, która w ludzkim kształcie była Nocnym Cieniem, siedziała na jednej z najwyższych gałęzi drzewa hikory i obserwowała, jak Mistaya wraca z lasu do obozu. Dziewczynka pojawiła się znienacka niczym bezgłośna, przemykająca ukradkiem zjawa. Czary Matki Ziemi sprawiły, że strażnicy stali się ślepi na jej obecność, i gdy ich mijała, patrzyli przez nią jak przez powietrze. Zbliżyła się szybko do swego posłania, owinęła się w koc, położyła i zamknęła oczy. Po chwili już spała.

Wrona obrzuciła bystrym wzrokiem polanę i pobliski las. Po salamandrze nie było

śladu. Świetnie.

Obecność zwierzątka pokrzyżowała plany Nocnego Cienia. Nie przewidziała tego, iż salamandra może się pojawić, i wciąż się głowiła nad rozszyfrowaniem celu jej wizyty. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że stworzenie służy Matce Ziemi, lecz to nie wyjaśniało, co ją sprowadza do dziewczynki. Wezwanie od Matki Ziemi? Być może. Nawet całkiem możliwe. Ale dlaczego Matka Ziemia wezwała dziewczynkę właśnie tej nocy? Czyżby znała zamiary Nocnego Cienia? Może chciała ostrzec dziewczynkę? Jedno i drugie było mało prawdopodobne. Podobnie jak wiedźma nie była w stanie przeniknąć przez magię Matki Ziemi i poznać celu wysłania przez nią salamandry, tak samo Matka Ziemia nie mogła przebić się przez magię Nocnego Cienia i poznać jej planów dotyczących dziewczynki. Obie potrafiły odgadnąć sens swoich zamierzeń, lecz nic ponadto. Sytuacja była raczej patowa. Każda próba śledzenia salamandry i dziewczynki w celu odkrycia zamierzeń Matki Ziemi zostałyby szybko udaremniona. Gorzej: ujawniłaby obecność Nocnego Cienia w krainie jezior, a to mogło zniweczyć cały jej plan.

Dziewczynka w każdym razie powróciła sama, widocznie więc Matka Ziemia załatwiła z nią swoje sprawy. To, że mała w ogóle wróciła, znaczyło, że nic nie wie o planach czarownicy, ona sama więc nie powinna mieć powodów do obaw. Nie znaczy to wcale, że gdyby Matka Ziemia coś jednak wiedziała, zmartwiłoby to wiedźmę z Wielkiej Czułości. Gdyby Matka Ziemia bądź jej czworonożny posłaniec stanęli jej na drodze, Nocny Cień znalazłaby sposób, aby pożałowali swej decyzji na długi czas. Magia wiedźmy była znacznie silniejsza od magii Matki Ziemi i była w stanie wyrządzić jej niemałą krzywdę.

Czerwonooka wrona przymknęła z zadowoleniem powieki. Wszystko wyglądało tak jak trzeba. Matka Ziemia, jako długoletnia przyjaciółka i opiekunka Willow, wezwała prawdopodobnie dziewczynkę, żeby ją pozdrowić. Teraz dziewczynka znajdowała się właśnie tam, gdzie wiedźma sobie tego życzyła, śpiąc pośród nieudolnych obrońców, w błogiej nieświadomości tego, jak jej życie za chwilę się zmieni.

Nocny Cień wiedziała, że Holiday wyśle córkę z zamku, kiedy Rydall wygłosi swoje groźby pod adresem jego rodziny. Wiedziała dokładnie, co zrobi Holiday. Przeczucie sylfi-dy - to, które Nocny Cień przesłała jej w czasie snu, tak czarne i przerażające, na jakie tylko wiedźmę było stać - zasiało ziarno niepokoju, z którego ten pomysł mógł się zrodzić. Pojawienie się Rydalla sprawiło, że ziarno zakiełkowało. Bez względu na to, co miało się wydarzyć później, Holiday i sylfi-da nie mogli ryzykować życia i zdrowia swojej ukochanej córki. Wiedźma nie wiedziała wówczas, dokąd wyślą dziewczynkę, choć pierwsze miejsce, o którym pomyślała, to kraina jezior zamieszkała przez istoty niegdyś czarodziejskie; lecz tak

naprawdę nie miało to większego znaczenia. Wszędzie bowiem, dokąd udałaby się Mistaya, czekałaby na nią Nocny Cień.

A teraz nadszedł ten czas.

Czerwone oczy wspomagane instynktem po raz ostatni ogarnęły polanę i otaczający ją las, przeszukując mroczne zakamarki, w których mogło się coś ukrywać. Niczego nie znalazła. W czerwonych oczach rozbłyły iskierki. Nocny Cień

uśmiechnęła się w duchu. Śpiący ludzie i dziewczynka należeli już do niej.

Wrona zerwała się do lotu, opuszczając gałąź, na której trzymała straż, wzbiła się na chwilę ku niebu, zatoczyła koło nad polaną, po czym spiralnym ruchem, powoli, zaczęła się obniżać. Były to ostatnie godziny nocy, w czasie których sen jest najtwardszy i wypełniony marzeniami. Mrok i cisza otulały mężczyzn, dziewczynkę i zwierzęta, i żadne z nich nie wyczuło obecności opadającej na nich wrony. Przeleciała bezszelestnie nad ich głowami, nie zauważona. Dla pewności powtórzyła to jeszcze dwukrotnie, lecz nawet strażnicy, którzy ponownie odzyskali dawną czujność po powrocie dziewczynki i zdjęciu z nich zaklęcia Matki Ziemi, też niczego nie widzieli.

Przelatując nad Mistayą, wrona przechyliła się powoli na lewą stronę, muskając swoim cieniem niby czułą dłoń matki jej mały, nieruchomy kształt. Następnie zawróciła i za każdym przelotem z jej ciemnych skrzydeł wydobywał się zielony pył, który migocząc i wirując w świetle księżyca, niczym pyłek kwiatowy spływał ku ziemi i osiadał na śpiącej dziewczynce. Cztery razy wrona zawracała i za każdym razem opadał zielonkawy pył podobny do omszałego welonu. Mistaya wciągnęła go do płuc przez sen, uśmiechnęła się i szczerzej otuliła kocem. Powoli zapadała w coraz głębszy sen, coraz bardziej zatracala się w nieświadomości. Dostęp do niej uzyskały teraz marzenia senne, wykwity najbardziej wybujałej części jej wyobraźni. Natychmiast dała się ponieść w kierunku ich światła.

Wrona wzniosła się ponownie ku niebu i schroniła w koronie drzewa. Dziewczynka będzie teraz spała, dopóki Nocny Cień nie przygotuje wszystkiego. Będzie spała i nie weźmie udziału w wydarzeniach, które wkrótce nastąpią.

Przeskakując z gałęzi na gałąź, coraz to niżej, wrona opuściła bezpieczne konary, aż znalazła się niecały metr nad ziemią. Wówczas przybrała kształt Nocnego Cienia. Z piór i skrzydeł wynurzyła się przy akompaniamencie szumu wirujących szat postać wiedźmy, aby ponownie stanąć pod osłoną nocy na twardym gruncie. Była kobietą wysoką i wyniosłą, o urodzie tak oślepiającej i zimnej jak świeży opad śniegu. Zaczesane do tyłu czarne włosy z pojedynczym białym pasemkiem odsłaniały jej orlą twarz oraz kamienny uśmiech. Skupiła w sobie własną magiczną moc i wyszła spośród drzew na tonącą w księżycowej poświacie

polanę.

W swoim śnie Mistaya była śnieżnobiałym ptakiem latającym nad ziemią, mieniącym się całą paletą jaskrawych barw. Mijała szmaragdowozielone lasy, pola żółte jak masło oraz w kolorze wiosennej mięty, czekoladowe i wrzosowe góry, wzgórza pokryte purpurą i fioletem, błękitne jeziora i srebr-nozłote rzeki. Wszędzie jaśniały polne kwiaty rozsypane po całej krainie niczym magiczny pył.

Obok niej leciał ptak o czarnym upierzeniu, przewodnik pokazujący jej cuda leżące w dole pod nimi. Nie odzywał się; nie musiał tego robić. Jego myśli i uczucia podtrzymywały w powietrzu jej drobne opierzone ciało. Miała wrażenie, że unosi ją wiatr, że płynie na grzbiecie jego porywów. Było to coś cudownego, coś, co dawało jej upajające wrażenie, że ma cały świat pod swymi skrzydłami.

Lot trwał dalej; w dole zaczęli pojawiać się ludzie. Zadzierali do góry głowy i patrzyli. Niektórzy kiwali i wołali do niej. Byli to ludzie, których znała z poprzedniego życia, z poprzedniego swego kształtu, a których opuściła. Może i kiedyś ją kochali; może nawet pomagali w jej wychowaniu, kiedy była żółtodziobem. Teraz próbowali ją zwabić z powrotem do siebie, ściągnąć na dół, aby zamknąć w klatce. Pozazdrościli jej wolności, którą właśnie znalazła. Złościło ich, że nie mogą już sprawować pieczy nad jej losem. W głosach, którymi ją przywoływali, kryła się złość, rozczarowanie i zawiść. Chciała za wszelką cenę uciec od nich jak najdalej. Mknęła, nie zwalniając, nie patrząc za siebie. Leciła ku swojej przyszłości.

Towarzyszący jej czarny ptak odwrócił się, aby popatrzeć na nią. W jego czerwonych oczach dostrzegła błysk aprobaty.

Wyszedłszy całkowicie ze swego ukrycia między drzewami, Nocny Cień zwróciła się w pierwszej kolejności ku strażnikom trzymającym wartę po dwóch stronach polany. Pozwoliła, aby dojrzeli jej wysoki, czarny kształt owinięty płaszczem i osłonięty kapturem, groźny jak śmierć. Kiedy skierowali swoją broń w jej stronę, instynktownie rozpoznając w niej wroga, uniosła dłonie i uformowała dwie bliźniacze wiązki magii, które pomknęły ku nim jak błyskawice złowrogo zielonego ognia. Zanim zdążyli krzyknąć, pochłonęła ich magia, a kiedy ogień zniknął, stali zamienieni w kamienie wielkości bochenków chleba, które dymily i skwierczały niczym rozżarzone węgle.

Czarownica z Wielkiej Czeluści postąpiła kilka kroków do przodu. Wycelowała dłońmi w linę, którą były przywiązane zwierzęta karawany; lina rozbłysła i zamieniła się w popiół. Konie, między nimi Lekka Stopa i Sowa, popędziły przed siebie. Ręka Nocnego

Cienia powędrowała jakby od niechcienia w kierunku obozowego ogniska, które było zaledwie kupką gasnącego żaru, a teraz rozbłysło na nowo, unosząc się ku niebu, jak gdyby stało się gorejącą zjawą wyrosłą spod ziemi. W chwilę później płomienie buchnęły również z powozu Mi-stai.

Teraz obudzili się i pozostali członkowie gwardii królewskiej. Mrużąc oczy od nieoczekiwanego światła, wypelzali spod koców i chwyтали instynktownie za oręż. Byli żałośnie powolni. Nocny Cień pochwyciła pięciu z nich, zanim nawet zdążyli się zorientować, co się dzieje, oplotła ich swoją magią i zamieniła w kamienie. Inni byli trochę szybsi, kilku nawet zdołało się poderwać i ruszyć w jej stronę, lecz wystarczyło, że skierowała na każdego z nich po kolei palce, a czarny demon zniszczenia powalał ich na ziemię. Po chwili było już po nich.

Na polanie nie został teraz nikt z wyjątkiem Nocnego Cienia, śpiącej dziewczynki oraz zaskoczonych i zdezorientowanych Questora Thewsa i Abernathy'ego. Dwaj ostatni stali przed Mistayą, osłaniając ją własnymi ciałami. Wydarzenia miały tak szybki przebieg, że zdołali się jedynie obudzić i podbiec do niej. Czarodziej wyplatał palcami jakiś rodzaj ochronnego zaklęcia: jego stare i suche niczym gałązki chrustu dłonie kreśliły złudne rysunki w oślepiającym świetle rozgorzałego na nowo ogniska. Czarownica unicestwiła zaklęcie w zarodku, po czym ruszyła do przodu, aż znalazła się

55

w obrębie światła. Odrzuciła do tyłu kaptur i ujawniła przed nimi swoją postać.

- Nie trudź się, Questorze Thewsie - poradziła mu, gdy szykował się do kolejnej próby. - Tym razem nie uratuje cię żadna magia.

Starzec wybałuszał na nią oczy, drżąc cały z wściekłości i oburzenia.

- Nocny Cieniu, coś ty zrobiła? - wykrzyknął zachrypłym szeptem.

- Co zrobiłam? - powtórzyła z oburzeniem. - Nic, czego bym wcześniej nie zaplanowała, czarodzieju. Nic, o czym bym nie marzyła przez wiele długich lat. Czy dostrzegasz w końcu, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłeś?

Abernathy odsuwał się chyłkiem w poszukiwaniu broni, której mógłby użyć przeciwko niej. Wykonała gwałtowny ruch i zamarł w miejscu.

- Lepiej, skrybo, jeśli zostaniesz tam, gdzie jesteś. - Uśmiechnęła się doń, zadowolona z przepelniającego ją poczucia władzy.

Questor Thews wyprostował się, próbując w ten sposób odzyskać godność.

- Przeceniasz swoje siły, Nocny Cieniu - oświadczył zuchwale. - Nasz pan nie puści ci

tego płazem.

- Sądzę, że wasz pan będzie miał pełne ręce roboty, próbując utrzymać się przy życiu - odpowiedziała, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Och, myślę, że naprawdę będzie miał co robić. Szkoda, że was tam nie będzie, aby mu pomóc. Żadnego z was.

W tym momencie Questor Thews przejrzał jej plan.

- Przyszłaś po dziewczynkę, prawda? Po Mistayę?

- Ona należy do mnie - powiedziała czarownica. - Zawsze należała do mnie! Urodziła się na moim terytorium, czerpała magię z mojej ziemi! Gdyby nie interwencja istot czarodziejskich, byłaby wówczas moja. Tym razem będzie jednak inaczej, czarodzieju. Tym razem ją zdobędę. A kiedy to nastąpi, nigdy nie będzie chciała mnie opuścić.

Ognisko huczało i trzaskało pośród głębokiej nocnej ciszy niczym zagorzały popiecznik wiedźmy sprzyjający jej w realizacji haniebnego spisku. Questor Thews i Abernathy, niezdolni do ucieczki, przypominali strachy na wróble uwięzione w kręgu jego światła. Nie upadali jednak na duchu.

- Holiday przyjdzie po nią - ponowił z uporem starzec - nawet jeśli my zginiemy.

Nocny Cień się roześmiała.

- Nie słuchasz mnie uważnie, Questorze Thewsie. Holiday musi najpierw poradzić sobie z Rydallem, a Rydall już się postara, aby go zniszczyć. Taki jest mój plan i tak się stanie, moja w tym głowa. Król Marnhull jest moim tworem i doprowadzi do zniszczenia Holidaya. Jest to tak samo pewne jak to, że po nocy przychodzi dzień. Holiday będzie walczył ze swoim przeznaczeniem, czemu z przyjemnością będę się przyglądała, lecz w końcu ulegnie. Pozbawiony dziecka, przyjaciół, a w końcu i żony, umrze zupełnie samotny i opuszczony. Nic innego mnie nie zadowoli. Nic innego nie zadośćuczyni cierpieniu, którego doznałam.

- To ty stworzyłaś Rydalla? - zapytał półgłosem osłupiały czarodziej.

- Wszystko stworzyłam, co się do tej pory wydarzyło i co się jeszcze wydarzy. To będzie dzieło mego życia: patrzeć, jak król-marionetka staje się nikim, i nie zawiodę się.

Abernathy zrobił ostrożnie krok do przodu.

- Nocny Cieniu, nie możesz tego zrobić. Zostaw Mistayę. To tylko dziecko.

- Tylko dziecko? - Uśmiech pierchnął z jej twarzy. - Nie, skrybo. Co do tego wszyscy się mylicie. Właśnie tym nie jest. Wiem to. Widzę w niej siebie. Widzę tą, którą byłam. Widzę, kim może zostać. Dam jej tę wiedzę, którą wy byście chowali przed nią. Ukształtuję ją w zgodzie z tym, do czego jest stworzona. Jej dusza skrywa demony czekające, aż ktoś je spuści ze smyczy; chcę jej pomóc je uwolnić. Wykorzystam moc jej dziecięcej wyobraźni.

Niech to będzie wasza ostatnia myśl. Kiedy skończę z nią, stanie się moim narzędziem zniszczenia króla-marionetki! Zobacz ją jeszcze raz, przytuli do piersi jak węża i tegoż dnia wyzionie ducha!

Gdy zamilkła, czekając na ich reakcję, dojrzała bezradność w ich oczach. Questor Thews próbował ukradkiem na nowo zebrać swą rozproszoną magiczną moc i stworzyć kolejne zaklęcie ochronne, obracając sękatymi palcami na tle swego chudego ciała. Uśmiechnęła się, widząc daremność jego prób. Nikt nie zauważył, jak Gwizdek wysuwa się chyłkiem z lasu i staje na samym skraju polany daleko od nich, ostrożnie stawiając krzywe łapki i uważnie przyglądając się całej scenie swymi smutnymi oczami.

- Co zamierzasz z nami zrobić? - zapytał Abernathy, rzucając przez ramię spojrzenie na Mistayę. Zastanawiał się, czemu do tej pory się nie obudziła.

- Właśnie, Nocny Cieniu, co? - powtórzył pytanie Questor Thews. Próbował zyskać na czasie, aby móc ukończyć tworzenie zaklęcia, nie zdając sobie sprawy, że już dawno jest za późno. - Nas również zamienisz w kamienie?

Nocny Cień uśmiechnęła się.

- Nie, czarodzieju, nie zadawałabym sobie tyle trudu, żeby robić coś tak prozaicznego z tobą. Ani z tobą, skrybo. Byliście nieustannym źródłem mej irytacji, lecz tym razem wtrąciliście się po raz ostatni. Wasze życie kończy się tutaj. Nikt już was nigdy nie ujrzy.

Przez chwilę czas stanął w miejscu, a słowa wiedźmy były ledwie słyszalne w trzasku ogniska. Wtem ręce Questora uniosły się i rozbłysnął przed nim szeroki łuk magii. Abernathy obrócił się natychmiast do Mistai i nachylił się, próbując ją chwycić. Nocny Cień się zaśmiała. Wyciągnęła dłonie, z czubków palców wystrzelił zielony ogień i magiczne bicz wiedźmy runęły falą energii i ciemnych zamiarów, aby pochłonąć swe ofiary.

W czasie, gdy działo się to wszystko, głowa Gwizdka pochyliła się, ciało ześliznęło na ziemię, grzebień na karku najeżył się i coś podobnego do mieszanki światła księżyca i szronu wzbilo się z jej skulonego ciała i wystrzeliło w poprzek polany. Ułamek sekundy przed tym, jak magia Nocnego Cienia uderzyła w Questora Thewsa i Abernathy'ego, roztrzaskując kruchą osłonę czarodzieja na drobne kawałki, dosięgnął ich księżycowy szron.

Ogień wiedźmy strawił ich w okamgnieniu. Nie było po nich śladu. Pozostał jedynie dym oraz swąd spalenizny i zniszczenia.

Czarownica błyskawicznym ruchem obróciła się do tyłu. Co to było? Ta dziwna łuna nie przybyła znikąd. Wzrokiem ogarnęła szybko polanę, a następnie las. Nic. Zmrużyła oczy. Przecież coś tam musiało być. Uniosła dłonie i posłała głęboko w las swoje czarodziejskie światło, szukając jakiejś żywej istoty ukrywającej się w jego mroku. Małe gryzonie, owady i

kilka naziemnych ptaków rozpierchło się, uciekając przed jej mocą. Nic innego jednak nie znalazła.

W końcu odwróciła się, czując nieokreślony niepokój. Polana była pusta z wyjątkiem jej samej i dziewczynki. Gwardziści królewscy byli zamienieni w kamienie. Czarodziej i pies zniknęli na zawsze. Wszystko przebiegło zgodnie z tym, co zaplanowała. Mogła kontynuować swój projekt.

A jednak...

Odsunęła od siebie z rozdrażnieniem złe przeczucia, podeszła do śpiącej dziewczynki i spojrzała na nią. Tyle jeszcze pracy przy tobie, maleńka, pomyślała z zadowoleniem. Tyle trzeba cię jeszcze nauczyć, tyle tajemnic odsłonić, tyle sztuczek odegrać. Słyszysz to, o czym myślę?

Dziewczynka poruszyła się pod kocami przez sen.

Dobrze, śpij spokojnie, ukoila ją w milczeniu wiedźma z Wielkiej Czeluści. Jutro zaczyna się twoje nowe życie.

Nachyliła się i podniosła dziewczynkę, trzymając ją w zgiętych ramionach. Była lekka jak puchowa kołdra. Nocny Cień spojrzała na swoje nowe dziecko i się uśmiechnęła.

Zmieniła otaczające je powietrze w lodowatą mgiełkę. Po chwili polana świeciła zupełną pustką.

WYZWANIE

Dokładnie w trzy dni po swojej pierwszej wizycie Rydall z Marnhull powrócił do Sterling Silver. Tym razem Holiday czekał na niego.

Ben nigdy nie wątpił, że Rydall wróci, aby wypełnić swoją obietnicę. Jediną niewiadomą pozostawało tylko to, jakich środków użyje król krainy Marnhull, aby zmusić Bena do przyjęcia tych niedorzecznych żądań. Ben był na nogach jeszcze przed wschodem słońca. Miał zamiar pobiegać, aby uwolnić umysł od ciężkich myśli; przyzwyczajenie, które pozostało mu z czasów, gdy uprawiał boks. Wciąż oddawał się regularnym ćwiczeniom biegania, podnoszenia ciężarów oraz treningom z gruszką i workiem. Czasami walczył na pięści z żołnierzami gwardii królewskiej, lecz żaden z nich nie był odpowiednio wyszkolony w tym sporcie, aby stać się godnym niego przeciwnikiem. Może zresztą uważali, że lepiej mu się przysłużą, jeśli tak będzie myślał. Przeważnie zatem trenował sam. Tego ranka przygotował się do biegania, ale przeszła mu ochota. Zamiast tego razem z Willow i Bunionem wszedł na szczyt murów, aby obserwować wschód słońca i przybycie Rydalla.

Miniona noc była chłodna i kiedy mrok zaczął się wycofywać ku zachodowi, a

wschodni horyzont rozjaśniła łuna światła, Ben zauważył że spomiędzy drzew lasu wyłoniła się niska mgła i okryła łąkę rozciągającą się przed zamkiem. Zaległa w wilgotnych trawach niczym gęsty, szary dym, przykrywając cały teren od lasu aż po wody jeziora. Kiedy słońce rozbłysło na wschodzie srebrną plamą, mgła cofnęła się nieznacznie od krawędzi jeziora, w miejscu gdzie zaczynał się most łączący łąd z zamkiem, i ich oczom ukazał się Rydall. Siedział na swoim rumaku zakuty w stal, uzbrojony po zęby, a tuż obok na ciemnym wierzchołku towarzyszył mu milczący, przygarbiony kompan w czarnej pelerynie. Wyglądali dokładnie tak jak przedtem, jak gdyby się stąd nigdy nie ruszali.

Ben patrzył w dół z murów zamku, nie odzywając się. Czekał. Rękawica rzucona przez Rydalla trzy dni temu wciąż leżała na środku mostu. Ben polecił ją usunąć, lecz nikt nie był w stanie wypełnić jego żądania. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś przybił rękawicę gwoździami do desek. Nie można było jej podnieść; nie drgnęła nawet wtedy, gdy Questor Thews tego próbował. Jakieś czary trzymały ją w miejscu i żeby jej się stamtąd pozbyć, trzeba byłoby rozebrać most. Benowi aż tak na tym nie zależało, pozostawił więc rękawicę na swoim miejscu.

Leżała teraz, opalizująca lekko od wilgoci, przypominając o obietnicy złożonej przez króla Marnhull.

- Holidayu! - zawołał ostro Rydall. Żadnego „królu” ani „panie” tym razem. Żadnego silenia się na szacunek. - Czy rozważyłeś moje żądanie?

- Odpowiedź jest ta sama! - odkrzyknął Ben. Poczul, jak Willow przysuwa się do niego. - Wiedziałeś, że tak będzie!

Koń Rydalla przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. Ręka Rydalla uniosła się w geście zniecierpliwienia.

- W takim razie muszę cię prosić, abyś ją zmienił. Właściwie nalegam na to. Teraz już nie masz wyboru. Sytuacja się zmieniła od czasu naszej ostatniej rozmowy. Mam twoją córkę.

Zapadła długa cisza. Dłonie Willow zacisnęły się mocno na ręce Bena i usłyszał, jak gwałtownie nabiera powietrza. Poczul ścisk w gardle. „Mam twoją córkę”. Mistaya jest przecież w bezpiecznym miejscu. Od dwóch dni znajduje się w krainie jezior u swego dziadka, poza zasięgiem Rydalla.

A może nie?

- Powiedziałem ci, że znajdę sposób, abyś mnie posłuchał - ciągnął Rydall, przerywając chwilową ciszę. - Myślę, że teraz musisz. Twoja córka, jak zakładam, ma dla ciebie duże znaczenie.

Ben zatrzęsł się z wściekłości.

- To kolejna z twoich sztuczek, Rydallu! Myślę, że już wystarczająco dużo poświęciłem ci mojego czasu!

Tamten powstrzymał go, podnosząc kolejny raz dłoń do góry.

- O tym się jeszcze przekonamy. Nie przypuszczałem, że uwierzysz mi na słowo. Nie ty, Holidayu. Należysz do tych ludzi, którzy żądają dowodu nawet wtedy, gdy naga prawda świeci im prosto w twarz. A zatem dobrze, jak sobie życzysz.

Zagwizdał i para koni wyszła zza zasłony nisko ścielącej się mgły. Gdy się zbliżyły, Ben poczuł, jak zamiera mu serce. Jednym z nich był Lekka Stopa, a drugim Sowa. Nie można było mieć co do tego wątpliwości. Mineły Rydalla i weszły na most.

- Wyślij kogoś na dół i każ przynieść sobie to, co jest przytroczone do siodła kuca! - zawołał kolejny raz Rydall.

Ben spojrzał na Buniona. Kobold pognał natychmiast, zostawiając za sobą ciemną plamę na tle zamkowego muru. Niezdolny do wykrztuszenia z siebie choćby jednego słowa, spalając się ze złości, Ben stał, obejmując wciśniętą w niego Willow. Po chwili Bunion był z powrotem. Z dziwnej, pomarszczonej twarzy nie dało się niczego wyczytać. Wręczył Benowi naszyjnik i chustę. Ben przyjrzał im się dokładnie i z bólem serca podał je Willow. Należały do Mistai. Miała je na sobie, gdy wyruszała do krainy jezior.

- Och, Ben - wyszeptała Willow.

- Gdzie są Questor Thews i Abernathy? - krzyknął Ben w dół do Rydalla. - Gdzie są ludzie z ich eskorty?

- W bezpiecznym miejscu - odpowiedział Rydall. - Czy teraz jesteś gotowy wysłuchać moich żądań, królu Landover?

Ben stłumił w sobie emocje, które mogły być przeszkodą w jasnej ocenie sytuacji. Objął ramieniem Willow tyleż, żeby ją uspokoić, ile samemu sobie przywrócić równowagę. Wciąż nie miał zamiaru godzić się na to, co mu mówiono. To było nie do pomyślenia, żeby Rydall z taką łatwością pojmał Mi-stayę. Jak tego dokonał? Jak mu się udało pokonać eskortę? Questor Thews i Abernathy prędzej by zginęli, niż ją oddali.

- Rydallu! - zawołał nagle w dół, samemu się dziwiąc sile swego głosu. - Choćbyś nie wiem jaki powód dawał, nie poddam królestwa Landover ani jego mieszkańców. Nie dam się zastraszyć. Zdaje się, że lubisz polować na małe dzieci, a to każe mi wątpić, czy rzeczywiście jesteś w stanie podbić mój kraj przy pomocy licznych armii. Myślę, że jesteś tchórzem. Rydall roześmiał się.

- Odważne słowa, jak na kogoś w twojej sytuacji. Nie mam jednak o to do ciebie pretensji. Nie mam również większych nadziei niż ostatnim razem, że oddasz mi swój tron.

Pojmałem twoją córkę nie po to, aby cię zmusić do przyjęcia moich żądań, lecz żeby cię skłonić do wysłuchania mnie. Musisz słuchać. A zatem posłuchaj. Nie sądzę, abyś mógł mi odmówić.

Wyzwanie, które rzucam - Rydall wskazał na rękawicę - nie jest takie, jakiego się spodziewasz. Jak już powiedziałem, nie oczekuję, że przekażesz mi tron. Przedstawiłem żądanie, bo oczywiście musiałem to zrobić. Król musi zawsze próbować w pierwszej kolejności łatwiejszych rozwiązań. Na tym polega idea podboju. Niekiedy przeciwnik godzi się na to. Nie sądziłem, że ty będziesz jednym z nich, lecz musiałem się o tym przekonać. Teraz, skoro mamy już za sobą wstępne gry podjazdowe oraz negocjacje, możemy stanąć twarzą wobec rzeczywistości. Mam twoją córkę i twoich przyjaciół. Ty masz moje królestwo. Jeden z nas musi coś oddać. Kto to będzie?

Sądzę, że ty - Rydall zbliżył się na koniu do krawędzi mostu - królu Landover, ale jestem skłonny rozwiązać sprawę w sposób honorowy. A zatem pojedynek, jak powiedziałem wcześniej. A oto jak on będzie wyglądał: wyślę przeciwko tobie siedmiu szermierzy. Każdy przybędzie o czasie, który będzie mu odpowiadał. Każdy będzie miał inny kształt. Będzie ich łączył jeden cel: zabić cię. Jeśli im na to nie pozwolisz, jeśli tobie się uda ich wcześniej zabić, wszystkich siedmiu, wtedy uwolnię twoją córkę oraz przyjaciół i poniecham pretensji do Landover. Lecz jeśli któremuś z nich się powiedzie, wtedy twoje królestwo ulegnie konfiskacie, a twoja rodzina pójdzie na wieczne wygnanie. Przyjmujesz warunki? Jeśli tak, to wyjdź na most i podnieś rękawicę.

Ben patrzył na tamtego z niedowierzaniem.

- To szaleniec - szepnął do Willow. Bez słowa skinęła głową.

- Masz własnego szermierza, który będzie cię chronił - ciągnął Rydall. - Wszyscy wiedzą o Paladynie, błędnym rycerzu i obrońcy króla. Będziesz miał pewną osłonę przed istotami, które poślę. - Teraz są to istoty, pomyślał Ben, nie szermierze. - Rozumiem, że nikomu nie udało się nigdy pokonać Pa-ladyna - kończył swą przemowę Rydall. - To znaczy, że masz poważne szansę na wygraną, czyż nie tak? Przyjmujesz wyzwanie?

Ben wciąż nie odpowiadał. Rozważał propozycję; myśli w głowie gnały jak szalone. To było śmieszne, lecz jednocześnie stanowiło jedyny sposób odzyskania Mistai. Dawało mu to czas odkrycia miejsca jej pobytu i być może uratowania córki. A Questor Thews, Abernathy i jego żołnierze? Sama transakcja była jednak obłudą! Jego życie stawiane na szali z życiem siedmiu zabijaków Rydalla? Gdyby przyjął to wyzwanie, gdyby zszedł na dół i podniósł z mostu rękawicę, związałby się najświętszą przysięgą. Byli świadkowie tego zdarzenia - członkowie załogi zamku, żołnierze gwardii królewskiej i członkowie świty - a

prawo Landover nie pozwoliłoby mu złamać raz danego słowa. Mógł zabić Rydalla i uwolnić się od tego, lecz zaproponowane warunki były skrajne i zostawiały niewielkie możliwości wyboru.

- Jeśli nie przyjmiesz - wykrzyknął nagle Rydall - przywiążę twą córkę i twoich przyjaciół do koni i ustawię w pierwszej linii moich wojsk, gdy zaczniemy zalewać twoje królestwo! Zginą pierwsi, zanim padnie którykolwiek z moich ludzi. Zrobię to z przykrością, lecz nie mam innego wyjścia; w końcu przecież będę prosił moich ludzi, aby oddawali swoje życie z powodu twojego uporu. Powiedziałem ci już wcześniej, że wolałbym zdobyć twoje królestwo bez rozlewu krwi. Może ty również tego pragniesz, choć z innych powodów. Moje wyzwanie daje ci taką możliwość. Przyjmujesz je?

Ben myślał w tej chwili, że jeśli je przyjmie, to musi się również pogodzić z tym, że chcąc przeżyć, będzie potrzebował Paladyna - nie jeden raz, lecz siedem. To go najbardziej przerażało. Oddawanie siebie swemu *alter ego* było dla niego źródłem nieustannych rozterek. Za każdym kolejnym razem miał coraz większe problemy z zachowaniem swojej tożsamości. Stając się Paladynem, całkowicie zanurzał się w kimś innym. Za każdym kolejnym razem trudniej mu było powrócić z zasklepionej skorupy pancerza, zostawić za sobą wspomnienia, porzucić życie szermierza. Gdyby przyjął wyzwanie Rydalla, to w perspektywie miałby nie tylko śmierć w walce, lecz również to, że już nigdy nie zdoła powrócić ze swojej ciemniejszej połowy.

- Panie mój, przyjmujesz? - zapytał ponownie Rydall.

- Nie, nie przyjmuj! - krzyknęła nagle Willow, chwytając go za ramię. - W tym wszystkim chodzi o coś więcej! Za słowami Rydalla coś się kryje! Ja to czuję, Ben! - Stała naprzeciwko niego. W jej oczach były łzy. Mówiła tak słabym głosem, że z trudem prawie ją słyszał. - Nie przyjmuj, nawet jeśli mamy stracić Mistayę.

Nie chciał nawet myśleć, jak wiele musiały ją kosztować te słowa. Tak bardzo przecież dbała o Mistayę. Zrobiłaby wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. A mimo to dawała mu szansę uratowania własnego życia. Tak bardzo go kochała.

Objął ją ramionami i przyciągnął blisko siebie.

- Muszę spróbować - powiedział do niej cicho. - Jeśli tego nie zrobię, to jak po tym wszystkim będę mógł spojrzeć sobie w twarz?

Pocałował ją, a potem się odwrócił. Skinął na Buniona, aby szedł z nim, i zbliżył się do schodów prowadzących na dół.

- Zaczekaj tu na mnie! - zawołał do Willow.

Zszedł po schodach, myśląc o tym, co będzie musiał zrobić, kiedy już podniesie

rękawicę. Możliwości było kilka. Musi znaleźć Mistayę, Questora, Abernathy'ego oraz żołnierzy i ich uwolnić. To po pierwsze. Następnie musi przekonać Rydalla, aby cofnął swoje wyzwanie i przestał zagrażać Landover. Jeśli nie byłby w stanie tego zrobić, będzie musiał go zabić. Alternatywą była walka z siódemką, która podejmie pojedynek i nadzieja, że uda mu się zabić ich wcześniej. Właściwie czy musiał ich zabijać? Może wystarczyło ich po prostu pokonać? Rydall chyba jednak nie dopuszczał takiej możliwości. Za drugim razem nazwał ich „stworzeniami”. Ben się zastanawiał, jakiego rodzaju mogą to być stworzenia.

Przeszli dziedzińcem do głównej bramy. Bunion podążał tuż za nim, zaciskając zęby w dziwnym grymasie. Nie można było mieć wątpliwości, o czym myśli.

- Zostaw ich w spokoju, Bunion - ostrzegł go opanowanym głosem Ben. - Najpierw musimy odzyskać Mistayę i pozostałych.

Kobold mruknął coś w odpowiedzi, co Ben przyjął za wyraz posłuszeństwa.

Minał główną bramę i wszedł na most. Robiło się coraz jaśniej, niebo było czyste i błękitne, a resztki mgły zalegającej łąki nad jeziorem rozprasały się. Rydall i jego milczący towarzysz siedzieli na koniach i czekali. Ben ruszył mostem, zachowując czujność wobec ewentualnej zdrady; czuł jak z każdym krokiem rośnie w nim gniew. Być może pomysł Buniona był słuszny. Czy trudno byłoby przywołać Paladyna i rozprawić się na dobre z Rydalliem? Dość łatwo, gdybym tylko się na to zdecydował, pomyślał. Ale co by się wtedy stało z Mistayą?

Nagle zaczął się zastanawiać, czy to wszystko nie jest misternie przygotowaną intrygą: czy konie, naszyjnik i chusta nie były przynętą, mającą wyciągnąć go na otwarty teren. Zastanawiał się, czy Rydall naprawdę zatrzymał Mistayę i jej eskortę w charakterze zakładników. Podejrzewał, że może to być sprytne kłamstwo.

W głębi serca wiedział jednak, że nie jest.

Dotarł na koniec mostu i zatrzymał się. Jeźdźcy patrzyli na niego ze swoich wierzchowców. Ben bez słowa sięgnął na dół po rękawicę. Podniósł ją bez trudu, jak gdyby jedynie siła woli trzymała ją w tym miejscu przez trzy dni. Ben wyprostował się i spojrzał prosto na Rydalla. Król Marnhull był znacznie większy, niż wcześniej przypuszczał. Był mężczyzną o zadziwiających rozmiarach i niewątpliwej sile. Z kolei jego towarzysz w czarnej pelerynie wydawał się mniejszy. Twarze mieli obaj starannie ukryte, jeden pod hełmem, drugi pod kapturem.

Ben cisnął rękawicę w stronę Rydalla. Wielkolud złapał ją bez trudu i pomachał nią, imitując dla żartu oddawanie honorów.

- Nie łudź się czasem, Rydallu, że znaczy to coś więcej, niż tylko to, co widzisz -

powiedział spokojnie Ben. - A teraz uważaj: jeśli cokolwiek się stanie Mistai, Questorowi, Abernathy'emu bądź któremuś z moich żołnierzy, to nie przestanę cię ścigać, dopóki cię nie znajdę, nawet jeśli będę musiał zstąpić w ogień piekieł Abaddonu! Rydall uklonił się.

- Nigdy nie będziesz musiał mnie szukać tak daleko, Holidayu. Nie musisz też ani przez chwilę myśleć, że będę się ciebie bał. - Ściągnął wodze i obrócił konia do tyłu. - Trzy dni, królu Landover. Za trzy dni moja pierwsza istota przyjdzie po ciebie. Na twoim miejscu zacząłbym się zastanawiać, co zrobić, żeby przeżyć.

Spiął ostro konia i rumak skoczył do przodu. Jego towarzysz w czarnych szatach, podobnie jak za pierwszym razem, ociągał się przez moment. Ben poczuł na sobie badawcze spojrzenie spod kaptura, które jakby próbowało coś w nim odkryć. Może strach? Ben się nie przeląkł i patrzył nieustępliwym wzrokiem na tamtego. Zaraz obok niego znalazł się Bunion, sycząc wściekle na jeźdźca, odsłaniając zęby i pazury, i posuwając się w jego stronę.

Drugi jeździec obrócił energicznie konia i pogalopował za Rydalem przez łąkę. Ben i jego obrońca stali i patrzyli, aż jeźdźcy zniknęli między drzewami.

Znalazłszy się w bezpiecznym mroku lasu, gdzie nie dotarło jeszcze światło budzącego się dnia, jeźdźcy zatrzymali konie i zsiadli z nich. Nocny Cień zrzuciła płaszcz osłaniający jej kształt i pozbywając się skurczonej i przygarbionej formy, powróciła do swojej normalnej postaci. Uniosła dłonie, aby stworzyć krótkie zakłęcie niewidzialności, na wypadek gdyby ktoś przypadkiem natknął się na nich. Kiedy zakłęcie zaczęło działać, ponownie posłużyła się magią i przywróciła koniom ich pierwotny kształt małych jaszczurek w zielone i czarne paski, które błyskawicznie wskoczyły jej na ramię i ukryły się w fałdach sukni.

Rydall stał i patrzył przez wciąż opuszczoną przyłbicę.

- Nie wyglądał na przestraszonego - stwierdził z rozdrażnieniem.

Nocny Cień się roześmiała.

- W tej chwili może jeszcze nie. Na razie chroni go jego złość. Wciąż nie wierzy w to, że naprawdę mamy jego córkę. Będzie musiał się o tym przekonać, żeby jego serce mógł opanować lęk. Wtedy moje stwory przyjdą po niego, jeden po drugim, a strach będzie narastał. Zacznie wyobrażać sobie rzeczy, które mogą się wydarzyć, a jedna będzie gorsza od drugiej. Będzie nas szukał, a nie znajdzie żadnego, choćby najmniejszego śladu. Straci wszelką nadzieję. Wtedy, obiecuję ci, dopadnie go lęk.

- Nie zapominaj, że u swego boku ma sylfidę. Wściekłość rozblęła w czerwonych oczach Nocnego Cienia.

- Nie kpij ze mnie, królu Rydallu, którym nigdy zresztą nie byłeś. Nie zapominaj, że służysz mi.

Tamten stał przed nią nieruchomy jak skała i nie odezwał się. Czowała jednak jego niepewność i to ją zadowoliło.

- Owszem, na razie ją jeszcze ma - przyznała - lecz w końcu pozbawię go również tego. W końcu zostanie sam jeden.

Rydall poruszył się niecierpliwie.

- Czułbym się znacznie lepiej, gdybym znał cały twój plan. Co będzie, jeśli się coś nie powiedzie?

Wyprostowała się, przez co wydało się, że rośnie na jego oczach.

- Nie może się nie powieść. Zbyt dokładnie to zaplanowałam. Co do moich zamierzeń to lepiej będzie, jeśli na razie niektóre rzeczy zachowam dla siebie. Wiesz tyle, ile trzeba. - Obdarzyła go chłodnym spojrzeniem. - A teraz odeślę cię z powrotem. Zadbaj o swoje sprawy i czekaj na moje wezwanie.

Rydall odwrócił od niej wzrok i popatrzył w dal. Jego zbroja zaskrzypiała.

- Mogłem go zabić tam na moście i cała sprawa byłaby zakończona. Powinnaś była pozwolić mi to zrobić.

- I zepsuć to, nad czym pracowałam i co planowałam przez minione dwa lata? - Nocny Cię nie wierzyła własnym uszom. - O nie! Poza tym nie jestem taka pewna, czy jesteś od niego lepszy. Nigdy tego nie dowiodłeś.

Już miał protestować, z gardła zaczął wydobywać się pomruk niezadowolenia, lecz ucięła to krótkim ruchem dłoni.

- Milcz. Zrobisz tak, jak ci powiem. Zgładzenie Holidaya zostaw mnie. Twoja rola w tym jest ustalona. Nie chcę żadnych dyskusji. Nie chcesz się chyba ze mną sprzeczać, prawda?

Tamten milczał przez dłuższą chwilę, w końcu odparł:

- Nie.

- Świetnie. Jeśli chcesz śmierci Holidaya, a wiem, że tak, to zostaw to mnie. A teraz odejdz.

Zafalowała przed sobą w powietrzu dłońmi i Rydall zniknął w słupie wznoszącej się mgły. Oczekała chwilę, aby się upewnić, że wysłała go do miejsca, z którego przybył. Nie lubiła go ani mu nie ufała, lecz potrzebowała go jako parawanu dla swoich szachrajstw. Musiała go znosić, dopóki nie skończy tej sprawy. Dopóki Holiday nie będzie martwy.

Przymknęła oczy, ciesząc się widokiem ostatnich chwil króla-marionetki. Jej myśli

wciąż powracały do tego wyobrażenia, kształtując obraz, cyzelując go i polerując, aż stał się idealny. Widziała każdy jego szczegół. Widziała, jak wciąga ostatni haust powietrza, widziała wyraz jego oczu, gdy zdawał sobie sprawę, co się z nim stało, słyszała rozpacz w jego głosie, gdy próbował krzyknąć.

Ach, to nadejdzie. Z całą pewnością. Tymczasem jednak czekały ją inne sprawy, którymi należało się zająć.

Uniosła ramiona po raz ostatni. Tuman ciemnej mgły owinął nagle jej ciało i w chwilę później miejsce świeciło pustką.

Już w drodze przez most, zanim jeszcze wszedł do zamku, Ben Holiday rozważał to wszystko z zapamiętaniem. Willow zeszła z murów obronnych i czekała na niego. Podbiegła doń, a on ją objął, próbując ukoić wewnętrzne drżenie wypełniające ich oboje.

- Odzyskamy ją - powiedział półgłosem, czując, jak jej pięści zaciskają się na jego plecach. - Obiecuję. - Odwrócił się do Buniona podążającego tuż za nim. - Natychmiast udasz się do krainy jezior - polecił koboldowi. - Powiesz Władcy Rzeki, że jego wnuczka została uprowadzona przez Rydalla z krainy Marnhull i poprosisz go o pomoc w jej odnalezieniu. Powiesz mu, że będziemy ogromnie wdzięczni za każdą pomoc, jakiej zdecyduje się udzielić. Upewnij się, czy dobrze zrozumiał, że została porwana w drodze do jego krainy, gdzie miała znaleźć schronienie. Obserwuj bacznie, czy nie ma jakichś śladów wskazujących na to, co mogło się wydarzyć w czasie ich podróży. Bunionie - dodał - uważaj na siebie. Nie podejmuj żadnego ryzyka. Już straciłem Questora i Abernathy'ego. Nie chciałbym stracić również ciebie.

Kobold wyszczerzył zęby. Cóż mogło się przytrafić stworzeniu, które jednym palcem było w stanie wyprawić na tamten świat jaskiniową zmorę czy bagniaaka. Bena jednak przerażała łatwość, z jaką Rydall pokonał tych, którzy mieli chronić Mistayę. Jeśli, oczywiście, coś takiego miało miejsce. Wciąż nie był tego pewien, lecz musiał zakładać najgorsze. Wizyta Buniona u Władcy Rzeki była konieczna.

Bunion obrócił się na pięcie i tak szybko zniknął, że Ben przez chwilę musiał sobie przypominać, po co go w ogóle wysłał. Koboldy były najszybsze z żyjących stworzeń - droga do krainy jezior zajmowała Bunionowi niecały dzień. Dziwne to były stworzenia: ciała chropowate, pokryte najeżoną szczeciną, pałkowate nogi i zakrzywione ramiona, twarze przypominające oblicza małp, a zęby tak liczne i ostre jak u aligatora - zlepek zdumiewających i przeciwstawnych sobie cech. Koboldy jednak od wielu lat służyły królom Lando-ver, zawsze lojalne i gotowe do poświęceń. Ben wiedział, że może polegać na swoim

posłańcu.

Ruszył przez dziedziniec, z Willow przy boku.

- Wchodzę na górę skorzystać z krainogłędu. Może uda mi się znaleźć jakiś ślad Misty. Czy możesz odwołać wszystkie moje spotkania na dzisiaj? Zejdę na dół najszybciej, jak tylko mi się uda.

Wdrapał się na najwyższą wieżę zamku i wszedł na pokład krainogłędu, magicznego przyrządu pozwalającego przemierzać Landover od jednego krańca do drugiego bez opuszczania Sterling Silver. Przywołał magię i oderwał się od wieży, jak gdyby naprawdę leciał. Oczyma duszy zajrzał w każdy zakątek kraju, lecz nie znalazł ani córki, ani swoich przyjaciół, ani żadnego śladu wskazującego na to, co się mogło stać. Złożył krótką wizytę w Elderew, domu Władcy Rzeki, lecz nic nie świadczyło o tym, że istoty niegdyś czarodziejskie zdają sobie sprawę z tego, co się stało.

Stamtąd udał się na wschodnie granice, przeszukując peryferie krainy czarodziejskich mgieł na południe od Ognistych Źródeł, lecz nie znalazł śladu Rydalla ani Mistai, ani niczego, co mogło do nich prowadzić. Poszukał Straba, ale jego również nie zdołał znaleźć. Smok pewnie spał w jednej z ognistych jam, które nazywał domem. Przeniósł się następnie na północ, do Melchoru, a w końcu do Wielkiej Czeluści. Jej zagłębienia były jedynym miejscem, do którego nie miał dostępu z krainogłędu: nie pozwalała na to magia Nocnego Cienia. Zatrzymał się na krótką chwilę, myśląc o tym, że ci, których szuka, mogli z łatwością zostać ukryci właśnie tutaj, i że nigdy by się o tym nie dowiedział, ale to by znaczyło, że jest w to zamieszana Nocny Cień. Choć nienawidziła go z całego serca, to jeszcze bardziej nienawidziła przybyszów z zewnątrz. Nigdy nie pozwoliłaby sobie konspirować z kimś, kto zamierzał podbić Landover. Poza tym nikt nie widział jej już od miesiąca. Ben udał się dalej.

Spędził cały poranek, przemierzając krainę w poszukiwaniu Mistai i przyjaciół, i nie znalazł po nich ani jednego śladu. Jak gdyby zniknęli z powierzchni ziemi. Kiedy w końcu wrócił do komnaty i zszedł z pulpitu, był wykończony. Korzystanie z magii krainogłędu kompletnie go wyczerpało, a i tak nic nie wskórał. Był zniechęcony i przerażony. Zszedł do swojej sypialni i zasnął.

Kiedy się zbudził, obok niego siedziała Willow, czekając niecierpliwie na jakieś wieści. Nie miał jednak żadnych. Resztę dnia spędzili na dokładnym sprawdzaniu planu spotkań na ten tydzień, a w końcu większość z nich odwołali. Niektóre należało zachować, gdyż pewne sprawy nie mogły czekać. Ben jednak zajmował się tym chaotycznie, gdyż i tak nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o nieobecnej córce i zaginionych przyjaciółkach. Nie wiedział, co ma robić dalej. Wydawało się, że może jedynie czekać na przybycie

pragnących pojedyńkować się z nim rycerzy Rydalla. Miał na to trzy dni. Wtedy powinien się pojawić pierwszy z nich. Nie rozmawiał o tym z Willow, lecz widział w jej oczach i słyszał w jej głosie, że ona również o tym myśli. Miała to być walka na śmierć i życie, podejmowana siedem razy, jeśli przeżyłby poprzednie. Siedem razy będzie musiał przybrać zbrojne ciało Paladyna i jego wojenne umiejętności. Siedem razy będzie musiał poddać się tyranii życia i wspomnień kogoś, kogo jedynym celem jest zabijanie wrogów króla. Perspektywa ta przejmowała go grozą.

Źle spali tej nocy. Często się budzili, aby się objąć i poleżeć blisko siebie w ciszy, myśląc o tym, co przyniosą nadchodzące dni. Ben jeszcze nigdy nie czuł takiej wewnętrznej pustki. Miał uczucie, że odsyłając Mistayę, zdradził ją, że powinien był zatrzymać ją przy sobie. Być może w ten sposób mógłby lepiej ją chronić przed Rydallem. Oczywiście nie powiedział tego Willow. Teraz, kiedy było już po wszystkim, łatwo było gdybać. Należało jednak zrobić wszystko, aby móc przywrócić dawny stan rzeczy. Lecz jak miał tego dokonać? Czego jeszcze nie próbował?

Przed południem następnego dnia Bunion był z powrotem. Spotkał się z Władcą Rzeki. Mistaya i pozostali nigdy nie dotarli do Elderew. Żadna z istot niegdyś czarodziejskich nie miała pojęcia, co się z nimi stało. Nie było żadnego śladu, że kiedykolwiek tamtędy przechodzili.

Ben Holiday i Willow popatrzyli na siebie wzrokiem pełnym bezradności, próbując ukryć rozpacz.

POKUSA

Mistaya zbudziła się i zobaczyła, że spowija ją smuga mglistego światła, a świat pogrążony jest w głębokiej ciszy. Leżała na ziemi, wciąż owinięta w swój koc, lecz bardzo daleko od miejsca, w którym zasnęła. Wiedziała to instynktownie. Wiedziała również, że musiała bardzo długo spać. Była jeszcze zasnana, miała zdrętwiałe kończyny i mętny wzrok, a całe ciało wypełniał ten rodzaj ciężkości, jaki przychodzi po głębokim śnie. Coś musiało się jej przytrafić. Coś nieoczekiwanego.

Usiadła i rozejrzała się dokoła. Była sama. Ani śladu Que-stora, Abernathy'ego czy żołnierzy gwardii królewskiej. Żadnego również śladu po Gwizdku. Zniknęły zwierzęta, to samo stało się z bagażami i powozem. Nie była zdziwiona. Kiedy spała, zabrano ją daleko od tego wszystkiego. Nie mogła też znajdować się wciąż w krainie jezior. Wszystko wyglądało tutaj zupełnie inaczej. Podniosła wzrok ku górze. Niebo było niewidoczne. Wszędzie były drzewa, wiekowe giganty oplecione bluszczem i porośnięte mchem. Światło było przyćmione

i przesycone mgłą. W ustach i w nosie czuło się wilgoć ziemi oraz zapach i smak rozkładającego się drewna. To dziwne, lecz wydawało jej się, iż nie jest to coś zupełnie jej obcego.

Podniosła się, dochodząc powoli do siebie. Nie bała się. Sądziła, że powinna się bać, lecz było inaczej. Przynajmniej na razie. Wszystko otaczała aura dziwności, której nie potrafiła wyjaśnić, lecz jej samej nic się nie stało. Zastanawiała się, co się stało z jej przyjaciółmi, nie przyszło jej wszakże do głowy pytanie, czy czasem jej samej nie grozi niebezpieczeństwo.

Rozejrzała się ostrożnie wokół, kreśląc wzrokiem pełen okrąg, aby zlustrować całą okolicę, lecz nie znalazła niczego oprócz starych drzew i przytłumionej mgłą ciszy.

Kiedy zatoczyła pełne koło, znalazła się twarzą w twarz z wysoką, pełną dostojeństwa kobietą.

- Witaj, Mistayo - pozdrowiła ją kobieta, uśmiechając się. Był to chłodny uśmiech.

- Gdzie ja jestem? - zapytała Mistaya, zastanawiając się jednocześnie, skąd zna tę kobietę.

- Jesteś w Wielkiej Czeluści - odpowiedziała spokojnie tamta, stojąc nieruchomo na tle przyćmionego światła. Miała na sobie czarne szaty. Przez środek czarnych włosów biegło pojedyncze białe pasemko. Jej skóra była alabastrowo biała. Jej oczy... - Pamiętasz mnie, prawda? - Brzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Tak - odparła Mistaya, teraz już tego pewna, choć nie mogła sobie przypomnieć skąd. To jest Wielka Czeluść, jak powiedziała kobieta, a w Wielkiej Czeluści żyje tylko jedna osoba. - Jesteś Nocnym Cieniem?

- We własnej osobie - odpowiedziała z zadowoleniem wiedźma. Oczy, poprzednio srebrne, przybrały nagle czerwoną barwę.

- Jesteś tym ptakiem, tą wroną - powiedziała nagle dziewczynka. - Z tamtego pikniku. Przyglądałaś mi się wtedy.

Nocny Cień uśmiechnęła się szeroko.

- To ja. Ty też mi się przyglądałaś, prawda? Masz doskonałą pamięć.

Mistaya rozejrzała się niepewnie wokół siebie.

- Co ja tutaj robię? Ty mnie przyniosłaś?

- Tak, ja. Spałaś, kiedy wasz obóz zaatakowali ludzie Rydalla, króla krainy Marnhull, tego samego, który niedawno przybył do zamku twego ojca. Pamiętasz go?

Mistaya skinęła głową.

- Zaatakowali nagle, zupełnie nieoczekiwanie. Zamierzali cię uprowadzić. Gdybyś się

znalazła w rękach Rydalla, mógłby zmuszać twego ojca, do czego tylko by chciał, na przykład żeby zrzekł się tronu Landover i udał na wygnanie. Twoi rodzice myśleli, że Rydall nie będzie wiedział o twojej wyprawie do krainy jezior i twego dziadka, lecz on jest bardziej niebezpieczny, niż przypuszczali. Całe szczęście, że ja czuwałam nad tobą, że zadbałam o twoje bezpieczeństwo. Za pomocą moich czarów zdołałam cię porwać, zanim cię ujeli. Przeprowadziłam cię tutaj, do Wielkiej Czeluści, abyś została u mnie. Mistaya nic nie powiedziała, lecz jej oczy zdradzały, co naprawdę myśli.

- Nie wierzysz mi, co? - powiedziała wiedźma. Mistaya zacisnęła usta w wąską kreskę.

- Mój ojciec by nie chciał, żebym była tutaj - powiedziała cicho.

- Dlatego, że nie jesteśmy przyjaciółmi i nie ufa mi - przyznała czarownica, wzruszając ramionami. - To prawda. Chodzi jednak o to, że już się dowiedział, iż tu jesteś, i teraz zrobi to, co będzie uważał za stosowne.

- On wie? - Mistaya ściągnęła brwi.

- Oczywiście. Już go powiadomiłam. W tajemnicy, naturalnie, żeby Rydall się nie zorientował. Musiałam działać szybko, kiedy nastąpił atak, więc nie poinformowałam o tym twoich przyjaciół. Myślę, że nic im się nie stało, lecz nie mogłam zostać, żeby się upewnić. Cjuestor Thews zdawał się dzielnie bronić, a poza tym myślę, że po twoim zniknięciu musieli zaraz odwołać atak. Nie było przecież sensu dalej go prowadzić.

- Dlatego, że byłam z tobą?

- Właśnie. Ale Rydall o tym nie wie. Myśli, że wróciłaś do Sterling Silver albo udałaś się do Elderew, aby być ze swoim dziadkiem. Żadne z tych miejsc nie jest, oczywiście, bezpieczne. Tam będzie ciebie przede wszystkim szukał. Nie przyjdzie mu do głowy szukać ciebie tutaj. Bezpieczniej będzie, jeśli do czasu rozwiązania całej tej sprawy zostaniesz u mnie. Twój ojciec zgodzi się z tym, kiedy to przemyśli.

Mistaya przestąpiła z nogi na nogę, myśląc nad tym intensywnie. Nic z tego, co powiedziała wiedźma, jej nie przekonywało.

- Skąd wiesz o Rydallu? Dlaczego mnie obserwowałaś? Interesujesz mnie, Mistayo - odpowiedziała powoli kobieta. - Wiem o tobie to, z czego nawet ty sama nie zdajesz sobie sprawy. Chciałam ci o tym powiedzieć, lecz nie wiedziałam, jak mam to zrobić. Śledziłam cię więc i czekałam na okazję. Wiem, co twój ojciec i twoja mama czują do mnie. Nie zawsze żyliśmy w zgodzie. Zdarzało się nawet, że walczyliśmy ze sobą. Łączy nas jednak wspólna troska o twój los. - Przerwała. - Czy wiesz, Mistayo, że urodziłaś się w Wielkiej Czeluści?

- Naprawdę? - Dziewczynka zmarszczyła czoło.

- Twoja mama nie powiedziała ci tego, prawda? Tak myślałam. - Nocny Cień poruszyła się lekko. Wzrok przeniosła na drzewa i sprawiała wrażenie, jakby ją wszystko przestało interesować. - Czy powiedziała ci, że posiadasz magiczną moc?

Mistaya otworzyła usta z wrażenia. Ciekawość rozbliła w szmaragdowych oczach.

- Naprawdę? Prawdziwą magię?

- Oczywiście. Każda czarownica ją posiada. - Nocny Cień spojrzała na nią i jej czerwone oczy zamigotały. - Wiedziałaś, że jesteś czarownicą, prawda?

Mistaya wzięła głęboki oddech, zanim odpowiedziała.

- Nie, nie wiedziałam. Ty mnie oszukujesz. Czarownica nie odpowiedziała. Zamiast tego wykonała przed sobą w powietrzu kilka płynnych ruchów dłońmi i pojawił się stół wraz z dwoma krzesłami. Stół był nakryty purpurowym obrusem i zastawiony owocami, orzechami, chlebem, serami i domowym sokiem z jabłek.

- Usiądź - poleciła wiedźma. - Posilimy się trochę, gdy będziemy rozmawiały.

Mistaya wahała się przez chwilę, lecz głód zwyciężył wszelkie opory i zajęła krzesło naprzeciwko Nocnego Cienia. Wciąż ostrożna, spróbowała orzecha, a potem wzięła plasterk sera. Smakowało wyśmienicie, więc skosztowała reszty i wypła filizankę jabłeczniaka. Czarownica siedziała naprzeciwko niej i żuła w zamyśleniu kromkę chleba.

- Coś ci powiem, Mistayo - odezwała się. - Sprowadziłam cię tutaj, ponieważ nadarzyła się okazja, a bałam się, że drugiej już nie będzie. To była oczywiście okazja. Gdybym czekała, aż sama przyjdiesz albo że twoi rodzice cię wyślą - jeśli miałabym śmiałość wystąpić z taką prośbą, bo z ich strony taka propozycja nigdy by nie wyszła - to prawdopodobnie nigdy byś tu nie przyszła. Nie skarzę się na to. Rozumiem, że tak się mają sprawy. Wielu ludzi z różnych zakątków kraju ma o mnie złe mniemanie. Jestem pewna, że słyszałaś o mnie wiele złego.

Mistaya podniosła wzrok znad swego talerza. W jej oczach zamigotały iskierki niepokoju, lecz głos wiedźmy nie zdradzał groźby. Również jej twarz tego nie pokazywała.

- Nie musisz się mnie obawiać - zapewniła ją czarownica. - To miejsce ma być twoim schronieniem, a nie źródłem lęku. Możesz odejść, kiedy tylko zechcesz. Chciałabym jednak, żebyś najpierw mnie wysłuchała. Zgadzasz się na to?

Mistaya zastanawiała się nad tym, pogryzając orzechy trzymane w dłoni, po czym skinęła głową.

- Dobrze. Jesteś rozsądną dziewczynką. Naprawdę uważam, że tutaj będziesz bardziej bezpieczna niż przy rodzinie. - Wiedźma z lekceważeniem machnęła dłonią. - Rydall jest osobą z zewnątrz; zapragnął tronu Landover i chce przyłączyć małe królestwo do swego

mocarstwa. Mimo różnic dzielących mnie i twojego ojca, co do jednego się zgadzamy: Landover nie może trafić pod rządy Rydalla. Jestem wiedźmą, Mistayo, a wiedźmy wiedzą o sprawach, o których inni nie mają pojęcia. Słyszą o nich wcześniej i potrafią je lepiej zrozumieć. O Rydallu wiedziałam, w momencie gdy przekroczył granicę krainy czarodziejskich mgieł w towarzystwie tajemniczego jeźdźca w czarnych szatach. Odkryłam, że to jego czarodziej. Bardzo potężny, może tak potężny jak ja. Wiedziałam o nich i udałam się za nimi do domu twojego ojca. Słyszałam ich żądania. Wiedziałam, co zrobią. Kiedy przyszli po ciebie, już czekałam.

Miałam jednak też inne powody, żeby interweniować w tamtej chwili. - Ponownie odwróciła wzrok w stronę drzew, jakby kontemplowała widok. - Chciałam cię sprowadzić tutaj. Chciałam, żebyś spędziła trochę czasu ze mną w Wielkiej Czeluści. Czułam, że taka okazja nigdy się już nie powtórzy. Bardzo mi zatem zależało, żeby ją wykorzystać. Myślę, że powinnaś usłyszeć prawdę o sobie samej. Jest to ważne zarówno dla ciebie, jak i dla mnie.

- Dla ciebie? - Dziewczynka spojrzała na nią powątpiewającym wzrokiem.

- Tak, Mistayo. - Dłonie Nocnego Cienia pieściły jedna drugą jak dwie małe białe myszki. - Jestem Wiedźmą z Wielkiej Czeluści, jedyną czarownicą w całym Landover, i długo musiałam czekać, aż pojawi się następna. Chcę odkryć przed tobą to, co wiem. Chcę porozmawiać z kimś, kto pała taką samą namiętnością do czarów jak ja. Ty jesteś tą osobą.

Mistaya przerwała jedzenie. Wpatrywała się w czarownicę zachwycona.

- Przypuszczałam, że mogę posiadać magiczną moc - powiedziała cicho, z wahaniem, myśląc o Matce Ziemi. - Czasami prawie ją czułam, ale nie byłam tego pewna.

- Nie jesteś wyszkolona w posługiwaniu się nią, nie potrafisz jej wzywać, a do tego prawda o jej istnieniu była trzymana przed tobą w sekrecie. Twoja magia była jednak zawsze w tobie - zapewniła ją wiedźma

- Dlaczego mi o tym nie powiedziano? - Mistaya nie była jeszcze do końca przekonana o tym, co usłyszała, lecz już zaczynała badać tkwiące w tym możliwości. - Dlaczego moi rodzice, a nawet Questor, mówią mi, że posługiwanie się magią, każdą magią, jest niebezpieczne? Czy chcesz powiedzieć, że okłamywali mnie?

- W żadnym wypadku. - Nocny Cień potrząsnęła głową. - Nigdy by tego nie zrobili. Po prostu chcieli cię uchronić przed czymś, do czego ich zdaniem jeszcze nie dorosłaś. W swoim czasie wszystkiego byś się od nich dowiedziała. Ja oczywiście myślę, że nie mieli racji, broniąc ci dostępu do tej wiedzy tak długo. Teraz jednak pojawiły się dodatkowe powody, aby ci o tym powiedzieć. Nie mają one nic wspólnego z różnicą poglądów między mną a twoimi rodzicami. Łączą się one ściśle z przybyciem Rydalla i niebezpieczeństwem,

jakie zawisło nad twoim ojcem.

- Jakim niebezpieczeństwem? - zapytała od razu Mistaya. - Powiedz mi.

Nocny Cień potrząsnęła jednak głową i uniosła szczupłą dłoń.

- Cierpliwości, Mistayo. Pozwól, że opowiem ci wszystko po swojemu. Kiedy skończę, będziesz mogła zdecydować. Podniosła się, a razem z nią Mistaya. Wiedźma wykonała nieznaczny ruch ręką i stół wraz z jedzeniem i napojami zniknął. Polana, na której stały, znowu opustoszała. Nocny Cień uśmiechnęła się do Mistai. Był to ten sam chłodny uśmiech, lecz tym razem wydał się dziewczynce bardziej pokrzepiający. Przyłapała się na tym, że prawie bezwiednie również się uśmiecha.

- Zostaniemy przyjaciółkami - powiedziała wiedźma, unosząc brwi wysoko, aż do białego kosmyka włosów. - Nie będziemy miały przed sobą żadnych tajemnic. A teraz chodź ze mną.

Ruszyła przez polanę w stronę lasu, nie oglądając się za siebie. Mistaya, zaciekawiona, podążyła za nią, pragnąc usłyszeć, co jeszcze tamta ma jej do powiedzenia. Nie zastanawiała się już nad okolicznościami, które sprawiły, że znalazła się w Wielkiej Czeluści. Nawet nie myślała o rodzicach, Que-storze Thewsie i Abernathym. Zamiast tego myślała o swojej magicznej mocy, o której zawsze wiedziała, że w niej tkwi, i której tak rozpaczliwie pożałowała. Zostanie wreszcie przed nią odkryta. Wyczuwała to ze słów wysokiej kobiety.

Kiedy przeszły niewielki odcinek lasu i znalazły się w miejscu, gdzie mgiełka była tak gęsta, że zdawało się, iż można ją kroić, a wpadające światło było anemicznie blade, Nocny Cień odwróciła się i spojrzała dziewczynce w twarz.

- Nie jesteś zbyt bojaźliwa, Mistayo, prawda? - zapytała. Mistaya pokręciła głową. - Nie płaczesz i nie chowasz się pod kołdrę na widok magii, tak jak robią inne dzieci, gdy zbliża się burza z piorunami i błyskawicami?

Mistaya ponownie pokręciła głową, tym razem z prawdziwym zacięciem.

- Niczego się nie boję! - powiedziała odważnie i była niemalże o tym przekonana.

Nocny Cień pokiwała głową i jej oczy kolejny raz stały się srebrzyste i pogodne.

- Sprowadziłam cię tutaj, do Wielkiej Czeluści, ponieważ jesteś czarownicą. Czarownicą - powtórzyła - tak jak ja. Tutaj przyszedłeś na świat, zrodzona zostałaś z ziemi wielokrotnie uświęconej przez czary, z dziedzictwa krwi istot czarodziejskich, stworzona do świata, w którym to, co potężne i niezawodne, jest błogosławione przy użyciu mocy. Z tego powodu jesteś dla swoich rodziców po części enigmą. Enig-mą. Czy znasz to słowo? Mistaya skinęła głową.

- Tajemnicą.

- Właśnie. Tajemnicą. Ponieważ w całym Landover nie ma nikogo takiego jak ty. Posiadasz zdolności, których istnienia oni nawet nie podejrzewają. Masz magiczną moc, którą tylko ja jestem w stanie pojąć. Mogę cię nauczyć, jak ujarzmić tę moc i dobrze ją wykorzystać. Nikt oprócz mnie nie potrafi ci tego dać. Ani twoi rodzice. Ani Questor Thews. Zupełnie nikt. Nikt nie włada taką mocą, stąd też nie mogą dać ci tego, czego potrzebujesz. Owszem, czary mogą być rzeczywiście bardzo niebezpieczne w użyciu. Nie jest to żadną tajemnicą. Niebezpieczeństwo jednak bierze się z niezrozumienia tego, co magia potrafi zdziałać. Chodzi o to, żeby umieć ją kontrolować przez cały czas. Rozumiesz?

Mistaya jeszcze raz skinęła głową, coraz bardziej podekscytowana wyraźną obietnicą zawartą w słowach wiedźmy.

- Dobrze. W takim razie popatrz. - Nocny Cień nachyliła się i zerwała polny kwiatek z nierozwiniętymi jeszcze pączkami. Uniosła go przed Mistaya. Następnie wyprostowała jeden palec i pogładziła małą główkę pączka. Pączek drgnął i rozkwitł w purpurowy kwiat. - Widzisz? Magia tchnęła w niego życie. Teraz ty spróbuj.

Podawała Mistai łąkę, na której było wiele pączków i tylko jeden otwarty kwiat, a ta ujęła ją niepewnie i trzymała przed sobą, jakby była ze szkła.

- Skup się na pączku - poradziła wiedźma. - Skup się na tym, jak będzie wyglądał, kiedy rozłoży płatki. Zabierz uczucie rodzącego się życia głęboko do wnętrza swego ciała, tam gdzie panują jedynie ciemności i ukryte są obrazy naszej wyobraźni. Skup się na kwiecie, który stworzysz, i wtedy powoli dotknij pączka.

Mistaya wykonała polecenie, koncentrując każdą cząstkę energii na psychicznym obrazie pączka otwierającego się w kwiat. Wyciągnęła rękę i dotknęła pączka, delikatnie, z wahaniami.

Pączek rozwinął się do połowy i zatrzymał.

- Bardzo dobrze, Mistayo - oznajmiła czarownica, biorąc kwiat z jej ręki i odrzucając go na bok. - Czy to takie trudne?

Dziewczynka potrząsnęła szybko głową. W ustach miała sucho, a serce waliło jej jak młot. Rzecz nie do wiary: dokonała sztuki magicznej. Czowała, jak pączek reaguje na jej dotyk, widziała, jak lekko drży, tak samo jak w ręku Nocnego Cienia. Lecz było i coś jeszcze. Gdzieś głęboko w sobie czowała delikatne falowanie czegoś gładkiego i srebrzystego, co pieściło ją jak kot i pozostawiało po sobie ciepło oraz rozniecało pragnienie czegoś więcej.

Poczuła muśnięcie wiotkiej dłoni Nocnego Cienia na swojej ręce. Dotyk nie był nieprzyjemny. Wydał się znajomy i przez to krzepiący.

- Spróbuj tego - powiedziała wiedźma. Nachyliła się i podniosła gaśienicę w czarne i

pomarańczowe paski. Gąsienica na jej dłoni zwinęła się w kulkę, po chwili znowu rozwinęła i zaczęła się powoli oddalać w poszukiwaniu schronienia. Wiedźma dotknęła gąsienicy ręką, a ta natychmiast zamieniła się w złoto. - A teraz ty przywróć jej poprzednią postać - poleciła, wyciągając do Mistai dłoń. - Skoncentruj się. Stwórz sobie w głowie obraz tego, co zamierzasz zrobić. Sięgnij głęboko do swego wnętrza po uczucie obrazujące tę przemianę.

Mistaya zwilżyła wargi, a potem je zacisnęła. Skupiła się z całych sił na gąsienicy, wyobrażając ją sobie żywą, widząc jak przeobraża się z metalu w materię organiczną. Zobaczyła to w swojej głowie, potem poczuła w sercu. Wyciągnęła rękę i dotknęła liszki.

Gąsienica znowu zrobiła się czarno-pomarańczowa i zaczęła pełznąć.

- Udało się! - wysapała pojętna uczennica z przejęciem. - Widziałaś? Udało mi się! Przywołałam magię!

W tej samej chwili zapomniała o wszystkim: o swoich wątpliwościach, pytaniach, rodzicach i przyjacielach. Nocny Cień strąciła gąsienicę i szybko nachyliła się nad dziewczynką, wbijając w nią swe bystre jak błyskawice oczy.

- Teraz już rozumiesz, Mistayo. Zobaczyłaś prawdę o tym, do czego jesteś zdolna. Ale to jeszcze nic takiego. To tylko drobna zapowiedź tego, co naprawdę będziesz mogła uczynić. Musisz jednak słuchać tego, co ci powiem. Musisz przykładać się do lekcyj, których będę ci udzielała. Musisz ćwiczyć to, co ci pokażę. Musisz pracować bardzo ciężko. Jesteś gotowa to robić?

Mistaya kiwnęła energicznie głową. Jej blond włosy połyskiwały od tropikalnej wilgoci, a oczy błyszczały jak u kota skrytego w jaskini.

- Tak, jestem. Ale... - Przerwała, przypominając sobie na nowo o okolicznościach, w jakich znalazła się w Wielkiej Czeluści. - Mój ojciec...

- Twój ojciec wie, że tu jesteś, i przyjdzie po ciebie, jeśli będzie czuł, że nie powinnaś tutaj zostawać - odpowiedziała szybko i bez zająknięcia wiedźma. - Sama jednak musisz znaleźć odpowiedź na pytanie, czy chcesz tu zostać, czy nie. Wybór należy wyłącznie do ciebie. Zanim jednak go dokonasz, jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć. Pamiętaj, jak ci mówiłam, że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego się znalazłaś tutaj ze mną, dla którego mówię ci o twoim potencjale, dla którego staramy się zbadać twoją magiczną moc?

Zaczekała na odpowiedź. Mistaya zawahała się, po czym skinęła głową.

- Pamiętam. Wspomniałaś, że powiesz mi o tym później.

- Bardzo blisko. - Nocny Cień uśmiechnęła się. - Powiedziałam, że powiem o tym w swoim czasie i po mojemu. Posłuchaj zatem. Po twoim wyjeździe Rydall z krainy Marnhull odwiedził jeszcze raz twego ojca. Powiedział mu, że zniszczy go przy użyciu magii swego

czarodzieja. Questor Thews będzie próbował chronić twego ojca, lecz nie ma do tego wystarczającej siły. Mag Rydalla jest o wiele potężniejszy. - Podniosła jeden ze swoich cienkich palców i dotknęła nim czubka nosa Mistai. Było to jak muśnięcie języka żmii. - Ty natomiast, Mistayo, masz w sobie potencjał, dzięki któremu możesz być potężniejsza od niego. Twoja magiczna moc wciąż pozostaje w ukryciu, lecz niewątpliwie jest w tobie. Czeka, aby pokonać Rydalla i jego maga i uratować twego ojca. Czuję tę siłę i z tego powodu uważałam za słusne sprowadzić cię tutaj i przygotować do wypełnienia twego przeznaczenia. Będiesz bowiem potężną czarownicą, a zarazem córką króla, i stopień biegłości, jaki osiągniesz w wykorzystaniu obu swych dziedzictw, zdecyduje o tym, jak potoczy się twoje życie. Mistaya wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

- Będę w stanie uratować mego ojca? Moje czary będą do tego wystarczająco silne?

- Tak silne, jak to sobie można tylko wyobrazić. - Wiedźma przerwała, uśmiechając się znowu, po czym spoważniała. - Czy Matka Ziemia nie powiedziała ci o tym?

- Tak. Powiedziała, że... - Mistaya zawahała się, zdając sobie nagle sprawę z tego, że nie powinna zdradzać wszystkiego komuś, kto i tak już dużo wie. Poza tym jej spotkanie z Matką Ziemią miało być utrzymane w tajemnicy. - Mówiła mi coś o moim dziedzictwie, lecz według niej kiedyś sama odkryję naturę magii, którą posiadam, albo powiedzą mi o niej moi rodzice, kiedy będą uważali, że jestem na to przygotowana.

Nagle zaczęła się zastanawiać, gdzie jest Gwizdek. Czy salamandra również została na polu bitwy, kiedy Nocny Cień zabrała ją do Wielkiej Czeluści? Chciała zapytać wiedźmę, lecz kolejny raz coś ją powstrzymało. Wiedźma nie wspomniała o Gwizdku, gdy mówiła o pozostałych. Może nic nie wiedziała o salamandrze.

- Matka Ziemia jest twoją przyjaciółką, tak jak i twojej matki - ciągnęła czarownica. - Dobrą przyjaciółką, jak przypuszczam, prawda? - Mistaya skinęła głową. - Sprowadziła cię do siebie tuż przed atakiem. Widziałam to. Czy ostrzegła cię przed nim?

- Nie - odpowiedziała Mistaya, znowu zastanawiając się, dlaczego tamta tego nie wie.

- Czego zatem chciała od ciebie? - zapytała tamta łagodnym tonem. - Powiedz mi.

Mistaya wzruszyła ramionami, odruch zupełnie niewinny i naturalny. Na zewnątrz była spokojna, wewnątrz chłodna. Działo się tutaj coś, czego nie rozumiała. Zdołała uśmiechnąć się lekko.

- Ostrzegła mnie, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo i że muszę się go wystrzegać. Powiedziała, że będę musiała wyteńczyć cały swój spryt i inteligencję.

Czekała z uśmiechem zastygłym na twarzy, podczas gdy wiedźma patrzyła jej głęboko w oczy. Nie wierzy mi! - pomyślała i natychmiast zaczęła się zastanawiać, dlaczego miałyby

to mieć znaczenie i coś takiego przeraża ją w tym wszystkim.

Nocny Cień oderwała wzrok i podniosła się. Jej białe, wąskie ręce spoczęły na ramionach Mistai.

- Mistayo, chcesz zostać ze mną w Wielkiej Czeluści? Chcesz zgłębiać ze mną tajniki magii?

Dotyk uspokoił Mistayę, słowa napęliły odwagą i równie szybko jak wcześniej naszyły ją wątpliwości, teraz odzyskała pewność siebie.

- Jak długo miałabym zostać? - zapytała z wahaniem, nie przestając myśleć o ojcu.

- Tak długo, jak będziesz sobie tego życzyła. Możesz odejść w każdej chwili, lecz pamiętaj - wiedźma ponownie się nad nią nachyliła - kiedy odejdiesz do domu, nie ma już powrotu. Takie są reguły gry. Kiedy już rozpoczniesz swój kurs, musisz wytrwać aż do jego ukończenia, bo inaczej stracisz wszystko, czego się nauczyłaś.

- A jeśli mój ojciec przyjdzie po mnie, to co wtedy?

- Wtedy porozmawiamy z nim i podejmiemy decyzję - odpowiedziała tamta. - Musisz jednak zrozumieć jedno, Mistayo. Magia to delikatne naczynie, które zawiera w sobie wielką moc, lecz może się roztrzaskać jak szkło. Nie można go pozostawić bez opieki, kiedy już się raz znalazło na otwartej przestrzeni. Jeśli zatem mamy zacząć twoje lekcje, musisz się zgodzić doprowadzić je do końca. Czy stać cię na to?

Mistaya przypomniała sobie, jak pączek rozwinął się w kwiat, a gąsienica powróciła do życia. Myślała o uczuciu, jakie zostawiała gotująca się w jej wnętrzu magia, wrażenie czegoś gładkiego i jedwabistego. W porównaniu z tym jej obawy dotyczące okoliczności przybycia do Wielkiej Czeluści wydawały się bez znaczenia.

- Tak - odpowiedziała zdecydowanie.

- Zgadzasz się zatem zostać?

Mistaya skinęła głową z dziecięcą determinacją.

- Tak. Zgadzam się.

Nocny Cień uśmiechnęła się do niej zyczliwie.

- W takim razie zaczniemy od razu. Chodź ze mną. - Odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę polany. - A oto zasady, których trzeba przestrzegać - powiedziała, przedzierając się przez mgiełkę. - Musisz mnie słuchać i wykonywać wszystko, co ci powiem. Nie wolno ci nigdy używać magii beze mnie. Musisz używać magii według moich wskazówek, nawet wtedy gdy nie będziesz rozumiała, czego chcę cię nauczyć. Nie wolno ci nigdy - obejrzała się do tyłu, żeby skupić na sobie wzrok Mistai - opuszczać Wielkiej Czeluści beze mnie. - Odczekała, aż słowa wybrzmiały do końca. - Rydall będzie cię szukał, a

nie wybaczyłabym sobie, gdybyś wpadła w jego ręce przez moją nieuwagę. Będziemy blisko siebie przez cały czas, kiedy będziesz pod moją opieką. Nigdy nie opuszczaj zagłębienia. Rozumiesz mnie?

Mistaya skinęła głową. Rozumiała.

Wiedźma odwróciła się, a na jej gładkim, zimnym obliczu pojawił się niewidoczny dla dziewczynki uśmiech zadowolenia. Czerwonawe oczy świeciły triumfem.

Cały dzień zajęły im lekcje udzielane przez czarownicę. Niektóre były dla Mistai niezrozumiałe, tak jak wiedźma uprzedzała. Niektóre ćwiczenia zdawały się nie mieć widocznego celu. Niektóre wypełniały Mistayę tak potężną energią, że czuła ją w sobie jak krew pulsującą w żyłach podczas biegu. Niektóre były tak delikatne i spokojne, że nie wywoływały w ogóle żadnych odczuć i sprowadzały się jedynie do słów i drobnych gestów w powietrzu.

Po skończonym dniu Mistaya miała mieszane uczucia co do swych osiągnięć. Z jednej strony poczuła i zobaczyła magiczną moc ukrytą w sobie: dziwne, efemeryczne stworzenie, które budziło się do życia i ukazywało na krótko swą twarz, gdy próbowała je wywabić z kryjówek. Z drugiej strony ujawniało się ono i dawało używać w sposób tak enigmatyczny, że nie mogła wyrobić sobie właściwego jego obrazu. Nocny Cień wydawała się zadowolona, lecz Mistaya wciąż miała wątpliwości.

Raz na przykład pracowały nad stworzeniem potwora. Mistaya sama go sobie wybrała, nakłoniona przez nowego mentora do wyobrażenia sobie istoty odpornej na wszelkie ciosy wrogów. Akurat te starania Mistai przypadły Nocnemu Cieniowi szczególnie do gustu. Pochwaliła ją za nie. Powiedziała, że nazajutrz spróbują stworzyć jeszcze jedno monstrum.

Potwory? Mistaya nie rozumiała, ale czyż nie uprzedzono jej, że czasami tak właśnie będzie?

Zawinięta w koc przy ognisku, które wiedźma roznieciła dla jej wygody - sama bowiem zdawała się nie potrzebować tego rodzaju wsparcia - wpatrywała się w posępny mrok Wielkiej Czułości i zastanawiała się, czy postępuje właściwie. Odkrywanie wewnętrznej magii było ekscytujące, lecz czy mogła ignorować istnienie granicy, której przekroczyć jej nie było wolno? Czy jej ojciec naprawdę to pochwalał? Musiał, skoro po nią nie przyszedł. A może nie wiedział, co ona tutaj robi z Nocnym Cieniem? Gdyby wiedział i chciał ją powstrzymać, co by wtedy zrobiła? Nie była pewna. Prawdą było, że tutaj jest bezpieczniejsza niż w miejscach, gdzie Rydall mógł ją łatwo znaleźć. Prawdą było również to, że tutaj jest bardziej interesująco. Nocny Cień to fascynująca osoba, obdarzona

ezoteryczną wiedzą, posiadającą znajomość przedziwnych rzeczy. Chociaż była prawdziwą nauczycielką, traktowała Mi-stayę jak równą sobie, i małej bardzo się to podobało. Pragnęła szacunku, z jakim była tutaj traktowana, a którego w domu była pozbawiona.

Zostanie przez jakiś czas, zdecydowała. Tyle, żeby zobaczyć, co się stanie. W końcu zawsze może odejść. Tak powiedziała wiedźma. Może odejść w każdej chwili, o ile będzie gotowa ponieść konsekwencje tej decyzji.

Tak, zostanie jeszcze przez jakiś czas.

Znowu pomyślała o Gwizdku. Miała być zawsze przy niej, obiecywała Matka Ziemia. Czy naprawdę? Nie potrzebowała jedzenia ani picia, ani żadnej opieki. Mistaya miała tylko wymawiać jej imię przynajmniej raz dziennie, aby zatrzymać ją blisko siebie.

Dłoń poderwała się i zakryła usta. Nie zrobiła tego. Nie wymówiła jej imienia ani razu. Zupełnie o tym zapomniała. Otworzyła usta, lecz się powstrzymała. Wiedźma nie wiedziała o salamandrze. Co by na to powiedziała? Czy odesłałaby stąd Gwizdka? A może razem z nią i Mistayę?

Dziewczynka zagryzła wargi. Jakież zresztą to ma znaczenie, jeśli salamandry tutaj nie ma. Przecież wiedźma mogła się o niej dowiedzieć, jeszcze zanim zaczęła się martwić o całą resztę.

- Gwizdek - powiedziała tak cicho, że trudno było cokolwiek usłyszeć.

Natychmiast obok niej pojawiła się salamandra, patrząc na nią z ciemności wielkimi, pełnymi uczucia oczami. W podnieceniu dziewczynka zaczęła już wyciągać do niej rękę, lecz zatrzymała ją. Nigdy nie wolno dotykać salamandry, ostrzegła Matka Ziemia. Nigdy.

- Cześć, maleńka - szepnęła, uśmiechając się. Zwierzątko uderzyło w odpowiedzi ogonem o ziemię.

- Wołałaś mnie, Mistayo? - odezwała się z mroku tuż przed nią kobieta. Głowa małej podskoczyła do góry. Natychmiast pojawiła się Wiedźma z Wielkiej Czułości i nachyliła nad nią. - Mówiłaś coś?

Mistaya zamrugała oczami i spojrzała w dół na Gwizdka. Salamandra zniknęła.

- Nie, nic. Musiałam chyba mówić przez sen.

- Dobranoc zatem - powiedziała wiedźma i znowu się rozplynęła w mroku.

- Dobranoc - odpowiedziała Mistaya.

Wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze. Znowu rozejrzała się za Gwizdkiem. Salamandra jeszcze raz się pojawiła, wyłaniając się z nocnych ciemności. Mistaya patrzyła na nią przez chwilę z uśmiechem na twarzy. Wkrótce zamknęła oczy i usnęła.

BUMBERSHOOT

W tej samej chwili gdy dopadł ich magiczny ogień wiedźmy, zniknął Landover i zatrzymał się czas. Miękkie, przejrzyste jak mgielka światło owinęło Abernathy'ego w swój kokon i Questor Thews zniknął mu zupełnie z widoku. Unosił się, odrętwiały, zawieszony w świetle i otoczony kompletną ciszą. Nie odczuwał niczego. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Myślał, że nie żyje i że tak właśnie wygląda umieranie, ale nie był pewien. Spróbował się poruszyć, lecz nie mógł. Usiłował dojrzeć coś przez otaczającą go białą jasność, lecz to mu się również nie udało. Z trudem zdołał zbudować spójną logicznie myśl. Nawet nie wiedział, czy oddycha.

Wtem, wraz z nagłym podmuchem wiatru, zniknęło światło i z powrotem pojawiły się z niezwykłą ostrością jaskrawe kolory i obrazy, dźwięki, smaki i zapachy życia. Kraina jezior zniknęła. Był prawie pewien, że sam Landover również zniknął. Siedział na trawie, której połąć rozciągała się wokół wielkiego kamiennego basenu. Na środku basenu tryskał z fontanny pióropusz wody, który wysoko w powietrzu opadał łukiem w postaci puszystej mgielki. Załamane w wodzie światło tworzyło małe, skrzące się tęcze. Wszędzie na trawniku i na brzegu fontanny siedzieli ludzie. Dzieci, które odważyły się wejść do środka kamiennego zbiornika, bawiły się pod fontanną, wbiegając i uciekając spod rozpylonych kropel wody, śmiejąc się i psocąc. Było lato, a dzień słoneczny i upalny.

Abernathy usiadł prosto i rozejrzał się dokoła. Wszędzie było pełno ludzi. Trwało jakieś święto i wszyscy uczestniczyli w zabawie. Po drugiej stronie ulicy zobaczył dwóch zonglerów. Klaun chodził na szczudłach. Na stojącym nieopodal stole jakiemuś chłopcu malowano twarz. Trawnik ze wszystkich stron okalały chodniki. Najbliższy zastawiony był budkami, w których sprzedawano wyroby rzemiosła artystycznego: szklane bryły, rzeźby z drewna i wszelkiego rodzaju wyroby tekstylne. Na pozostałych chodnikach stały zbite jeden obok drugiego stragany i wózki, gdzie sprzedawano jedzenie i picie. Krzykliwe napisy obwieszczały rodzaje oferowanych smakołyków i napojów. Nazwy te nic Abernathy'emu nie mówiły.

Potrafił jednak odczytywać napisy. Gdyby znajdował się poza Landover, powinno to być niemożliwe.

Pierwsze przyszło mu do głowy pytanie: Gdzie ja jestem?

Następna myśl była również pytaniem: Dlaczego nie jestem martwy?

Mężczyzna o długich, splecionych czarnych włosach i krzaczastej brodzie pofarbowanej w fioletowe paski stał obok kobiety, której włosy splecione w drobne

warkoczyki z nanizanymi na nie koralikami miały na swoich końcach maleńkie dzwoneczki. Oboje nosili złote kolczyki i naszyjniki i paradowali z podobnymi czerwonymi różami w czerwonych sercach. Wpatrywali się z niedowierzaniem w Abernathy'ego.

- Człowieku, ale wypas! - powiedział mężczyzna tonem pełnym podziwu. - Jak to zrobiłeś?

- Czy to jakaś magiczna sztuczka? - zapytała kobieta. Abernathy nie miał pojęcia, o czym oni mówią, ale potrafił ich zrozumieć, i było to tak samo dziwne jak to, że potrafił czytać napisy. Rozejrzał się wokół z zakłopotaniem. Ze wszystkich stron dochodziła muzyka, mieszając się z krzykami i śmiechem. Wzdłuż chodników stały wielkie kamienne budynki i namioty pełne ludzi. Nie znał tych budynków, a jednocześnie nie były mu one zupełnie obce. W dudniących rytmach muzyki pobrzmiwały różne style, ale żadnego z nich nie dawało się od razu rozpoznać. Było głośno i zdecydowanie nic do siebie nie pasowało. Jakaś grupa muzyków zajmowała scenę wzniesioną pod namiotem daleko w tyle za fontanną. Ich muzyka, charcząca i spotęgowana wzmocnieniami, sprawiała wrażenie, że wydobywa się z samego powietrza. Gdzie się tylko obrócił, wszędzie powiewały flagi, sztandary i proporce. Ludzie tańczyli i śpiewali. Na każdym kroku coś się działo.

- Hej, czy to już cały twój występ? - spytał mężczyzna z brodą w fioletowe smugi.

- No, pokaż coś jeszcze! - nalegała jego towarzyszka. Abernathy uśmiechnął się i wzruszył ramionami, szczerze pragnąc, aby mężczyzna i kobieta już sobie poszli. Co tu się w ogóle działo? Najwyraźniej nie był martwy. Cóż się z nim zatem stało? Wyciągnął przed siebie dłonie, sprawdzając, czy nic mu nie jest. Wszystko wydawało się w porządku. Dwie ręce, dwie nogi, ciało, palce u rąk i nóg - czuł je wewnątrz butów. Niczego nie brakowało. Zatopił palce we włosach i zaczesał je do tyłu. Potarł policzek i zauważył, że warto byłoby się ogolić. Poprawił okulary na nosie. Wydawało się, że nic mu nie jest.

Następnie odwrócił się do tyłu i stanął twarzą w twarz z Questorem Thewsem. Czarodziej wytrzeszczał na niego oczy. Patrzył tak, jakby go ujrzał pierwszy raz w życiu.

- Questorze Thewsie, nic ci nie jest? - zapytał z niepokojem. - Co się u licha dzieje?

Usta Questora rozchyliły się, lecz nie wydobyło się z nich żadne słowo. Zirykowało to Abernathy'ego.

- Co się z tobą dzieje, czarodzieju? Czyżby wiedźma odebrała ci mowę? Przestań patrzeć na mnie w ten sposób!

Ręka tamtego uniosła się, jakby chciała odpędzić zjawę.

- To ty, Abernathy? - zapytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście. A któżby inny? - warknął Abernathy. Wtem uświadomił sobie, że z

tamtym jest coś naprawdę nie tak. Było to widać w jego oczach, w brzmieniu jego głosu i w tym, że nie potrafił uznać oczywistej rzeczy: na Boga, nie poznawał swego najstarszego przyjaciela. Pewnie z powodu szoku. - Questorze, nie chciałbyś się położyć na chwilę? - zapytał łagodnie. - Może przynieść ci wody albo szklanę piwa?

Czarodziej wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę, po czym szybko pokręcił głową.

- Nie, nie... to nie jest... Mnie nic nie jest, naprawdę, za to ty... - przerwał, najwyraźniej zakłopotany. - Abernathy - powiedział cichym głosem - co się z tobą stało?

Teraz z kolei Abernathy wybałuszył na niego oczy. Z nim? Jeszcze raz przyjrzał się sobie. To samo ciało, ręce, nogi, znajome ubranie, wszystko na miejscu. Z powrotem popatrzył na tamtego, kręcąc głową, niczego nie rozumiejąc.

- O czym ty mówisz? - Musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć muzykę.

Przez wychudzoną twarz okoloną siwą brodą przebiegła seria niewiarygodnych skurczów.

- Ty... ty się zmieniłeś z powrotem! Przyjrzyj się sobie! Nie jesteś już psem!

Nie jestem psem... Abernathy zaczął się śmiać, lecz przerwał, coś sobie przypominając. To prawda: przecież był psem! Był miękkołosym wheaten terierem. Stał się nim za sprawą Questora Thewsa, który zmienił jego kształt, chcąc go w ten sposób uchronić przed zemstą złośliwego syna starego króla, Michela Ard Rhi. Pozostał już w tej postaci, albowiem Questor nie był w stanie odwrócić zaklęcia i przywrócić mu dawnego kształtu.

Tak, był psem.

Nagle dotarła do niego ta szokująca prawda: nie był już psem. Był znowu człowiekiem!

- Wielkie nieba! - Wciągnął powoli powietrze, nie mogąc w to uwierzyć. - To niemożliwe! Mój Boże...!

Pochylił głowę i pośpiesznie zaczął badać swoje ciało od góry do dołu. Tak, to były jego ręce i nogi, jego własne palce. Miał z powrotem swoje ciało! Swoje ludzkie ciało! Gorączkowo dotykał wszystkich swoich członków. Podciągnął ubranie - żadnej sierści, tylko skóra, jak u normalnego człowieka! Po jego policzkach zaczęły płynąć łzy. Rozejrzał się niecierpliwie za czymś, w czym mógłby się przejrzeć, w końcu chwycił jeden ze swoich srebrnych guzików przszytych do ozdobnego munduru. Zerknął w maleńką, grawerowaną powierzchnię i powietrze uwięzło mu w gardle.

Patrzyła na niego jego ludzka twarz, twarz, której nie widział ponad trzydzieści lat.

To ja! - wyszeptał, przelękając ślinę. - Popatrz, Questorze Thewsie, to naprawdę ja!

Po tylu latach!

miał się i jednocześnie płakał tak mocno, że zdawało się, iż zaraz upadnie. Questor Thews wyciągnął ręce i objął jego ramiona. ‘

- Mój stary druhu - powiedział uradowany i również się rozplakał. - Wróciłeś!

I wtedy w spontanicznym i zupełnie nie pasującym do nich wylewie uczuć zaczęli się obejmować i poklepywać jeden drugiego po plecach, nie będąc w stanie przez ten czas powiedzieć choćby jednego słowa.

Publiczność, która zdążyła się wokół nich zgromadzić, obserwowała to wszystko z niepewnymi minami. Była już teraz dość liczna. Początkowo przyciągały ją dziwaczne kostiumy i wyraźne zainteresowanie mężczyzny i kobiety, którzy znaleźli się tam jako pierwsi. Następni zatrzymywali się w przekonaniu, że odgrywa się tutaj jakieś przedstawienie pod gołym niebem. Uważali je zresztą za dość dobre, chociaż niezbyt odpowiednie na tę okazję.

Rozległy się pojedyncze oklaski.

Abernathy wciąż trzymał się kurczowo Questora Thewsa, jak gdyby w obawie, że jeśli go puści, z powrotem zmieni się w psa. Czuł powiew wiatru, ciepło promieni słonecznych, zapach jedzenia i brzmienie muzyki, jakby nigdy wcześniej w życiu żadnego z tych zjawisk nie doświadczał. Tak właśnie bym to odczuwał, gdybym się powtórnie narodził, pomyślał.

- Co się z nami stało? - wybąkał w końcu, uwalniając się z uścisku tamtego. - Jak to się stało, że się zmieniłem? Jak to możliwe?

Questor niechętnie wypuścił go z objęć, po czym potrzęsął głową, na której w wyniku gorącego uścisku przyjaciela każdy włos sterczał w inną stronę.

- Nie wiem - oznajmił z wyraźnym zakłopotaniem w głosie. - Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że nie żyjemy!

Zebrany tłum znowu nagroził ich oklaskami. Do Abernathy'ego dotarło teraz, że nie są sami. Poczul instynktowny strach i zażenowanie.

- Questorze, zróbże coś! - zażądał gwałtownie, wskazując na otaczającą ich grupkę ludzi.

Czarodziej rozejrzał się zaskoczony dokoła, lecz jakoś zdołał zachować spokój.

- Witajcie! - pozdrowił ich. - Czy ktoś może mi powiedzieć, gdzie się znajdujemy?

W tłumie rozległy się śmiechy

R mbershoot - nadeszła szybka odpowiedz ze strony wysokiego, kościstego chłopca.

- Bumbershoot? - powtórzył niepewnie Questor Thews. Oczywiście. No wiesz, Bumbershoot, festiwal sztuki. - Chłopiec uśmiechnął się szeroko. Bardzo mu się spodobała

gra, w której zaczął brać udział.

‘ Nie, jemu chodzi o miasto - odezwał się tęgi jegomość. Jemu również podobała się ta gra. - Jesteście w Seattle, w stanie Washington, panowie.

- W Stanach Zjednoczonych Ameryki - dodał inny głos. Widzowie doszli do wniosku, że jest to przedstawienie z aktywnym udziałem publiczności, więc zaczęli wykrzykiwać nazwy jeszcze innych miejsc. Wszyscy okazali zaangażowanie, a tłum stawał się coraz większy.

- Questorze! - odezwał się ostro Abernathy. - Zdajesz sobie sprawę, gdzie jesteśmy? Jesteśmy w starym świecie naszego pana! Zostaliśmy kolejny raz przeniesieni przez krainę czarodziejskich mgieł!

Usta czarodzieja otworzyły się ze zdumienia.

- Ale jak to się mogło stać? Nocny Cię chciała nas zabić! Co my tutaj robimy?

- Poproście Scotty’ego*, żeby was z powrotem teleportował - zawołał ktoś.

- Czy to trekersi**? - zapytał ktoś inny z nadzieją w głosie. Tłum zawył ze śmiechu i zaczął klaskać rytmicznie, aby zachęcić duet do dalszych działań. Muzyka spod namiotu zamilkła na chwilę i wydawało się, że wszyscy uczestnicy festiwalu skupili swoją uwagę na nich, czekając na dalszy rozwój przedstawienia. Poniewczasie Abernathy zdał sobie sprawę, że to całe zainteresowanie tłumu zostało spowodowane ich nagłym pojawieniem się tutaj, bo przecież pojawili się jak Scotty - główny inżynier na pokładzie okrętu kosmicznego *Enterprise* z amerykańskiego serialu telewizyjnego science fiction *Star Trek*.

Trekersi - entuzjaści serialu telewizyjnego *Star Trek*, będący często członkami fanclubów, którzy w wolnych chwilach przebie-rają się w stroje swoich ulubionych bohaterów z filmu. by znikąd, jakby... właśnie, jakby za sprawą magii - taki to zresztą miało dokładnie przebieg, lecz teraz nie było to aż takie ważne. Byli na Ziemi, w starym świecie ich króla, a magii się tutaj nie praktykowało. Właściwie to nawet nie była tolerowana. Prawie nikt w nią właściwie nie wierzył. Tłum sądził, że ci dwaj stanowią część festiwalu, podobnie jak żonglerzy czy klauni na szczudłach. Ich magia była teraz iluzją. Służyła jedynie do zabawy.

- Musimy się natychmiast wyplątać z tej sytuacji! - szepnął ukradkiem Abernathy z niepokojem w głosie. - Ci ludzie sądzą, że odgrywamy jakieś przedstawienie! - Podniósł się z trudem na nogi, spoglądając na dolną połowę swej ludzkiej postaci i nie mogąc wyjść ze zdumienia, że oto znowu ma swój dawny kształt, odzyskany w sposób zupełnie cudowny i niewiarygodny. Głos uwiązał mu w gardle. - Musimy to wszystko omówić, Questorze! Na osobności!

Czarodziej zgodził się z nim pełnym stanowczości skinieniem głowy i podniósł się

razem z nim. Obaj mieli na sobie ubrania z Landover i zupełnie nie pasowali do tego miejsca, chyba żeby poważnie potraktować role narzucone im przez tłum. Czarodziej szybko zdecydował, że lepiej będzie utwierdzić zebranych w ich przekonaniu, niż próbować im zaprzeczać i cokolwiek wyjaśniać. Tak samo jak Abernathy był zakłopotany tym, co się stało, i tak samo jak tamtemu zależało mu, żeby usiąść w jakimś spokojnym miejscu i spróbować zastanowić się nad tym wszystkim.

- Uwaga! Panie i panowie! Proszę o chwilę uwagi. - Zwrócił się do tłumu głosem najbardziej apodyktycznym, na jaki było go stać. Uniósł ramiona, aby skupić na sobie całą ich uwagę. Natychmiast ucichli. - Mój kolega i ja potrzebujemy kilku chwil, aby się przygotować do odegrania następnego aktu. Zechcicie zatem zająć się przez jakiś czas swoimi sprawami; rozejrzyjcie się po innych atrakcjach festiwalu, a my zobaczymy się z wami za, powiedzmy, godzinę. Może nawet niecałą - dodał, z trudem łapiąc oddech. - Dziękujemy, bardzo państwu dziękujemy.

Opuścił ręce i odwrócił się. Tłum się nie poruszył. Nikt nie zamierzał jeszcze odchodzić, niektórzy nawet nie wierzyli, że mają traktować tę propozycję poważnie. To mogła być dalsza część sztuki. Z innego świata w tajemniczy sposób przybyło tutaj do nich dwóch obcych - to musiało intrygować. Co też wydarzy się dalej? Nikt nie chciał tego przegapić. Słyszał było szuranie butów, lecz poza tym żadnego wyraźniejszego poruszenia.

- To na nic! - rzucił Abernathy, rozdrażniony, zdezorientowany i przytłoczony obrotom wydarzeń. - Niech to szlag trafi, czarodzieju! Wyciągnij nas z tego!

Questor Thews westchnął, niezbyt pewien, jak ma tego dokonać, po czym z wyrazem determinacji na twarzy, wziął Abernathy'ego za ramię i poprowadził prosto przez tłum.

- Przepraszam. Dziękujemy bardzo, to bardzo miłe, przepraszam. - Tłum się rozstał, uprzejmy, choć nieco rozczarowany. Questor Thews i Abernathy wydostali się nie zaczepiani przez nikogo i ruszyli szybkim krokiem przez festiwalową murawę w kierunku kompleksu budynków i straganów z jedzeniem.

- Dokąd idziemy? - zapytał Abernathy, nie mając odwagi obejrzeć się za siebie, aby sprawdzić, czy nikt nie podąża ich śladem.

- Tam, dokąd się da, jak przypuszczam - odpowiedział Questor, wzruszając ramionami. - I tak nie wiemy, co się gdzie znajduje.

Weszli na chodnik, minęli mężczyznę malującego twarze, jegomościa puszczającego wirujące bąki, kilka wozów, z których sprzedawano napoje i jedzenie, aż weszli na skwerek porośnięty trawą. Na jego brzegu znajdowała się przepastna budowla ze szkła i metalu, z której wydobywała się wyjątkowo okropnie brzmiąca muzyka.

- Co to za hałas? - zapytał Questor, kręcąc z przerażenia głową.

- Rock and roli - odpowiedział obojętnym tonem Abernathy. - Słuchałem tego często w czasie ostatniego pobytu tutaj. - Odżyły w nim wspomnienia, lecz odsunął je na bok. Obrócił się i chwycił Questora za ramię tak, aby patrzył mu prosto w twarz. - Czarodzieju, co się dzieje? Spójrz na mnie! Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać! Na Boga, znowu jestem człowiekiem! Jak to się stało? Na pewno nie było to zamiarem Nocnego Cienia! Próbowала nas zabić! Dlaczego jeszcze żyjemy? Dlaczego jesteśmy tutaj?

Questor zacisnął wargi i zamrugał szybko powiekami.

- No cóż, albo jej coś nie wyszło, albo wmieszała się w to jakaś inna magia i zmieniła zamierzony rezultat. Stawiam na to drugie. - Wyciągnął rękę i dotknął twarzy tamtego. Jego dłoń drżała. - O mój Boże, jeszcze coś nowego! Abernathy, czy ty zdajesz sobie sprawę, że nie postarzałeś się ani o dzień od chwili, w której przed laty zamieniłem cię w psa?

- Przecież to niemożliwe! - wykrzyknął Abernathy z niedowierzaniem. - Ani o dzień? Nie, musiałem się postarzyć! Dlaczego miałbym się nie postarzyć? Czyżby z powodu magii? Tej, która według ciebie mogła ingerować? Zamieniła mnie nie tylko z powrotem w człowieka, ale w człowieka, jakim byłem kiedyś. Dlaczego, Questorze? Dlaczego miałyby to robić?

Patrzyli na siebie w kłopotliwym milczeniu, muzyka z hali przelewała się przez nich, śmiech i festiwalowa wesołość rozbrzmiewały wszędzie dokoła. Byli przybyszami z innego świata na obcej ziemi, wygnańcami nie mającymi pojęcia, w jaki sposób się tutaj znaleźli. To nic, przecież znowu jestem człowiekiem! - pomyślał Abernathy z radością i z odrobiną przerażenia. W końcu zmieniłem się z powrotem w kogoś, kim byłem i kim zawsze chciałem być!

Questor Thews potrząsnął głową.

- Nie będę ukrywał, że to wszystko wydaje się bardzo dziwne - oznajmił poważnym tonem.

- Przepraszam panów!

Usłyszeli dziewczęcy głos i odwrócili się. Jakiś metr od nich stała nastolatka, patrząc na nich badawczo. Była dość niska, miała kręcone blond włosy i piegowaty nosek. Nosila szorty, dość obcisłą błękitną bluzkę ozdobioną jakimiś napisami i sandały. Wyglądała na zmieszaną.

- Byłam przed chwilą w tamtym tłumie - powiedziała, przyglądając im się bacznie, a szczególnie Abernathy'emu. - Później poszłam za panami, ponieważ pański głos... wiem, że to zabrzmiało śmiesznie, ale... pan mi kogoś przypomina...

Przerwała, a jej czoło zmarszczyło się. Nagle spojrzała na czarodzieja.

- Pamiętam pana. Teraz jestem tego pewna. Pan się nazywa Questor Thews.

Przyjaciele wymienili szybkie spojrzenia.

- Podśluchała, jak rozmawialiśmy - powiedział natychmiast Abernathy.

- Nie, nie podśluchałam. - Pokręciła żywo głową i postąpiła krok do przodu. - Abernathy, to przecież ty, prawda? Już nie jesteś psem! To dlatego nie byłam pewna. Ale twój głos się nie zmienił. Twoje oczy też nie. Pamiętasz mnie? Nazywam się Elizabeth Marshall. - Uśmiechnęła się, żeby mu pomóc. - To ja, Elizabeth.

Wreszcie sobie przypomniał. Elizabeth; miała dwanaście lat, kiedy widział ją po raz ostatni, dziecko przemierzające korytarze Graum Wythe, fortecy Michela Ard Rhi, niegdyś księcia Landover i syna starego króla w czasach poprzedzających przybycie Bena Holidaya. Abernathy znalazł się wówczas na Ziemi za sprawą kolejnego chybionego zaklęcia Que-stora i osadzony w pomieszczeniu z trofeami swego największego wroga, czekał na swój szybki koniec, kiedy znalazła go Elizabeth i uratowała mu życie. Oboje starali się z całych sił ukryć przed Michele obecność Abernathy'ego i pomóc skrybie znaleźć drogę powrotną na Landover. Elizabeth była przez cały czas przy nim i nawet wtedy, gdy została zdemaskowana i jej własne bezpieczeństwo było zagrożone, nie zdradziła swego przyjaciela.

- Nigdy nie myślałam, że cię jeszcze kiedykolwiek ujrzę - powiedziała miękko, jak gdyby nie do końca była przekonana, że to rzeczywiście on.

- Ja również nie - odetchnął z niedowierzaniem. Wtedy zbliżyła się szybko i objęła go.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała, twarzą wciśniętą w jego ramię. - To po prostu niesamowite.

- Owszem - przyznał, nie mogąc wydusić niczego więcej, i również ją objął. Wyrwała się z objęć. Oczy miała wilgotne. Popatrz na mnie, płacząc jak jakieś małe dziecko. - Otarła łzy. - Kiedy cię zobaczyłam, was obu, otoczonych przez tych wszystkich ludzi, nie mogłam pojąć, jak to możliwe. To znaczy... - Znowu się rozkleiła i zaczęła kręcić głową. - Abernathy, co wy tutaj robicie?

Wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Nie bardzo wiem. Właśnie próbowaliśmy sobie na to pytanie odpowiedzieć. Nie bardzo wiemy, jak się tutaj znaleźliśmy. To dość długa historia. - Patrzył na nią wielkimi oczami. - Wydoroślałaś.

Roześmiała się.

- Nie do końca, ale trochę od czasu, gdy widziałeś mnie po raz ostatni. Za kilka miesięcy skończę szesnaście lat. A zatem witaj. Ty również witaj, Questorze Thewsie.

- Cieszę się, że cię znowu widzę - odpowiedział czarodziej. Odchrząknął. - Eee, zastanawiam się, Elizabeth, czy nie moglibyśmy namówić cię na...

- Nie macie się gdzie zatrzymać, co? - odgadła, zanim zdążył dokończyć. - Oczywiście, że nie macie. Dopiero co przybyliście? Musicie gdzieś mieszkać na czas waszego pobytu. Jak długo to potrwa?

Questor westchnął.

- Póki co możemy tylko spekulować.

- To nieważne. Możecie się zatrzymać u mnie. Wciąż mieszkam w Woodinville, ale już nie w Graum Wythe. Mamy dom, mój tato i ja, niedaleko od drogi. Tato wciąż opiekuje się własnością i zarządza zamkiem. Ale teraz go nie będzie do końca przyszłego tygodnia, więc dom jest wyłącznie dla nas. No i pani Ambaum. To nasza gospodyni. Później wam o niej opowiem. Abernathy, nie mogę w to uwierzyć. Jak ty wyglądasz!

Abernathy zrobił się czerwony na twarzy.

- Cóż - zdołał powiedzieć.

- Może powinniśmy już pójść - zasugerował Questor. - Do twojego domu, Elizabeth. Naprawdę musimy usiąść i porozmawiać.

- Jasne - szybko zgodziła się dziewczyna. - Tylko powiem znajomym, że ich zostawiam. Przyjechałam tutaj autobusem, więc do domu też wrócimy autobusem. Wystarczy mi chyba pieniędzy na nas troje. Mam nadzieję, bo założę się, że wy nie macie żadnych. O rany, ale historia. Czy to nie dziwne, spotkać się znowu w taki sposób?

Questor Thews kiwnął głową, omiatając nieobecny wzrokiem tłumy ludzi i festiwalowe imprezy. Muzyka odbijała się echem w otwartej przestrzeni między budynkami. Flagi i balony powiewały w letniej bryzie. W powietrzu unosiły się zapachy gotowanych potraw. Śmiech i śpiewy rozbrzmiewały z wszystkich stron. Bumbershoot, festiwal sztuki. Seattle, stan Washington, Stany Zjednoczone. Stary świat ich władcy. A teraz Elizabeth. To naprawdę dziwne. Największy zbieg okoliczności, jaki kiedykolwiek mu się przytrafił - o ile nie kryło się za tym wszystkim coś o wiele bardziej skomplikowanego. Nie powiedział tego na głos, lecz podejrzewał to drugie.

Będzie lepiej, pomyślał, jeśli rozwiążemy tę zagadkę, zanim coś innego się jeszcze wydarzy.

POWRÓT DO GRAUM WYTHE

Przeprosiwszy swoich znajomych, Elizabeth poprowadziła Abernathy'ego i Questora Thewsa przez tłum uczestników festiwalu Bumbershoot, przechodząc obok budynku zwanego Center House, wzdłuż ciągu karuzel wypełnionych wrzeszczącymi dziećmi i szeregu budek z jedzeniem, aż znaleźli się na peronie kolejki jednotorowej. Dla Questora było to coś nowego, jako że w starym świecie Bena Holidaya spędził znacznie mniej czasu niż Abernathy. Po krótkiej chwili czekania kolejka nadjechała i udali się nią w stronę centrum miasta. Abernathy z ogromną przyjemnością rozpoznawał znajome domy, ulice, tym bardziej że nie opuszczał go doskonały humor związany z niewiarygodną przemianą. Gdy tak siedzieli w kolejce, kierując się w stronę wysokich budynków centrum miasta, on przez cały czas śledził swoje odbicie w szybie, nie mogąc jeszcze do końca uwierzyć, że to prawda. W głębi duszy martwił się, że lada moment to wszystko może się odwrócić.

Była to jednak prawda i nic nie wskazywało na to, że ma się cofnąć. Znowu był sobą, w pełni człowiekiem, a jeszcze dokładniej - tym samym człowiekiem, którym był w momencie, kiedy Questor po raz pierwszy zamienił go w psa, to znaczy mężczyzną o dość przeciętnym wyglądzie, średniego wzrostu i średniej wagi, włosach ciemnych i prostych okalających twarz wiecznie pogrążoną w książkach. Na nosie wygodnie leżały okulary bez oprawek, które tak doskonale mu pasowały, jak gdyby nie było różnicy, czy jest człowiekiem czy psem. Za okularami kryły się szeroko rozstawione brązowe oczy. Twarz miał pełną, z mocno zarysowanym podbródkiem. Oblicze dość przeciętne, niemniej dobre.

I - było jego. Zerkając na nie w szybie, czuł, jakby zdjęto mu z barków olbrzymi ciężar. Ostatnim razem, kiedy znalazł się w świecie Bena, był zmuszony udawać, że jest prawdziwym psem, aby uniknąć wielu nieprzyjemności. Nie akceptowano tutaj magii. Nie słyszano o gadających psach. Abernathy był wówczas ogromnym kuriozum i niejedną raz próbowano to wykorzystać. W związku z tym musiał się skradać jak złodziej w nocy, udając kogoś, kim nie był, zażenowany i przerażony. Teraz mógł chodzić jak każdy inny, ponieważ wyglądał jak każdy inny. Dobrze pasował do tego miejsca. W każdym razie lepiej niż jako pies. W końcu to nie był jego kraj. Kiedy jednak wreszcie wróci na Landover... Uśmiechnął się na tę myśl.

- Jakie to uczucie? - zapytała go nagle Elizabeth. Obserwowała go przez cały ten czas.
- Znowu być człowiekiem?

Abernathy zarumienił się.

- Nie mogę się pohamować i nie patrzeć na siebie. Przepraszam. To jednak takie cudowne uczucie. Trudno wyrazić, jak cudowne. Elizabeth, ja od tak dawna... - Myślam odpłynął gdzie indziej. - Jestem... Jestem bardzo szczęśliwy.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Wiesz co? Jesteś nawet przystojny. Otworzył usta. Czuł, jak pałają mu policzki.

- Naprawdę - zapewniła go.

Spodziewał się, że w tym momencie usłyszy z ust Cjuesto-ra Thewsa jakiś nieszczerzy komentarz, lecz czarodziej nie zwracał uwagi na ich rozmowę, zapatrzony gdzieś przed siebie i pogrążony w myślach. Abernathy bąknął coś niezrozumiale pod nosem i spojrzął w okno na mijane budynki. Dość już tego podziwu dla siebie. On też powinien się zacząć zastanawiać. Powinien spróbować zrozumieć, co się dzieje. Co przeniosło ich do tego miejsca i czasu, zamieniło go z powrotem w człowieka i ponownie kazało spotkać z Elizabeth? Podobnie jak Questor, uważał, że był to niewiarygodny zbieg okoliczności. Czuł, że brało w tym udział coś zewnętrznego. Nie potrafił jednak zrozumieć działania jego mechanizmu. W tej chwili wszakże był tak przejęty swoją przemianą, że nie mógł myśleć o czymkolwiek innym.

Spojrzął kolejny raz na swoje odbicie w szybie i niemalże

i ni

zaczął płakać. Miał prawo cieszyć się tym uczuciem jeszcze przez kilka chwil, czyż nie? W końcu czekał na to tak długo! Na końcu trasy wysiedli z kolejki i weszli do wysokiego budynku stojącego pośród innych wieżowców, okazałych, prawie przytłaczających, a stamtąd schodami (niektóre były ruchome) udali się do stacji pod ziemią i tam wsiedli do autobusu. Questor nic nie wiedział również o autobusach, więc Abernathy przez chwilę wyjaśniał mu zasadę ich działania, lecz wszystko poplątał. Elizabeth zachichotała i wyprowadziła ich obu z błędu. Byli już teraz tak daleko od festiwalu Bum-bershoot, że ludzie zaczęli zauważać ich nieco dziwne stroje - szarą, połataną togę Questora z jaskrawymi szarfami oraz podszyty purpurą i wykończony srebrną lamówką podróżny płaszcz Abernathy'ego. Nie znalazł się jednak nikt na tyle nieuprzejmy, aby zrobić jakkolwiek uwagę. Przez jakiś czas autobus wiózł ich pod ziemią, zatrzymując się dwukrotnie, po czym wyjechał z tunelu na światło kończącego się popołudnia. Znajdowali się na drodze zapchanej innymi pojazdami, które sunęły równymi liniami, ciągnącymi się aż po horyzont. Nikt nie jechał zbyt szybko. Siedzieli w tyle autobusu i patrzyli przez okna. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał.

- Co słyhać u Bena Holidaya i Willow? - zapytała w końcu Elizabeth, zwracając się do Abernathy'ego.

Ten odparł, że czują się dobrze. Następnie opowiedział jej o Mistai. Od jednej kwestii przechodził do następnej. Ponieważ ze strony Questora nie dotarło do niego żadne znaczące spojrzenie ani ostrzegawcze mruknięcie, snuł dalej opowieść, tym razem o Nocnym Cieniu i

ataku na karawanę, która miała zawieźć dziewczynkę do jej dziadka. Mówił przyciszonym głosem, aby nikt z siedzących w pobliżu nie mógł go usłyszeć, choć hałas w autobusie raczej to uniemożliwiał. Opowiedział jej o tym, jak przypuszczali, że już po nich, kiedy wiedźma gromadziła swą straszliwą magiczną moc i jak w niewytłumaczalny sposób znaleźli się w starym świecie Bena, w Seattle, na Bumbershoot. O reszcie już wiedziała.

- To wszystko jest bardzo dziwne - oznajmiła, kiedy skończył. - Ciekawe, dlaczego wylądowaliście z powrotem tutaj?

- Otóż to - odezwał się Questor Thews, nie odwracając głowy w ich stronę.

- Chciałabym żyć w waszym świecie - powiedziała nagle. - Tyle się tam zawsze dzieje.

Abernathy popatrzył na nią zdziwiony, po czym odwrócił wzrok.

Jechali autobusem aż do przystanku w Woodinville. Tam wysiedli i dalej szli dość długo piechotą. Droga prowadziła przez nie zamieszkane tereny. Zrobiło się chłodniej, słońce powoli opadało za rysujące się na horyzoncie góry. Krajobraz był lesisty, pagórkowaty. Powietrze wypełniała ostra woń roślinności i śpiew ptaków. Droga, biegnąca prosto i bez żadnych przeszkód ginąca w oddali, była pusta.

- Powinnam opowiedzieć wam o pani Ambaum - odezwała się po jakimś czasie Elizabeth. Jej twarz wykrzywił grymas, który pojawiał się za każdym razem, gdy poruszała drażliwy temat. - To nasza gospodyni. Mieszka z nami. Tato często wyjeżdża w delegacje i wtedy ona się mną opiekuje. Jest dość miła, ale uważa, że wszystkie dzieciaki, to znaczy ja i wszyscy, którzy nie skończyli dwudziestu pięciu lat, muszą mieć jakieś kłopoty. Nie chodzi jej o to, że ich szukamy; raczej o to, że nie potrafimy ich uniknąć. Dlatego często usiłuje zatrzymać mnie w domu. Wściekła się, kiedy jej powiedziałam, że jadę autobusem na Bumbershoot, ale ojciec wcześniej już powiedział, że nie widzi w tym nic złego, więc nie mogła na to nic poradzić. Tak czy owak lepiej, żebyśmy wymyślili jakąś historię, skąd się wzięliście, bo inaczej ręczę głową, że będą problemy.

- Prawda, jak podejrzewam, jej nie zadowoli? - zapytał Questor.

Elizabeth uśmiechnęła się szeroko.

- Od prawdy jej mózg mógłby eksplodować.

- Możemy zatrzymać się gdzie indziej, jeśli to ma sprawić zbyt wiele kłopotów - zaproponował Abernathy.

- Właśnie, moglibyśmy przenocować w stodole albo może na polu - powiedział Questor, spoglądając na niego z wyrzutem. - Doprawdy, Abernathy, ty jak coś powiesz...

Mamy dużo miejsca, potrzebujemy jedynie jakiejś historii dla pani Ambaum. A może coś takiego: Abernathy będzie moim wujkiem, który przyjechał w odwiedziny z Chicago, a Questor Thews twoim przyjacielem, profesorem... geologii. Szukasz skamielin. Albo nie, bierzesz udział w sympozjum na temat wymarłych gatunków na tutejszym uniwersytecie i wpadłeś spotkać się z tatą, bo nie wiesz, że wyjechał z miasta, więc poprosiłam cię, abyś został z nami. Co wy na to? Powinno się udać.

- Zdajemy się na ciebie - oznajmił Questor Thews. Uśmiechnął się odważnie. - Przy odrobinie szczęścia nasza wizyta nie potrwa długo.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała Elizabeth i żaden z jej towarzyszy nie przejawiał ochoty, żeby z nią dyskutować.

Wkrótce dotarli do piętrowego domu usadowionego z dala od drogi, w gaju drzew świerkowych i krzewów derenia. Z wszystkich stron okalały go klomby kwiatów, wzdłuż ścieżki posadzone były petunie, a na dziedzińcu rosły gdzieś rododendrony. Ściany domu były wyłożone drewnem i pomalowane na biało, a jego brzegi oblamowane ciemnoniebieską obwódką. Uroku fasadzie budynku dodawały skrzynki z kwiatami ustawione w oknach oraz wzdłuż zadaszonej werandy z huśtawką i fotelami na biegunach. Ze spadzistego dachu wystawały okna mansardowe ożywione kolorowymi zasłonkami, natomiast ściany szczytowe budynku były spięte masywnymi kamiennymi kominami. Przez prześwity między gałęziami wpadało światło słoneczne, opromieniając dom i podwórze nieregularnymi smugami. Nagle w zasięgu ich wzroku pojawił się jasnorudy kot, po czym zniknął w ścianie krzewów. Elizabeth zaprowadziła ich aleją do drzwi i nacisnęła guzik dzwonka. Nikt nie odpowiadał. Wyglądało na to, że pani Ambaum wyszła. Elizabeth poszukała w kieszeni klucza, otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

- Musimy jeszcze znaleźć jakieś wytłumaczenie, dlaczego nie macie bagaży - oznajmiła, kiedy się upewniła, że gospodyni naprawdę nie ma. - To może być trudniejsze, niż myślałam.

Pokazała im sypialnię na drugim piętrze, którą przeznaczyła dla nich, potem przyniosła im trochę ubrań ojca. Większość jako tako pasowała, a z pewnością nie przyciągała takiej uwagi, jak ich własne. Kiedy już się ubrali, zaprowadziła ich na dół do kuchni, posadziła przy stole i zabrała się do robienia kanapek. Wkrótce już jedli. Zarówno Abernathy, jak i Questor odkryli, że są bardziej głodni, niż przypuszczali, tak więc

błyskawicznie wszystko spałaszowali.

Kiedy skończyli, za oknem już prawie zmierzchało. Zaczęli rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Pozostali przy stole, przysunęli się tylko bliżej siebie, opierając ręce i łokcie na polerowanej drewnianej powierzchni, a dłonie splatając przed sobą bądź podpierając nimi brodę. Na twarzach trójki pograżonych w zadumie przyjaciół rysowało się zakłopotanie.

- Przynajmniej możemy mieć pewność co do jednego - oznajmił Questor Thews, otwierając dyskusję. - Nocny Cień zamierzała nas zniszczyć, a nie przenieść na ten świat. Nasze przybycie tutaj nie miało nic wspólnego z jej wysiłkami.

- Tak, oczywiście - zgodził się z niecierpliwością Abernathy. - To już ustaliliśmy wcześniej, czarodzieju. Powiedz nam coś nowego. Co na przykład stało się ze mną?

- Ty zostałeś przeobrażony w tym samym czasie. Zostałeś zamieniony z powrotem w człowieka i wysłany razem ze mną tutaj. - Questor potarł swoje bokobrody, marszcząc głęboko czoło. - To wszystko się ze sobą jakoś łączy, nie sądzisz?

- Nie wiem, co mam sądzić - przyznał Abernathy. - Co masz na myśli, mówiąc „łączy ze sobą”?

Questor złączył swoje palce na wysokości oczu w kształt iglicy.

- Musimy przyjąć, jak to już wcześniej powiedziałem, że nastąpiła ingerencja magii, która przeszkodziła wiedźmie w zniszczeniu nas. Pytanie brzmi: czyja to była magia? Mogła pochodzić od istoty niegdyś czarodziejkiej, być może od samego Władcy Rzeki, który ją wysłał, próbując uratować wnuczkę. Mogła pochodzić od Matki Ziemi; zawsze była blisko związana z Willow i miała powód, żeby chcieć ochronić dziecko swej przyjaciółki.

Abernathy ściągnął brwi.

- Jedno i drugie nie brzmi zbyt przekonująco. Przede wszystkim, jeśli Władca Rzeki bądź Matka Ziemia dokładnie obserwowali Mistayę, to jak wiedźma zdołała się znaleźć tak blisko małej? Poza tym nic nie wskazywało na to, że Mistaya zostanie uratowana po wyprawieniu nas na tamten świat.

- Masz rację. To się nie trzyma całości - zgodził się Questor.

Elizabeth, która z uwagą przysłuchiwała się ich dyskusji, nie zabierając głosu, teraz się odezwała:

- A czy sama Mistaya nie mogła was uratować? Czy nie posiada magicznej mocy, którą potrafi władać?

Obaj z miejsca spojrzeli na nią, rozważając tę możliwość.

- Wyśmienity pomysł, Elizabeth - powiedział po chwili Questor - lecz Mistaya nie ma wprawy w posługiwaniu się magią. Natomiast magia użyta do odbicia czy zmiany czarów

Nocnego Cienia była wyrafinowana i zastosowana po mistrzowsku.

- Poza tym - wtrącił się Abernathy - Mistaya wciąż spała. Widziałem to, kiedy się obejrzałem, aby sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Spała, jak gdyby nic się nie działo. Myślę, że wiedźma rzuciła na nią zaklęcie chroniące przed obudzeniem.

- Całkiem możliwe - przyznał Questor. Odchylił się do tyłu i ściągnął usta. - A zatem dobrze. Jakaś inna magia ingerowała i uratowała nasze życie. Wysłała nas do starego świata naszego pana, przekształciła Abernathy'ego oraz obdarowała nas umiejętnością mówienia i rozumienia tutejszego języka. Do tego jeszcze - i tutaj uwaga, bo to ważne - wysłała nas do tego samego miejsca, w którym pojawiliśmy się ostatnio, w którym Abernathy został nieumyślnie wymieniony za Mroczeniaka, do miejsca, w którym znajduje się Graum Wythe, niegdyś dom Michela Ard Rhi. I wreszcie - dodał, wskazując znacząco głową w stronę Elizabeth - na odległość kilku zaledwie metrów od ciebie.

Abernathy wytrzeszczył oczy.

- Chwileczkę, Questorze. Co ty próbujesz powiedzieć? To, co już wcześniej kilkakrotnie stwierdziliśmy od czasu naszego spotkania na festiwalu Bumbershoot: że to, iż znaleźliśmy się z powrotem tutaj, w pobliżu Graum Wythe i praktycznie w ramionach Elizabeth, jest zbyt niezwykłym zbiegiem okoliczności, aby przejść nad nim do porządku dziennego. Mam ochotę się założyć, że za tym wszystkim, co się nam przytrafiło, kryje się jakiś powód. To coś lub ten ktoś, kto uratował nasze życie, nie działał na ślepo. Uczynił to z przeczności i mając na uwadze konkretny cel. Zostaliśmy uratowani z jakiegoś powodu. Zostaliśmy wysłani tutaj, do starego świata naszego pana, ale przede wszystkim do miejsca, w którym znajduje się Graum Wythe. Zrobiono to umyślnie. - Przerwał, zastanawiając się nad czymś. - Elizabeth, czy nie powiedziałaś, że Graum Wythe wciąż tutaj stoi?

- Chodźcie zobaczyć - zaproponowała, wstając od stołu.

Zaprowadziła ich przez oddzielone zasłoną drzwi na tylny dziedziniec, gdzie aż po drewniane ogrodzenie rozpościerał się dobrze utrzymany trawnik. Podeszli do miejsca przy płocie, w którym drzewa rosły rzadziej, tak, że mieli przed sobą rozległy widok. Zatrzymała się i wskazała ręką na prawo. W oddali, na tle nieba, w słabnącym świetle słońca rysowała się sylwetka Graum Wythe. Zamek stał samotnie na wzniesieniu otoczony murami i strzeżony basztami. Tkwił tam w odosobnieniu, czarny i przyczajony, jakby obawiał się zbliżającej w jego stronę nocy.

Elizabeth opuściła rękę. Cętki słonecznego światła zamigotały w jej kręconych włosach.

- Wciąż w tym samym miejscu, dokładnie tam, gdzie go zostawiliście. Pamiętasz,

Abernathy?

Po plecach Abernathy'ego przebiegł lodowaty dreszcz.

- Nie muszę sobie przypominać. Trzeba powiedzieć, że wygląda równie groźnie, jak kiedyś. - Kolejne wspomnienie zmroziło mu jeszcze bardziej krew w żyłach. - Czy Michel Ard Rhi nie powrócił przypadkiem?

- Och, nie, oczywiście, że nie. - Elizabeth roześmiała się rozbrajająco. - Przeniósł się do Oregonu, kilkaset mil stąd. Graum Wythe podarował stanowi Washington na potrzeby muzeum. Posiadłością zarządza fundusz rządowy. Mój ojciec jest przewodniczącym zarządu. Nadzoruje to wszystko. Nie musisz się martwić. Michela już dawno tutaj nie ma.

- Moje czary sprawiły, że nie ma dla niego powrotu - dodał nieskromnie Questor Thews.

- Liczę na to - mruknął Abernathy, przypominając sobie w myślach te czary Questora, którym było daleko do skuteczności.

Wrócili do środka i znowu zasiedli przy stole. Zapadł zmrok i zniknęły resztki dziennego światła. Elizabeth nalała im do wysokich szklanek zimnego mleka i podała talerz herbatników. Questor częstował się ochoczo, natomiast Abernathy zupełnie stracił apetyt.

- A zatem nie ma w tym wszystkim żadnego przypadku; wszystko to jest częścią jakiegoś tajemniczego planu - podsumował skryba z powątpiewaniem. - Jakiego planu?

Questor ściągnął brwi i spojrzał na niego jak na dziecko, które niezbyt dobrze uważało, co się do niego mówi.

- Cóż, nie mam oczywiście na to odpowiedzi. Gdybym ją miał, to ta dyskusja byłaby niepotrzebna, czyż nie tak?

Abernathy zignorował go.

- Tajemnicza magia uratowała nas przed Nocnym Cieniem i wysłała na stary świat naszego pana, na Ziemię, ale przede wszystkim do Graum Wythe i Elizabeth. - Zerknął na dziewczynę, następnie na Questora. - Wciąż nie rozumiem.

- Ja również chyba nie - przyznał Questor. - Lecz załóżmy na chwilę, że to coś bądź ten ktoś, kto nas uratował, pomógł również Mistai. O ile wiemy, to nikt nie ma pojęcia, co się przytrafiło dziecku, z wyjątkiem nas samych. Wiemy, że Nocny Cień ją zabrała. Wiemy, że wiedźma zamierza posłużyć się małą, aby zemścić się na naszym królu, i że Rydall jest częścią jej przedsięwzięcia. Jeśli uda nam się przekazać tę wiadomość Holidayowi, to może będzie mógł coś zrobić, aby zniweczyć jej plan. Być może to właśnie mamy zrobić. Żyjemy i jesteśmy tutaj z konkretnego powodu, Abernathy. Czy może istnieć lepszy powód niż ten, abyśmy odkryli sposób powstrzymania Nocnego Cienia, zanim zrealizuje swoje zamierzenie?

- Zostaliśmy uratowani po to, aby stoczyć walkę kiedy indziej, czy o to ci chodzi? - zapytał Abernathy, drapiąc się po głowie palcami ręki zamiast tylną nogą, i robił to w sposób jak najbardziej naturalny. - Może wysłano nas tutaj jedynie po to, żebyśmy nie przeszkadzali. Może nasz wybawca zaraz potem uratował również Mistayę.

Questor Thews pokręcił stanowczo głową.

- Nie. Jestem prawie pewien, że nie taki był przebieg wydarzeń. Po pierwsze, jeśli nasz wybawca przez cały czas tam był i obserwował wszystko, przygotowując się do ingerencji, a na to wskazuje jego szybka reakcja, to dlaczego wcześniej nie uratował Mistai? Dlaczego czekał na ostatnią chwilę? Jeśli nasz wybawca chciał nas jedynie stamtąd usunąć, jak się raczyłeś wyrazić, to dlaczego wysłał nas aż tutaj? Dlaczego nie odesłał nas do Sterling Silver albo w podobne miejsce? Nie, Abernathy, znaleźliśmy się tutaj z jakiegoś powodu, który ma coś wspólnego z uratowaniem Mistai z rąk wiedźmy.

- Sądzisz, że odpowiedź na to wszystko znajduje się w Graum Wythe, prawda? - odezwała się Elizabeth, szybko wyciągając logiczny wniosek.

- Owszem - odparł Questor Thews. - Graum Wythe stanowi przepastny magazyn przedmiotów o magicznej mocy; niektóre mają naprawdę potężną siłę. Jeden z nich może nam zapewnić powrót na Landover. Albo posłużyć nam do pokonania wiedźmy. W każdym razie bez jakiegoś rodzaju magii jesteśmy uwięzieni tutaj i nie możemy w żaden sposób pomóc naszemu panu ani Mistai. Nie mamy sposobu na przejście krainy czarodziejskich mgieł. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy. Nikt po nas nie przyjdzie. Myślę, że nie mamy innego wyjścia, jak samemu znaleźć drogę do domu. Chyba musimy to zrobić, jeśli Ben Holiday i Mistaya mają zostać uratowani.

Wszyscy troje patrzyli na siebie, rozważając słowa czarodzieja.

- Może masz rację - przyznał w końcu Abernathy. Tutaj nie ma żadnego „może”. Graum Wythe kryje odpowiedź na nasz problem - kontynuował poważnym tonem Questor Thews. - Lecz kluczem do Graum Wythe jesteś ty, Elizabeth. Zostaliśmy wysłani do ciebie, ponieważ twój ojciec jest zarządcą zamku i wszystkich jego skarbów. Mieszkałaś w zamku i jego zawartość nie jest ci obca. Masz dostęp do miejsc, gdzie innym nie wolno wchodzić. To, czego potrzebujemy, znajduje się gdzieś w zamku. Jestem tego pewien. Musimy po prostu go przeszukać.

- Możemy zacząć jutro rano, jak tylko otworzą bramy zamku - przyrzekła Elizabeth. - To będzie dość łatwe. Trudniej będzie znaleźć to, czego potrzebujesz, skoro nie wiesz, czego szukasz.

- To prawda - przyznał Questor Thews z lekkim wzruszeniem ramion.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z moją zamianą z psa w człowieka? - kolejny raz zapytał Abernathy.

Wciąż czekał na odpowiedź, kiedy doszedł ich odgłos przekręcanego w zamku klucza i otwieranych drzwi frontowych. Trzy głowy odwróciły się jednocześnie w tamtą stronę.

- Elizabeth, jesteś w domu? - zawołał kobiecy głos. - Pani Ambaum! - oznajmiła Elizabeth, robiąc minę. Pytanie Abernathy'ego, przynajmniej na jakiś czas, pozostało bez odpowiedzi.

Pani Ambaum okazała się mniej groźna niż przypuszczali. Była to duża, prosto trzymająca się kobieta o siwiejących włosach, rubasznej twarzy i podejrzliwym umyśle, lecz na pewno nie nikczemnego charakteru. Elizabeth wyjaśniła, jak doszło do tego, że Abernathy i Questor Thews złożyli jej wizytę i że zostali zaproszeni do pozostania u nich w domu, a pani Ambaum, po kilku kurtuazyjnych pytaniach i całkowitym zrzeczeniu się odpowiedzialności za wszystko, pogodziła się z ich obecnością bez dalszych dociekań, po czym udała się do swojego pokoju na herbatkę ziołową i telewizję. Questor Thews i Abernathy poszli spać ze znacznie lżejszym sercem.

Następnego ranka wstali wcześnie i zeszli na dół na śniadanie. Dowiedzieli się, że pani Ambaum wyszła już na cały dzień do siostry. Zjedli w pośpiechu, chcąc jak najszybciej rozpocząć poszukiwania w Graum Wythe, po czym zmyli naczynia i wyszli razem z Elizabeth. Dzień był piękny, bezchmurny, rozświetlony słońcem. Wokół rozbrzmiewał świergot ptaków, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów i świerków. Trzyosobowa grupka w wesołym nastroju przeszła aleją przez dziedziniec i ruszyła drogą w stronę zamku.

Elizabeth zrównała się z Abernathym, uśmiechając się tajemniczo. Czuł się spięty i skrepowany.

- Dobrze ci w ubraniu taty - zwróciła się do niego. - Wyglądasz bardzo dystyngowanie. Zawsze powinieneś się tak ubierać.

- Powinien się również częściej uśmiechać - dodał Questor Thews, zanim zdążył się zastanowić.

- To zupełnie niewiarygodne, Abernathy, że znowu tu jesteś - ciągnęła dalej dziewczyna, biorąc go czule pod ramię. - Tylko popatrz na siebie! Kto by uwierzył w to, co się stało? Czyż to nie cudowne? Nie jesteś zadowolony?

- Bardzo - przyznał Abernathy, przybierając uprzejmy wyraz twarzy, choć w głębi serca zastanawiał się, jaką przyjdzie mu zapłacić cenę za swoje cudowne, choć wciąż nie wyjaśnione przeobrażenie. Zawsze trzeba płacić za takie rzeczy. Cofnął się myślą do

kryształów duszy Horrisa Kew. Zawsze trzeba płacić.

Elizabeth była w szarobłękitnej bluzie z jakimś napisem mówiącym coś o muzyce grunge'owej z Seattle, dzinsach i znoszonych trampkach. Włosy miała w artystycznym nieładzie, fioletowy cień na powiekach oraz ciemnopurpurową pomadkę. Abernathy pomyślał, że strasznie szybko dorosła, ale zatrzymał to dla siebie.

- Masz rodzinę - zapytała go nagle. - Żonę i dzieci? Pokręcił głową niczym zdeprymowany chłopiec.

- A ojca i matkę?

- Nie mam już od wielu lat. - Z trudem ich sobie przypomniał.

- A braci i siostry?

- Nie, niestety nie mam.

- Hmm. To raczej smutne, co? Może powinnam cię adoptować! - Uśmiechnęła się promiennie. - Żartowałam. Mógłbyś jednak zostać członkiem mojej rodziny, skoro jest taka mała. Na pewno przydałaby się jej jeszcze jedna bądź dwie osoby. Co ty na to? Taka nieoficjalna adopcja, co?

- Dziękuję, Elizabeth - odpowiedział, naprawdę wzruszony.

Starszy mężczyzna z naelektryzowanymi włosami i brodą, młodszy w okularach bez oprawek i z zamyśloną twarzą oraz dziewczyna o kręconych włosach, zdająca się im przewodzić, zbliżali się do Graum Wythe jak Dorota i jej towarzysze z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Różnica polegała na tym, że Graum Wythe, poza tym iż był imponującym zamkiem, w niczym nie przypominał Szmaragdowego Grodu. Nie był ani zielony, ani jasny, lecz szary i posepny. Do jego bram nie prowadziła droga z żółtej cegły, lecz zwykła asfaltowa szosa. Wokół jego murów nie rozciągały się pola maków, choć winnice rozjaśniały odrobiną zieleni tę szarość. Wyglądał jak średniowieczna forteca, lecz na murach obronnych nie powiewały żadne proporce, a jedynie przy wejściu zatknięto flagi Stanów Zjednoczonych i stanu Washington.

Ani Abernathy, ani Questor nic oczywiście nie wiedzieli o Szmaragdowym Grodzie z Krainy Oz. Gdyby już mieli się nad tym zastanawiać, to prawdopodobnie zestawiliby monotonię Graum Wythe na przykład z blaskiem Sterling Silver. Tak naprawdę to myśleli o czymś zupełnie innym. Abernathy próbował wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało teraz jego życie, kiedy nie jest już psem, ale prawdziwym człowiekiem. Starał się zobaczyć siebie w nowej roli w różnorodnych sytuacjach. Questor Thews natomiast wracał myślą do pytania, które poprzedniej nocy zadał jego przyjaciel, a które dotyczyło związku jego przemiany z psa w człowieka wraz z ich przybyciem do świata Bena Holidaya. Miał nadzieję, że jego

podejrzenia, z którymi się jeszcze nie zdradził, okażą się błędne.

Mała grupka zbliżyła się do niskiego kamiennego murku okalającego zamek i przeszła przez otwartą żelazną bramę do mostu zwodzonego. Przed nimi wyłonił się Graum Wythe, masywny zespół wież i murów. Most był opuszczony, a krata w bramie podniesiona. Weszli w półmrok zamkowych murów, aż znaleźli się na parkingu dla samochodów na dziedzińcu zamkowym. Graum Wythe robił wrażenie wymarłego. W części dla gości stał zaparkowany jeden samochód. Sklep z pamiątkami, ukryty w czymś, co niegdyś było wartownią, był zamknięty za spuszczoneymi żaluzjami. Zamek wydawał się opuszczony.

- Wszystko w porządku - zapewniła swoich towarzyszy Elizabeth. - Muzeum jest jeszcze zamknięte dla zwiedzających, ale my będziemy mogli wejść.

Poprowadziła ich przez parking, a potem po schodach do obitych żelazem drzwi frontowych. Zastukała ciężką kołatką i zaczekała. W chwilę później drzwi się otworzyły i mężczyzna, którego przy powitaniu nazwała Harveyem, uśmiechnął się, rozpoznając ją, i wpuścił ich do środka. Weszli do tego samego holu, w którym kilka lat wcześniej Ben, Willow i Mi-les Bennett - dawny partner Bena w firmie prawniczej, wcielony do służby na tę wyjątkową okazję - wszyscy odpowiednio przebrani z okazji Halloween, organizowali ucieczkę Abernathy'ego z lochów Michela Ard Rhi. Abernathy rozejrzał się niespokojnie, jakby przeczuwając coś złego, lecz zagrożenie ze strony Michela i jego strażników już dawno minęło, sam hol zaś został obity nowymi tkaninami, ustawiono w nim stojaki z broszurami oraz pulpit recepcyjny, do którego zaprosił ich Harvey. Przedstawivszy swych przyjaciół tak samo, jak wcześniej pani Ambaum, i wymieniwszy kilka uprzejmości, Elizabeth powiodła czarodzieja i skrybę do wnętrza zamku.

Resztę dnia zajęły im poszukiwania. Na początku ograniczyli się jedynie do korytarzy i pomieszczeń udostępnionych dla zwiedzających oraz obiektów wystawionych na pokaz. Questor Thews rozpoznawał większość z nich. Niewiele jednak posiadało magiczną moc. Praktycznie tylko w dwóch wypadkach czarodziej czuł się zmuszony opatrzyć przedmiot komentarzem, w którym zwracał uwagę, że nie powinien on być wystawiony na widok publiczny ze względu na zagrożenie, jakie stwarzał przy niewłaściwym jego użyciu.

Nigdzie jednak Questor nie znalazł nie dającego się określić obiektu swych poszukiwań.

Minęło południe, nie przynosząc im żadnych rezultatów. Zjedli lunch w małym barze znajdującym się w pomieszczeniu, które niegdyś było kuchnią zamkową. Zwiedzający przybywali teraz całymi tabunami, również autokary przywoziły całe grupy turystów. Robiło się coraz goręcej. Aby uniknąć tłumów, Elizabeth zaprowadziła ich do pomieszczeń na

zapleczu i do magazynów, które były zamknięte przed zwiedzającymi, gdzie mogli obejrzyć przedmioty uważane bądź za niewarte eksponowania, bądź jeszcze niegotowe do wystawienia. Wszędzie stały skrzynie, lecz większość z nich udało im się poprzestawiać, aby zajrzeć do każdej z osobna. Gablotki wypełnione były dziwnymi kamkami i minerałami, rzeźbami, malowidłami i wszelkiego rodzaju wyrobami rzemiosła, trudno było jednak rozpoznać ich przeznaczenie.

W godzinę po zamknięciu zamku, Harvey poinformował ich, że będą musieli już wyjść. Z niechęcią ruszyli ciężkim krokiem do domu, z pustymi rękami. Questor Thews był szczególnie sfrustrowany.

- To tam jest, wiem o tym - mrucał pod nosem, potrząsając swoją białą głową. - Nie mogę się mylić. Jest tam, ale nie widzę tego, to wszystko. Musimy po prostu tam jutro wrócić i spróbować jeszcze raz. A bodaj to!

Abernathy i Elizabeth wymienili krótkie spojrzenia. Ani jedno, ani drugie nie martwiło się tym, że poszukiwania potrważą kolejny dzień. Gdyby Questor był bardziej uważny, toby zauważył, że Elizabeth trzyma Abernathy'ego za rękę. Gdyby był bardziej uważny, zauważyłby, że Abernathy'emu to już nie przeszkadza.

SPEŁNIONE OBIETNICE

Pierwszy z szermierzy Rydalla pojawił się zgodnie z obietnicą dokładnie po trzech dniach od przyjęcia przez Bena Holidaya królewskiego wyzwania.

Nim słońce wzniosło się ponad horyzont, przed bramą Sterling Silver, na drugim końcu mostu stała już samotna postać i czekała, spoglądając w stronę zamku. Był to mężczyzna potężnych rozmiarów i niewątpliwej siły. W kraju, w którym wojownicy często osiągali wysokość siedmiu stóp, ten człowiek z pewnością mierzył osiem. Olbrzym o masywnym torsie, szerokich barach i nogach jak pnie drzewa był okryty skórą zwierząt, przylegającymi do muskularnego ciała dzięki przytrzymującym je rzemieniom. Do wysokich butów sięgających połowy uda doczepione były nagolenniki, a nabijane gwoździami osłony nadgarstków połączone były sznurkami ze skórzanymi rękawicami. Czarna broda i szorstkie, grube włosy zasłaniały większą część twarzy, lecz mimo to wciąż było widać jego oczy skrzzące się jaskrawo w promieniach wschodzącego słońca.

Jedynym jego uzbrojeniem była pokryta śladami po niejednej walce drewniana maczuga okuta żelazną taśmą. Ben Holiday stał wraz z Willow i Bunionem na murach obronnych zamku i patrzył na szermierza wysłanego przez Rydalla. Jego przybycie nie było dla nich, oczywiście, zaskoczeniem. Od czasu zniknięcia Mistai razem z Questorem Thewsem

i Abernathym Ben był przekonany, że Rydall istnieje naprawdę. To, że nikt nigdy nie słyszał o nim samym ani o jego królestwie Marnhull, ani to, że nawet się nie domyślał, skąd mógł przybyć i dokąd się udać, ani też w końcu to - i to było najważniejsze - co zrobił z córką Bena i jego przyjaciółmi, wszystko to nie było w stanie zmniejszyć powagi zagrożenia. Przy użyciu krainoglądu Ben przez trzy dni, które miał do dyspozycji po odejście Rydalla, przetrząsał każdy zakątek Landover i niczego nie znalazł. Nie było żadnego znaku, żadnego śladu bytności Rydalla, żadnej wskazówki, dokąd mógł pójść. Na poszukiwania udał się również Bunion, wykorzystując swoją nadzwyczajną koboldzią szybkość oraz zdolności tropicielskie. Jemu także się nie powiodło. W końcu została jedna, choć zupełnie nieprawdopodobna konkluzja: król krainy Marnhull rzeczywiście zdołał w jakiś sposób przeniknąć czarodziejskie mgły. Porwał Mistayę i jej strażników, łącznie z Abernathym i Questorem, i wrócił z powrotem tam, skąd przyszedł, zostawiając Bena z rzuconym przez siebie wyzwaniem do walki z siódmką swych szermierzy, której celem było zniszczenie go.

Ben pokręcił głową z rezygnacją. Na nogach był już od północy, czekając na przybycie pierwszego zabijaki. Nie był zmęczony ani nawet znużony, jedynie smutny. Będzie musiał walczyć z wysłannikiem Rydalla niezależnie od tego, kto to jest, i prawdopodobnie zniszczy go. Zrobi to pod postacią swego drugiego „ja”, Paladyna, co nie zmienia stanu rzeczy, że to wciąż on będzie walczył i prawdopodobnie zabijał. Będzie musiał przeobrazić się w zakutego w stal wojownika strzegącego króla Landover. Bał się tej przemiany i gardził nią, ponieważ za każdym razem, gdy to następowało, jakaś częśćka jego samego odpływała w otchłań ciemnego szaleństwa, która otaczała życie Paladyna. Był wojownikiem i błędnym rycerzem, obrońcą i szermierzem króla, ale przede wszystkim pozostawał Paladyn narzędziem zniszczenia, którym żaden człowiek pozostający przy zdrowych zmysłach nie chciałby nigdy zostać. Ben Holiday musiał jednak to robić. Od tej chwili aż do końca.

Przecież sam dokonałem tego wyboru, porzucając swoje dawne życie i zamieniając je na to, zbeształ samego siebie. To była moja decyzja.

- Może go zwyczajnie zignorujemy - powiedziała cicho Willow. Ben spojrzał na nią, lecz ona nie odrywała wzroku od olbrzyma. - Jeśli każemy mu czekać za zamkniętą bramą, to cóż może zrobić? Może w końcu sprzykrzy mu się czekanie. Czas pracuje na twoją korzyść, Ben. Niech tam stoi.

Ben zastanowił się nad tym. Mógł tak zrobić. Mógł zostawić olbrzyma tam gdzie stał i zobaczyć, co się będzie działo. Nie był to najgorszy pomysł, choć mogło to trochę utrudniać życie tym, którzy chcieliby wejść lub opuścić zamek. Nie poprawiało to jednak jego wizerunku jako króla. Pozostawał w końcu więźniem we własnym pałacu.

- Czy przedkładał jakieś żądania? - zapytał Buniona, wciąż zastanawiając się nad decyzją.

Kobold zaświergotał cicho. Nie, olbrzym nie odezwał się słowem.

- W takim razie dobrze. - Ben ściągnął usta. - Każemy mu jeszcze trochę poczekać. Skoro wiemy, że już tu jest, to teraz czas na małe śniadanie. Później się zastanowimy, co robić dalej.

Chciał się odwrócić, lecz w tej samej chwili ramię olbrzyma uniosło się i wskazało prosto na niego. Nie było wątpliwości, co może oznaczać ten gest. Nie odwracaj się, zdawał się mówić. Nie odwracaj się ode mnie.

Ben się błyskawicznie odwrócił i zbliżył do muru. Ramię olbrzyma opadło i znowu przyjął wyczekującą pozycję, z jedną ręką opartą na pasie, a drugą na rękojeści olbrzymiej maczugi. Dziwne oczy lśniły. Wielka postać robiła wrażenie, jakby została wyrzeźbiona ze skały.

- Zdaje się, że nie podoba mu się twój pomysł, Willow - mruknął Ben, czując jej dłoń zaciśniętą na swojej. Wiedział, o czym myśli: Uważaj na siebie. Nie daj się sprowokować. Nie pozwalaj się wciągnąć w walkę, dopóki nie będziesz gotów.

Nie powiedziała mu: Nie idź. Wiedziała, że musi. Wiedziała, że nie może uniknąć tej konfrontacji ani żadnej z tych, które nastąpią, jeśli chcą jeszcze ujrzeć Mistayę żywą. Nienawidziła sytuacji, w której się znaleźli, równie mocno jak on, lecz od chwili, kiedy Rydall przybył z wiadomością o ich nieobecnej córce, zrozumieli, że zostali zmuszeni do prowadzenia śmiertelnej gry i że muszą znaleźć sposób na jej wygranie.

- W czym tkwi jego siła? - zapytała nagle, wskazując na olbrzyma nerwowym ruchem ręki. - To prawda, że jest wielki i silny, ale gdzie mu do Paladyna. Dlaczego go posłano?

Ben również się nad tym głowił. Paladyn był lepiej uzbrojony i miał zapewnioną lepszą ochronę. Jakże olbrzym mógł liczyć na pokonanie go?

U jego boku Bunion zaświergotał dyskretnie. Chciał zejść na dół i przetestować siłę olbrzyma, sprawdzić jego możliwości, wy badać słabe punkty. Ben potrząsnął głową. Nie chciał, aby ktokolwiek inny oprócz niego narażał się na niebezpieczeństwo w walce z Rydallem. Już i tak zdążył wystawić na ryzyko życie Mistai, Abernathy'ego i Questora.

- Nie pozwala nam opuścić murów - powiedział w końcu. - Co się stanie, jeśli go nie posłuchamy? Może powinniśmy to sprawdzić. Bunion, zostań i obserwuj wszystko.

Trzymając kurczowo dłoń Willow, odwrócił się tyłem do muru i ruszył w stronę otwartych schodów prowadzących w dół, obok budki strażnika, na dziedziniec. Znajdował się już prawie na pierwszym stopniu, kiedy dotarł do niego ostrzegawczy syk Buniona.

Olbrzym zaczął migotać niczym miraż w letnim skwarze. Powietrze wokół niego było wilgotne, kolory tęczy ślizgały się po jego powierzchni niczym jesienne liście po tafli szkła.

Ben zawahał się. Wtem Bunion drgnął i szybko spojrzał na niego.

Olbrzym zniknął.

Ben wpatrywał się w kobolda, nie bardzo wiedząc, co ma robić, po czym z powrotem ruszył do niego, chcąc samemu to zobaczyć. W tej samej chwili usłyszał, jak Willow raptownie nabiera powietrza do płuc. Obrócił się i, podążając za jej wzrokiem, spojrzał w dół na dziedziniec. Żołnierze i czeladź dworska rozbiegli się na wszystkie strony, byle dalej od światła, które wypełniło blaskiem skrzących się barw środek placu.

Olbrzym pojawił się na nowo, jakby wyszedł z eteru, materializując się wewnątrz murów samego zamku. Wyrósł z nicości, wielki i ciemny. Potężna maczuga spoczywała na ramieniu, a jego wygląd sprawiał jeszcze groźniejsze wrażenie. Oddział żołnierzy zbliżał się do niego ostrożnie, stając między nim a swoim królem. Jeszcze chwila, a rozpocznie się bój.

Ben jednak wiedział, że nie może do tego dopuścić.

- Zostańcie na miejscu! - zawołał na dół.

Żołnierze spojrzeli nań do góry wyczekująco. Również olbrzym podniósł wzrok.

Ben poczuł, jak Willow uwalnia jego dłoń, lecz nie był w stanie spojrzeć na nią. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął medalion królów Landover, talizman chroniący go przed niebezpieczeństwami. Trzymając go przed sobą tak, aby wpadło do niego poranne słońce, z oporami przywołał Paladyna.

Natychmiast u podnóża schodów prowadzących do strażnicy zamigotało jaskrawe światło, a z jasności wyszedł Paladyn. Uzbrojony był w swój pałasz wydobyty już z pochwy oraz okuty żelazem buzdygan przymocowany rzemieniem do pasa. Ciało osłaniała srebrna zbroja, lśniąca z całą intensywnością odbitym słońcem.

Ben z miejsca poczuł łączącą ich więź, poczuł zamykające się wokół niego zatraski, tworzący się w jego umyśle obraz - dziwna kombinacja ognia z lodem, z której rodzi się zupełnie nowa jakość. Nici uczuć i myśli zaczęły wiązać ich ze sobą i tworzyć jedną całość. Ze swego ciała został uniesiony na fali światła do wnętrza zbroi Paladyna. Czuł, jakby go obejmowały dziesiątki rąk i wciskały w żelazo, aby stał się jednością z orężem swego obrońcy. Zanurzył się we wspomnieniach wygranych bitew, do których doszło w ciągu niezliczonych setek lat. Pojawiał się na krótko w miejscach i w czasach, o których nikt już nie pamiętał. Zamieniał się w swoje drugie „ja”, a w tym *alter ego* lawinowo zaczęła narastać pasja i żądza krwi na widok przeciwnika.

Natarli na siebie z impetem, rozległ się brzęk metalu, gdy ich broń zwarła się ze sobą,

nieruchomiejąc na krótką chwilę w powietrzu, po czym pałasz i maczuga ześliznęły się po sobie. Chrzążając, rozdzielili się, lecz zaraz ponownie ruszyli ku sobie. Olbrzym był mocny i zdecydowany, próbował zatem wykorzystać swoją straszliwą siłę i zdobyć przewagę nad przeciwnikiem. Paladyn był jednak zbyt dobrze zaprawiony w bojach, aby dać się tak łatwo podejść. W chwilę później wymierzył olbrzymowi pchnięcie w bok, wytrącił mu z dłoni maczugę i rzucił go na ziemię.

Upadek wyglądał poważnie, lecz olbrzym zdołał się prze119

kulać, unikając ostrza pałasza przecinającego ze świstem powietrze tuż nad nim. Podniósł się na nogi, nie odniósłszy żadnej rany, i znowu dzierżył w ręku swą broń. Z miejsca natarł na Paladyna. Ten sparował potworne uderzenie i zadał przeciwnikowi cios w głowę. Olbrzym padł na ziemię i potoczył się w drugą stronę. Powierzchnię dziedzińca zrosiła krew.

Zaraz jednak był znowu na nogach, krew zaschła, a rana się zamknęła. Paladyn zawahał się po raz pierwszy. Olbrzym można było zranić, jednak jego rany natychmiast się goiły. Ciosy powinny go osłabiać albo czynić wolniejszym; ani jedno, ani drugie nie miało jednak miejsca.

Olbrzym zaatakował na nowo, nacierając na Paladyna z taką siłą, że królewski szermierz poleciał do tyłu i został przyparty do muru. Napastnik zaczął wyłamywać jego rękę z mieczem, starając się podsunąć mu maczugę pod szczękę i zmiażdżyć szyję. Paladyn próbował się wyrwać ze śmiertelnego uchwytu, ale nie mógł. Olbrzym sapał z wysiłku, coraz bardziej zbliżając maczugę do szyi Paladyna. Ciemne oczy lśniły. Wielkie ciało napierało z całych sił. Paladyn stracił oddech. Nie był w stanie się uwolnić.

W akcie rozpaczki wałnął olbrzym w brzuch obiema pięściami w żelaznych rękawicach. Olbrzym zacharzał z bólu. Paladyn uderzył ponownie, tym razem w przeponę. Olbrzym odskoczył i złapał się kurczowo za brzuch, wypuszczając maczugę. Paladyn jeszcze raz uderzył, tym razem dokładnie między oczy. Olbrzym zatoczył się do tyłu i upadł.

I wtedy, rzecz zupełnie niewiarygodna, olbrzym znowu się podniósł na nogi, wyprostowany, jak gdyby w ogóle nie upadł, i wając maczugę w dłoni, znowu ruszył do przodu. Paladyn stracił swój miecz i teraz wydobył przymocowany do pasa buzdygan. Był on krótszy od maczugi olbrzyma, choć równie zabójczy. Nie było jednak broni, która mogłaby uprzedzić szybkość, z jaką olbrzym odzyskiwał siły po każdym upadku. Miało się nawet wrażenie, że kolejne ciosy dodają mu nowych sił.

Olbrzym znowu zaatakował Paladyna, wałąc w osłonięte zbroją ciało z taką siłą, że

jeden z ciosów wytracił obrońcy Landover buzdygan z ręki, jakby to była zwyczajna zabawka, nie broń. Paladyn wziął się ze swoim przeciwnikiem za bary, przyskakując do niego, aby uniknąć śmiertelnego zamachu maczugą. Chwyciwszy rękoma wielkie ciało olbrzyma, uniósł je do góry, aby cisnąć nim o ziemię. Ten ryknął z wściekłości. Coś w tym ataku go najwyraźniej zaniepokoiło. Paladyn parł do przodu. Słaniając się na nogach, przemierzał z ofiarą dziedziniec, charcząc i sapiąc razem z nim z wysiłku, jaki wkładali w walkę. Olbrzym starał się uwolnić. Nie miał już maczugi, lecz masywnymi rękoma młócił zakute w stal ciało Paladyna. Paladyn jednak odkrył *coś* ważnego: kiedy dźwignął swego przeciwnika do góry, olbrzym znacznie osłabł. Stracił siłę i zmalała intensywność jego wysiłków. Tamten zawył, najwyraźniej bezradny. Chciał znowu poczuć grunt pod nogami. Paladyn natomiast z wszystkich sił starał się utrzymać go w górze, aby przerwać jego więź z ziemią, bo stało się jasne, że właśnie stamtąd Rydallowy wysłannik czerpie siłę.

W końcu Paladyn zbliżył się z olbrzymem do schodów wieży strażniczej i rzucił go na kamienne stopnie. Tamten szamotał się i kopał, próbując się stoczyć ze schodów na ziemię dziedzińca, lecz Paladyn nie zwolnił uścisku. Olbrzym ryknął jeszcze raz. Z nosa i ust trysnęła krew, a przy każdym jego obrocie ciekła również z ran. Paladyn pchnął przeciwnika parę stopni wyżej, byle dalej od ziemi dziedzińca. Olbrzym osunął się na schody, tracąc w nagłych konwulsjach oddech. Kilka kolejnych stopni w górę i zupełnie przestał oddychać. Ramiona opadły mu do tyłu, nogi zwiotczały i dziwnie krzywo rozwały się na schodach.

Paladyn trzymał go w tej pozycji, przygwożdżonego i bezradnego, aż wyzionął ducha. Kiedy uszło zeń życie, olbrzym zamienił się w proch.

Później, kiedy Paladyn zniknął, a Ben powrócił do swego ciała, zastanawiał się, czy mógł darować olbrzymowi życie. Nie była to sprawa łatwa do rozstrzygnięcia. Pozostawało jednak pytanie, czy Paladyn pozwoliłby na to, ponieważ kiedy Ben znajdował się w Paladynie, podlegał zasadom etyki rycerza, a te daleko odbiegały od jego własnych. Paladyn nie miał

interesu w tym, aby oszczędzać życie wroga. Wrogów należało zabijać szybko i bez litości. Ben nie był pewien, czy zdołałby osiągnąć jakąkolwiek władzę nad swoim *alter ego*, żeby ten choć przez krótką chwilę rozważył kwestię darowania życia. Pod znakiem zapytania stała też reakcja olbrzyma: czy przyjąłby współczucie, czy raczej zupełnie by je zlekceważył, jak zrobił to Paladyn, i prowadziłby walkę aż do śmierci. Na sam koniec należałoby sobie

odpowiedzieć na pytanie, czy olbrzym był w ogóle postacią rzeczywistą. Umierając, zamienił się w proch, a istoty z krwi i kości nie czynią tego tak szybko. Całkiem możliwe było też, że olbrzym był tworem magii, a jego zniszczenie było nieuchronne w obliczu magicznej mocy o większej sile.

To wszystko jednak nie wyzwoliło Bena od uczucia niesmaku w związku z tym, co przeszedł. Wstrząs wywołany uśmierceniem olbrzyma nie dawał się złagodzić świadomością, że stwór mógł nie być istotą śmiertelną. Jego śmierć była wystarczająco prawdziwa, a do tego została zadana ręką Bena. Wciąż czuł słabnące zmagania olbrzyma, kiedy trzymał go przygwożdżonego do stopni wieży. Na zawsze zapamięta oczy tamtego w chwili, gdy uchodziło z nich życie.

Wrócił wraz z Willow do swojej sypialni i spał trochę, szukając ucieczki od niedawnych doświadczeń. Została razem z nim przez cały czas, kiedy odpoczywał, leżąc obok niego na łóżku, głaszcząc go chłodnymi rękoma po torsie i ramionach, szepcząc kojące słowa. Nie wiedział, jak mógłby bez niej żyć; była mu tak bliska, stanowiła przecież sporą część jego samego. Tak jak Paladyn był jego ciemną stroną, ona z pewnością była tą jasną. Jej blask dodał mu otuchy i Ben odpłynął tam, gdzie jest ciepło i panuje spokój.

Kiedy się zbudził, było południe. Poszedł coś zjeść, czując na nowo głód. Chciał jak najszybciej zabrać się do zajęć, które na niego czekały. Nie rozmawiał z Willow o tym, co się stało. Nigdy nie powiedział jej - ani zresztą nikomu innemu - prawdy o Paladynie. Nikt nie wiedział, że król Landoveru i jego szermierz byli jednym i tym samym, złączeni za sprawą magicznych sił medalionu, nieodwołalnie związani ze sobą w celu obrony królestwa. Nikt nie wiedział, że kiedy ten drugi wynurzał się na powierzchnię, ten pierwszy musiał się zanurzyć, jeden wypierał i poskramiał drugiego, uzyskując dominację. Coraz trudniej było jednak Benowi utrzymać to w tajemnicy przed żoną. Zaczynał go zdradzać wysiłek związany z utrzymaniem siebie w ryzach po każdej transformacji, zachowania jednolitej osobowości, kiedy poszczególne elementy jego „ja” były rozrywane na strzępy. Nie potrafił obronić się przed tym, że kiedy był Paladynem, chełpił się siłą, jaką mu dawała magia po przeobrażeniu, i nie chciał się zmieniać z powrotem. Obawiał się, że któregoś dnia ulegnie tej pokusie.

Wśród odwiedzających zamek znaleźli się urzędnicy komitetu do spraw reformy gruntów wyznaczeni przezeń do nadzorowania zmian, jakie przynosiło zastosowanie nowych technik agrarnych oraz nawadnianie w różnych częściach królestwa, a zwłaszcza w jałowych Wschodnich Pustkowiach. W końcu spotkał się z nimi, chciał się bowiem dowiedzieć, czy władcy Greensward są już dostatecznie przekonani do tego, aby powierzyć siłę roboczą i materiały potrzebne do realizacji tego planu. Spotkanie nie przyniosło oczekiwanych

rezultatów, ale przynajmniej zachęciło go do złożenia wizyty u tych kilku, którzy pozostali oporni, a w szczególności, co nie było niespodzianką, u Kallendbora z Rhyndweir. Kallendbor opierał się wszystkiemu, co zaproponował Ben, a dwa lata temu, ulegając namowom mrocznej postaci o imieniu Gorse, która dysponowała niemalą magiczną mocą, dał się przekonać do wzięcia udziału w rebelii. Władca Rhyndweir nie dawał się zresztą zbyt długo namawiać i wyjątkowo chętnie przystał do buntu, kara Bena była więc surowa. Skazano go na rok wygnania i utratę niektórych tytułów oraz ziemi. Kallendbor przyjął wyrok bez narzekania, zdając sobie widocznie sprawę z tego, że kara mogła być - niektórzy mówili, że powinna być - znacznie cięższa. Spędził cały rok na wygnaniu, po czym odzyskał część swej ziemi i tytułów. Na każdym jednak kroku dawał się poznać jako niesforny i konfliktowy poddany i dla Bena było jasne, że mimo całego cierpienia, przez które przeszedł, niewiele się nauczył.

Po konferencji Ben miał jeszcze spotkanie z kilkoma swoimi przedstawicielami władzy sądowniczej, które jednak nie

potrwało zbyt długo, po czym zabrał się do uważnego przeglądania dokumentów prawnych dotyczących sporów o własność. Zajmując się tym wszystkim bez fachowej pomocy Abernathy'ego, znowu zaczął myśleć o porwaniu Mistai. Zastanawiał się, czy aby wszystko zrobił, żeby ją znaleźć. Z trudem odsuwał rozpacz ogarniającą go za każdym razem, gdy wyobraził sobie, że ją stracił. Jego nienawiść do Rydalla znacznie wzrosła. Nie mógł wybaczyć władcy krainy Marnhull, że posłużył się tak podłą taktyką, aby go zmusić do uczestniczenia w tej śmiesznej grze - zmaganiach królewskich szermierzy. W całej tej sprawie było jednak również coś intrygującego. Brakowało jej równowagi; brakowało przede wszystkim sensu. Coś mu mówiło, że za tym wszystkim kryje się jakaś głębsza tajemnica.

Prawdopodobnie dalej by się nad tym zastanawiał, gdyby nie przybył w pośpiechu Bunion i nie oznajmił, że pojawił się kolejny szermierz Rydalla.

Bena zamurowało. Drugi? Tak szybko? Dopiero co pokonał pierwszego! Zdaje się, że Rydall pragnie za wszelką cenę szybko zakończyć sprawę królestwa Landover.

Ruszył w stronę murów, puszczając przodem pędzącego Buniona. Gdy przechodził, strażnicy rozstępowali się, rzucając słowa zachęty i lekceważenia pod adresem nowego przeciwnika. Wszyscy już teraz zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje; wiedzieli, że nieznana zewnętrzna siła próbuje wydrzeć kontrolę nad królestwem. Od czasu pokonania Gorset, a było to dwa lata temu, na Landover panował pokój. Teraz jednak pojawiło się zagrożenie. Ben dziękował za słowa otuchy skinieniem głowy, bądź rzucając słowa

zachęcające do wytrwałości. Gdy wszedł na strażnicę, dołączyła do niego Willow. Szmaragdowe włosy powiewały za nią na wietrze; żelazna wola wypisała hardość na jej pięknej twarzy. Straż królewska gromadziła swoje siły na dziedzińcu, przygotowując się do wymarszu. Czeladź dworska wyprowadzała rumaki. Wszyscy szykowali się do bitwy.

Ben wspiął się na mur wychodzący na most zwodzony, tuż za nim Willow i Bunion, i wszyscy stanęli jak wryci.

Na drugim końcu mostu stał rycerz cały zakuty w srebrną zbroję, z lancą uniesioną do góry w geście salutowania. Mimo dużej odległości nie było wątpliwości, kto to jest. Przed oczami mieli Paladyna.

Ben wlepił w niego wzrok zupełnie oniemiały, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. Paladyn? Tutaj, nie wzywany? Czyżby przybył walczyć ze swym panem? Czyżby Rydall w jakiś sposób wywrócił panujący porządek?

- Przecież to niemożliwe - wymamrotał.

- To nie jest Paladyn. - Willow pierwsza powiedziała to na głos. - To nie może być on. Nie wezwałeś go, a oprócz ciebie nikt inny nie potrafi tego zrobić. Ten rycerz jest oszustem. To samozwaniec.

Mimo to wygląda bardzo naturalnie, pomyślał ponuro Ben. Cóż można było na to poradzić. Stał wobec tego samego dylematu co wtedy, gdy pojawił się olbrzym. Czekanie nic nie dawało. Jeśli nie przyjmie walki na zewnątrz, rycerz wkrótce znajdzie się wewnątrz murów.

Ben oparł dłonie na kamieniach zamkowych obwarowań i zastanawiał się, czy jest wystarczająco silny, aby po tak krótkim czasie znowu podjąć walkę. Bo choć transformacja nie nadwężała go zbytnio fizycznie, to duchowo i emocjonalnie była bardzo wyczerpująca. Po zakończonej walce i położeniu trupem kolejnego przeciwnika to właśnie psychika była najbardziej narażona na niszczące działanie oparów unoszących się po bitwie. Patrzył z ponurą miną na kolejnego wysłańca Rydalla. Ten przynajmniej nie ujawniał swego oblicza, ale perspektywa toczenia walki z samym sobą - bądź z częścią samego siebie - odbierała odwagę, nawet jeśli tak naprawdę nie była to jego część, a jedynie coś, co sprawiało takie wrażenie...

Dał spokój tym rozważaniom. Co za dużo to niezdrowo. I tak nie miał w tej sytuacji wyboru. Gdyby nawet Rydall wysłał trzech szermierzy tego dnia, to i tak musiałyby z nimi wszystkimi walczyć.

- Ben - odezwała się łagodnym głosem Willow, biorąc go pod ramię.

- Wiem - kiwnął głową. - Nie musisz tego mówić. Nie mogę jednak zmusić tego tam

na dole do odejścia, zwyczajnie go nie zauważając.

- Musi być jakiś sposób na niego - powiedziała - tak samo jak znalazł się na olbrzymia.

Puściła jego ramię, a on wyciągnął medalion. W chwilę później przywołał Paladyna. Poczuł ulgę, kiedy rycerz pojawił się w błysku ognia, który nadszedł z lasu na skraju łąki. Teraz miał pewność, że ten, który służy Rydallowi, nie jest prawdziwym Paladynem. Jego obrońca obrócił się w stronę samozwańca i opuścił lancę do ataku. Ben poczuł, jak kolejny raz jest przenoszony, tym razem jednak dla odmiany unosił się o wiele płynniej; najwyraźniej przyzwyczał się do tego od rana i niemalże cieszył się z tej podróży. Zbroja Paladyna zamknęła się wokół niego, wspomnienia wzburzyły mu krew, a widok zbliżającej się bitwy rozjuszył każdą żywą komórkę jego ciała.

Paladyn spał swego rumaka i zwierzę ruszyło z kopyta do ataku. Stojący przed nim fałszywy rycerz obrócił się i popędził mu na spotkanie. Mknęli po zielonym skrawku łąki z opuszczonymi lancami, przy huku tętniących kopyt, aż starli się z brzękiem żelaza wśród fruwających kawałków dębowego drewna po tym, jak obie lance roztrzaskały się na strzępy.

Wciąż siedząc na koniach, trzymając pęknięte i pokiereszowane tarcze, rycerze zrobili zwrot i stanęli twarzami do siebie z wojennymi toporami w dłoniach. Ruszyli na siebie drugi raz, wymachując bronią. Paladyn odbił ciężkie ostrze przeciwnika, a tamten zrobił to samo z jego własnym. Drugie uderzenie dotarło do zamierzonego celu i - podobnie - cios przeciwnika. Rycerze okładali się wzajemnie, gdy nagle oba topory trzasnęły przy rękojeściach i odpadły, złamane i bezużyteczne.

Ogarnięci dziką pasją, ścigali koniom wodze, aby zająć dogodną pozycję, dobywając w końcu swoich pałaszy. Przy trzecim natarciu z ostrzy ich broni przy każdym uderzeniu wzbijały się w górę snopy iskier widoczne nawet mimo ostrego popołudniowego słońca. Konie opadały z sił, parskając i sapiąc, wycieńczone dźwiganiem jeźdźców w zbrojach oraz amortyzowaniem wstrząsów powodowanych przez uderzenia. W końcu oba padły na ziemię i uwolniły się od ciężaru. Po chwili się podniosły, otrząsając się, i stanęły z opuszczonymi łbami i krwią na pyskach, niezdolne się poruszyć.

Bliźniaczy rycerze również się podnieśli, nie wypuściwszy z rąk pałaszy, i pieszo ruszyli do ataku. Jeśli nawet byli zmęczeni, to nie dawali tego po sobie poznać. Natarli na siebie z dziką determinacją i dla wszystkich, którzy to oglądali, stało się jasne, że żaden z nich nie ustąpi, dopóki ten drugi ostatecznie nie padnie na dobre.

Willow obserwowała tę walkę ze szczytu zamku z rosnącym lękiem. Każdy cios, który docierał do celu, znajdował natychmiastową, równie silną i skuteczną odpowiedź. Obaj Paladyni stanowili wierne kopie samych siebie. Z idealnie zsynchronizowaną precyzją

wykonywali obroty i natarcia, wymierzali ciosy i blokowali, nie przerywając przedziwnego tańca zniszczenia. Wkrótce nie potrafiła powiedzieć, który z nich jest prawdziwy. Powinno się go odróżnić od oszusta po jego doświadczeniu i wyrobieniu wojennym, lecz im dłużej trwała walka, tym trudniej jej to przychodziło. Atakowali i bronili się dokładnie w ten sam sposób - cios za cios, rana za ranę - na oko nie było żadnej różnicy w zachowaniu ani w prowadzonej strategii: każde odparowanie było natychmiast imitowane. Coś dziwnego było w tym, w jaki sposób rozwijała się ta walka, i po chwili Willow zdała sobie sprawę, co to jest. Paladyn nie mógł zdobyć przewagi w tej walce, ponieważ walczył z samym sobą. Było tak, jakby patrzył na siebie w lustrze, jakby oglądał własne odbicie, widział, jak wszystko, co robi, jest natychmiast precyzyjnie odwzorowywane. Odbicie nie mogło się zmęczyć bądź zwolnić tempa walki szybciej niż pierwowzór. Dopóki stał przed lustrem, nie był w stanie przed tym uciec...

Teraz to do niej dotarło. Zrozumiała, na czym polega sekret szermierza posłanego przez Rydalla. Odkryła też, jak go można pokonać.

- Ben! - zawołała, przekrzykując szeceł zbroi i oręża. Chwyciła go kurczowo za rękę, lecz z jego strony nie było żadnej reakcji. Stał obok niej i patrzył na walkę bez ruchu, nie odzywając się słowem, jakby został wprawiony w trans. - Ben! - krzyknęła ponownie, potrząsając nim mocniej. Odwrócił się do niej, czyniąc to w sposób prawie niezauważalny. Odniosła wrażenie, że patrzy na nią gdzieś z daleka. - Ben, odeślij Paladyna natychmiast z powrotem! - krzyknęła. - Każ mu wracać! Szermierz Rydalla kradnie jego siłę. On go wykorzystuje! Posłuchaj mnie, Ben! Jeśli odeślesz Paladyna, rycerz Rydalla również zniknie!

Gdzieś z zakątków umysłu dochodziło Bena błagalne wołanie. Był jednak zbyt daleko, aby zareagować. Tkwił uwięziony w ciele Paladyna, pochłonięty walką ze swoim bliźniaczym bratem, z przeciwnikiem, który zdawał się znać każdy jego ruch, potrafił przewidzieć każde, nawet najbardziej zaskakujące posunięcie i odparować każdy atak.

- Ben! - słyszał rozpaczliwe wołanie. Ben, słyszysz mnie?

Paladyn odsunął od siebie błagalną prośbę i ponowił atak. Wydawało mu się, że jego przeciwnik zaczyna słabnąć. Nie chciał się przyznać, że było to odbicie jego własnego zmęczenia.

Zropaczona Willow zwolniła swój uścisk, zostawiła nie reagującego na nią Bena i zeszła w pośpiechu z murów. Ben najwyraźniej nie był w stanie nic zrobić; musiało się z nim stać coś, czego nie rozumiała. Skoro nie mógł wpłynąć na Paladyna, ona musiała się tym zająć. Dotarła na dziedziniec, chwyciła włócznię tkwiącą w stojaku, podeszła do grupy stojących przed otwartymi wrotami żołnierzy gwardii królewskiej, którzy obserwowali

odbywający się poza murami zamku pojedynk, wskoczyła na grzbiet najbliższego rumaka i nie zważając na wołania, które natychmiast rozległy się z wszystkich stron, spięła konia i pognęła przez bramę na zewnątrz.

Zostawiając za sobą most dudniący od końskich kopyt, wypadła na łąkę i skierowała się w stronę walczących. Ścięły ją krzyki przerażenia, lecz nie zwracała na nie uwagi. Wiedziała, co należy zrobić. Paladyn i szermierz Rydalla sprzęgli się w walce, której celem było zniszczenie ich obu. Paladyna mogło uratować jedynie przerwanie działania magii, którą się żywił rycerz Rydalla. Tym razem to nie ziemia była jej źródłem, jak w przypadku olbrzyma, lecz siła i umiejętności prawdziwego Paladyna. Szermierz Rydalla był demonem, lustrzanym odbiciem, które karmi się swym pierwowzorem, imitując go, naśladowując każdy jego ruch, wysysając zeń życie.

Lecz gdyby lustro pociemniało...

Dotarła do walczących i nie zwalniając tempa, przemknęła obok nich, trącąc ich zakute w stal ciała opuszczoną włócznią. To wystarczyło, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Odwrócili się jednocześnie, dostrzegając ją po raz pierwszy. Ściągnęła koniowi wodze, obróciła zwierzę i opuściła włócznię, gotując się do następnej szarży. Obaj Paladyni byli najwyraźniej zaskoczeni; zupełnie nie wiedzieli, co ma oznaczać jej obecność. Musiała wierzyć, że to wystarczy, aby rozerwać oplatającą ich magię, że Ben zdoła jakoś porozumieć się z Paladynem i że jego obrońca usłucha usilnej prośby.

- Wycofaj się! - wrzasnęła z wściekłością i cisnęła w nich włócznią.

Ten, który był bliżej, odepchnął mijającą go broń, trącąc ją, jakby opędzał się od muchy. Drugi, stojący kilka kroków za nim, machinalnie powtórzył jego gest.

Acha, pomyślała tryumfalnie. Ty jesteś tworem Rydalla!

Podjechała tak blisko, jak tylko się odważyła, do prawdziwego Paladyna i ponownie ściągnęła wodze. Na łące zapanowała cisza.

Spojrzała na Paladyna.

- Schowaj swój miecz i wycofaj się! - powiedziała. - Tylko wtedy możesz zwyciężyć!

Nastąpiła długa chwila milczenia i niepewności wywołana konfrontacją między sylfidą i dwoma rycerzami w zbroi. Wtem, nagłym ruchem, prawdziwy Paladyn wsunął do pochwy swój wielki pałasz. Dłonią w metalowej rękawicy przywołał swego wycieńczonego rumaka. Patrzył przez chwilę na Willow, po czym dosiadł wierzchowca.

Słońce zamigotało na jego srebrnej zbroi, gdy odwracał się w stronę Sterling Silver. Srebrna smuga pomknęła w stronę murów obronnych zamku i odbiła się od medalionu zwisającego z szyi Bena Holidaya, zamieniając go w żywą rtęć.

Koń i jeździec zniknęli w błysku światła.

Willow obróciła się szybko w stronę drugiego rycerza, wstrzymała oddech i czekała.

Twór Rydalla stał, patrząc w powietrze, w którym rozpląnął się Paladyn. Wraz ze zniknięciem wroga kończył się cel jego życia. Krępowany prawami magii, która go stworzyła, po raz ostatni powtórzył zachowanie swego pierwowzoru. Wsuwając do pochwy miecz, podszedł do rumaka i dosiadł go. Nie znalazł jednak warunków dla swego odejścia. Nie było już magii, która mogłaby go dźwigać, zwyczajnie się zatem rozpadł, a opadający popiół wzniecił zasłonę kurzu.

Willow stała samotnie na środku łąki. Nie myliła się więc i po odejściu Paladyna, bez względu na przyczynę, szermierz Rydalla nie mógł przeżyć. Pozwoliła sobie na uśmiech zadowolenia i ulgi, po czym wolno ruszyła w stronę zamku i Bena.

ARDSHEAL

Było jeszcze jasno, słońce wciąż wisiało nad horyzontem tonącym w cieniu gór na zachodzie, kiedy u drzwi komnaty Bena i Willow stanął posłaniec od Władcy Rzeki. Przygotowywali się właśnie do kolacji. Wydarzenia tego dnia wykończyły ich nie tylko fizycznie. Psychicznie i emocjonalnie byli bliscy załamania i musieli najpierw dojść do siebie, zanim mogli pozwolić sobie na odpoczynek. Nie mieli nawet ochoty zawracać sobie głowy odpowiedzią na pytania o to, skąd ta istota wiedziała, gdzie ich szukać, i jak mogła przejść nie zauważona aż tutaj. Zresztą Ben zdążył się już przekonać, że istoty niegdyś czarodziejskie - między innymi Willow - mogą mijać ludzi niepostrzeżenie.

Posłaniec delikatnie zapukał, a kiedy Willow otworzyła drzwi, ujrzała nieruchomą postać o kamiennym obliczu. Był to duch drzew, chudy i sękaty niczym słup w ogrodzeniu, o oczach żywych jak klejnoty, osadzonych w twarzy, która była prawie pozbawiona jakichkolwiek innych cech charakterystycznych. Ukłonił się z szacunkiem przed Willow i czekał, aż Ben podejdzie i stanie razem z nią w drzwiach.

- Panie mój - powitał go i ukłonił się drugi raz. - Mój pan, Władca Rzeki, prosi, aby jego córka i jej mąż przybyli niezwłocznie do Elderew na rozmowę z nim. Chciałby usłyszeć coś więcej o zaginionej wnuczce i służyć radą oraz pomocą jej rodzicom. Czy przyjdziecie, panie? Ben i Willow wymienili krótkie spojrzenia. Żadne z nich nie miało najmniejszej ochoty gdziekolwiek się ruszać w tej chwili, lecz oboje natychmiast zdali sobie sprawę, że są powody, aby przyjąć zaproszenie. Gdyby zostali na miejscu, już wkrótce następny szermierz Rydalla złożyłby im wizytę. Może dzięki pobytowi w innym miejscu uda im się opóźnić to spotkanie. Granie na zwłokę było jedną z niewielu możliwości, jakie im pozostały, aby

kontynuować poszukiwania Mistai oraz próbować znaleźć rozwiązanie problemu pojedynku z Rydallem. Być może Władca Rzeki, istota władająca potężną magią, ofiaruje im talizman bądź jakieś zaklęcie, które pozwoli im się lepiej chronić. W najgorszym razie mogli liczyć, że uzyskają od niego jakieś wiadomości o swej córce, bo przecież o jej porwaniu dowiedział się kilka dni temu i do tej pory pewnie zdążył przeszukać krainę jezior i okoliczne tereny.

Nie wymienili między sobą ani jednego słowa, lecz Ben często komunikował się z Willow na innym poziomie i słowa nie zawsze były potrzebne.

- Powiedz Władcy Rzeki, że przyjdziemy - oznajmił posłańcowi.

Elf skinął głową, ukłonił się raz jeszcze i po chwili go nie było. Ruszył korytarzem w głąb gęstniejącego półmroku i wkrótce najzwyczajniej się rozplątał.

Zjedli kolację w swoim zacisznym pokoju, pragnęli bowiem pozostać sami. W zamku wciąż wrzało; żołnierze gwardii królewskiej rozstawiali wartę i przygotowywali się do wyjazdu na patrol. Dwa ataki tego samego dnia były czymś niespotykanym. Nawet Bunion wyruszył w teren, starając się odkryć, skąd przybyli uśmierceni szermierze Rydalla, chociaż z dużym powodzeniem można się było założyć, że niczego nie znajdzie. Odwołano spotkania na kilka najbliższych dni, a cały garnizon stacjonujący w zamku postawiono na nogi. Nikt nie mógł wejść ani wyjść z zamku bez dokładnej kontroli.

Taka ostrożność nie miała oczywiście większego znaczenia, gdy w grę wchodziło korzystanie z magii - dowiodło tego nietypowe zjawienie się posłańca od Władcy Rzeki. Ben ani przez chwilę nie wątpił w to, że Rydall posiada własną magię o znacznej mocy, pozwalającą prawdopodobnie jego szermierzom wyprowadzić w pole tych, którzy próbują ich powstrzymać za pomocą zwykłych środków ostrożności. Prawdopodobnie to właśnie towarzysz Rydalla, ten w czarnej opończy, dzierży magiczną moc, a sam Rydall jedynie decyduje o jej użyciu, lecz przecież i tak podział ról nie ma znaczenia. Dwaj pierwsi szermierze wysłani, aby go zniszczyć, z pewnością byli wyposażeni w magię i bezpieczniej było przyjąć, że pozostała piątka, która ma dopiero nadejść, będzie posiadała jeszcze większą magiczną moc.

Podczas kolacji Ben i Willow omówili sytuację i jeszcze raz doszli do wniosku, że najlepiej zrobią, jeśli na kilka dni udadzą się do krainy jezior. Może Rydall będzie miał kłopoty z ich lokalizacją. Może zmiana ich miejsca pobytu zachwieje jego planami. Zostając tutaj i czekając bezradnie na kolejnego przeciwnika, robiliby właśnie to, na co liczył Rydall. Poza tym szansę na znalezienie Mistai oraz Questora i Abernathy'ego bez pomocy z zewnątrz były niewielkie. Korzyść z krainogłodu okazała się żadna. Zawiodły również wszystkie wysiłki w przeszukiwaniu kraju. Wciąż jednak istniała możliwość, że ktoś, o kim jeszcze nie

pomyśleli, może coś wiedzieć na ten temat. Albo że ktoś o sile większej niż ich własna i możliwościach niedostępnych dla nich, jak na przykład Władca Rzeki, może się podzielić swą wiedzą.

Zdecydowali, że wyruszą tej nocy pod osłoną ciemności, jeszcze przed nadejściem świtu. Mieli nadzieję, że opuszczą zamek nie zauważeni i że nie natkną się na kolejnego wysłańca Rydalla. Ben szczególnie boleśnie odczuwał skutki stoczonych tego dnia pojedynków. Willow nie potrafiła dociec przyczyny tego stanu rzeczy. Ben wciąż milczał na temat tego, co się wydarzyło w czasie drugiej walki, dlaczego nie reagował na jej usilne prośby, dlaczego wydawał się tak daleki od tego, co się działo, a mimo to był później tak wycieńczony. Podziękował jej za pomoc, nie robiąc jej żadnych wyrzutów za to, że znalazła się na polu walki, po czym nagle porzucił tę kwestię, wycofując się w głąb siebie, i pozostał tam aż do chwili pojawienia się posłańca od Władcy Rzeki. Willow ze swojej strony nie naciskała go. Było jasne, że zacznie o tym mówić, kiedy będzie gotów, jej zaś wystarczało zadowolenie z tego, że pomogła mu pokonać wysłannika Rydalla. Martwiła się jednak, co się stanie następnym razem. Nie podobało jej się jego zachowanie podczas walki Paladyna. Nie lubiła sytuacji, kiedy nie potrafiła dociec, co jest nie tak.

Zaczekali na powrót Buniona, zdecydowali się bowiem zabrać go ze sobą jako dodatkową ochronę. Kilku wybranym osobom zostawili polecenia, co należy zrobić podczas ich nieobecności, przełożyli wszystkie pozostałe spotkania na następny tydzień, każąc oznajmić, że król jest na wakacjach. Zamek opuścili przez boczne drzwi wychodzące na wschód, przedostali się ślizgaczem na drugi brzeg jeziora i spotkali z Bunio-nem, który był już na miejscu z gniadoszem Bena, Jurysdykcją, oraz z gniadą kłaczą o białym pysku należąca do Willow, którą wołano Żuraw. Wsiedli na konie i podążając za biegnącym Bunionem, ruszyli kłusem w ciemną noc.

Jechali dotąd, aż zaczęło prawie świtać. Byli już wtedy daleko od Sterling Silver i zbliżali się do krainy jezior. W odległości kilku mil od jeziora Irrylyn skręcili w gęsty gaj pełen jesionów i drzew hikory, zsiadli z koni, przywiązali je do drzewa, owinęli się w koce i zasnęli. Kiedy niestrudzony Bunion trzymał wartę, oni wypoczywali aż do późnych godzin rannych. Po przebudzeniu Willow wypakowała prowiant: ser, chleb, owoce i piwo i zsiadli do posiłku na zalanym słońcem skrawku leśnego poszycia u podnóża starego, poskręcane drzewa hikory. Na chwilę pojawił się Bunion, aby coś przegryźć, po czym znowu ruszył w drogę, śpiesząc donieść ludziom z krainy jezior o zbliżającej się królewskiej parze. Wszyscy troje byli zdania, że odkąd znajdują się w krainie jezior, Rydallowi trudno będzie się do nich zbliżyć.

Skończywszy jeść, król i sylfida znowu ruszyli na południe. Z koboldem mieli się spotkać po drodze. Poranek był parny i bezwietrzny, a z nieba lał się na zielone tereny skwar niczym roztopiony tłuszcz. Przez całą drogę nie orzeźwił ich ani jeden podmuch chłodnego wiatru, kiedy więc dotarli do Irrylyn, Willow zaciągnęła swoją klacz w ustronne miejsce przy zatoczce jeziora, zsiadła z niej, przywiązała do drzewa, rozebrała się i weszła do wody. Ben zrobił to samo. Pływali przez jakiś czas, unosząc się na plecach; patrzyli na gałęzie drzew i niebo, nic nie mówiąc. Przypomniało to na nowo Benowi, jak impulsywna potrafi być Willow. Przypomniał sobie, jak spotkał ją po raz pierwszy tutaj, w wodach tego jeziora, tuż po zachodzie słońca, gdy czekała nań, nie wiedząc, kim on ma być. „Jesteś mi przeznaczony”, powiedziała mu wtedy. „Wywrócono mi to w chwili poczęcia. Wiedziałam, że przyjdiesz”.

Teraz podpłynęła do niego, objęła i pocałowała, a potem powiedziała:

- Kocham cię. - Po czym znowu odpłynęła.

Wynurzyli się z jeziora, ochłodzeni i odświeżeni. Ubrali się, dosiedli koni i znowu ruszyli. Było już dobrze po południu, kiedy zbliżyli się do starych kniei wyznaczających granice Elderew i kraju istot niegdyś czarodziejskich. Bunion czekał w miejscu, gdzie szlak zaczynał nikać pośród zielska, z wiadomością, że Władca Rzeki ich oczekuje. Trochę dalej mieli spotkać przewodników, którzy będą im towarzyszyć aż do miasta.

Zostawili szlak, tam gdzie się kończył, i zaczęli przedzierać się zygzakami między olbrzymimi jodłami i świerkami, drzewami hikory i białymi dębami, czerwonymi wiazami i jesionami. Drzewa wznosiły się wysoko nad nimi, zasłaniając niebo i odcinając dostęp światłu słonecznemu. Było ciemno, a miejscami nawet chłodno, bowiem nigdy nie docierało tam słońce. Było tak cicho, jak gdyby w tych lasach nie było żywego ducha. Ben czuł jednak już teraz na sobie obce spojrzenia.

Kiedy ziemia zrobiła się miękka, a powietrze przepęłnił zapach bagien i trzęsawisk, pojawili się zapowiedziani przewodnicy: stworzenia o delikatnych zielonych włosach i kończynach jak cienkie gałązki; szczupłe, żyłaste postaci, które stapały się z tłem lasu i potrafiły przejść przez każdy, obojętnie jak wąski otwór. Przewodnicy prowadzili ich długimi, okrężnymi drogami między wielkimi drzewami i po niepewnym podłożu. Po obu stronach z powstałej dopiero co mgły zaczęły się wysuwać twarze o żywych i ciekawych oczach. Pojawiały się na krótką chwilę i zaraz znikwały. Zewsząd otaczały ich moczary, gdzie spośród traw i błota wynurzały się wodne stworzenia, aby obserwować ich przejście.

Nie czuło się upływu czasu. Elderew leżało głęboko pośród odwiecznych ostępów leśnych, chronione przez naturę i magię; nikt nie mógł tutaj wejść, jeśli nie był zaproszony. Czarodziejskie stworzenia były bardzo tajemnicze i podejrzliwe wobec zewnętrznego świata i

ostrożne wobec istot go zamieszkujących. Wiele czasu zajęły Benowi starania, aby pozbyć ich tych podejrzliwości i obaw, i w końcu zaczęły one przynosić skutek: teraz mieszkańcy krainy jezior częściej podróżowali do różnych regionów Landover, a czasami nawet sprowadzali do siebie ludzi. Jednak stare przyzwyczajenia i głęboko zakorzenione wątpliwości wolno umierają i upłynie jeszcze trochę czasu, zanim bariery zupełnie znikną.

Ben mógł *znaleźć* drogę do Elderew, korzystając z pomocy Willow i Buniona, ale niegrzecznie byłoby lekceważyć tradycję i gościnność. Przewodnicy wysłani przez Władcę Rzeki mieli być oznaką jego uprzejmości wobec mile widzianych gości. Ben zmusił się do cierpliwości. Wkrótce mokradła zostały z tyłu i ponownie stawiali stopy na twardym gruncie. Drzewa były tutaj większe, starsze, o bardziej szacownym wyglądzie. Wiele z nich rosło od dwustu, a nawet więcej lat. Powietrze zrobiło się świeże i ciepłe i pachniało słońcem oraz polnymi kwiatami. Pojawiły się grupki ludzi. Niektórzy nieśmiało ich pozdrawiali. Pośród nich znajdowały się dzieci; biegały beztrudnie między koźmi, śmiejąc się i psocąc. Ponownie ukazała się szeroka droga, biorąc swój początek zupełnie nie wiadomo skąd. Widać było, że często z niej korzystano. Przed nimi ukazało się miasto Elderew, cud techniki i pomysłowości, który nigdy nie przestał robić na Benie wrażenia.

Miasto okalały olbrzymie, stare drzewa liściaste, większe nawet od kalifornijskich sekwoi. Splątane ze sobą konary tworzyły ścieżki ponad ziemią, skąd miasto pięło się poziomami aż do połowy wysokości drzew, wtulone w pajęczynę gałęzi niczym zabawki w rękach dziecka. Po obu stronach dróg i szpalerów drzew stały domy i sklepy, tworząc dodatkową, zawiłą płataninę ścieżek. Promienie słońca spływały długimi smugami z baldachimu konarów i rozświetlały żywymi kolorami naturalny półmrok. Ludzie pędzili we wszystkich kierunkach, albowiem mieszkańcy Elderew byli pracowitym narodem, który rozumiał znaczenie wyteżonego trudu. Po większej części praca ta była związana ze stosowaniem drobnej magii, ich chleba powszedniego. Głównie polegała ona na uzdrawianiu i podtrzymywaniu życia ich leśnego świata. Niezmiernie ciekawe było odkrywanie, jak wiele mogli zmienić codziennym wysiłkiem. Bert Holiday, jako król Lar\dover, musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Willow uśmiechnęła się, aby go uspokoić i zapewnić, że jej rodzinne miasto wciąż jest do nich przyjaźnie nastawione. Jechali w ciszy za idącym przed nimi Bunionem i przewodnikami, obserwując, jak złożona struktura Elderew odsłania swe tajemnice wraz z tym, jak drzewa rozstępują się coraz bardziej i poziomy miasta stają się lepiej widoczne. Przed nimi, jak na powitanie, roztaczał się widok na amfiteatr, który służył czarodziejskim niegdyś istotom do organizowania licznych uroczystości. Utworzony z drzew splecionych ze

sobą w kształt podkowy, z miejscami siedzącymi na konarach, które zaczynały się gdzieś wysoko i opadały w dół na arenę, amfiteatr robił równie wielkie wrażenie jak miasto, któremu służył.

Władca Rzeki czekał na nich u jego wejścia, stojąc w otoczeniu świty, ubrany z prostotą nie wyróżniającą go z tłumu. Bez trudu jednak można go było rozpoznać przyglądając się jego postawie. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o imponującym wyglądzie, wodnikiem o skórze tak srebrnej i ziarnistej, że przypominała rybią łuskę. Włosy miał czarne i gęste, spływające, podobnie jak włosy Willow, po plecach aż do łydek, a rysy twarzy tak sztywne i ostre, że robiły wrażenie wyciosanych z kamienia. Twarz była maską bez wyrazu, lecz oczy żywe i ruchliwe, i to właśnie z nich Ben nauczył się odczytywać myśli Władcy Rzeki.

Gdy się zatrzymali i zsiadli z koni, Władca Rzeki ruszył w ich stronę, zbliżając się do córki. Objął ją sztywno i wyszeptał, że się cieszy z jej przybycia. Willow także go objęła, witając go równie powściągliwie. W ich stosunkach pozostało pewne napięcie i nieufność. Matka sylfidy była driadą, nimfą drzew tak dziką, że nie potrafiła żyć nigdzie indziej, jak tylko w lesie, ojciec Willow zaś nigdy nie pogodził się z tym, że odrzuciła jego prośbę, aby z nim zamieszkała. Willow przez cały okres dorastania przywodziła ojcu na myśl kobietę, którą kiedyś pokochał i nie mógł zatrzymać na dłużej niż jedną jedyną noc. Miał uraz do córki za jej podobieństwo do matki, odrzucając ją emocjonalnie w okresie dzieciństwa, tak że dorastała sama. Nawet kiedy już dorosła, stanowiła dla niego źródło rozczarowań. Nie pochwalał jej małżeństwa z Benem - człowiekiem i w dodatku przybyszem z zewnątrz - mimo że nosił tytuł ostatniego króla Landover. Uważał, że Willow zdradziła swój lud. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim pogodził się z tą decyzją. Teraz nie był wobec niej już taki chłodny i powściągliwy jak kiedyś, choć stare wspomnienia nie dawały jeszcze im obojgu spokoju.

Mimo to Władca Rzeki naprawdę darzył Mistayę szczerym uczuciem, które pozwalało mu zapomnieć o niechęci do córki. Jeśli mógł cokolwiek zrobić, żeby pomóc dziewczynce, to z pewnością nie będzie szczędził wysiłków. Z tego to właśnie powodu rodzice Mistai zgodzili się przybyć do Elderew.

Władca Rzeki odwrócił się od córki i z kurtuazją uklonił się zięciowi. Ben nie spodziewał się niczego więcej. Skinął w odpowiedzi głową.

- Na waszą cześć zostanie wydana uroczysta kolacja - oznajmił Władca Rzeki, wprawiając ich tym w zdumienie. - Zanim przygotowania dobiegną końca, chodźmy chwilę porozmawiać.

Wyprowadził ich z areny, na której porozstawiano już stoły i ławy oraz rozłożono kolorowe obrusy, i powiodł do parku rozciągającego się od granicy miasta do pierwszych budynków. Po drodze mijały ich rozbiegane dzieci, nie zważając na dorosłych, którzy upominali je głośniejszym wołaniem. Przypomniało to Benowi inne czasy i inne miejsca. Przypomniało Annie i dzieci, które mogli mieć, parki w Chicago letnią porą, marzenia dawno temu porzucone. Lecz wspomnienia powróciły tylko na krótką chwilę. Ostatnio rzadko powracał myślami do swego starego świata. Nie miał ku temu zbyt wielu powodów.

Przeszli przez teren zabaw i znaleźli się na biegnącej wzdłuż strumienia ścieżce, której nagłe skręty i uniki przed rozłożystymi drzewami iglastymi sprawiały wrażenie, jak gdyby próbowała wymknąć im się spod nóg. Dzieci i ich opiekunowie zostali z tyłu i słychać było jedynie stłumiony odgłos ich krzyków i śmiechów. Ben, Willow i jej ojciec szli dalej sami, choć było pewne, że straż Władcy Rzeki dotrzymywała im kroku, ukryta gdzieś między drzewami, cicha i niewidoczna. Kiedy dotarli do pustej polany, gdzie po dwóch stronach stawu otoczonego klombami kwiatów stały zwrócone do siebie dwie ławki, Władca Rzeki dał im znak ręką, aby usiedli. Ben i Willow spoczęli na jednej z nich, Władca Rzeki zaś zajął drugą.

- Tutaj będziemy mieć spokój - oznajmił, rozglądając się swymi dziwnymi oczami po zalanej słońcem polanie. Ponownie spojrzął na nich. Kiedy przemówił, jego głos przybrał oskarżycielski ton: - Powinniście byli mi powiedzieć, że macie zamiar wysłać do mnie Mistayę. Kazałbym przywieźć ją pod moją eskortą.

- Nie było na to czasu - odpowiedział spokojnie Ben, rezygnując z riposty, na którą miał ochotę. - Sądziłem, że Questor Thews i tuzin gwardzistów będą stanowić wystarczającą ochronę. Miałem nadzieję, że Rydall skupi się na mnie.

- Mistaya stała się teraz jego narzędziem przeciwko tobie, panie - oświadczył gorzkim tonem Władca Rzeki.

- Czy dowiedziałaś się czegośkolwiek? - zapytała Willow, próbując oddalić jego złość.

Władca Rzeki potrząsnął głową.

- To wszystko, co wiem. Zdołałem odkryć miejsce, gdzie nastąpił atak. Przy porwaniu Mistai zastosowano potężną magię. Jej ślady były wyczuwalne nawet po kilku dniach. Nie udało mi się określić jej źródła. Ani śladu po atakujących czy broniących się. Nie pozostawiono żadnych śladów stóp, które by prowadziły z pola bitwy.

Uwagi Bena nie uszedł dobór słów tamtego. Pole bitwy. Odpędził od siebie natarczywe myśli.

- Żadnych śladów? Jak to możliwe?

Kamienne rysy twarzy Władcy Rzeki roztopiły się w cieniu.

- Albo wszyscy zginęli, albo nie musieli podróżować piechotą. - Przerwał. - Jak już powiedziałem, w ataku wykorzystano potężną magię.

- Czy udało ci się, panie, odkryć coś nowego od tego czasu?

Władca Rzeki pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem o Rydallu ani o Marnhull. Nie istnieją w obrębie granic Landover. Marnhull musi leżeć gdzieś na zewnątrz. Próbowałem wysledzić Rydalla i jego towarzysza w czarnej opończy, ale bez powodzenia. Szukałem ich; zakładałem pułapki. Nigdzie nie można ich znaleźć.

- Ani Mistai i jej eskorty?

- Niestety.

Ben pokiwał głową. Spojrzał na Willow i wyczytał rozczarowanie w jej oczach. Miała nadzieję, że może tutaj będzie na nich czekała jakaś mała dobra wiadomość.

- A zatem nie ma żadnego postępu w poszukiwaniach Mistai - dokończył, starając się, aby nie brzmiało to zbyt gorzko. - Dlaczego więc nas wezwalesz, panie?

Władca Rzeki siedział na krawędzi ławki i patrzył na nich. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać, oczy nie zdradzały żadnych emocji.

- Poprosiłem was o przybycie - poprawił go głosem spokojnym i bezbarwnym. - Pragnę zaproponować swą pomoc w sprowadzeniu Mistai do domu. To prawda: nie byłem w stanie zrobić wiele jak dotąd, lecz być może teraz będę mógł to nadrobić.

Przerwał, czekając na ich reakcję. Ben skinął głową; czekał na propozycję.

- Każda pomoc, której mógłbyś udzielić, panie, będzie przyjęta z wdzięcznością - powiedział.

To, zdaje się, uspokoiło Władcę Rzeki. Jego ramiona prawie niezauważalnie rozluźniły się i opadły się z ulgą.

- Wiem, że nie byliśmy przyjaciółmi - powiedział cichym głosem. - Wiem, że nasze stosunki nie należały do najcieplejszych. - Przeniósł wzrok z Bena na Willow, mając na myśli ich oboje. - Nie znaczy to, że źle wam obojgu życzę. Nie. Wiecie również, jak wiele znaczy dla mnie Mistaya. Nie można pozwolić, aby coś jej się przytrafiło.

- Nie - zgodził się Ben.

- Czy możesz ją znaleźć? - zapytała nagle Willow. Władca Rzeki wahał się przez moment.

- Być może. - Spojrzał na nią taksującym wzrokiem. - Nie chciałbym zbyt szybko lekceważyć możliwości, że to wy sami ją odnajdziecie. Trzeba również wziąć pod uwagę

możliwość, że ona sama znajdzie sposób, aby się uwolnić. Jest bardzo pomysłowa. Do tego ma w sobie dużo siły. Posiada ogromną magiczną moc, Willow. Wiedziałaś o tym?

Willow i Ben jeszcze raz spojrzeli na siebie, zupełnie zaskoczeni. Oboje zgodnie pokręcili głowami.

- Wyczułem to w chwili naszego spotkania - oznajmił Władca Rzeki. - Jej moc pozostaje w uśpieniu, lecz niewątpliwie w niej tkwi. Należy do istot niegdyś czarodziejskich o nadzwyczajnym potencjale, i kiedy odkryje swój talent, jej możliwości będą nieograniczone.

Ben wybałuszał oczy, próbując rozstrzygnąć, czy to dobrze czy źle. Nigdy nie brał poważnie tego, że Mistaya może posiadać umiejętność władania magią. Teraz wydawało mu się śmieszne, że tego nie zakładał. Jej dziedzictwo pozwalało na to, a jej dziwny sposób dorastania jak najbardziej to sugerował. Była jednak jego córką i nigdy nie chciał uwierzyć w to, że może być kimś innym, niż tego oczekiwał.

- Nie powiedziałaś jej tego? - zapytała cichym głosem Willow.

Władca Rzeki potrząsnął głową.

- To nie do mnie należy. Wiem, gdzie jest miejsce dziadka.

- Czy Rydall wyczuje jej potencjalną magiczną moc? - zapytał nagle Ben.

Władca Rzeki zastanowił się.

- Jeśli sam jest istotą władającą magią, a zdaje się, że jest; jeśli jest na przykład jednym z nas, istotą niegdyś czarodziejską, to twierdzę, że tak.

- Ale ona nie wie, a zatem ta magia na nic jej się nie przyda - rozumował Ben. - Chyba że Rydall odśłoni przed nią prawdę. Albo też ona sama ją odkryje.

Władca Rzeki wzruszył ramionami.

- Mówię wam o jej magii tylko po to, żebyście rozumieli, iż nie jest całkowicie bezradna w sytuacji, w której się znalazła. Tak czy owak jest dzieckiem pomysłowym i niezależnym. Może uda jej się znaleźć sposób, żeby siebie uratować.

- Ale chyba nie przerwiesz swoich poszukiwań - domagała się odpowiedzi Willow. - Nie poniechasz swoich wysiłków, żeby jej pomóc.

Władca Rzeki pokręcił głową.

- Nie przestanę jej szukać, dopóki jej nie znajdę. Nie przeoczę żadnego szczegółu, Willow. Powinnaś mnie trochę znać - powiedział z wyrzutem. - Jednak pomoc, którą teraz chciałbym zaproponować, dotyczy nie jej, a was. A właściwie - poprawił się, spoglądając na Bena - ciebie, panie.

Mały ptaszek w żółte i czarne plamki sfrunął z drzewa i wylądował na drugim końcu stawu. Przyglądał im się uważnie swymi żywymi i czujnymi oczkami, po czym zaczął pić.

Kilkakrotnie zanurzył dziobek w wodzie i odchylił główkę do tyłu, a następnie wzbił się w powietrze i odleciał. Władca Rzeki patrzył za nim w zamyśleniu.

- Znalazłeś się w niebezpieczeństwie, panie - oznajmił, powracając wzrokiem do Bena. - Rydall, niezależnie od tego kim jest i skąd przybywa, chce cię zniszczyć. W tym celu posługuje się Mistayą. Trzeba pamiętać, że ten, kto nie zawaha się wykorzystać dziecka w swoich planach zamordowania wroga, jest naprawdę niebezpieczny. Słyszałem o wczorajszych atakach. Zagrożenie jest ogromne i na pewno się nie zmniejszy, dopóki nie powróci Mistaya, a Rydall nie zostanie pokonany. To jednak może zająć trochę czasu. I nie przyjdzie łatwo. Do tego czasu wszakże musimy znaleźć sposób, aby utrzymać cię przy życiu, panie.

Ben zmusił się do uśmiechu.

- Staram się, jak mogę, zapewniam cię o tym, panie.

- Jestem tego pewien. - Władca Rzeki pokiwał głową. - Problem jednak polega na tym, że brak ci, panie, odpowiednich środków. Nie masz żadnego zabezpieczenia przed Rydallem z wyjątkiem Paladyna. Rydall wie o tym. Myślę, że na to właśnie liczy. Coś dziwnego jest w pojedynku, na który cię wyzwał. Zostaje wysłanych siedmiu szermierzy, aby zniszczyć Paladyna, i jeśli jednemu się powiedzie, ty masz się zgodzić abdykować. Dlaczego? Po cóż miałby prowadzić tę grę? Dlaczego zwyczajnie nie zażąda od ciebie tronu w zamian za życie twojej córki?

- Też się nad tym zastanawiałem - przyznał Ben.

- W takim razie chyba zgodzisz się ze mną, panie, że w tej grze chodzi o coś więcej niż tylko o to, co do tej pory zostało ujawnione. Rydall ukrywa przed tobą coś ważnego. Ma w zanadrzu jakąś niespodziankę. - Władca Rzeki odwrócił wzrok. - Może zatem ty, panie, również powinieneś mieć niespodziankę dla niego. - Podniósł się nagle. - Mam jedną, której wartość może docenisz. Pozwólcie ze mną.

Ben i Willow podnieśli się i cała trójka pomaszerowała jeszcze głębiej w las. Przeszli niewielki odcinek, kierując się krętą dróżką, która prowadziła w gąszcz bujnych świerków i jodeł. Podłoże było wyścielone igliwem, a powietrze gęste od jego zapachu. Pośród drzew panowała wyjątkowa cisza, dźwięki były tłumione przez poszycie oraz ciężkie, zielone konary uginające się pod własnym ciężarem.

Słońce opadało ku zachodowi między drzewa, stając się teraz czerwoną kulą otoczoną purpurową mgiełką. Zmierzch zapełniał knieje długimi cieniami oraz chłodem, który szeptał o zbliżającej się nocy.

Dotarli do drugiej polany. Stała tam postać w płaszczu, z twarzą osłoniętą kapturem i

czekała. Nie poruszyła się, kiedy znaleźli się w zasięgu jej wzroku. Pozostała zupełnie nieruchoma.

Władca Rzeki zaprowadził ich na odległość dwóch metrów od ciemnej sylwetki i zatrzymał się. Uniósł rękę i skinął na nią. W odpowiedzi postać uniosła ramiona i ściągnęła kaptur. Była to istota nieokreślonej płci i niewiadomego pochodzenia. Jej skóra miała barwę drewna, usta, nos i oczy były zaledwie szparkami w płaskiej, pozbawionej prawie rysów twarzy. W oczach migotały przyćmione światelka, lecz nic więcej. Wzrostu była średniego i przeciętnej budowy, ale ciało pod płaszczem było gładkie, szczupłe, lśniące i twarde.

Ben spojrzął na Willow. Z jej oczu wyczytał, że rozpoznaje ową postać, ale ujrzał w nich jeszcze coś, czego nie widział od dawna. Krył się w nich strach.

- To jest Ardsheal - zwrócił się Władca Rzeki do Bena. - Jest duchem, elementem natury. Nie potrzebuje jedzenia, picia ani snu. Niczego nie potrzebuje do przeżycia. Został stworzony za pomocą magii istot niegdyś czarodziejskich w jednym celu: żeby chronić ciebie. Willow go zna. Ardsheal może się zmierzyć z wszystkim, co żyje. Nie ma niczego, co byłoby równie groźne jak on.

Ben skinął w odpowiedzi głową, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Nie spodziewał się takiego prezentu. Nie był pewien, czy go chce. Spojrzął na Ardsheala. Ten nie zareagował. Wydawał się pozostawać w stanie śpiączki.

- Ta istota będzie mnie chroniła? - zapytał.

- Do samej śmierci - powiedział Władca Rzeki.

- Ardsheal jest bardzo niebezpieczny, ojczu - zauważyła delikatnie Willow.

- Tylko dla swoich wrogów. Nie dla was. Nie dla Waszej Wysokości. Będzie służył zgodnie z tym, jak się nim pokieruje. Jeśli nie będzie dlań specjalnych poleceń, będzie wykonywał to, do czego został stworzony, będzie ciebie chronił. - Spojrzął z zaciekawieniem na Willow. - Wciąż się ich boisz?

Skinęła głową, przyjmując dziwny wyraz twarzy.

- Tak.

Ben zastanawiał się nad czymś i nie zauważył tego.

- Dlaczego, panie, wybrałaś właśnie jego na prezent? - zapytał w końcu. - Dlaczego Ardsheala, a nie inną formę magii?

Dobre pytanie. - Władca Rzeki odwrócił się teraz do niego, pozostawiając Ardsheala w swoim cieniu. - Rydall spodziewa się, że Paladyn będzie ciebie bronił. Musi mieć powód, aby wierzyć, iż w którymś momencie mu się to nie uda. Być może tak się stanie. Jeśli tak, to będzie tam Ardsheal. Wasza Wysokość broni się przed wrogiem, którego ani nie zna, ani nie

rozumie. Potrzebujesz, panie, obrony, której twój wróg się nie spodziewa. Ardsheal będzie taką obroną. Weź go, panie. Dzięki niemu będziesz o wiele spokojniejszy. Da ci czas na szukanie Mistai, da czas na to nam wszystkim. - Zrobił krok do przodu. Wyciosana z kamienia twarz pochyliła się.- Potrzebny jesteś żywy, panie. Jeśli zginiesz, jest duże prawdopodobieństwo, że twoja córka umrze razem z tobą. Ona służy tylko jednemu celowi: aby cię wywabić. Kiedy ten cel zostanie osiągnięty, jaki masz powód wierzyć, że on pozwoli jej żyć dalej? Zastanów się, panie, przez chwilę, nad naturą swego wroga.

Ben wytrzymał spojrzenie Władcy Rzeki.

- On ma rację - powiedziała cicho Willow, prawie zmuszając się do tego.

Ben z miejsca się z nią zgodził. Nie trzeba było się wiele zastanawiać, aby docenić wartość drugiego obrońcy. Być może pozwoli mu uzyskać przewagę nad stworami Rydalla. Gdyby dzięki niemu nie musiał wzywać Paladyna choć jeden raz, to już osiągnąłby swój cel.

- Przyjmę twój dar, panie - powiedział w końcu. - Dziękuję.

Władca Rzeki skinął głową z zadowoleniem.

- Słuszna decyzja. A teraz chodźmy na koloację.

Kolacja okazała się wystawną, wręcz ekstrawagancką ucztą, licującą ze sposobem celebrowania uroczystości przez czarodziejskie stworzenia. Stoły zastawione jadłem, dzbany wypełnione schłodzonym piwem, girlandy kwiatów, dorośli i dzieci w kolorowych ubraniach, wszędzie tańce i muzyka. Władca Rzeki usadowił Bena i Willow u szczytu stołu, oznajmił wszystkim zebranym o ich przybyciu, powitał ich w krainie jezior i wznosił na ich cześć toast w imieniu swego ludu. Przez cały wieczór w trakcie uroczystości podchodzili do nich mieszkańcy Elderew, aby przywitać ich osobiście; niektórzy z nich przynosili małe podarki, inni życzyli im wszystkiego dobrego. Wywoływało to uśmiech na twarzach Bena i Willow i pomogło im się zrelaksować. Na kilka godzin zapomnieli o Rydallu z Marnhull i cierpieniu, jakie im zgotował. Jedli, pili i śmiali się razem z czarującymi gospodarzami, kojeni chłodnymi podmuchami wiatru z drzew i ciepłem otaczających ich ludzi.

O północy udali się na spoczynek do małego domku dla gości, w którym wyznaczono im kwatery. Padli na łóżko, wykończeni lecz uśmiechnięci, leżąc razem i obejmując się w obawie przed powrotem lęków, które zdołali odsunąć na bok. W końcu zmęczenie wzięło górę i zasnęli.

Jakiś czas później, kilka godzin przed świtem, Ben się obudził. Uwolnił się z ramion Willow, wstał i podszedł do okna. Świat na zewnątrz był oświetlony jedynie półksiężycem i kilkoma pojedynczymi gwiazdami wyglądającymi zza nisko wiszących chmur i splecionych konarów. Wpatrywał się w ciemność, szukając Ardsheala. Nie widział go od czasu, gdy został

mu przedstawiony przez Władcę Rzeki. Wtedy był dostatecznie realny, lecz teraz wydawał się jedynie tworem wyobraźni zrodzonym w czasie snu.

„Ardsheal jest bardzo niebezpieczny”, powiedziała wówczas Willow.

Nagle go ujrzał, ukrytego pośród drzew niczym kolejny cień. Zauważył go tylko dlatego, że Ardsheal poruszył się na tyle, aby Ben wiedział, że on tam jest, że stoi na warcie i go pilnuje.

Dlaczego Willow tak się go przestraszyła? Był czymś dobrym czy złym?

Nie wiedział. Schował oba pytania do jednej z szuflad swojej pamięci, w której przechowywał wszystkie pytania bez odpowiedzi, i wrócił do łóżka. Jutro spróbuje się tego dowiedzieć. Wtulił się mocno w Willow, objął ją ramionami i leżał z otwartymi oczami, nie zwalniając uścisku tak długo, dopóki nie zasnął.

OPOWIEŚĆ NOCNEGO CIENIA

Dni w Wielkiej Czeluści mijały Mistai w takim tempie, że prawie nie zauważała ich upływu. Oczarowana lekcjami posługiwania się magią, zaangażowana bez pamięci w zgłębianie swych nowo odkrytych sił oraz trawiona chęcią spełnienia wymagań stawianych przez czarownicę, nie zwracała wielkiej uwagi na biegnący czas. Od chwili jej przybycia tutaj mogły minąć dni, a równie dobrze i tygodnie. Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Liczyło się jedynie to, czym się zajmowała, czynione postępy. Czuła się szczęśliwa, choć nigdy nie miała dość. Nauczyła się ogromnie dużo; wciąż jednak uważała, że to za mało.

O rodzicach i domu prawie nie myślała. Był to dla niej temat drugorzędny, nie związany z tym, co ją obecnie zajmowało. Odkąd przyjęła do wiadomości, że wiedzą, gdzie jest, i że nie ma potrzeby się martwić, odsunęła tę kwestię zupełnie na bok. Jej rosnące zaufanie do Nocnego Cienia oraz entuzjizm do nauki znacznie to ułatwiły. Na początku nie była pewna czy dobrze robi, że tutaj zostaje. Nie była pewna, czy jej rodzice naprawdę wiedzą, gdzie się znajduje. Jednak zapewnienia Nocnego Cienia oraz jej własne pragnienie, aby tak rzeczywiście było, szybko ją przekonały, że obawy były niepotrzebne i że wszystko jest w porządku. Nocny Cień powiedziała, że może odejść w każdej chwili, gdy tylko tego zapragnie, łatwo więc było sprawdzić, czy wiedźma kłamie. Dla Mistai był to dostateczny dowód na to, że powiedziano jej prawdę. Poza tym lepsze opanowanie magii mogło pomóc ojcu w walce z Rydalem i stanowiło dla niej dodatkową zachętę do tego, żeby zostać. Ojciec potrzebował jej; nie wolno jej było go zawieść.

Na brak poczucia upływu czasu oddziaływało również miejsce, w którym się znajdowała. W Wielkiej Czeluści dzień często przypominał noc, światło niewiele różniło się

od ciemności, przeszłość zdawała się terażniejszością, przez co elementy tego świata wydawały się bardzo podobne do siebie. Pod grubym baldachimem tropikalnej dżungli wszystko w siedzibie wiedźmy było szare i zamglone. Słońce tutaj nie docierało. Nie widziano nigdy księżyca ani gwiazd. Temperatura prawie nigdy się nie zmieniała, a jeśli już, to prawie niezauważalnie. Otoczenie Mistai było cały czas takie samo i nie odznaczało się niczym szczególnym. Jeśli widziała jakieś barwy lub jaśniejsze plamy, to pochodziło to wyłącznie z jej magii, z cudów, których dokonywała i fenomenów, które odkrywała. Z każdą nową lekcją otrzymywała dzięki Nocnemu Cieniowi wgląd w coraz to inne rzeczy, przez co uwaga dziewczynki skierowała się do wnętrza i widziała teraz tylko to, co stworzyła, zapominając prawie zupełnie o świecie, który ją otaczał.

Nocny Cień była bardzo dobrym nauczycielem. Miała nieskończoną cierpliwość dla swej uczennicy: udzielała jej lakonicznych wyjaśnień tam, gdzie to było niezbędne, chwaliła ją lub korygowała niektóre działania, a jednocześnie nie zdarzyło się, aby wypowiedziała się lekceważąco o jej niepowodzeniach. Mistaya miała z początku wrażenie, że wiedźma interesuje się głównie wynikami jej działań, lecz z czasem, gdy Nocny Cień z coraz większym zaangażowaniem podchodziła do odkrywania uspiionej w dziewczynce mocy, jej uwaga skupiła się na technice władania magią. Wiedźma zdawała się nią w równej mierze zaskoczona co dziewczynka. Dzięki temu jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie.

A i tak były sobie wyjątkowo bliskie, do tego nawet stopnia, że Mistaya zaczęła myśleć o Nocnym Cieniu jak o drugiej matce. Nie uważała tego za dziwne. Prawdziwej matki nikt oczywiście nie mógł jej zastąpić, lecz nie było powodu, żeby nie mogła mieć ich więcej, przy czym każda spełniałaby w jej życiu inne funkcje. Nocny Cień miała silną osobowość, a jej mistrzowskie opanowanie magii oraz umiejętność odkrywania jej tajemnic stanowiły silną pokusę dla dziewczynki - łatwo było jej zaimponować. Nocny Cień uratowała ją przed Rydalem. Ze względu na jej bezpieczeństwo sprowadziła ją do Wielkiej Czułości. Uczyła ją sztuki magii, aby mogła pomóc swemu ojcu. Okazała się dobrą przyjaciółką i mądrym doradcą. Czy Mistaya mogła spodziewać się czegoś więcej?

A jednak zdarzały się chwile, kiedy dopadały ją wątpliwości. Nachodziły ją głównie wtedy, gdy pojawiała się salamandra, przychodząc do niej codziennie pod osłoną nocy. Choć nie rozpaczała już z powodu rozstania z rodzicami, a nawet z Questorem Thewsem i Abernathym, to jednak stała obecność salamandry przypominała jej, że poza granicami Wielkiej Czułości istnieje inne życie, które wciąż na nią czeka. Mimo starań nie potrafiła odsunąć od siebie wspomnień tamtego życia. Co prawda Gwizdek nigdy nie powiedziała ani nie zrobiła niczego, co mogłoby w jakiś sposób wyrzucić na nią wpływ, Mistaya jednak

wiedziała, że salamandra jest tam po to, aby się upewnić, czy nie zapomniała. Nie było to przyjemne, lecz musiała się z tym pogodzić, gdyż w pamięci wciąż nosiła ostrzeżenie Matki Ziemi przed czekającymi ją niebezpieczeństwami oraz obietnicę, że może liczyć na pomoc salamandry, o ile nie zapomni jej raz dziennie wzywać. Starła się zatem utrzymać równowagę, za dnia pogrążając się coraz bardziej w studiowaniu magii u Nocnego Cienia, nocą zaś starając się znieść obecność drobnych fragmentów życia, które zostawiła za sobą.

Gwizdek nigdy jej nie zawiodła. To prawda, że utrzymywanie obecności salamandry w sekrecie było ryzykowne. Nocny Cień nie byłaby z tego zadowolona, ale czy to była jej sprawa? Od czasu do czasu Mistai zdawało się, że widzi Gwizdka, jak ją obserwuje w czasie jej zajęć, wtopiona w mgłę i szarość, ukryta pośród drzew dżungli. Dostrzegała małe fragmenty jej ciała: raz było to oko, innym razem łapa, a kiedy indziej uszy lub nos. Salamandra przychodziła do niej nocą, odpowiadając na jej nawet najcichszy szept, siadając nieopodal w zasnutym mgłą mroku, prawie tak ulotna jak opary, z których się wynurzała. Stary dobry Gwizdek, zwykła wówczas do niej przemawiać. I uśmiechała się, gdy tamta merdała ogonkiem.

Wątpliwości ożywały także przy innych okazjach, choć nie

149

miały one nic wspólnego z Gwizdkiem. Najbardziej niepokojący był upór, z jakim Nocny Cień nalegała na tworzenie potworów. Na początku były tylko dwa i Mistaya przyjęła zadanie jako naturalną część doświadczenia, które ma zdobyć w trakcie nauki. W końcu przecież wszystkie jej wysiłki sprowadzały się do kreowania rzeczy niezwykłych. Dziewczynka wespół z wiedźmą zamieniała kamienie w ciekły metal, kwiaty w motyle, a pyłki kurzu w tęczę. Pod wpływem ich działań owady zaczynały mówić, a myszy latać. Mistaya odkryła nawet, w jaki sposób śpiewać, aby dźwięk jej głosu wypełniał powietrze kolorami. Doszła zatem do wniosku, że tworzenie monstrów aż tak bardzo się znowu od tego wszystkiego nie różni. Na samym początku pobytu tutaj została przecież poinformowana, że będzie robiła to, czego może nie rozumieć, ale będzie musiała się z tym pogodzić bez zadawania zbędnych pytań. Tak też robiła. Spróbuj wyobrazić sobie coś, przeciwko czemu nie można się bronić, zachęcała ją wiedźma. Mistaya zaczęła od istot, o których czytała w książce przywiezionej przez jej ojca ze starego świata, książce schowanej w jego prywatnej bibliotece i zupełnie zapomnianej. Tytuł mówił coś o mitologii czy mitach albo czymś takim. Książka była intrygująca zarówno ze względu na swój temat, jak i na dziwaczność języka, jakim została napisana. Mistaya przeczytała ją szybko i odłożyła na półkę, lecz wciąż nosiła

w pamięci obrazy opisanych w niej potworów. Olbrzym, który czerpał siłę z ziemi. Sobowtór, który potrafił upodobnić się do każdej żywej postaci. Swoje dwa pierwsze stwory zbudowała, wzorując się na tych postaciach. Nie były to nawet potwory, a jedynie coś, co cechowała niehumanitarna siła.

Nocny Cień wydawała się zadowolona z jej wysiłków - aż do dzisiaj. Dzisiaj niespodziewanie oznajmiła, że pragnie, aby Mistaya stworzyła trzeciego potwora, który ma być tym razem mniej ludzki i potężniejszy od dwóch poprzednich. Po raz pierwszy od swego przybycia Mistaya podała w wątpliwość jej polecenie. Po co stwarzać trzeciego potwora? Jaki jest cel tego ćwiczenia, skoro wykonała je już dwukrotnie? Przez chwilę myślała, że Nocny Cień się zdenerwuje. Oblicze jej pociemniało, a na szczupłej szyi pokazały się napięte ścięgna.

Odwróciła się wtedy na krótką chwilę, tak że twarz stała się niewidoczna, lecz zaraz potem znowu patrzyła na dziewczynkę.

- Posłuchaj mnie, Mistayo - odezwała się. Była spokojna i opanowana. - Miałam nadzieję zaoszczędzić ci tego, lecz chyba mi się to nie uda. Rydall i jego czarodziej już zdążyli zaatakować twego ojca. Wysłali przeciwko niemu twory magii i zmusili go do użycia w swojej obronie magii Questora Thew-sa i Paladyna. Jak dotąd wyszedł zwycięsko z tej walki. Jednak mag Rydalla przywoła jeszcze potężniejsze siły. W końcu twój ojciec może nie być w stanie się obronić. Wówczas ty będziesz musiała wkroczyć na scenę. Najlepszą obroną przed potworem jest drugi potwór. Oto cel tego ćwiczenia.

Wątpliwości Mistai nie mogły się oprzeć logice wyводу Nocnego Cienia. Dziewczynka zabrała się zatem do pracy i cały dzień wypełniło jej mozolne dzieło tworzenia. Kiedy zachód słońca był już bliski, dziewczynka była wykończona. Treningi Nocnego Cienia pogłębiły jej umiejętności w posługiwaniu się magią tak bardzo, że to, co stworzyła, przeraziło ją. Twór wyobraźni powołany przez nią samą do życia okazał się czymś straszliwym. Nocny Cień szybko jednak zabrała go sprzed jej oczu i schowała w bezpiecznym miejscu, w magazynie mieszczącym przykłady pierwszych prób. Mistaya odetchnęła z ulgą. Nie chciała już nigdy tego oglądać.

Teraz siedziała sama przed małym ogniskiem - jedynym światłem, na jakie wiedźma z Wielkiej Czeluści pozwalała po zapadnięciu zmroku - formując z ciasta placki, które zamierzała usmażyć z warzywami. Parsnip nauczył ją, jak to robić. Gotowała głównie dla siebie, ponieważ Nocny Cień jadła mniej od Gwizdka. Prawdę mówiąc, wiedźma rzadko zostawała z nią po zakończonych lekcjach, przenosząc się z powrotem do miejsca, którego dziewczynka nie знаła. Spędzała tam czas, gdy chciała być sama. Nieraz przebywała gdzieś w

pobliżu, tuż poza zasięgiem wzroku; Mistaya czuła wtedy jej obecność. Im bliższe się sobie stawały, tym dziewczynka była bardziej świadoma swej nauczycielki. Jak gdyby wspólne próby z magią zbliżyły je fizycznie i emocjonalnie, jak gdyby zostały stworzone więzy, dzięki którym dziewczynka mogła lepiej

151

znać zamiary tamtej. Nie potrafiła czytać myśli Nocnego Cienia, lecz czuła jej obecność i ruchy. Mistaya zastanawiała się, czy czarownica też to potrafi, i coś jej mówiło, że nie.

Tej nocy wiedźma nie odeszła jak zwykle, lecz przyszła i usiadła z Mistayą przed ogniskiem. W milczeniu obserwowała dziewczynkę, jak ugniata ciasto, formuje placki, myje i obiera warzywa i wrzuca je na patelnię z olejem. Patrzyła dalej, jak po chwili Mistaya zdejmuje patelnię z gotową potrawą z ognia i powoli je. Siedziała nieruchomo jak kamień, zapatrzona w to wszystko, jak gdyby nigdy w życiu nie widziała niczego równie ważnego. Mistaya nie przeszkadzała jej. Wiedziała, że Nocny Cień odezwie się, gdy będzie gotowa. Wiedziała również, że Nocny Cień ma coś do powiedzenia.

Dopiero gdy dziewczynka umyła patelnię i talerze i odłożyła je do dużego drewnianego kredensu stojącego na środku polany, jakby to było jego właściwe miejsce, wiedźma w końcu przemówiła:

- Jestem zadowolona z ciebie, Mistayo. Twoje postępy zachęcają mnie do dalszego wysiłku.

Dziewczynka podniosła głowę.

- Dziękuję.

- Dzisiejszy trud był szczególnie owocny. To, co stworzyłaś, było wspaniałe. Czy jesteś tak samo zadowolona jak ja?

- Tak - skłamała Mistaya.

Zimna twarz Nocnego Cienia uniosła się ku oparom mgły, jakby szukała gwiazd, po czym znowu popatrzyła w ogień.

- Powiem ci prawdę. Nie byłam pewna, czy podasz zadaniu, które przed tobą postawiłam. Obawiałam się, że możesz nie opanować sztuki magicznej. - Podniosła oczy i skupiła wzrok na dziewczynce. - Od samego początku było dla mnie jasne, że magia, którą posiadasz, jest wielka. Było oczywiste, że twój potencjał jest praktycznie nieograniczony. Jednak samo posiadanie magii nigdy nie wystarcza. Istnieją mniej uchwytny czynniki, które ograniczają sukces. Jednym z nich jest chęć. Innym determinacja, a także skupienie i

świadomość celu. Magia jest jak wielki kot. Możesz ją ujarzmić i skupić jej energię, lecz nigdy nie wolno ci odwracać wzroku i nie możesz pokazać jej strachu w swoich oczach.

- Nie boję się magii - oświadczyła zdecydowanie Mistaya. - Jest częścią mnie. Mam uczucie, jakby była moją starą przyjaciółką.

Nocny Cień uśmiechnęła się nieznacznie.

- Tak, widzę to. Obchodzisz się z nią jak z przyjacielem. Dobrze się czujesz w jej obecności, choć nie traktujesz jej zbyt lekko. Masz bardzo dobre wycucie równowagi. - Przerwała. - Przypominasz mi mnie samą, kiedy byłam w twoim wieku.

Mistaya zamrugła oczami.

- Naprawdę?

Nocny Cień zapatrzyła się w jakiś odległy obraz w przeszłości.

- Nawet bardzo. Dziwne się to teraz wydaje, ale miałam kiedyś tyle lat, co ty. Byłam dziewczynką odkrywającą swoje uspięne talenty. Nowicjuszka badającą życie i poznającą swoje granice. Kiedy po raz pierwszy odkryłam, że posiadam magię, byłam nawet młodsza od ciebie. To było tak dawno temu.

Zatopiła się we wspomnieniach, spoglądając gdzieś w mrok. Mistaya przysunęła się bliżej.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła ją. Nocny Cień wzruszyła ramionami.

- To już przeszłość.

- Ale ja chciałabym usłyszeć. Chcę wiedzieć, co czułaś. Mogłoby mi to pomóc zrozumieć samą siebie. Proszę, opowiedz mi.

Dziwne czerwone oczy powróciły do teraźniejszości i skupiły się na dziewczynce. Przenikały ją z taką dzikością, że na chwilę przeraziło to Mistayę. Po chwili piorunujące spojrzenie zmatowiało i wyglądało jak co dzień.

- Urodziłam się w krainie czarodziejskich mgieł - zaczęła wiedźma z Wielkiej Czeluści. Jej wysoki, szczupły kształt zastygł jak cień w świetle księżyca podczas bezwietrznej nocy. Zaczesała wiotkimi palcami swoje krucze włosy do tyłu. - Podobnie jak u ciebie, w moich żyłach płynie krew nie tylko z jednego świata. Tak jak ty odziedziczyłam dar. Moja matka była czarodziejką z krainy graniczącej z Landover, ze świata, w którym ludzie obawiają się magii. Miała potężną moc i mogła przechodzić przez krainę czarodziejskich mgieł. Nie była istotą czarodziejską, lecz mogła swobodnie między nimi przebywać. Pewnego dnia spotkała mojego ojca. Był odmieńcem, który nie ma swego prawdziwego kształtu, lecz przyjmuje taką formę, jaka w danej chwili odpowiada jego potrzebom. Ujrzał moją matkę i zakochał się w niej. Przeobraził się w coś, co ją pociągało. Stał się wilkiem o czarnej sierści i

potężnych zębach. W końcu uwiódł ją i wziął w posiadanie.

Głos miała matowy i pozbawiony emocji, lecz była w nim gorycz, która nie umknęła uwagi Mistai.

- Trzymał ją przy sobie przez jakiś czas, a potem porzucił dla innych spraw. Był zmienny i nieodpowiedzialny, jak wszyscy mieszkańcy krainy zaczarowanych mgieł, niezdolny pojąć wymagań stawianych przez miłość. Urodziłam się z tego związku, poczęta w szaleństwie wznieconym pod wpływem wiosennego światła, kiedy kolejny cykl zaczyna zataczać swój krąg, a pancerz zimy pęka i spływa topniejącym lodem.

Znowu jej wzrok powędrował na stronę. Jej poetyckie pełne liryzmu słowa, nie trafiały do dziewczynki.

- Na czas poczęcia mnie ojciec przybrał kształt wilka. Matka trzymała w ramionach zwierzę i myślę, że dorównywała mu w namiętności i pasji. - Przymrużyła oczy, chcąc oddalić od siebie jakiś obraz zrodzony w jej głowie. - Z tego połączenia wzięłam część każdego z nich: zwierzę i szaloną kobietę, istotę czarodziejską i ludzką, magię jednego i drugiego świata. Urodziłam się z oczami, które potrafią zmrozić każdego na śmierć. Urodziłam się ze zdolnością przeobrażania siebie w zwierzę. Urodziłam się z pogardą dla życia i śmierci. - Spojrzała na Mistayę. - Wciąż byłam jednak dzieckiem i niedługo potem zostałam sama. Ojciec odszedł, zanim przyszłam na świat. Matka powiła mnie, lecz zaraz ją odesłano.

Odplynęła na chwilę myślami, echo jej słów napełniło ciszę goryczą. Mistaya czekała, wiedząc dobrze, że nie powinna nic mówić.

- Mieszkańcy krainy czarodziejskich mgieł potępili ją za próbę zostania jedną z nich. Obcowała z istotą czarodziejską i poczęła dziecko, a to było zabronione. Za to została wygnana. Wysłano ją poza granice krainy czarodziejskich mgieł i nie ■ pozwolono wracać. Błagała ich, aby jeszcze raz rozważyli tę sprawę. Chciała, abym odebrała naukę i zdobyła doświadczenie, które tylko oni potrafią zapewnić. Chciała, aby moim udziałem było życie nie tylko jej, ale i mojego ojca. Chciała dla mnie wszystkiego. Odprawiono ją jednak z niczym. Została odesłana do swego świata. Dla niej oznaczało to wyrok śmierci. Zbyt długo wolno jej było podróżować przez krainę czarodziejskich mgieł, przechodzić z jednego świata do drugiego, przenosić się gdzie tylko miała ochotę. Przymusowy pobyt w jednym świecie był nie do zniesienia. W końcu odrzuciła ostrożność i jeszcze raz spróbowała przejść przez czarodziejskie mgły. Weszła w nie i nigdy już nie wyszła. Rozplynęła się jak dym na wietrze.

Czy widzisz jak jesteśmy podobne do siebie? - Spojrzenie Nocnego Cienia znowu nabrało ostrości. Siła jej słów była niemal namacalna. - Tak jak ty, sama musiałam odkrywać,

kim jestem. Tak jak w twoim wypadku, ukryto przede mną prawdę o moich narodzinach. Oddano mnie na wychowanie innym ludziom: mężczyźni i kobiecie, którzy nie rozumieli moich potrzeb, którzy nie rozpoznali magii wzbierającej we mnie. Trzymali mnie tak długo, jak im na to pozwoliłam, po czym uciekłam. Zaczęłam uświadamiać sobie swoją siłę, lecz nie wiedziałam, jak z niej skorzystać. Czułam wrzenie, lecz nie mogłam dać mu ujścia. Tak jak ty, dorastałam w sposób niezwykły, nagłymi zrywami, które przekraczały ludzką miarę. Moi opiekunowie bali się mnie. Gdybym została, mogliby mnie zabić.

Tak jak ciebie, chciała powiedzieć, lecz się powstrzymała. Mimo to Mistaya usłyszała w ciszy szept słów, które ją przeraziły. Oczywiście że nie przypominała Nocnego Cienia. Przynajmniej nie w tym zakresie. Było to dla niej zupełnie jasne. Wiedźma czuła jednak nieokleźnaną potrzebę wiary w to, że łączy je coś więcej. W tym wszystkim chodziło jeszcze o coś, czego nie rozumiała, a co ją zaniepokoiło i nakazało ostrożność.

Oczy Nocnego Cienia zamigotały w blasku ognia.

- Uciekłam do lasu graniczącego z krainą czarodziejskich mgieł; był schronieniem dla tych, którzy byli częścią obu światów i nie akceptowali żadnego z nich. Znalazłam tam towarzyszy pochodzących z jednego bądź drugiego gatunku. Nie byliśmy przyjaciółmi, lecz wiele nas łączyło. Znalezliśmy się poza prawem bez żadnego powodu; zostaliśmy potępieni za to, kim byliśmy. Dzieliliśmy się tym, co już wiedzieliśmy, i uczyliśmy się w miarę naszych możliwości. Skupialiśmy się na badaniach naszych talentów. Odkrywaliśmy ukryte w nas tajemnice. Było to dość niebezpieczne, ponieważ nie wiedzieliśmy, jak się z nimi obchodzić, a niektóre mogły się okazać śmiertelne. Niejeden z nas zginął. Niektórzy oszaleli. Mnie się udało tego uniknąć i rozwinąć do mistrzostwa swój talent. Odeszłam jako w pełni dojrzała kobieta i wiedźma o potężnej mocy. Odnalazłam i opanowałam wiedzę.

Drewno w ognisku nagle strzeliło, posyłając w górę snop iskier. Mistaya drgnęła. Nocny Cień trwała wciąż nieporuszona. Siedziała nieruchomo w świetle płomieni, sztywna i skupiona.

Przeniosła wzrok na Mistayę.

- Byłam młodsza od ciebie, kiedy dowiedziałam się o mojej sile. Byłam sama. W odróżnieniu od ciebie nie miałam nikogo, kto by mną pokierował. Lecz i tak jesteśmy podobne, Mistayo. Byłam twarda wewnątrz i nic nie mogło mnie złamać. Byłam jak kamień. Nie można było mnie okłamać. Nie można było zakpić ze mnie. Wiedziałam, czego chcę, i szukałam sposobów na osiągnięcie tego. Taką samą determinację widzę w tobie. Zrobisz to, co się zrodzi w twojej głowie, i nic nie będzie w stanie cię przed tym powstrzymać. Będiesz słuchała rozumu, lecz to niekoniecznie znaczy, że będzie cię on w

stanie odwieść od obranej drogi działania, w każdym razie nie wtedy, gdy to, czego pragniesz, będzie dla ciebie ważne.

Mistaya skinęła głową nie tyle po to, żeby przyznać jej rację, bo wcale nie była pewna, czy zgadza się z taką oceną, ile żeby zachęcić ją do dalszych wynurzeń. Chciała usłyszeć więcej. To było fascynujące.

- Po jakimś czasie - powiedziała wolno wiedźma - zdecydowałam się udać do krainy zaczarowanych mgieł. Kiedyś zostałam stamtąd wygnana, lecz to było wówczas zanim odkryłam zasięg mojej mocy. Teraz, pomyślałam sobie, sprawy mają się inaczej. Należę do istot czarodziejskich. Mam prawo podróżować między światami, tak jak kiedyś moja matka. Zbliżyłam się do skraju czarodziejskich mgieł i zawołałam. Powtarzałam to przez długi czas. Nie było żadnej odpowiedzi. W końcu zwyczajnie weszłam w mgły, zdecydowana zmierzyć się z tymi, którzy mnie wygnali. Z miejsca mnie znaleźli. Nie chcieli mnie słuchać. Odmówili jakiegokolwiek rozmowy ze mną. Zostałam wyrzucona i nic nie mogłam na to poradzić, nawet mimo mojej magii.

Nie zrezygnowałam. - Jej usta ściągnęły się jeszcze bardziej. - Wracałam tam co jakiś czas, nie mając zamiaru pogodzić się z odrzuceniem przez nich, zdecydowana w ostateczności nawet umrzeć. Mijały lata. Przeżyłam kilka ludzkich żywotów, lecz się nie zestarzałam. Byłam nieczuła na upływ czasu. Bardziej należałam do świata magii niż ludzkiego. Należałam do mgieł. A jednak nie wolno mi było tam wchodzić.

Później znalazłam szczelinę - ciągnęła - która pozwoliła mi wejść do krainy czarodziejskich mgieł i pozostać nie zauważoną. Zmieniłam swój kształt, aby nie dać się poznać. Weszłam do mgieł i ukryłam się pośród mniejszych stworzeń. Nikt mnie nie rozpoznał. Najpierw byłam jedną postacią, potem drugą, cały czas uważając, aby mnie nie zdemaskowano. Zostałam zaakceptowana. Odkryłam, że mogę się swobodnie poruszać wśród czarodziejskich istot. Zaczęłam używać magii, tak jak one. Rzuciałam zaklęcia, robiłam sztuczki magiczne i żyłam tak, jak oni żyli. Mój podstęp się powiódł. Byłam jedną z nich. - Uśmiechnęła się cynicznie i gorzko.

I wtedy, tak jak moja matka, zakochałam się. - Nagle jej głos przybrał delikatny ton. - Znalazłam istotę tak piękną, tak pociągającą, że nie mogłam się mu oprzeć. Musiałam go mieć. Pragnęłam być jego. Poszłam za nim, zdobyłam jego sympatię, spędzałam z nim czas, aż w końcu zupełnie mu się oddałam. Żeby to osiągnąć, musiałam się ujawnić. Kiedy to zrobiłam, natychmiast odtrącił mnie z pogardą. Zdradził mnie. Zdemaskował moją obecność. Mieszkańcy czarodziejskich mgieł nie byli dla mnie mili. Natychmiast zostałam wygnana. Ponieważ się zakochałam. Ponieważ niewłaściwie oceniłam sytuację. - Jej brwi uniosły się do

góry w gorzkim wyrazie refleksji. - Tak jak moja matka.

Nagle Mistaya zdała sobie sprawę, że ona prawie płacze. Nie było łez, lecz dziewczynka czuła w sobie przeszywającą ostrość jej bólu.

- Wysłano mnie tutaj - zakończyła wiedźma. - Do Wielkiej Czeluści. Wygnano z krainy czarodziejskich mgieł, wyrzucono z własnego domu. Wygnano mnie na Landover, abym tutaj dożyła moich dni. Ponieważ posłużyłam się magią i pozostawiłam znak na ich świecie, a nie byłam jedną z nich. Ponieważ pogwałciłam ich prawo. I za to mnie ukarali. Umieszczono mnie w bramie wjazdowej tych wszystkich światów, do których nigdy nie będę miała wstępu. Umieszczono mnie na skraju mgieł, przez które nigdy nie będę mogła przejść. - Zaciśnęła dłonie i splotła palce. Jej głowa kręciła się raz w jedną, raz w drugą stronę. - Nie, istoty czarodziejskie nie były dla mnie zbyt miłe.

- To bardzo niesprawiedliwe - odezwała się cicho Mistaya. Wiedźma zaśmiała się.

- To słowo nic dla nich nie znaczy. To pojęcie jest im obce. Istnieje tylko to, co wolno, i czego nie wolno. Jeśli się nad tym zastanowić, to cała idea sprawiedliwości jest złudzeniem, w jakim żyje głupiec. Spójrz na nasz świat, na Landover. Sprawiedliwość stanowią ci, którzy dzierżą władzę, dzięki temu bowiem mogą jej zaprzeczyć. Wołanie o nią jest błaganiem żebraka o pomoc, kiedy wszystko inne zawiodło. „Postąp ze mną sprawiedliwie!” - jakież to żalosne i beznadziejne! - Wyrzuciła z siebie te słowa ze wstrętem, po czym nachyliła się nagle z nowym zamiarem. - To, co mi się przydarzyło, było dla mnie lekcją, Mistayo. Nauczyłam się nigdy o nic nie prosić, nigdy nie spodziewać się, że ktoś okaże mi dobre serce, nigdy nie liczyć na szczęście. Polegam na magii. Jej moc daje mi siłę. Trzymaj się tego, a będziesz bezpieczna.

- I nie zakochiwać się - dodała z uroczystą powagą Mistaya.

- Nigdy - przyznała wiedźma, a jej twarz zmieniła się nagle nie do poznania, ukazując wściekłość zwierzęcia, w którego, jak twierdziła, potrafiła się zmienić. - Nigdy - powtórzyła słowo ostre jak brzytwa i Mistaya wiedziała, że myśli o kimś konkretnym, o wydarzeniu niezbyt odległym w czasie i w przestrzeni, które wciąż ją trawiło od środka.

Mistaya siedziała bez ruchu w słabnącym świetle ogniska, pozwalając, aby wściekłość wysączyła się z Nocnego Cienia. Pragnęła się stać jedynie blahym i niczego nie lękającym się cieniem w mroku. Miała wrażenie, iż gdyby pokazała po sobie, że jest czymś innym, to wiedźma połknęłaby ją całą.

Nocny Cień spojrzała na nią, jakby czytała w jej myślach, po czym uśmiechnęła się do niej z rozbijającą lekkością.

- Jesteśmy podobne - powiedziała kolejny raz, jak gdyby samą siebie chciała co do

tego upewnić. - Ty i ja. Wiąże nas ze sobą magia. Jesteśmy czarownicami i pozostaniemy nimi już zawsze, bo urodziłyśmy się z mocą, której inni mogą tylko pragnąć, ale nigdy jej nie zdobędą. Życie na uboczu jest zarówno naszym błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Jest naszym przeznaczeniem.

Uniosła rękę i wypełniła powietrze szmaragdowym światłem, które jak pył uniosło się w ciemności i migocząc, poszybowało we wszystkich kierunkach.

Później, kiedy już owinęła się w koce, Mistaya wciąż myślała o tym, co odkryła przed nią wiedźma. Ileż w jej mrocznym życiu tajemnic, goryczy i samotności. Ileż złości.

Mistaya rozważała słowa wiedźmy: „Jesteś taka jak ja”. Budziły w niej niepewność. Może było w nich więcej prawdy, niż miała ochotę przyznać. Wcześniej nie patrzyła na to w ten sposób, lecz teraz zaczęła się zastanawiać. Skoro jest czarownicą, to może rzeczywiście jej miejsce jest tutaj, przy Nocnym Cieniu.

Myśl ta dręczyła ją tak bardzo, że niewiele brakowało, a zapomniałaby zawołać Gwizdka przed zaśnięciem.

PANCERNIK

Świt przyniósł zmianę pogody. Kiedy Ben i Willow się obudzili, w krainie jezior padał miarowy, jednostajny deszcz. Ubrali się, zjedli lekkie śniadanie złożone z owoców, chleba z dżemem oraz koziego mleka, owinęli się w swoje podróżne płaszcze i udali się na poszukiwania Władcy Rzeki. Skierowali się opustoszałą drogą w stronę centrum. Zamglone miasto tonęło w szarości pod niską powalą ciemnych chmur, a z nasączonych deszczem gałęzi drzew, osłaniających Elde-rew niczym parasol, spadały na nich krople wody. Nie śpieszyli się. Do tej pory z pewnością zdążono już donieść Władcy Rzeki, że się obudzili. Wiedzieli, że wyjdzie im na spotkanie, zanim poproszą o widzenie z nim, ponieważ taki już właśnie był.

Ben rozglądał się ukradkiem dokoła za Ardshealem, ale nie zobaczył go. Czuł jednak jego obecność. Wyczuwał, jak tamten obserwuje go z półmroku.

Gdy znaleźli się w środku miasta, pojawił się Władca Rzeki. Stał samotnie na polanie, przez którą przebiegała droga. Powitał Bena skinieniem głowy, a córkę krótkim uściskiem, nie oferując im zbyt wiele ciepła, i oznajmił, że ich konie już czekają. Nie zapytał, czy nie chcieliby zostać dłużej. Podarował im Ardsheala i spodziewał się, że będą kontynuowali poszukiwania Mistai. Przypomniawszy im o obietnicy informowania go o postępach w tej sprawie. Pojawił się Bunion z Jurysdykcją i Żurawiem, garbiąc jeszcze bardziej niż zwykle

swoje wykrzywione, ociekające wodą ciało. Oczy miał zwężone do dwóch żółtych szparek. Gdy Ben i Willow wsiedli na konie, Władca Rzeki zdołał na tyle się pozbyć swej powściągliwości, aby oznajmić, że jeśli będzie potrzebny przy próbie odzyskania wnuczki, to mają posłać po niego, a natychmiast przybędzie. Było to dość nieoczekiwane złamanie zasady wymyślnego traktowania ich z rezerwą. Ben z Willow byli zaskoczeni, ale nie pokazali tego po sobie. Przrzekli pamiętać o jego obietnicy, po czym odjechali.

Leśne skrzaty czekały na nich na skraju wiekowego gaju, aby poprowadzić ich z Elderew przez mokradła i zapórę drzew chroniących dostęp do miasta. Deszcz nie przestawał padać. Ciągła mżawka zamieniła grunt pod końskimi kopytami w rozmokłą, śliską maź. Kiedy przewodnicy prowadzili ich do zalesionych terenów poniżej Elderew, zatrzymali się na odpoczynek przed dalszą drogą.

- Widziałas go już dzisiaj? - zapytał Ben, podając Willow bukłak z ciemnym piwem, gdy stali obok koni pod baldachimem drzew.

- Nie - odparła. - Ale Bunion widział. Mówił, że podąża za nami, ukryty w cieniu. Tak jak i mnie, Bunionowi niezbyt się podoba jego towarzystwo.

Ben spojrzał w jego stronę. Kobold przykucnął pod drzewami z niezadowoloną miną.

- Rzeczywiście, nie wygląda na szczęśliwego.

- Uważa, że należy do twojej straży przybocznej. Obecność Ardsheala sugeruje, że nie potrafi wykonywać swego zadania.

Ben popatrzył na nią.

- Ty też jesteś zdania, że Ardsheala nie powinno być tutaj, prawda?

- Nie, prawdę mówiąc, wcale tak nie myślę. Sądzę, że Ardsheal będzie cię lepiej chronił niż ktokolwiek inny. - Patrzyła na niego spokojnym, chłodnym wzrokiem. - To nie znaczy jednak, że podoba mi się, iż jest z nami.

Skinął głową.

- To samo mówiłaś zeszłej nocy. Dlaczego? Zawahała się.

- Powiem ci później. Wieczorem. - Zamilkła na chwilę. - Powiedziałam Bunionowi, że Ardsheal jest darem mego ojca i że byłoby nieuprzejmie, a może nawet niebezpiecznie odmawiać jego przyjęcia. Zrozumiał to.

Ben jeszcze raz spojrzał na kobolda. W odpowiedzi Bunion uśmiechnął się jak wygłodzony aligator.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Ben w zamyśleniu. Wzrokiem podążył na spotkanie z jej spojrzeniem. - Zastanawiam się, czy nie byłoby warto skontaktować się z Matką Ziemią? Ona zawsze wie, co się dzieje na Landover. Może mogłaby udzielić nam

jakichś wskazówek, co się stało z Mistayą i pozostałymi. Być może wie coś o Rydallu.

Z krawędzi kaptura sylfidy zaczęły spadać krople deszczu na jej nos, naciągnęła go więc mocniej na siebie.

- Myślałam o tym. Gdyby Matka Ziemia mogła zaoferować jakąś pomoc, to już dawno by do mnie przysłała we śnie. Mistaya dużo znaczy dla niej, ma według niej spełnić jakieś wyjątkowo ważne zadanie. Nie pozwoliłaby jej skrzywdzić, gdyby mogła temu w jakikolwiek sposób zapobiec.

Ben szturchnął butem kawałek spróchniałego drewna.

- Szkoda, że niektórzy nie mogą być bardziej wytrwali w niesieniu pomocy - mruknął z goryczą w głosie.

- Pomoc jest darem, na którego przyjscie nie należy zbyt niecierpliwie czekać. - Uśmiechnęła się doń nieznacznie. - A zatem dokąd mamy się teraz udać?

Wzruszył ramionami i ponownie spojrzął w kierunku drzew. Denerwowało go, że nie może widzieć Ardsheala. Wystarczyło, że jego wrogowie kryją się nie wiadomo gdzie. Czy musi znosić jeszcze to, że własny obrońca podąża za nim w ukryciu?

- Hmm - westchnął - nie widzę żadnego powodu, żeby wracać do Sterling Silver. Jeśli to zrobimy, Rydall po prostu wyśle kolejnego potwora. Poza tym w ten sposób nie uda nam się szybciej odnaleźć Mistai. - Zmarszczył czoło, jak gdyby podawał w wątpliwość własny sposób rozumowania. - Myślałem, że moglibyśmy pojechać do Greensward. Kallendbor zna każdego przeciwnika, jaki kiedykolwiek zagroził Landover. Walczył z większością z nich. Być może będzie coś wiedział o Rydallu i królestwie Marnhull. Być może słyszał o czymś, co pomoże nam odnaleźć Mistayę.

- Kallendborowi nie należy ufać - przypomniała mu spokojnie.

Zgodził się z nią skinieniem głowy.

- To prawda. Ale on nie ma przecież powodu, aby sprzyjać armii najeźdźcy. Poza tym ma dług wdzięczności wobec mnie. Wie, że mogłem go ukarać surowiej za udział w spisku z Gorse'em. Myślę, że warto spróbować.

- Być może. - Nie wyglądała na przekonaną. - Musisz jednak zachować szczególną ostrożność, gdy chodzi o niego.

- Obiecuję, że tak będzie - zapewnił ją, zastanawiając się, jak może być jeszcze bardziej ostrożny, mając Paladyna, Buniona i Ardsheala u swego boku.

Wsiedli na konie i ruszyli. Bunion, poinformowany o nowym celu ich podróży, pomknął przodem między drzewami na rekonesans terenu, przez który miał prowadzić szlak, zostawiając ich pod chwilową opieką niewidocznego strażnika. Mimo to Ardsheal pozostał w

ukryciu. Dzień ciągnął się ospale, zmieniając powoli poranek w popołudnie. Deszcz nie przestawał padać. Przesunęli się na północny wschód, bliżej Gre-ensward. Drzewa już nie były tak dorodne, gdy kraina jezior ustąpiła miejsca wzgórzom poniżej Sterling Silver. Zatrzymali się na obiad nad strumieniem, gdzie znaleźli schronienie pod starym cedrem. Krople deszczu kapały po obwisłych konarach, wybijając rytmiczną melodię na błotnistym gruncie. Otaczający ich świat tchnął chłodem i wilgocią. Kiedy skończyli posiłek, ruszyli dalej. Przez cały dzień nie napotkali żadnego innego podróżnego.

Wraz z nadejściem nocy znaleźli się u granic Greensward, prowincji znajdującej się we władaniu pomniejszych wasali Landover. Równinę porastały trawy ciągnące się aż po Mel-chor. Zachód słońca migotał sponad odległych gór stalowo-szarym światłem, w którym nadchodząca noc odbijała się niczym w pogiętej puszcze. Para podróżnych rozbiła obóz w czereśniowym gaju. Rosły tam krzewy Bonnie Blues, które pokrywały również wzniesienie wychodzące na równinę. Bunion powrócił, aby skosztować zimnego posiłku, po czym znowu zniknął. Ardsheal w ogóle się nie pojawił.

Kiedy zapadła noc i zostali sami pośród głębokiej ciszy, a deszcz stracił na sile i zamienił się w wilgotną mgiełkę unoszącą się nad łąkami niczym szaty duchów, Ben objął ramieniem Willow, przyciągnął do siebie i oboje zaczęli wpatrywać się w mrok. Po chwili odezwał się:

- Opowiedz mi o Ardshealu.

Nie zaczęła od razu. Opierała się o niego nieruchomo, cała zeszywniała w tulących ją ramionach. Czuł, jak oddycha, jak się unosi i opada jej pierś, jak z jej ust wydobywa się nikły szmer powietrza. Czekał cierpliwie, patrząc przez welon jej włosów na gęstniejące wokół kłęby mgły.

- Ardsheale istniały zawsze - odezwała się w końcu. - Tworzono je, aby broniły zaczarowanych stworzeń, gdy te opuściły krainę czarodziejskich mgieł i przybyły do świata ludzi. Ardsheale były tworem starej magii, zrodzone z wiedzy o ziemi, a ponieważ były duchami uwolnionymi od powłoki cielesnej, można było je przywoływać w każdym miejscu. Czarodziejskie istoty rzadko korzystały z ich pomocy, ponieważ miały niszczycielską naturę, a postawiony cel osiągały bez przebierania w środkach. Wzywano Ardsheale tylko w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Zazwyczaj wystarczało wezwać kilka z nich. W dawnych czasach, przed panowaniem starego króla, kiedy Landover został poczęty na nowo i wydawał na świat ziemię i narody, między ludźmi i czarodziejskimi istotami toczyły się wojny. Najpierw ludzie opanowali Landover. Po nich przybyły czarodziejskie stworzenia i potraktowano je jak najeźdźców. Podczas rozgrywanych bitew wzywano Ardsheale, aby walczyły z potworami

wykreowanymi przez czarodziejów, którzy służyli ludziom.

To było dawno temu. - Przerwała, zbierając myśli. - Od tego czasu rzadko posługiwano się Ardshealami. Ostatni raz było to wcale nie tak dawno. Zdarzyło się to, kiedy jeden z demonów Abbadonu przedarł się przez strażę Elderew przebrany za czarodziejską istotę. Był to odmieniec, który szukał przejścia dla swoich towarzyszy przez samo serce krainy jezior. Sądziło się, że dzięki tej penetracji zgromadzona tutaj magia stanie się ich własnością. Upodobnił się zatem do kogoś z nas, wszedł do miasta i próbował zabić mego ojca.

- Dlatego, że był Władcą Rzeki? - zapytał miękko Ben.

- Tak, właśnie dlatego. Ponieważ był przywódcą swego ludu. - Słowa Willow stały się prawie niesłyszalne. - Demon próbował i mu się nie udało. Lecz próbując zabić mego ojca, zniszczył wielu innych, w tym kilkoro dzieci. Demon uciekł.

Wśród czarodziejskich istot zapanowała straszna panika. A także wściekłość. Mój ojciec i rada starszych wezwali pięć Ardsheali i wysłali je na poszukiwania demona. Ardsheale szły śladem demona od domu do domu, w końcu go znalazły w jednym z jego wielu przebrań i zabiły.

To w moim domu się ukrywał, kiedy go znaleźli. - Wzięła głęboki oddech. - Był przebrany za jedną z moich siostr. Bardzo sprytnie. Przedostał się do jedyne, jak sądził, bezpiecznego miejsca - domu Władcy Rzeki. Lecz Ardsheale były nieustępliwe. Potrafiły iść śladem dotyku, zapachu, smaku, najmniejszego odgłosu, nawet wyczuwały zmianę temperatury wywołaną rzuconym cieniem. Niemniej nie były nieomyłne. Nie tego dnia. Zostały wyczarowane szybko i niedokładnie. Pośpiech doprowadził do zaniedbań. Demon przyjął kilka kształtów, zanim wcielił się w ten, w którym go złapały. Ten, który przyjął chwilę wcześniej, należał do mojej siostry Kai-jelln. W tym momencie Ardsheale zbliżyły się już do niego, a kiedy weszły do domu, roztrzaskując drzwi, jak gdyby były wykonane z tkaniny, sądziły, że demon wciąż jest Kaijelln.

W ten sposób - kończyła szeptem, drżącym głosem - zabili ją, zanim zdali sobie sprawę z pomyłki. Działali instynktownie. Zabili ją na moich oczach.

Ben przełknął ślinę w suchym gardle.

- Twój ojciec nie mógł ich powstrzymać? Willow pokręciła głową.

- Działali zbyt szybko. Byli zbyt potężni. Kiedy Ardsheal przystępuje do ataku, nic nie jest w stanie go zatrzymać. Tak było tego dnia z Kaijelln. Wystarczył ułamek sekundy i było po niej.

Trwali w ciszy przez dłuższy czas. Ben przyciskał sylfidę mocno do siebie. Żadne z

nich się nie poruszyło, wpatrując się szerokimi oczami w ciemność. Gdzieś odezwał się nocny ptak, inny mu odpowiedział. W ciszy słychać było kapanie kropli wody z drzew.

- Powinniśmy byli go zostawić - odezwał się w końcu Ben. - Nie powinniśmy byli go przyjmować.

Ależ nie! - tym razem głos Willow brzmiał mocno i zdecydowanie. - Nic się nie może oprzeć Ardshealowi. Nic! Potrzebujesz go do obrony przed tym, co wysła przeciwko tobie Rydall. Poza tym mój ojciec się postara, aby ten zrobił tylko to, co powinien, i nic więcej. - Nagle obróciła się w jego ramionach i spojrzała mu prosto w twarz. - Czy nie rozumiesz? Nie ma znaczenia, że ja się go obawiam. Liczy się tylko to, że pozwoli ci żyć. - Nachyliła się, aż prawie dotknęła jego twarzy. - Tak bardzo cię kocham, Benie Holidayu.

Pocałowała go i trwało to tak długo, dopóki nie zapomniał o całym świecie.

O świcie kolejny raz ruszyli w drogę. Dzień był szary i mglisty, lecz deszcze przesunęły się w inne rejony kraju. Bunion wrócił w nocy i teraz, gdy wjechali na otwarte polacie traw, jechał razem z nimi. Kobold ochoczo pędził z przodu, pokazując drogę. Również Ardsheal wyłonił się z lasu i zajął pozycję jakiegoś dwadzieścia jardów. Pozostał w tej odległości przez resztę drogi, sunąc niczym cień. Patrzyli na niego przez jakiś czas, zerkając przez ramię i nie mogąc się nadziwić płynności jego ruchów i łatwości, z jaką posuwał się do przodu. Nie miał nic na sobie, a jego ciało sprawiało wrażenie pozbawionego jakichkolwiek kształtów - ręce, nogi, stopy, dłonie, tułów i głowa były gładkie i lśniące od wilgoci, skóra naciągnięta bez śladu szwu, a oczy zdawały się czarnymi otworami przewierconymi na wylot i odbijającymi mrok. W czasie podróży nie zbliżał się do nich; nie odezwał się też ani słowem. Zatrzymywał się, kiedy oni się zatrzymywali, czekał cierpliwie, aż znowu ruszą przed siebie, i wtedy zaczynał iść równym krokiem do przodu.

Po kilku godzinach przestali zwracać na niego uwagę. Koło południa już nawet o nim nie myśleli.

Łąki pokrywała gruba mgła, a miasta i zagrody ludności Greensward oraz fortece jego władców wyłaniały się niespodziewanie jak upiory. Omijali je wszystkie, chcąc dotrzeć do Rhyndweir i Kallendbora przed nadejściem nocy. Na targowisku na skraju miasteczka zaopatrzyli się w zupę i wypili ją z kubków, nie schodząc z koni. Bunion pochłonał swoją w mgnieniu oka i zniknął. Ardsheal pozostał w mroku i nic nie zjadł.

Ben i Willow podróżowali w milczeniu, jadąc obok siebie i ciesząc się własnym towarzystwem. Przez większą część dnia Ben rozmyślał nad usłyszaną historią. Porównywał Ardsheala z Paladynem. Obaj byli stworzeni do niszczenia, obaj byli maszynami do walki w jego obronie i dlatego to on odpowiadał za wszelkie zło, którego mogli się dopuścić.

Porównanie ich obu zaniepokoiło go bardziej, niż mógł przypuszczać. Na nowo zaczął się zastanawiać nad tym, jak transformacja wpływała na jego psychikę. Czy możliwe jest, że któregoś dnia różnica między nim a Paladynem stanie się niedostrzegalna? Czy wtedy, podobnie jak Ardsheal, stanie się maszyną wyczerpaną z emocji i uczucia żalu, istotą pozbawioną świadomości, służącą jedynie swemu panu? Przypomniawszy sobie, jak się czuł, gdy - jako Paladyn - został uwięziony w kabałowej szkatule, jak brakowało mu tożsamości, wyjąwszy rolę królewskiego szermierza, jak stracił wszystko oprócz swoich umiejętności wojownika. Myśli krążyły i wirowały w nim, osłabiając jego ducha, każąc mu na nowo powątpiewać w celowość podjętej walki z potworami Rydalla. Bił się z myślami, lecz starannie to ukrywał przed oczami postronnych.

Późnym popołudniem w zasięgu ich wzroku pojawił się Rhyndweir. Zamek Kallendbora wyrósł na stromiznie u zbiegu rzek Anhalt i Piercenał, ukazując ciemne mury i wieże wznoszące się ponad trawiastym widnokretem. Poniżej bram twierdzy leżało miasto, gwarne i zatłoczone, wypełnione kupującymi i sprzedającymi towary: byli tam kupcy, wieśniacy, traperzy i różnego autoramentu rzemieślnicy. Znowu zaczęła się szara mżawka mieszająca się z mgłą, która okrywała rozmazany całunem tak budynki, jak i ludzi, zamieniając ich w ciemne, niewyraźne majaki błakające się w mroku.

Królewska para zbliżała się bez żadnych fanfar, orszaku ani uprzedniego zawiadomienia. Nikt na nich nie czekał i nie było nikogo, kto zaprowadziłby ich do pałacu. To jednak odpowiadało Benowi. Chciał zaskoczyć Kallendbora, przyłapać władcę Rhyndweir nie przygotowanego i w ten sposób poznać jego pierwszą reakcję na swoje przybycie. Szansę na pozyskanie go do współpracy będą większe, kiedy nie będzie miał czasu się zastanowić nad rachunkiem zysków i strat.

Gdy dotarli do rzeki Anhalt i mostu prowadzącego na zamek, Ben zwolnił. Przywołał do siebie Buniona, a następnie odwrócił się do Ardsheala i dał mu znak, żeby się zbliżył. Ku jego zaskoczeniu tamten wykonał polecenie. Podeszedł i stanął obok króla z twarzą bezbarwną i pozbawioną wszelkiego wyrazu, ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie. Ben spojrzał na Willow i powiedział do wszystkich, aby trzymali się blisko siebie, po czym trącił kolanem Jurysdykcję i ruszył do przodu.

Przebyli most i wjechali do miasta, przedzierając się przez gąszcz ludzi i deszcz. Z każdą chwilą światło dnia ustępowało miejsca gęstemu mrokowi. Ludzie w pośpiechu udawali się do domów, prawie nikt nie zwracał uwagi na jeźdźców i towarzyszących im piechurów. Ci, którzy ich zauważyli, szybko odwracali wzrok. Ardsheal i kobold nie należeli do istot, których cierpliwość ktokolwiek miałby ochotę wystawiać na próbę niepotrzebną

ciekawością.

Mała grupa dotarła do bram zamku i natychmiast została zatrzymana przez strażę. Dziwiono się i próbowano protestować, lecz Ben najzwyczajniej w świecie kazał najbliższemu wartownikowi prowadzić ich prosto do pałacu. Pchnięto posłańca z wieścią o ich przybyciu, lecz król nie miał ochoty czekać, aż nadejdzie odpowiedź. Jeden z dowódców, odważniejszy od swoich towarzyszy, sprzeciwił się obecności Ardsheala, lecz został uciszony suchą odpowiedzią Bena. Ardsheal stanowił osobistą straż króla i tam, dokąd udawał się król - bądź królowa - tam też on szedł. Dowódca ustąpił i pozwolono im wejść.

Jechali przez bramy, kamienne korytarze, minęli kilka linii obronnych i koszary dla żołnierzy służących Kallendborowi, aż znaleźli się na porośniętej trawą równinie, na której wznosił się pałac. Ich przewodnik próbował opóźnić tempo marszu, aby dać czas posłańcowi na zawiadomienie swego pana i pozwolić mu się przygotować, lecz Ben pędził Jurysdykcję do przodu i niewiele brakowało, a stratałby ociągającego się strażnika. Po kilku minutach znaleźli się przed wejściem do pałacu i zsiadli z koni.

Trzeba Kallendborowi oddać sprawiedliwość: natychmiast wyszedł ich powitać. Był sam, jeśli nie liczyć odźwiernego, który czekał nerwowo przy wejściu; najwidoczniej nie starczyło czasu, aby wezwać towarzyszący mu zwykle orszak. Władca Rhyndweir był wysokim, kościstym mężczyzną o płomiennej czuprynie rudych włosów i równie bujnym temperamentem. Blizny po wielu stoczonych bitwach znaczyły jego dłonie i ręce oraz szpecily - mimo wszystko piękną - twarz. Do pasa miał przymocowany pałasz, jak gdyby stanowił on naturalną część jego stroju. Zbliżał się z wypiekami na twarzy, oczyma pałającymi złością, lecz gościom oddał głęboki i pełen szacunku ukłon.

- Gdybym wiedział, że przybędziesz, panie, przygotowałbym lepsze powitanie - odezwał się, z trudem ukrywając rozdrażnienie. Spojrzał na Buniona, a potem po raz pierwszy zauważył Ardsheala. - Co to wszystko znaczy? - rzucił, nie ukrywając już dłużej złości. - Dlaczego przyprowadziłeś tutaj to stworzenie?

Ben rzucił okiem na Ardsheala, jak gdyby zapomniał o jego obecności.

- To podarunek od Władcy Rzeki. Służy jako mój obrońca. Może wejdziemy do środka, gdzie jest bardziej sucho, i porozmawiamy o tym?

Kallendbor wahał się i wyglądał, jakby miał ochotę się sprzeciwić, po chwili jednak namyślił się. Zabrał ich z deszczu i zaprowadził do frontowego holu, a następnie długim korytarzem do sali, w której górował nad wszystkim innym olbrzymi, od podłogi aż po sufit, kamienny kominek. Płomień z palących się kłoców drewna rozświetlał całe pomieszczenie, tak, że ich cienie tańczyły po całej sali, gdy podchodzili do krzeseł naprzeciwko paleniska.

Bunion został na zewnątrz, przy koniach. Ardsheal zatrzymał się w drzwiach i złał się z ciemnością panującą w holu.

Kallendbor usiadł przed królewską parą. Jego złość jeszcze nie wygasła.

- Ardsheale były przez wieki wrogami mieszkańców Greensward, panie. Nie są tutaj mile widzianymi gośćmi. Z pewnością wiesz o tym.

- Czasy się zmieniają. - Ben spojrział na puste szklance stojące obok karafki z bursztynowym płynem na stole między nimi i czekał, aż Kallendbor napełni dwie z nich i poda im. Wargi władcy Rhyndweir były ściągnięte w wąską kreskę, a wielkie dłonie trwały zaciśnięte w pięści.

- Wygodnie ci teraz, panie? - zapytał szorstko. Ben kiwnął głową.

- Owszem, dziękuję. - Zignorował suchy ton tamtego. - Wybacz, że przyprowadziłem Ardsheala do Rhyndweir, lecz okoliczności nakazują mi w obecnej chwili zachowanie wyjątkowej ostrożności. Przypuszczam, że słyszałeś o groźbie, jaka zawisła nad moim życiem.

- Ze strony Rydalla z Marnhull? Tak, słyszałem. Czy wprowadził ją w czyn?

- Zaatakował dwukrotnie, jak dotąd. Kallendbor przyglądał mu się bacznie.

- Dwukrotnie. A zatem, zgodnie z obietnicą, masz, panie, jeszcze pięć ataków przed sobą. Cóż może się jednak oprzeć sile Paladyna. Teraz masz do tego jeszcze Ardsheala. Powinni stanowić wystarczające zabezpieczenie.

Ben pochylił się do przodu.

- Byłbyś bardzo rozczarowany, gdyby tak było?

Na twarzy Kallendbora po raz pierwszy pojawił się sardoniczny uśmiech, grymas pełen gorczy.

- Nie jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, panie. Nie mam powodu dobrze ci życzyć, ale Rydall z Marnhull także nie należy do moich przyjaciół.

- Znasz go zatem? - zapytał z naciskiem Ben. Kallendbor pokręcił głową.

- Nic o nim nie wiem. Musi pochodzić spoza Landover.

- Skoro tak, to w jaki sposób przedostał się przez krainę czarodziejskich mgieł?

- Tak samo, jak ty to zrobiłeś, panie. - Kallendbor wzruszył ramionami. - Posłużył się magią.

Ben pociągnął łyk ze swej szklanki. Okazało się, że było to dość słodkie wino. Nie spodziewał się tego po Kallendborze. Siedząca z boku Willow zaczęła się niecierpliwie kręcić na krześle, pragnąc szybkiego zakończenia tej rozmowy. Nie lubiła Kallendbora, Rhyndweir, ani niczego, co wiązało się z Greensward. Należała do czarodziejskiego ludu, a władcy

Greensward nigdy nie byli jego przyjaciółmi.

Ben popatrzył przez krótką chwilę na ogień, potem znowu na Kallendbora.

- To będzie krótka wizyta. Zatrzymamy się na jedną noc, aby się wysuszyć, i dalej ruszymy w drogę. Posiłki zjemy w naszych komnatach, nie będziesz więc musiał się wysilać, aby nas zabawić. Ardsheal pozostanie blisko nas, z dala od twoich oczu. Bunion również może z nami zostać.

Kallendbor skinął głową, a na jego twarzy dała się zauważyć wyraźna ulga.

- Jak sobie życzysz, panie. Przyślę wam gorącą wodę do kąpieli.

Ben kiwnął głową w podziękowaniu.

- Jeszcze jedno. - Pochylił ciało do przodu, aby cały ciężar jego spojrzenia spoczywał na Kallendborze. - Gdybym choć przez chwilę miał powód przypuszczać, że wiedziałeś cokolwiek o Rydallu i ukryłeś to przede mną, każę cię zakuć w łańcuchy.

Kallendbor zeszytniał, twarz poczerwieniała mu z wściekłości.

- Panie, nie muszę ciebie...

- Ponieważ dobrze pamiętam, jak stanąłeś po stronie Gorset przeciwko mnie nie tak dawno temu - ciągnął dalej Ben, przerywając mu ostro. - Miałem wystarczający powód, żeby wypędzić cię na zawsze i pozbawić wszelkich posiadłości. Miałem powód, żeby cię skazać na śmierć. Jesteś jednak silnym przywódcą, człowiekiem, który potrafi zaprowadzić równowagę pośród innych władców i cenię twoje zasługi dla korony. Nie chciałem, aby Greensward ciebie stracił. Poza tym wierzę, że zostałeś w tej sprawie wprowadzony w błąd. Podobnie jak my wszyscy do pewnego stopnia. - Przerwał. - Ale gdyby zdarzyło się to jeszcze raz, nie zawaham się zmienić mojego stanowiska wobec ciebie, lordzie Kallendbor. Chcę, żebyś o tym pamiętał.

Kallendbor skinął głową krótko, lecz wyraźnie. Z trudem odzyskał ponownie mowę.

- Czy to wszystko, panie?

- Nie. - Ben nie odrywał od niego wzroku. - Rydall porwał naszą córkę. Twoi szpiedzy mogli ci o tym nie donieść. Będzie zakładniczką, dopóki Paladyn nie pokona bądź nie zostanie pokonany przez wysłanników Rydalla. Szukamy jej w tej chwili, lecz nie znaleźliśmy żadnego śladu Rydalla ani królestwa Marnhull. Jeśli możesz pomóc, byłoby rozsądnie z twojej strony to zrobić.

Zaczekał. Kallendbor milczał przez chwilę.

- Ja nie muszę czynić zakładnikami dzieci, aby walczyć z moimi wrogami - zdołał w końcu powiedzieć.

Najwyraźniej niełatwo mu przychodziło wypowiedzieć te słowa. Ben zastanawiał się

dlaczego.

- W takim razie wyślesz po mnie, jeśli usłyszysz cokolwiek, co pomoże mi w odnalezieniu Mistai? - zapytał z naciskiem.

Twarz Kallendbora ściągnęła się, płaska i pozbawiona ekspresji; tylko spojrzenie pozostało twarde.

- Masz moje słowo, że zrobię wszystko, co będę mógł, aby doprowadzić twoją córkę bezpiecznie do domu. Nie mogę przyrzec nic więcej.

Ben skinął wolno głową.

- Trzymam cię za słowo.

Zapanowała długa, kłopotliwa cisza. W końcu Kallendbor podniósł się niezgrabnie i powiedział:

- Jeśli jesteście gotowi, panie, to zaprowadzę was do waszych komnat.

Przynajmniej na razie jeden i drugi mieli wzajemnie dość swego towarzystwa.

Minęła północ. Z nieba lał się deszcz, przyniesiony nad łąki Greensward przez chmury burzowe, które przerwały zaporę gór i w ciemności przedostały się tutaj. Błyskawice rozjaśniały czarne niebo białymi smugami, które oślepiły i oszalały. Pod murami Rhyndweir wzburzone wody Anhaltu i Pierce-nalu waliły o swoje brzegi, pienąc się wraz z porwanymi kawałami ziemi.

Ben Holiday spał niespokojnie. Już dwa razy budził się i wstawał, żeby się rozejrzeć. Za pierwszym razem obudziła go cisza, za drugim gwałtowność szalejącej burzy. Podchodził do drzwi i stał, nasłuchując, następnie zbliżał się do okna wieży, w której usytuowane były komnaty sypialne, i spoglądał w dół. Umieszczono ich w zachodniej wieży zarezerwowanej dla ważnych gości, w wyższych partiach pałacu, z dala od pomieszczeń gospodarczych i innych gości. Z ich okien było dobrze ponad trzydzieści metrów do skał urwiska i wód Anhaltu. Od drzwi trzeba było przejść długą drogę wijącymi się w dół schodami, mijając kilka pięter i szereg nie zajętych pokoi, aż trafiało się do holu, który prowadził do głównej części zamku. Zgodnie ze zwyczajem pokoje wybrane dla króla Landover były usytuowane oddzielnie i prowadziła do nich tylko jedna droga.

Tej nocy nie dawała jednak Benowi spokoju myśl, że mieli jednocześnie jedyną drogę odwrotu.

Mimo wszystko powinni czuć się tutaj bezpieczni. Bunion trzymał straż tuż pod drzwiami, Ardsheal zaś przechadzał się po schodach i holu znajdującym się poniżej. Na zewnątrz co rusz rozjaśniały niebo błyskawice, grzmiały gromy, a po równinie hulał wiatr

wyjący z niezmienną siłą. Jednak do królewskiej sypialni docierały jedynie odgłosy oddalającej się burzy. Nie było niczego innego, co by mogło wyrwać króla ze snu.

A jednak coś musiało być.

Kiedy od strony schodów doszło go ciężkie walenie i ostrzegawczy krzyk Buniona, był prawie zupełnie rozbudzony i siedział na łóżku. Willow natychmiast podniosła się obok niego, z przerażoną miną i szeroko rozwartymi oczami. Okute żelazem dębowe wrota wleciały do środka, rozrywając się na kawałki, które z trudem trzymały się powyginanych sztab. W drzwiach ukazał się jakiś olbrzymi, ciemny kształt, który parł do przodu przez wąskie przejście, ryjąc w kamiennych murach głębokie bruzdy. Bunion rzucił się do ataku, wbijając w niego zęby i pazury, lecz ten nie zwrócił nawet uwagi na kobolda. Wszedł do komnaty sypialnej, krusząc kamienie i tynk, rozrywając nadproża i resztki tego, co pozostało z poszarpanych drzwi. Światło błyskawicy rozjaśniło kształt potwora. Ben i Willow wpatrywali się weń oniemiałi.

Mieli przed sobą olbrzyma zakutego od stóp do głów w metal.

Mój Boże! - pomyślał Ben, oszołomiony niespodziewanym widokiem. To robot!

Zgrzytnęło i stęknęło żelazo, gdy obracał się w ich stronę, podnosząc ramiona i rozkładając gotowe do chwytu palce. Monstrum zbudowane było z metalowych płytek i mocowań. Robot! Ale przecież na Landover nie było robotów ani żadnych mechanicznych istot! Nikt tutaj nawet nie słyszał o czymś takim!

Willow krzyknęła i stoczyła się z łóżka, szukając miejsca do podjęcia jakichś działań. Ben, cofając się, pośliznął się na pościeli i upadł. Głową uderzył mocno o zagłówek łóżka; przed oczami stanęły mu jasne światelka i łzy. Ben! - usłyszał krzyk Willow, ale nie był w stanie odpowiedzieć. Wiedział, że powinien coś zrobić, lecz cios w głowę był tak mocny, że nie miał pojęcia, cóż miałyby to być.

Broń! Potrzebował broni!

Przez rozmazujące mu obraz łzy zobaczył, jak robot odrzuca Buniona na bok, jak gdyby kobold był wycięty z papieru. Potężne żelazne stopy opadały z głuchym odgłosem. Potwór był coraz bliżej łóżka, sięgnął po jego dolną ramę i oderwał ją. Łóżko zawaliło się z łoskotem, a Ben potoczył się na bok, próbując się podnieść na nogi. Bunion ponownie zaatakował, lecz tym razem robot trzepnął nim tak mocno, że gdy uderzał w ścianę, wyraźnie słysząc było chrupnięcie. Kobold skreślił się na podłodze i znieruchomiał.

- Ben, wezwij Paladyna! - zawołała Willow. Rzuciła drewnianymi kawałkami łoża w bestię, daremnie próbując opóźnić jej atak.

W tym momencie pojawił się Ardsheal, wpadając przez otwór w drzwiach, i rzucił się

od tyłu na przeciwnika. Siła uderzenia zachwiała na chwilę robotem, który zaczął się odwracać. Ardsheal zwarł się bez lęku z olbrzymem, biorąc się z nim za bary i próbując powalić na ziemię. Kolejny raz niebo rozjaśniła błyskawica, szkicując kształty przeciwników, gdy walczyli o utrzymanie się na nogach. Willow przemknęła obok nich, starając się dotrzeć do Bena. Holiday stał na nogach, opierając się z nieprzytomną miną o ścianę na drugim końcu komnaty. Ze skroni sączyła mu się krew. Szukał po omacku medalionu, żeby móc wezwać Paladyna, ale ku swemu przerażeniu nie mógł go znaleźć. Medalion wraz z łańcuchem, na którym wisiał na szyi, zniknęły!

Robot i Ardsheal przywarli do kamiennego muru, spięci ze sobą w śmiertelnej walce, zwarci w przerażającym zmaganiu niczym dwa wielkie niedźwiedzie. Ardsheal zacisnął dłonie na jednym z olbrzymich metalowych przedramion robota i wykręcił je ze straszliwą siłą. Słychać było potworny pisk ustępującego metalu i nagle dłoń z przedramieniem oddzieliły się i upadły z łoskotem na podłogę. Robot natychmiast owinał obie ręce wokół Ardsheala, zacisnął zdrową dłoń na resztkach poharatanej ręki i ściągnął je w gniotącym uścisku, próbując zdusić przeciwnika. Ardsheal zeszywniał i odrzucił do tyłu głowę. Coś w jego środku pękło z wyraźnym chrzęstem.

Willow chwyciła kawałek roztrzaskanych drzwi, ruszyła do przodu z okrzykiem na ustach i wyrznęła robota prowizoryczną maczugą w twarz. Robot nie zwrócił na to uwagi, skupiając cały swój wysiłek na Ardshealu. Odzyskawszy zdolność widzenia, Ben rzucił się do przodu. Wiedział już co ma robić. Odciągnął Willow, chwycił potężny kawał łoża, zarzucił go z tyłu za głowę robota i ściągnął jego końce. Metalowy olbrzym obrócił głowę i zaczął się odwracać, nie puszczając ani na chwilę ze swoich objęć sparaliżowanego Ardsheala.

Jeden z jego butów utkwiał jednak w łożu i monstrum się potknęło. Aby odzyskać równowagę, musiał zwolnić uścisk.

W tej samej chwili Ardsheal wyrwał się z objęcia. Z ust i nosa sączył mu się ciemny płyn, a poszczególne części kończyn wyglądały tak, jakby miały za chwilę wypaść ze swoich stawów. Mimo to zdawał się nie czuć swoich ran. Zaatakował od nowa, rzucając się na robota z zaciśniętymi pięściami, ciskając go do tyłu, w stronę otwartego okna. Gdy robot zatoczył się na nogach, Ardsheal runął na niego z całą dzikością i obaj walczący znaleźli się w przegrodzonym kratami otworze. Kamień i tynk posypały się pod ich połączonym ciężarem i żelazne pręty wypadły z muru. Rama okna i część przylegającej ściany rozpadły się na kawałki.

Wtedy Ardsheal oplótł się wokół robota, pchnął go przez otwór i oba stwory runęły w dół, znikając w ciemnościach nocy.

Ben i Willow w chwilę później byli już przy nasiąkniętym wodą otworze, zbyt późno, aby zobaczyć, jak spadają, ale akurat na czas, aby usłyszeć, jak roztrzaskują się o skały w dole i wpadają do rzeki. Deszcz siekł ich twarze i ramiona, gdy wychylali się w ciemność i spoglądali w dół. Niebo rozświetliła kolejna błyskawica, ukazując na mgnienie oka ich oczom połyskujące wilgocią ściany zamku, puste skały i wzburzone wody rzeki.

Ben wciągnął Willow z powrotem do pokoju i mocno ją przytulił. Zatopiła twarz w jego ramieniu i czuł, jak głębokimi haustami wciąga powietrze.

- Przeklęty Rydall! - zaklął jej do ucha, starając się nie drżeć.

Jej palce wpiły się w jego plecy, gdy przytaknęła mu dzikim, bezgłośnym skinieniem głowy.

SMOCZY WZROK

Dopiero później Ben odkrył, że wciąż ma na sobie medalion. Spojrzał w dół i zobaczył, że wisi na łańcuchu opadającym z szyi. Przez chwilę nie mógł w to uwierzyć. Podniósł go na dłoni i wpatrywał się weń. Połyskiwał przed nim znajomy, wyryty wizerunek Paladyna wyjeżdżającego konno z zamku Sterling Silver o wschodzie słońca. Mógł przysiąc, że go wtedy nie było. Przecież szukał go i nie mógł znaleźć.

- Co się stało, Ben? - zapytała szybko Willow, widząc jego oszołomienie.

Potrząsnął głową i pozwolił, aby medalion opadł na swoje miejsce.

- Nic. Ja tylko...

Przerwał, zmieszany, nie wiedząc co powiedzieć. Uderzenie w głowę, kiedy się potknął, musiało ogłuszyć go bardziej, niż sądził. Był wtedy zupełnie tego pewien! Przecież sięgnął ręką na pierś i nie znalazł go tam!

Willow zostawiła go i podeszła do szafy, aby wyjąć czyste ubrania. W chwilę później oddział straży pałacowej wbiegł na górę po schodach z bronią gotową do użycia, dopiero teraz reagując na atak. Ben z Willow zajmowali się już wtedy Bu-nionem i nie zwracali na nich uwagi. Kobold został poważnie poturbowany, lecz poza tym wydawało się, że nic mu nie jest. Małe twardziele z tych koboldów, pomyślał z podziwem Ben. Wyraźnie mu ulżyło, gdy zobaczył, że jego przyjaciel uniknął poważniejszych ran. Kto inny w takiej sytuacji zginąłby na miejscu.

Straż pałacowa przeszukała pokój, wyjrzała przez otwór w murze na zalaną deszczem noc i widać było, że czują się nieswojo z powodu własnej obecności w tym miejscu. Z ich twarzy można było wyczytać, iż się domyślają, że atak prawie się powiodł, i obawiają się reakcji zarówno króla, jak i Kallendbora na to, że mu nie zapobiegli.

Ben ze swojej strony był zbyt zajęty, aby szukać winnego; wciąż nie dawała mu spokoju raptowność ataku i towarzyszące temu okoliczności. Kallendbor jednak, który wpadł do komnaty z gołą pierśią i pałaszem w dłoni, był mniej wyrozumiały. Wysłuchawszy z ust Bena skróconej wersji wydarzeń, zwymyślał wszystkich znajdujących się w zasięgu jego głosu. Następnie wysłał kilku z nich, żeby przeszukali brzeg rzeki płynącej poniżej i sprawdzili, czy pozostały jakieś ślady po Ardshealu i potworze Rydalla. Innym kazał sprawdzić każdy zakątek zamku, czy nie ma już żadnego zagrożenia. Ben, Willow i Bunion zostali przeniesieni do innych pokoi, a strażnicy otrzymali rozkaz starannego pilnowania ich przez pozostałą część nocy. Kallendbor, najwyraźniej zażenowany tym, co się stało, pragnąc jak najszybciej ich opuścić, pożegnał się burkliwym tonem i wyszedł.

Wykończeni, Ben i Willow nie ociągali się i poszli zaraz za nim.

Mimo zmęczenia Ben nie mógł zasnąć przez dłuższy czas, rozmyślając o ostatnim potworze. Dwie rzeczy nie dawały mu spokoju i do tego nie potrafił ich ze sobą pogodzić.

Po pierwsze, jak to możliwe, aby ta istota w ogóle dostała się do zamku. Jak udało jej się prześliznąć obok strażników Kallendbora i samego Ardsheala? Czemuś tak dużemu i ciężkiemu nie mogło się to udać. Nie powinien przejść nawet przez główną bramę. Chyba że nie musiał jej pokonywać, lecz został przeniesiony do pałacu za pomocą magii, co było jedynym sensownym wytłumaczeniem. Zastanawiał się też, czy czasem magii nie użyto również podczas ataku, aby mu się wydawało, że zgubił medalion. Bo inaczej jak można wytłumaczyć to, że nie był w stanie go znaleźć - nawet ogłuszony uderzeniem w głowę, nawet w ferworze walki - gdy ten zwyczajnie zwisał mu z szyi?

Poza tym nie dawało mu spokoju niejasne uczucie, że robot nie jest mu do końca obcy. Nie wiedział, jak to jest możliwe, bowiem na Landover nie było robotów ani nawet żadnego wyobrażenia o nich. Musiał go zatem widzieć w swoim starym świecie w jakimś filmie albo czymś takim, bo nawet tam roboty wciąż żyły jedynie w wyobraźni. Zaczął przeszukiwać pamięć, próbując sobie przypomnieć, gdzie to mogło być, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Kiedy w końcu zasypiał, a było to gdzieś nad ranem, wciąż bez powodzenia próbował zlokalizować źródło obrazu.

Willow obudziła go wczesnym przedpołudniem. Niebo nareszcie się wypogodziło; deszcze przesunęły się na wschód. Leżał przez chwilę w ciszy, patrząc na nią, jak siedzi obok i się uśmiecha w ten szczególny, cudowny sposób. Wtedy podjął nagłą decyzję. Willow cierpiała równie mocno z powodu straty Mistai i zagrożenia ze strony Rydalla, jak on sam. Powinien się z nią dzielić swoimi myślami. Powiedział jej zatem o wszystkim, nawet o tym, o

czym nigdy nie mówił nikomu - że medalion i Paladyn byli ze sobą związani, że jeden przywoływał drugiego do obrony króla. Byli sami w komnacie; Bunion opuścił ich wcześniej rano, dla załatwienia własnych spraw, których natury nie chciał wyjawić. Willow wysłuchała uważnie opowieści Bena, po czym wzięła jego dłonie i zacisnęła w swoich.

- Skoro ktoś dobrał się do medalionu - powiedziała łagodnym głosem, siedząc blisko niego na łóżku - to musiał wiedzieć, iż pozwala ci on kontaktować się z Paladynem. - Przez chwilę wpatrywała się weń skupionym wzrokiem. - Kto jeszcze oprócz mnie może o tym wiedzieć?

Odpowiedź brzmiała, że nikt. Nawet mag Questor Thews, a to przecież on, zaraz po Benie, wiedział najwięcej o medalionie. Większość wiedziała, że jest symbolem i należy do tego, kto włada Landover jako król. Kilka osób wiedziało, że pozwala właścicielowi przejść przez krainę czarodziejskich mgieł. Tylko Ben, a teraz i Willow, wiedzieli, że wzywa Paladyna.

Był prawie zdecydowany w tym momencie powiedzieć jej wszystko o medalionie, całą prawdę, zdradzić ostatni ze swoich sekretów. Powiedział jej już, w jaki sposób wiązał go z Paladynem, jak pozwalał wzywać królewskiego szermierza. Dlaczego nie miałby powiedzieć, jak Paladyn i on łączą się ze sobą, że Paladyn stanowi część jego samego, że jest mroczniejszą stroną jego natury, która nabiera kształtu, kiedy zostaje zmuszony do walki. Już kilka razy był bliski wyznania jej tego. Była to ostatnia tajemnica, jaką skrywał przed nią na temat magii, i jej ciężar nagle wydał mu się prawie nie do zniesienia.

Mimo pokusy zachował milczenie. Nie był jeszcze na to przygotowany. Nie był do końca pewien. Wielkość takiego odkrycia mogła zaowocować nieprzewidzianymi konsekwencjami. Nie chciał sprawdzać oddania Willow przez ujawnianie tak okropnej prawdy. Nawet teraz, po tak długim czasie obawiał się, że mógłby ją stracić.

- Dokąd teraz pójdziemy, Ben? - zapytała niespodziewanie, przerywając jego rozmyślenia. - Nie zamierzasz chyba zatrzymywać się tutaj dłużej?

- Nie - odpowiedział z wyraźną ulgą, że może przejść na inny temat. - Kallendbor, zdaje się, nie może nam pomóc w żaden sposób, więc nie ma powodu przeciągać wizyty. Wyjedziemy zaraz, jak tylko się ubiorę i coś zjemy. A gdzie Bunion?

Kobold wrócił do ich komnaty sypialnej właśnie wtedy, gdy Ben skończył się myć i wkładać na siebie ubranie. Bandaż założony przez Willow ubiegłej nocy, żeby zakryć najgorsze z ran ciętych na głowie, zniknął. Bunion zdołał zachować w pamięci silny zapach robota i udał się schodami w dół, śledząc trasę, którą potwór przebył zeszłej nocy. Była to krótka droga. Zapach został niemal zatarty przez strażników biegających w górę i w dół po

schodach, lecz zostało go wystarczająco dużo, aby stwierdzić, że wysłannik Rydalla pojawił się zupełnie znikąd na półpiętrze, tuż poniżej ich komnaty. Ben spojrzał na Willow, potem znowu na kobolda. Wszyscy troje wiedzieli, co to znaczy.

Bunion poinformował ich również o tym, że żołnierze Kallendbora dokładnie przeszukali Anhalt, łącznie z jej brzegami, i że nie znaleźli żadnego śladu ani napastnika, ani Ard-sheala.

Posłali po śniadanie i zjedli je w swoim pokoju, po czym kazali spakować swoje rzeczy i zeszli do głównego holu. Czekał tam na nich Kallendbor, z surowym obliczem, przybity wydarzeniami minionej nocy. Ben oznajmił mu, że wyjeżdżają, i dostrzegł w oczach tamtego wyraźną ulgę. Nie był zaskoczony, bo nawet w najbardziej sprzyjających warunkach trudno było ich nazwać przyjaciółmi. Podziękował władcy Rhynd-weir za gościnność i kazał mu jeszcze raz obiecać, że zawiadomi króla, jeśli się dowie czegokolwiek o Mistai bądź Rydallu. Kallendbor odprowadził gości do drzwi pałacu, gdzie czekały już na nich osiodłane konie. Ben uśmiechnął się do siebie. Z Kallendbora byłby kiepski gracz w pokera.

Wsiedli na konie i ruszyli przez bramę fortecy, a następnie w dół przez miasto. Przejechali przez most na Anhalcie i skierowali się na południowy zachód, podążając w stronę Sterling Silver. Willow spojrzała pytająco na Bena, zastanawiając się nad jego nowymi planami, lecz on podniósł jedynie znacząco brew do góry i nic nie powiedział. Dopiero gdy znaleźli się z dala od zamku, głęboko pośród równinnych traw, obrócił Jurysdykcję i zatrzymał się.

- Nie chciałem, aby Kallendbor widział, dokąd się naprawdę udajemy - wyjaśnił.

- Powiedz zatem, dokąd.

- Na wschód, do Pustkowi, zobaczyć się z jeszcze jedną istotą, która może coś wiedzieć o Mistai.

- Rozumiem - odpowiedziała cicho Willow.

- Z tobą zechce rozmawiać. Lubi cię. Kiwnęła głową.

- Może i tak.

Cofnęli się do rzeki Anhalt i przez pozostałą część dnia podążali wzdłuż jej nurtu. Przed zapadnięciem zmroku dotarli do krawędzi Wschodnich Pustkowi. Rozbili tam obóz, znajdując schronienie pośród jesionów na wzgórzu, które zapewniało im dobry widok na wszystkie strony otaczającej ich krainy. Zjedli zimną kolację. Bunion zaproponował, że zostanie na straży przez całą noc, lecz Ben nie chciał o tym słyszeć. Kobold również potrzebował odpoczynku, zwłaszcza jeśli miał się do czegoś przydać, gdyby nastąpił kolejny atak, a nie mieli powodów, żeby przypuszczać, iż go nie będzie. Skoro są teraz uzależnieni

jedno od drugiego, to muszą się dzielić odpowiedzialnością - nalegał Ben.

Tej nocy nie pojawił się żaden potwór i Ben spał niezakłóconym snem. Rano czuł się jak nowo narodzony. Willow również zdawała się wypoczęta. Wszyscy troje oczekiwali z niepokojem rozwoju wydarzeń. Nawet Bunion był tego ciekaw. Udał się ponownie na rekonesans. Ben i Willow podążali za nim bez pośpiechu. Zostawili za sobą Greensward i znaleźli się we Wschodnich Pustkowiach. Dzień był znowu pochmurny i szary, lecz nic nie zapowiadało, aby miał zaraz spaść deszcz. Mimo że słońce nie świeciło, powietrze było gorące i suche, ziemia wysuszona i spękana, a krajobraz wokół nich pozbawiony życia i nieruchomy jak śmierć.

Do południa wjechali już daleko w głąb Pustkowi. Wrócił Bunion i doniósł, że Ogniste Źródła znajdują się dokładnie przed nimi i że smok Strabo jest w domu.

- Jeśli ktokolwiek coś wie o Rydallu, to jest to Strabo - powiedział Ben do Willow, gdy wjechali na urwiste wzgórza otaczające źródła. - Może latać, dokąd zechce i być może kiedyś udał się przez krainę czarodziejskich mgieł do królestwa Marnhull. W każdym razie warto zapytać. Pod warunkiem że ty, to zrobisz.

Strabo nie przepadał zbyt za Holidayem, chociaż stali się sobie nieco bliżsi po wspólnych doświadczeniach wewnątrz kabalowej szkatuły. Smok szczerze jednak lubił Willow. Z lubością powtarzał, że smoki zawsze miały słabość do pięknych panien, choć od czasu do czasu wydawało mu się, iż tak naprawdę to smokom sprawia przyjemność ich jedzenie. Zbyt próżny, aby się przyznać do swego błędu, pozwalał, aby syl-fida czarowała go przy niejednej okazji. Mimo to każda wizyta w Ognistych Źródłach była nowym i niepewnym doświadczeniem, a smok Strabo okazywał się stworzeniem po prostu kapryśnym.

Kiedy znaleźli się na tyle blisko, że poczuli gorąco bijące z jam, na długo jeszcze zanim zauważyli dym i wciągnęli do płuc jego zapach, zsiadli z koni, przywiązali je do skał i dalej udali się pieszo. Z trudem szli po wyboistych, nagich wzniesieniach i przez usłane kamieniami wąwozy. Bunion jak zwykle prowadził, choć teraz był znacznie bliżej nich. Szli przez kilka minut, kiedy usłyszeli odgłos kraszonych kości. Kobold spojrzął na nich przez ramię, ukazując wszystkie zęby w pozbawionym wesołości uśmiechu.

Smok się pożywił.

Wspięli się następnie na grań i ujrzeni go w całej okazałości.

Strabo leżał zwinięty wokół jednego z lejów źródeł. Jego kilkunastometrowe ciało, czarne jak atrament, najeżone kolcami i grzebieniem kręgosłupa, stawało się na przemian to chropowate, to znowu gładkie. Właśnie się posilał resztkami czegoś, co było prawdopodobnie kiedyś krową, chociaż trudno było to stwierdzić, ponieważ smok zredukował martwe ciało do

nóg i niewielkiej części zada. Złowrogie, poczerniałe zęby migotały słabo, gdy ogryzał olbrzymią kość, pozbawiając ją ostatnich strzępów mięsa. Żółte oczy przysłonięte dziwnymi, czerwonymi powiekami koncentrowały się na kości, lecz gdy przybysze stanęli na szczycie wzniesienia i znaleźli się w zasięgu wzroku, jego masywna, najeżona kolcami głowa podniosła się i obróciła.

- Towarzystwo? - syknął aż nazbyt nieprzyjemnie. Żółte oczy rozszerzyły się i zamrugały. - Ach, to tylko Holiday. Co za nuda. Czego chcesz? - Głos miał niski, gardłowy, nieznacznie syczący. - Zaczekaj, nie mów mi, niech zgadnę. Chcesz coś wiedzieć o tej krowie. Przebyłeś tak długą drogę, rezygnując z wygod swego małego, lśniącego zameczku, aby skarcić mnie za tę krowę? Oszczędź sobie trudu. To było zabłąkane zwierzę. Weszła na teren Pustkowi i stała się przez to moją własnością. Proszę zatem, bez żadnych wykładów.

Ben za każdym razem był zaskoczony tym, że smok potrafi mówić. Było to wbrew wszystkiemu, czego nauczył go życie w jego starym świecie. Lecz tam nie było smoków.

- Nic mnie nie obchodzi ta krowa - oznajmił Ben. Niegdyś wymógł na smoku obietnicę, że zaprzestanie kradzieży żywego inwentarza.

Smok rozwarł szczękę na całą szerokość i zaśmiał się krótko.

- Nie? W takim razie przyznaję się, że kiedy ją zabrałem, to może nie do końca znajdowała się w granicach Pustkowi. Teraz czuję się o wiele lepiej. Prawda czyni nas wolnymi. Ponownie zmrużył oczy. - To ci dopiero. Czyżby to piękna sylfida była z tobą, Holidayu? - Nigdy nie nazwał Bena „królem”. - Czy przywiodłeś ją, żeby się ze mną spotkała? Nie, ciebie nie stać na taki gest. Musisz przybywać w jakimś innym celu. Cóż to takiego? Ben westchnął.

- Przyszliśmy zapytać cię...

- Chwileczkę, przeszkodziłeś mi w obiedzie. - Z nozdrzy smoka buchnęła para, a z gardła dobyło się szorstkie kasznięcie. - Uprzejmość przede wszystkim. Proszę, usiądźcie, aż skończę. Wtedy wysłucham wszystkiego, co masz do powiedzenia. Jeśli tylko nie będziesz się rozwodził.

Ben popatrzył na Willow, po czym usiedli niechętnie na kopcu razem z Bunionem i czekali, aż Strabo skończy swój obiad. Smok nie śpieszył się, chrupiąc każdą kostkę i pochłaniając każdy, najmniejszy nawet strzęp mięsa, aż nie zostało nic z wyjątkiem kopyt i rogów. Rozmyślnie uczynił z tego przedstawienie, cmokając ustami i mrużąc z zadowolenia po każdym kęsie. Był to nie kończący się występ i przyniósł zamierzony skutek. Gdy smok skończył, Ben był tak zniecierpliwiony, że z trudem panował nad sobą.

Strabo odrzucił od siebie jakieś zaplątane kopyto i spojrział na nich wyczekująco.

- A teraz słucham, co masz do powiedzenia. Ben próbował nie zgrzytać zębami.

- Przybyliśmy poprosić cię o pomoc w pewnej sprawie - zaczął i na tym musiał skończyć.

- Oszczędź sobie trudu, Holiday - przerwał mu smok, dając krótki znak przednią łapą.

- Już ci oferowałem całą pomoc, na jaką możesz liczyć w tym życiu, więcej, niż na to zasłużyłeś.

- Przynajmniej mnie wysłuchaj - nalegał zirytowany Ben.

- A muszę? - Smok poruszył się, jakby szukał wygodniejszego ułożenia ciała. - No dobrze. Przez wzgląd na tę uroczą młodą damę, zrobię to.

Ben postanowił przejść od razu do sedna sprawy.

- Zabrano nam Mistayę. Sądzymy, że została wzięta jako zakładniczka przez Rydalla, króla Marnhull. Przynajmniej on tak twierdzi. Próbujemy ją odzyskać.

Strabo wpatrywał się w niego przez chwilę, nic nie mówiąc.

Czy ja powinienem wiedzieć, o czym ty mówisz? Mista-ya? Rydall? Kim są ci ludzie?

- Mistaya to nasza córka - powiedziała szybko Willow, włączając się, zanim Ben straci zupełnie panowanie nad sobą. - Pomogłeś Benowi odnaleźć nas, kiedy wynosiłam ją z Wielkiej Czeluści.

- Ach, rzeczywiście, pamiętam. - Smok był cały rozpromieniony. - Dobrze się wtedy spisałem, prawda? I daliście jej imię Mistaya? Bardzo ładne imię. Dźwięczy obietnicą tego samego piękna, jakie jest twoim udziałem.

Trzymajcie mnie, bo zaraz mu coś powiem, pomyślał ponuro Ben, lecz nie odezwał się słowem.

- Jest pięknym dzieckiem - zgodziła się Willow, skupiając uwagę smoka na sobie. - Bardzo ją kocham i zrobię wszystko, żeby bezpiecznie wróciła do domu.

- To oczywiste - stwierdził z oburzeniem Strabo. - A kim jest ten Rydall, który ją porwał?

- Tego nie wiemy. Liczyliśmy, że ty będziesz mógł nam pomóc. - Willow czekała.

Strabo kręcił powoli swoją najeżoną rogami głową.

- Nie. Nie sądzę. Nigdy o nim nie słyszałem. Pewnie jeszcze jeden z wielu pomniejszych królów. Są ich setki. Paradują, przybierają pozy, jak gdyby liczyli na to, że zrobią choćby przez chwilę wrażenie na kimś ważnym. - Obrzucił Holidaya znaczącym spojrzeniem. - Tak czy inaczej, kimkolwiek on jest, nie znam go. I pochodzi z miejsca, które nazywa się Marnhull? Naprawdę? Marnhull? To brzmi jak nazwa tego, co zostaje po otwarciu orzecha.* - Smok zaśmiał się na całe gardło i wpadł tyłem do jednego z Ognistych Źródeł.

Nie mógł złapać powietrza, gdyż wszędzie unosił się popiół i pokruszone kamienie, z trudem więc powrócił do dawnej pozycji. - Marnhull! Zabawne!

- Więc nigdy nie słyszałeś tego imienia ani nazwy królestwa? - nie ustępował Ben, który już dłużej nie potrafił milczeć.

Nazwa „Marnhull” może kojarzyć się z łupiną o kasztanowej barwie, gdyż angielskie *maroon* to kolor kasztanowy, a *hull* to łupina.

- Nigdy. - Strabo wydmuchał ziemię i parę z nozdrzy. - Nie istnieją. Ani jedno, ani drugie.

- A może poza Landover, za krainą czarodziejskich mgieł? - naciskał na niego Ben.

Wielka czarna głowa obróciła się raptownie.

- Holiday, słuchaj uważniej tego, co mówię. Przemierzyłem wszystkie krainy, które kiedykolwiek istniały, i kilka takich, które nie istniały. Byłem we wszystkich, które otaczają czarodziejskie mgły. Byłem daleko poza nimi. Żyję już długo i zawsze lubiłem podróżować, zwłaszcza do miejsc, w których mnie nie lubiano i gdzie mogłem się żywić ich mieszkańcami. - Żółte oczy przymknęły się. - A zatem, gdyby kraina o nazwie Marnhull istniała, to musiałbym ją znaleźć. Gdyby król o imieniu Rydall żył, to musiałbym o nim słyszeć. Nie ma mowy ani o jednym, ani o drugim, więc nie istnieją.

- A jednak ktoś nazywający siebie królem Rydallem istnieje, ponieważ przybył już dwukrotnie do Sterling Silver, aby mi grozić. Twierdzi, że pojmał Mistayę, i obiecuje wysłać potwory, które będą próbowały mnie zabić! - Cierpliwość Bena była bliska wyczerpania. - Mistaya zniknęła, a ja zostałem już trzykrotnie zaatakowany! Coś się tutaj dzieje, nie sądzisz?

- Nie, nie sądzę - oznajmił smok z wystudowaną obojętnością - ponieważ nie wiem, o czym mówisz. Mam ciekawsze zajęcia niż słuchanie miejscowych plotek. Jeśli zostałeś zaatakowany, to słyszę o tym po raz pierwszy. Mogę dodać, że jest to dla mnie wiadomość dość mało istotna.

Willow chwyciła Bena za ramię i delikatnie pociągnęła go do tyłu, po czym sama wysunęła się krok do przodu i stanęła na wprost smoka.

- Strabo, posłuchaj mnie, proszę. Zdaję sobie sprawę, że to, co mówimy, może cię nie bardzo interesować. Ty zajmujesz się sprawami o bardziej uniwersalnym charakterze niż nasza. Skoro mówisz, że nigdy nie słyszałeś o Rydallu 1 o Marnhull, to tak musi być. Wszyscy wiedzą, że smoki nigdy nie kłamią.

Ben pierwszy raz o tym słyszał, ale smokowi Strabo najwyraźniej się to podobało i kurtuazyjnie skinął w odpowiedzi głową.

- Muszę zatem poprosić cię, jak kogoś, kto jest moim przyjacielem - ciągnęła Willow - abyś się zastanowił, czy nie możesz mi pomóc odnaleźć córki. Zniknęła, a my przeszukaliśmy całe Landover i niczego nie znaleźliśmy. Rozmawialiśmy z każdym, kto naszym zdaniem mógł coś wiedzieć o jej zaginięciu. Nikt nie potrafił nam pomóc. Jesteś naszą ostatnią nadzieją. Myśleliśmy, że jeśli ktokolwiek może coś wiedzieć o Rydallu z Marnhull, to będziesz to ty. Powiedz, proszę, czy jest coś, o czym wiesz, a co może nam pomóc? Czy znasz kogoś, kto mógłby być Rydallem? Albo miejsce, które mogłoby uchodzić za Marnhull?

Smok milczał przez długi czas. Dokoła niego źródła buchały ogniem, wypluwając popiół i dym. Dzień stał się jeszcze bardziej szary, gdy słońce odpłynęło na zachód, a chmury zbiły się w gęsty baldachim zasnuwający całe niebo. Pod zasłoną chmur i dymu leżały ziemie pogrążone w odrętwiałej samotności, ponure i wyludnione.

- Bardzo sobie cenię życie z dala od świata. Dlatego zamieszkałem tutaj, rozumiesz?

- Rozumiem cię - powiedziała Willow.

- Dobrze. - Smok westchnął. - Powiedz mi coś więcej o Rydallu. Powiedz wszystko, co wiesz albo czego się domyślasz.

Willow opowiedziała, nie opuszczając niczego z wyjątkiem informacji o medalionie. Kiedy skończyła, Strabo zastanawiał się jeszcze przez jakiś czas.

- No cóż, Holidayu - odezwał się łagodnie. - Wygląda na to, że muszę ci pomóc kolejny raz, choć jest to wbrew rozsądkowi. Jednak pomoc, którą otrzymasz, zawdzięczasz całkowicie mojej słabości do uroczej sylfidy. - Odchrząknął głośno. - Nic nie może przejść przez krainę czarodziejskich mgieł tak, żebym ja o tym nie wiedział. Tak już jest. Smoki mają doskonały słuch i wzrok i nic nie umknie ich uwagi. - Przerwał, zastanawiając się nad czymś. - To znaczy jeśli uważają, że coś jest warte ich uwagi. - Najwyraźniej przypomniał sobie, jak wcześniej się wypierał, iż cokolwiek wie o wydarzeniach w Sterling Silver. - Rzecz w tym, że ostatnio nikt nie przechodził przez czarodziejskie mgły. Nawet gdybym się mylił co do tego, bo chwila nieuwagi z mojej strony mogła przypaść dokładnie na moment, w którym zrobił to Rydall bądź ktokolwiek inny, to wciąż pozostałyby czytelne ślady tego *przejścia*. Krótko mówiąc, mógłbym się tego tak czy *inaczej* dowiedzieć. - Uśmiechnął się do nich szeroko i dodał: - Gdybym, oczywiście, zechciał. - Podniósł swoją szkaradną głowę na Willow. - Zastanawiam się, pani, czy nie zechciałabyś mnie uraczyć jedną *ze* swoich rozkosznych piosenek. Tęsknię czasami za brzmieniem głosu dziewczyny.

Nie było na świecie niczego, co by cenił bardziej, i chociaż prośba ta wprawiała go w zakłopotanie, to najwyraźniej udało mu się jakoś pokonać skrępowanie. Willow spodziewała się tego. Poprzednim razem urzekł go jej śpiew, nie wahała się więc zrobić tego jeszcze raz.

Dobili cichej transakcji, a cena, której smok żądał za swoją *pomoc*, nie była z pewnością zbyt wysoka. Willow zaśpiewała o łąkach i polnych kwiatach, pośród których pląsały uroczne dziewczęta, oraz o smoku, który nad wszystkim czuwał jako władca tej krainy. Ben nigdy wcześniej nie słyszał tej pieśni i wydawała mu się zbyt przesłodzona, lecz Strabo ułożył swój pokryty skorupą rogów łeb na krawędzi jednego ze źródeł i przymknął oczy z rozmarzenia.

Nim zdążyła skończyć, smok przypominał swoim kształtem miękką kluskę. Z wielkich jak latarnie *oczu* ciekły łzy.

- Kiedy powrócisz ze swoich poszukiwań - zawołała do niego, przypominając mu o jego części transakcji - zaśpiewam ci w nagrodę jeszcze jedną piosenkę.

Strabo uniósł powoli głowę i ukazał zęby w żałośnie bezskutecznej próbie wydobycia uśmiechu.

- *Je fadore* - powiedział miękko.

Nie mówiąc już ani słowa więcej, rozwinął skrzydła, odsłaniając w całej okazałości swoje węzowate ciało, wzbil się w powietrze i zatoczył kilka kręgów, nim zniknął im z oczu.

Czekali na jego powrót resztę dnia i całą noc. Bunion wrócił się po koce i wszyscy troje trzymali na zmianę wartę, usadowiwszy się w takim miejscu, aby nie wdychać dymu i sadzy. Płomienie lizały brzegi kraterów, a płynna skała ożywała bulgotem w regularnych odstępach czasu, skutecznie niwecząc ich próby zaśnięcia. Chwilami było bardzo gorąco i wytrzyli tylko dzięki podmuchom wiatru. Byli tu jednak bezpieczni, bo któż by ryzykował wejście do legowiska smoka. Zbliżał się już świt, kiedy wrócił Strabo. Opadł z nieba, z którego zniknęły już wszystkie księżycy Landover, a gwiazdy traciły swój blask wraz z tym, jak niebo na wschodzie stawało się coraz jaśniejsze. Jego masywny szary tułów mógł się wydawać kawałkiem nieba, które nieoczekiwanie runęło na ziemię. Wylądował gładko i delikatnie niczym olbrzymi motyl, nie wydając przy tym żadnego odgłosu.

- Pani - przywitał Willow swoim głębokim, chrapliwym głosem, w którym słychać było znużenie i żal. - Obleciałem cztery granice naszej krainy, od Ognistych Źródeł po Melchor, od Greensward po krainę jezior, od jednego łańcucha gór i mgieł aż na drugą stronę. Przeszukałem wszystkie granice między Landover a czarodziejskimi światami. Przewąchałem wszystkie szlaki, zbadałem wszystkie znaki i ruszyłem tropem najmniejszego śladu. Nie znalazłem żadnego dowodu na istnienie Rydalla z Marnhull. Żadnego śladu po twoim dziecku.

- Żadnego? - zapytała cichym głosem Willow, jak gdyby była możliwość, że Strabo ponownie rozważy swoją odpowiedź.

Chropowata głowa smoka odwróciła się.

- Nikt w ostatnich dniach nie przechodził przez czarodziejskie mgły. Nikt.- Ziewnął, ukazując rzędy poczerńiałych, zakrzywionych zębów. - A teraz, jeśli mi wybaczycie, muszę się trochę przespać. Przepraszam, ale nie mogę zrobić nic więcej. Zwalniam cię z obietnicy zaśpiewania jeszcze jednej piosenki. Żałuję, ale jestem zbyt zmęczony, aby jej wysłuchać. Żegnam was. Żegnaj, Holiday. Przyjdźcie kiedyś, ale nie w najbliższym czasie, dobrze?

Poczołgał się między skałami i kipiącymi kraterami, zwinął się w kłębek pośród rumowiska i natychmiast zaczął chrapać.

Ben i Willow patrzyli na siebie szerokimi oczami.

- Nie rozumiem tego - odezwał się w końcu Ben. - Jak to możliwe, żeby nie było żadnego śladu?

Twarz Willow była blada i ściągnięta.

- Jeśli Rydall nie przybył z za czarodziejskich mgieł, to skąd się wziął? Gdzie jest teraz? Co zrobił z Mistayą?

Ben potrząsnął powoli głową.

- Nie mam pojęcia. - Nachylił się po swój koc i zaczął go zwijać. - Wiem tylko tyle, że w tym wszystkim coś mi się nie zgadza i zamierzam w taki bądź inny sposób to rozszyfrować.

Odwrócił się ze strapioną miną od Ognistych Źródeł i śpiącego smoka, wziął Willow za rękę i udali się za Bunio-nem w stronę swoich koni.

RUBAK

Opuścili Ogniste Źródła i jechali przez Pustkowia, kierując się na zachód. W tyle za nimi słońce w białej mglistej kuli wspięło się ponad horyzont, przesłonięte chmurami i gorącym powietrzem lata. Już teraz było gorąco, a wszystko wskazywało, że zrobi się jeszcze bardziej upalnie. Z zachodu nadciągały chmury, zbijając się w coraz większe masy zapowiadające deszcz przed końcem dnia. Krajobraz przed nimi był ponury i niezmienny i zdawał się ciągnąć bez końca.

Ben jechał w milczeniu. Był w tak smutnym i ponurym nastroju jak ziemia, po której podróżowali. Udawał, że wszystko w porządku, ale wiedział, że skończyły mu się wszelkie pomysły. Jego ostatnią nadzieją był Strabo. Skoro smok nie potrafił powiedzieć, jak znaleźć Rydalla, to prawdopodobnie nikt im już nie pomoże. A jeśli nie mógł znaleźć króla Marnhull, to nie odnajdzie Mistai ani Questora Thewsa z Abernathym. Skoro nie mógł znaleźć córki i przyjaciół, to nie miał innego wyjścia, jak tylko wrócić do Sterling Silver i czekać na pozostałe potwory Rydalla. Trzy miał za sobą, jeszcze cztery przed; niezbyt radosna myśl. Kilkakrotnie były bliskie pokonania go, a właściwie Paladyna - poprawił się, choć to było to

samo. Nie wierzył, że może przeżyć kolejne cztery razy, a nawet gdyby mu się udało, to nie sądził, że uda mu się odzyskać Mistayę.

Była to okropna perspektywa i przeklinał siebie w ciszy, że pozwala sobie na takie myśli. Ale tak wyglądała prawda. W to właśnie wierzył. Rydall nie był typem, który dotrzymuje warunków zawartych w umowie, nie był człowiekiem, który niszczy kraje, wysyła potwory, aby zabiły królów, i porywa dzieci, aby służyły za zakładników. Nie: Rydall prowadzi gry ze swoimi ofiarami i ustala reguły w ich trakcie tak, aby nie przegrać. Nie miało znaczenia, czy Paladyn przeżyje wszystkich siedmiu przeciwników czy nie. Mistaya i tak nie wróci.

Chyba że Ben sam ją znajdzie i przyprowadzi.

W tym momencie nie żywił jednak najmniejszej nadziei, że może mu się to udać.

Myślał o tym, co powiedział mu Strabo. Nie było znaku, aby ktokolwiek przekraczał krainę czarodziejskich mgieł teraz ani w ostatnim czasie. Żadnego śladu Mistai. Co to zatem znaczyło? Że Rydall kłamał? Że Strabo coś przeoczył? Przecież Rydall utrzymywał, że przeszedł przez krainę czarodziejskich mgieł. Powiedział, że jego armia jest gotowa pójść za nim. Przez czarodziejskie mgły. A może, pomyślał nagle Ben, towarzysząca Rydałłowi postać w czarnym płaszczu włada magią, która mu to ułatwiła i do tego nie zostawiła po sobie śladu. Może to był taki rodzaj magii, który potrafi ukryć miejsca przepraw. Ale czyż Strabo nie potrafiłby odkryć śladu użycia takiej magii? Jemu nic nie mogło umknąć. Czyżby Rydałłowi udało się sztuka, której nikt przed nim jeszcze nie dokonał, i zdołał jednak oszukać smoka?

Wtem przypomniało się Benowi, że istnieje jeszcze jedna droga do Landover, droga, o której zapomniał - przez świat demonów Abbadonu. Czy to możliwe, żeby Rydall uzyskał dostęp stamtąd? Ale żeby tego dokonać, musiałyby ominąć demony. Bądź też zyskać ich poparcie, tak jak zrobił to Gorse, obiecując im coś w zamian. Czy król Marnhull zdołał tego dopiąć? To było mało prawdopodobne. Demony nienawidziły ludzi; nigdy nie zawierały z nimi żadnych transakcji, chyba że zostały do tego zmuszone. Czym innym było przymierze z Gorse, który sam był istotą władającą czarną magią, a czym innym łącznie sił z kimś takim jak Rydall. Poza tym Rydall powiedział, że przeszedł przez czarodziejskie mgły, a to nie to samo co przyjscie z Abbadonu.

Jurysdykcja szła wolnym krokiem, szukając ostrożnie drogi po skalistym terenie. Jechali tak wolno, iż trudno było zauważyć, że się w ogóle posuwają. Ben był nieobecny, zagubiony we własnych myślach. Willow jechała obok niego, obserwując jego twarz, nie chciała jednak go rozpraszać. Bunion szedł z boku, spoglądając bystro to na jedno z nich, to na drugie, po czym z powrotem lustrował jałowy obszar z przodu. To nie była jego sprawa.

Ogniste Źródła zniknęły za nimi, ginąc na tle łuku horyzontu. Został po nich jedynie ślad w postaci nikłej smugi ciemnego dymu i popiołu na niebie.

Z odchodzącej ku zachodowi nocy wynurzyła się wrona o czerwonych oczach i zaczęła krążyć leniwie nad nimi, przez nikogo nie zauważona.

Czego w tym wszystkim brakuje? - zastanawiał się Ben. Z pewnością coś przeoczył, coś pomylił lub nie rozpoznał czegoś, co zaprowadziłoby go do Rydalla. Może podchodził do tego od złej strony. Przypuśćmy na chwilę, że Rydall kłamał co do tego, kim jest i skąd pochodzi. Było to dość sensowne przypuszczenie, zważywszy na jego zamiłowanie do prowadzenia gier. Wymyślić reguły, uruchomić grę i czekać, co z tego wyniknie - to pasowało do Rydalla. Zadał sobie kiedyś pytanie, na które nie znalazł jeszcze odpowiedzi: Dlaczego Rydall to wszystko robi? Zastanawiał się nad tym Władca Rzeki. Dlaczego król krainy Marnhull wysyła potwory do walki z Be-nem, zamiast zażądać jego życia w zamian za życie Mistai? Dlaczego spędza tak dużo czasu, wyzywając Paladyna na indywidualne pojedynki, skoro mógłby zwyczajnie wprowadzić swoje wojska do Landover i zająć je siłą? Aby uniknąć rozlewu krwi? To raczej mało prawdopodobne.

Prawdę mówiąc, Ben zaczynał wątpić, czy Rydalla w ogóle interesuje Landover.

Jego wątpliwości brały się stąd, że cała ta sprawa zaczynała nabierać cech czegoś bardzo osobistego. Ben nie potrafił dokładnie wskazać przyczyny swych podejrzeń, lecz wyraźnie to czuł. Wiązało się to jakoś z potworami, z charakterem ich magii, ze sposobem ich ataku. Konfrontacja: on - Rydall miała więcej wspólnego z nimi samymi niż z Landover. Land-over wydawał się zaledwie pretekstem, pionkiem w grze, którego w trakcie jej rozgrywania bez żalu podsuwa się pod bicie i traci. Rydallowi najwyraźniej nie śpieszyło się z zakończeniem podboju. Nie ustalił terminu przekazania tronu ani nie wspomniał słowem o miejscu, w którym ma się to odbyć. Najważniejsza zdawała się walka.

Dlaczego Rydall tracił tak dużo czasu, jeśli zależało mu tylko na tym, aby Ben ustąpił z tronu? Czy Ben nie zrobiłby tego, gdyby miał w zamian odzyskać Mistayę całą i zdrową?

Zrobiłby to?

Spojrzał szybko na Willow. Poczł przeszywające ostrze poczucia winy, gdy zawahał się z odpowiedzią. Patrzyła nań, lecz nie znalazł w jej zielonych oczach żadnego potępienia bądź podejrzeń, a jedynie smutek i - gdzieś za tym wszystkim - niewyczerpaną miłość. Poczł nagle zawstydenie. Znał przecieź odpowiedź. Kiedy jego żona w starym świecie, Annie, i ich nie narodzone dziecko zginęli, sądził, że nigdy nie dojdzie do siebie. Oni odeszli, a on już nigdy nie zdoła ich odzyskać. Teraz miał Willow i Mistayę i nie zniósłby tego, gdyby

je również miał stracić. Zrezygnowałby z wszystkiego, aby tylko je zatrzymać.

Zbliżała się połowa poranka, a jaskrawe powietrze nad Pustkowiami drgało od skwaru.

Ben obrócił się do Willow.

- Jeszcze mila i zatrzymamy się na odpoczynek - oznajmił. - Musimy się naradzić.

Skinęła głową i nic nie powiedziała. Jechali dalej wolno przed siebie.

Nad ich głowami wrona o czerwonych oczach zatoczyła koło i poleciała w kierunku miejsca, z którego przybyła.

Nocny Cień poszybowała w kierunku wąwozu, przez który Holiday i jego towarzysze mieli przechodzić, mocno trzymając w dziobie wyrrywającego się rubaka. Z trudem mogła opanować szalejącą w niej wściekłość. Czekala na niego całą noc, sądząc, że zaraz będzie wracał. Była pewna, że smok nie zaoferuje mu żadnej pomocy i natychmiast go odeśle. Zamiast tego Strabo udał się na polowanie dla niego - na polowanie, jakby był jednym z jego oswojonych psów! - a Holiday nie wrócił, jak oczekiwała, lecz spędził noc w granicach Ognistych Źródeł, w miejscu, którego mimo swojej potężnej magicznej mocy nie mogła bezpiecznie penetrować. Była zatem zmuszona czekać, spędzić całą noc na Pustkowiach, pilnując swego łupu.

Jakby w odpowiedzi na jej złość, rubak owinał się wokół jej dzioba i próbował ją ugryźć.

Zaśmiała się w duchu, gdy patrzyła, jak zgrzyta swymi drobnymi zębami. Kiedyś była to zwyczajna dżdżownica, tłusta, lśniąca i niegroźna. Teraz był jej stworzeniem i miał wypełnić zadanie, które mu wyznaczyła, stając się czwartym potworem Rydalia.

A jednak była zdziwiona, że potrzebny był jeszcze czwarty. Robot powinien był wystarczyć i tak by się stało, gdyby nie Ardsheal. Rozwścieczyło ją to, że również Władca Rzeki wstawił się za Holidayem i wcale jej furii nie łagodziła świadomość, że uczynił to przez wzgląd na swoją wnuczkę. Nie byli przecież przyjaciółmi, tak samo jak Holiday i smok. Dlaczego wrogowie pomagali królowi-marionetce i mieszały się do jej planów? Przecież to szaleństwo?!

Z drugiej strony, pomyślała, starając się przedstawić sprawy w lepszym świetle, od początku chciałam zachować Holi-daya przy życiu. Aż do tego szczególnego końca, który wymyśliła dla niego, końca, który miał nastąpić za sprawą Mi-stai. Nie byłoby tak zabawnie, gdyby zginął wcześniej. Poza tym pojawienie się Ardsheala natchnęło ją nowym pomysłem do zabawy ze znajdującym się w oblężeniu królem Landover. A zatem tak naprawdę niczego

nie straciła.

Poszybowała w dół na równinę i wylądowała w ciemnym wąwozie, który otwierał przejście między dwoma potężnymi wzgórzami blokującymi przejście z zachodu na wschód. Holiday i jego towarzysze przechodzili tędy w drodze do smoka; ślady końskich kopyt nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Wróć z pewnością tą samą drogą. Lecz tym razem będzie czekał na nich rubak. Podskoczyła na swoich ptasich nóżkach do maleńkiej kałuży powstałej z sączącej się wody, która skrywała się za skałą i nie zdążyła jeszcze wyparować od dzisiejszego skwaru. Wystarczy niewielka ilość wody; odrobina spełni swoje zadanie z nawiązką.

Trzymała rubaka nad wodą, obserwując, jak próbuje się uwolnić. Zmęczyło ją trzymanie go. Dość, że była zmuszona udać się do Pustkowi w nieludzkim kształcie, nie mając odwagi użyć magii w obawie, aby jej obecność nie została odkryta i nie popsulo to misternie opracowanej gry. To, że musiała trzymać małego potwora w bezpiecznym uścisku przez tak długi czas, było naprawdę nie do zniesienia. Udało jej się położyć go na ziemię zeszłej nocy na skałach, gdzie grunt jest suchy i twardy i nie pozwala stworowi uciec. Teraz była gotowa uwolnić go na dobre. Zastanawiała się, czy nie zostać i nie przyjrzeć się, co się będzie działo, lecz zbyt długo nie było jej w Wielkiej Czeluści, a nie lubiła zostawiać dziewczynki samej. Mistayę coraz bardziej niecierpliwiła ograniczona tematyka jej lekcji. Rubak był faktycznie pomysłem Nocnego Cienia, powstałym wtedy, gdy dziewczynka nie zdołała wymyślić nic nowego. Wciąż była posłuszna, lecz ostatnio pokazały się oznaki świadczące o tym, że jej uczennica może zechcieć wystawić na próbę zasady nałożone na nią przez Nocny Cień. Mistaya była niewiarygodnie utalentowana, zarówno jeśli chodzi o wyobraźnię, jak i same zdolności, a pod opieką wiedźmy jej umiejętność stosowania magii rozwinęła się ogromnie. Gdyby kiedykolwiek zdecydowała się wyzwać swą mistrzynię na pojedynek...

Wiedźma z drwiną oddaliła od siebie tę myśl. Nie obawiała się Mistai. Nikogo się nie bala.

Nie zawadzi jednak zachować ostrożność.

Zdecydowała się. Lepiej będzie, jeśli wróci do Wielkiej Czeluści najszybciej, jak tylko będzie mogła. Lepiej się upewnić, czy Mistaya nie zrobiła czegoś niezaplanowanego.

Upuściła rubaka do kałuży i popatrzyła, jak się zanurza w wodzie. Następnie się poderwała i szybko odfrunęła.

Kierując wzrok daleko przed siebie, Ben Holiday dojrzał zarys wąwozu, który

prowadził przez urwiste wzgórza Pustkowi na leżące za nimi równiny. Światło tego dnia było tak nikle, a widoczność tak osłabiona skwarem i mgielką, że wszystko wydawało się zamazane i niewyraźne. Nawet linia horyzontu migotała, jak gdyby była zaledwie mirażem i miała za chwilę zupełnie zniknąć. W oddali jar ukazał się jako masa nieprzeniknionych cieni.

Skierował Jurysdykcję w stronę przejścia, sam zaś skupił się na rozmyślaniach.

Znowu zastanawiał się nad robotem. Dlaczego wydawał mu się tak znajomy? Gdzie go już widział? Teraz był już absolutnie pewien, że go widział, ale do szaleństwa doprowadzało go to, że nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Jeszcze bardziej komplikowało sprawę rosnące podejrzenie, że również pozostałe stwory Rydalla już gdzieś widział. Rozważywszy głębiej tę sprawę, był gotów się założyć, że widział je po przybyciu na Landover. Ale jak to było możliwe? Nie mogły przecież żyć; pamiętałyby je wówczas. Czyżby Questor albo Abernathy opowiadali mu o nich? Może ktoś mu je opisał? A może widział gdzieś rysunek albo zdjęcie?

Dotarli do miejsca, gdzie zalegały cienie wyznaczające wejście do wąwozu. Korytarz przed nimi był ciemny i pusty. Ben popędził Jurysdykcję, gdyż burczało mu już w brzuchu na myśl o posiłku, który mieli zaraz spożyć.

Nagle Bunion zaświergotał ostrzegawczo. Ben spojrzał w dół, na kobolda, który oglądał się do tyłu, tam skąd przyszli. Ben powiódł wzrokiem w tym samym kierunku, osłaniając oczy przed oślepiającym słońcem. Z początku niczego nie zobaczył. Po chwili jednak zauważył małą plamkę wiszącą nisko na tle horyzontu. Plamka zdawała się rosnać.

Ben zamrugnął niepewnie oczami.

- Co u licha się...

To było wszystko, co zdołał powiedzieć, zanim grunt przed nimi eksplodował, rozsypując deszcz ziemi i kamieni. Z głębokiego mroku wąwozu wyłoniło się coś ogromnego i ciemnego. Bunion skoczył nad Żurawia jak wystrzelony z katapulty i wyrwał Willow z siodła ułamek sekundy przed tym, jak cały koń został połknięty przez gigantyczną bestię. Rozległ się przerażający krzyk i chrzęst miażdżonych kości. Powietrze wypełniło się kurzem i żarem upału. Jurysdykcja odskoczyła w panice, z trudem unikając potężnych szczęk, które teraz sięgały po nią, o włos mijając głowę Bena w swoim dzikim ataku. Ben utrzymał się w siodle i gdy koń gnał przed siebie, zdążył w przelocie dostrzec atakujące ich zwierzę - monstrualnych rozmiarów węża, bez twarzy i oczu, posiadającego jedynie zęby i czarną jamę gębową. Jego purpurowe ciało było gładkie i podzielone na pierścienie jak ciało...

Niech mnie diabli, jak ciało dżdżownicy!

Ben sięgnął instynktownie po medalion, lecz Jurysdykcja

mknęła z takim pędem - wspinając się w górę stromej stoku, wijąc ciałem i brykając w przerażeniu - że musiał porzucić tę próbę i chwycić się siodła i lejców obiema rękami, aby nie spaść. Zobaczył Buniona i Willow wdrapujących się na skały po przeciwnej stronie wąwozu. Potwór dał nagle nura pod ziemię, wślizgując się pod grunt i znikając niczym wieloryb pod powierzchnią oceanu. Przedzierał się pod ziemię, ryjąc tunel, którego linia sunęła wprost na Bena.

Ben kopnął z wściekłością Jurysdykcję, próbując skłonić konia do zejścia ze wzniesienia. Wierzchowca ogarnęła jednak niewyobrażalna panika i wspinał się jeszcze wyżej. Był to daremny trud, gdyż kopyta zwierzęcia ślizgały się na luźnym podłożu usłanym kamieniami. Ben wykręcił łeb konia i zmusił do posuwania się wzdłuż stoku, równoległe do linii horyzontu, mając wciąż nadzieję, że uda mu się zawrócić go na dół. Wybrzuszenie na ziemi za nimi zmieniło swój kierunek - potwór podążał za nim.

Przerwa między nimi zniknęła.

Zrozpaczony Ben zwolnił uścisk na siodle i próbował sięgnąć pod mundur, po medalion. Jednak w tej samej chwili, gdy to robił, Jurysdykcja potknęła się i runęła na ziemię, zrzucając go głową w dół prosto w zarośla. Przerazony koń natychmiast podniósł się na nogi i tym razem popędził w dół stoku w bezpieczne miejsce. Ben nie miał tyle szczęścia, co jego wierzchowiec. Oszołomiony i pokrwawiony po upadku z konia, poderwał się na nogi i bez zastanowienia zaczął biec przed siebie, wiedząc tylko tyle, że podziemne monstrum siedzi mu prawie na plecach. Ziemia i skały pękały i dudniły, gdy olbrzymie cielsko stworzenia drążyło tunel w świadomej pogoni za nim. Ben szukał po omacku medalionu, wyczuwając jego twardość przez tkaninę munduru, lecz nie był w stanie wyciągnąć go spomiędzy fałdów, w których utknął. Lejące się z czoła krew i pot przesłaniały mu oczy. Za chwilę napastnik wynurzy się na powierzchnię. Za chwilę będzie po nim. Czuł gładką krawędź medalionu, palcami mógł wyczuć wgłębienia wyryte na jego płaszczyźnie. Jeszcze jedna chwila! Tylko jedna...!

Wtem ziemia i kamienie wystrzeliły pod niebo, zwalając Bena z nóg i odrzucając go na bok. Puścił medalion i wylądował na plecach z cichym mruknięciem, nie mogąc nabrać powietrza do płuc. Nad nim wyrosło coś podobnego do robaka, posuwając do przodu swoje oblepione ziemią ciało z otwartymi szczękami, które już się zaczęły obniżyć.

Ben przekreślił się raptownie w rozpaczliwej próbie ucieczki, wiedząc, że jest za późno, wiedząc że już nie ma ratunku. Medalion! - pomyślał. Muszę...!

Wtem coś większego, ciemniejszego i dzikszego od napastnika runęło z nieba. Pazury zacisnęły się na ciele potwora, odciągając go do tyłu. Olbrzymie szczęki opadły w dół z kłapnięciem, odrywając ślepą głowę. Głowa z wciąż rozwartą paszczą upadła w kałuży posoki, lecz ciało wciąż się wilo jak opętane. Szczęki opadły z kłapnięciem jeszcze raz, i jeszcze kolejny, i w końcu potwór padł bez życia.

Strabo wypuścił z paszczy to, co mu zostało, zatrzepotał w powietrzu skrzydłami i opadł powoli na ziemię. Willow i Bunion biegli już w ich kierunku z drugiej strony wąwozu.

- Same z tobą kłopoty, Holiday - syknął smok. Olbrzymia głowa obróciła się i wielkie jak latarnie oczy spoczęły na nim. - Same kłopoty.

- Wiem - zdołał wykrztusić Ben, chwytając łąpczywie powietrze, gdy podnosił się na nogi. - W każdym razie dziękuję.

Willow dobiegła doń, zarzucając mu ramiona na szyję.

- Dziękuję, Strabo - powtórzyła, rozluźniając objęcie na tyle, aby móc odwrócić się do smoka. - Wiesz, jak wiele on dla mnie znaczy. Dziękuję ci bardzo.

Strabo prychnął.

- Cóż, jeśli dałem ci powód do uśmiechu, to mi wystarczy - oznajmił, a w jego chrapliwym głosie pobrzmiwała nuta zadowolenia.

- Skąd wiedziałeś, kiedy przybyć? - zapytał Ben. - Kiedy odjeżdżaliśmy, spałeś.

Smok złożył skrzydła wzdłuż ciała i przymknął oczy.

- Pustkowie należą do mnie, Holidayu. Są moje. Są wszystkim, co mi zostało z tego, co kiedyś nie miało granic. Dlatego panuję tutaj według zasad ustalonych przeze mnie. Z wyjątkiem mnie nikt nie może tutaj stosować żadnej magii. Jeśli

199

wdziera się jakaś inna, natychmiast jestem ostrzegany. Nawet przez sen moje zmysły powiedzą mi o tym. O tym stworzeniu wiedziałem od chwili, gdy nabrał kształtu. - Przerwał. - Czy wiecie, co to jest?

Ben i Willow pokręcili głowami.

- To rubak. R-U-B-A-K. Zwykły robak za pomocą magii przemieniony w drapieżnika. Wystarczy podzielać na niego wodą, a rozrasta się do takich rozmiarów, jak widzicie. - Strabo spojrział w dół na rozerwane części i splunął ze wstrętem. - Żałosny powód do przerywania mego wypoczynku.

- Znowu Rydall - powiedział cicho Ben. Głowa smoka znowu się obróciła.

- Nie znam się na Rydallu - syknął miękko - ale znam się na czarownicach. Rubaki są

ulubieńcami wiedźm.

Ben wybałuszył oczy.

- Nocny Cień? - odezwał się w końcu. Głowa smoka uniosła się.

- Między innymi. - Ziewnął i spojrzał w kierunku wschodu. - Czas wracać do łóżka.

Postaraj się żyć tak długo, aby zdążyć opuścić Pustkowia, Holiday. Potem już nie biorę za ciebie odpowiedzialności.

Nie mówiąc nic więcej, rozwinął skrzydła, wzbił się w powietrze i odleciał. Ben i Willow patrzyli za nim. Bunion stał z nimi przez chwilę, po czym na znak Bena ruszył poszukać Jurysdykcji.

Willow wytarła krew z twarzy Bena kawałkiem materiału oddartego z własnej koszuli.

- Czy Nocny Cień może być w to zaplątana? - zapytała po chwili.

- Z Rydalem? - Ben potrząsnął głową. - Po cóż miałyby to robić?

Willow uśmiechnęła się gorzko.

- Ona cię nienawidzi. To wystarczający powód. - Ben odwrócił wzrok w kierunku pustych pagórków, w sam blask słońca, nie patrząc na nic konkretnego. Willow skończyła czyścić mu twarz i pocałowała go delikatnie. - Nienawidzi nas wszystkich.

Ben skinął głową. Nagle zaczął myśleć o czymś innym.

- Willow - odezwał się. - Teraz przypominam sobie, gdzie widziałem potwory Rydalla, wszystkie trzy.

Sylfida cofnęła się krok do tyłu.

- Gdzie?

Przeniósł wzrok z powrotem na nią. Jego oczy wyrażały zdumienie.

- W książce.

POGGWYDD

Tegoż ranka Mistaya obudziła się wcześniej i zobaczyła, że jest sama, po raz pierwszy odkąd przybyła do Wielkiej Czeluści. Jej pierwszą reakcją była nieufność; Nocny Cień nigdy nie zostawiała jej samej. Podniosła się i rozejrzała po szarej i zamglonej okolicy, czekając aż ukaze się pani tej kotliny. Kiedy tego nie zrobiła, Mistaya zawołała ją. Kiedy wciąż się nie pokazywała, dziewczynka obeszła wszystkie zakątki polany. Nie było śladu Nocnego Cienia.

Nieoczekiwanie Mistaya poczuła ulgę.

Ostatnio wiele się zmieniło, a głównie jej stosunki z wiedźmą. Na początku Nocny Cień była pełną entuzjazmu, skorą do pomocy nauczycielką, przewodnikiem po ogrodzie sztuk magicznych, który chętnie dzieli się swą wiedzą; była tajemniczą przyjaciółką

potrafiącą udzielić jej wskazówek, jak posługiwać się intrygującą, niezgłębioną mocą. Mistaya znalazła się tutaj, aby odkryć prawdę o swoim dziedzictwie, jak ją na samym początku poinformowała wiedźma. Była tutaj, aby znaleźć sposób na to, jak pomóc swemu ojcu w walce z Rydal-lem. Odkryte umiejętności miały przynieść pożytek. Jednak po drodze wszystko to się gdzieś wykruszyło. Nie było już prawie mowy o Rydallu ani o jej dziedzictwie. Prawie nie było mowy o świecie na zewnątrz kotliny. Liczyło się jedynie to, czy Mistaya szybko i posłusznie stosuje się do jej poleceń. Cierpliwość, niegdyś tak bardzo widoczna, gdzieś się zatraciła. Urozmaicenie i pasja badawcza zupełnie zniknęły. Teraz całymi dniami korzystano z magii wyłącznie w jednym celu: tworzenia potworów. A jeśli nie tworzyły potworów, to rozmawiały o nich. Na tym wszystkim drastycznie ucierpiały łączące je związki. Mistaya miała wrażenie, że zamiast stawać się sobie bliższymi, oddalają się coraz bardziej od siebie.

Pochwały i zachęty zostały zastąpione krytyką i oburzeniem. Zaczęły padać oskarżenia. Mistai nie chciało się wysilać. Nie potrafiła się skupić. Nie miała ochoty myśleć. Wydawało się, że doszła do punktu, w którym już nic nie potrafi zrobić poprawnie.

Kiedy dziewczynka stworzyła robota, kolejną postać zapamiętaną ze starej książki ojca, Nocny Cień oznajmiła, że jest cudowny. Jednak po dwóch dniach orzekła, że to zupełne fiasko. Nie wypadł najlepiej; potrzebowała czegoś lepszego. Mistaya próbowała wymyślić nowego potwora, lecz - przy ogromnej presji wiedźmy i malejącym z jej strony zainteresowaniu do całego pomysłu - nie była w stanie niczego stworzyć. Rozdrażniona wiedźma obmyśliła własne stworzenie, nazwane przez nią rubakiem, które wspólnie zamieniły z niewinnego pędraka w groźnego drapieżnika. Tym razem Mistaya otwarcie się sprzeciwiła, mówiąc, że zmęczyły ją już potwory, że jest znużona takim stosowaniem magii i chciałaby spróbować czegoś innego. Nocny Cień oddaliła jej skargę chłoszczącym spojrzeniem, przypominając jej, że obiecała robić to, co jej się każe, w zamian za przywilej uczenia się. Mi-stayę korciło, żeby powiedzieć, iż owa wymiana stała się nadmiernie jednostronna, ale nie odezwała się słowem.

Prawdę powiedziawszy, nie rozumiała, co się dzieje. Pomimo różnic wciąż traktowała Nocny Cień jak przyjaciółkę. Istniała między nimi bliskość, która była silniejsza od obecnego niezadowolenia, i powoli odkrywała, że bierze się ona ze wspólnych dla nich obu mocy i coraz bardziej przypomina pewną formę intensywnego współzawodnictwa, jak gdyby obie wiedziały, że bardziej niż przyjaciółkami los każe im zostać rywalkami. Każdego dnia było coraz więcej szarpania i sprzeczek między nimi, a powstały wyłom nieubłaganie stawał się szerszy. Mistaya nie chciała, żeby tak się działo, ale zauważyła, że nie ma siły temu zapobiec.

Nocny Cień nie chciała jej słuchać; ani myślała o kompromisie czy pojednaniu. Chciała, aby Mistaya robiła to, co jej nakazywała, aby nie zadawała pytań i aby poskromiła wszelkie sprzeciwy. Coraz częściej Mistaya zauważała, że nie może tego zrobić.

Tego ranka była zatem sama i wciągnięte do płuc powietrze wydawało jej się nowe i świeże. Ostrożność nie pozwalała jej zbyt szybko cieszyć się nieoczekiwaną wolnością i kazała najpierw rzucić proste zaklęcie, aby sprawdzić, czy Nocny Cień nie próbuje czasem jej oszukać. Nie było jednak ani śladu wiedźmy, wezwała więc Gwizdka. Salamandra natychmiast przybyła, wyłaniając się z mroku, i dziewczynka ujrzała rozmarzone oczy, nieco nastawione uszy i merdający ogonek.

- Stary, dobry Gwizdek - przywitała zwierzątko uśmiechem. - Witaj, mała.

Gwizdek usiadła na tylnych łapkach i zaczęła uderzać ogonkiem o ziemię.

- Może byśmy coś zrobiły? - zapytała czworonożną przyjaciółkę. - Tylko my dwie.

Rozejrzała się po polanie, jakby odpowiedź miała się sama pojawić. Znajome opary mgły oplatały wszystko dokoła. Drzewa i zarośla tonęły w półmroku, niebo było niewidoczne, a świat spowijał kokon ciszy. Zmęczyło ją zamknięcie w tak małej przestrzeni. Pragnęła widzieć coś więcej niż ścianę mgły. Pamiętała, jak wyglądał świat na zewnątrz, i chciała na niego popatrzeć - na słońce, zieleń traw, błękit nieba, jeziora, lasy, góry i żywe stworzenia. Ostatnio sporo myślała o rodzicach, pierwszy raz od dłuższego czasu. Zastanawiała się, dlaczego nie przyszli zobaczyć się z nią lub nie napisali albo nie zapytali w jakiś inny sposób o to, jak się czuje. A co z jej przyjaciółmi ze Sterling Silver? Dlaczego nie miała żadnych wieści od Questora Thewsa? Byli najlepszymi przyjaciółmi. Co się z nimi stało?

Nie zapytała o to Nocnego Cienia. Wiedziała, co wiedźma odpowie. Byli ostrożni, ponieważ Rydall jej szukał. Chcieli mieć pewność, że jest bezpieczna. Odpowiedź ta nie zadowalała jej jednak tak, jak powinna. Wydawała jej się niewystarczająca. Powinien być jakiś sposób, aby jej rodzice i przyjaciele mogli się z nią kontaktować, nawet tutaj. Tak czy inaczej, Mistaya zaczęła tęsknić za domem.

- No więc? - zapytała z niecierpliwością. - Wystarczy tego stania. Chodźmy na spacer.

Ruszyła pewnie, nie zastanawiając się dłużej. Wiedziała, że dużo ryzykuje. Zamierzała pójść tam, gdzie mogła widzieć dalej niż na kilkanaście metrów, gdzie było światło i ciepło, gdzie były żywe istoty. Zamierzała opuścić Wielką Czeluść, a to oznaczało złamanie zasad ustalonych przez Nocny Cień.

Dziwne, lecz nie martwiła się tym zbyt wiele.

Wyczarowała lodygę Bonnie Blue do zucia, bo nagle zatęskniła za czymś, czego już dawno nie widziała. Droga była łatwa. Kiedyś nie byłaby w stanie znaleźć wyjścia z Wielkiej Czeluści. Teraz wykorzystwała w tym celu magię, prawie w ogóle się nad tym nie zastanawiając, i nie upłynęło wiele czasu, a już była u podnóża stoku prowadzącego na krawędź. Znalazła ścieżkę i zaczęła się wspinać w stronę światła. Gwizdek posuwała się za nią równym krokiem.

W chwilę później wynurzyła się z gęstej mgły i oblały ją promienie słońca oraz otoczyły wonie lata. Uśmiechnęła się, czując słońce na twarzy i ramionach. Zmrużyła oczy i spojrzała najpierw w lewo, na zalesione wzgórza z ich ciemnozielonymi plamami, a następnie w prawo, na dolinę usianą niebieskimi i żółtymi kwiatami polnymi. Daleko na horyzoncie wznosiły się przyćmione szarością purpurowe góry, których szczyty pruły chmurom podbrzusza. Pośród pobliskich drzew fruwały ptaki, a spłoszony leśny królik rzucił się do ucieczki przez wysokie trawy doliny.

- Cóż zatem, w którą stronę pójdziemy? - zapytała Gwizdka ze szczerym, pewnym siebie uśmiechem.

Ponieważ salamandrze najwyraźniej było wszystko jedno, Mistaya wybrała sama. Skierowały się na wschód, do lasu, mijając doliny i polany, wyszukując małe strumienie i spokojne stawy, obserwując leśne zwierzęta i wdychając woń orzechów i jagód. Mistaya włączyła się, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Wiedziała że magia pozwoli jej znaleźć drogę powrotną, kiedy przyjdzie na to czas. Przelotnie pomyślała o Rydallu, po czym zapomniała o nim zupełnie. Jej osłony bezpieczeństwa, magiczne linie, które pozwalały jej zachować czujność i uprzedzały o zbliżaniu się innych ludzi, były podniesione. Nie sądziła zresztą, aby Rydall ją tutaj znalazł. Wątpiła, aby ktokolwiek mógł to zrobić.

Była zaskoczona, kiedy w trakcie puszczenia kaczek w małym stawie wyczuła w pobliżu czyjąś obecność. Natychmiast stanęła zupełnie nieruchomo, wysyłając w teren swoje magiczne czułki. Wiele się nauczyła od Nocnego Cienia. Bez trudu odnalazła tamtą istotę. Była zupełnie sama. Mistaya nie wyczuła żadnego zagrożenia. Zastanawiała się, co zrobić, j zdecydowała, że byłoby zabawnie z kimś porozmawiać. W końcu od tygodni nie rozmawiała z nikim oprócz wiedźmy. Przyjrzy mu się, a jeśli uzna to za bezpieczne, pokaże się.

Z Gwizdkiem tuż za sobą prześliznęła się między drzewami. Stąpała bezgłośnie, osłonięta własną magią. Znalazła wreszcie intruza siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na polanie obok małego ogniska, gdy przeżuwał resztki jakiegoś małego zwierzęcia, które wcześniej upiekł. Był to dziwny jegomość, o krótkich kończynach, okrągłej głowie, cały pokryty sierścią. Miał wąsy, które sterczały z twarzy jak włosy szczotki, oraz postrzępione na

końcach spiczaste uszy. Ubranie było niestarannie pozszywane, niedopasowane i wytarte od ciągłego noszenia. W jednym uchu miał złoty kolczyk, z którego zwisało ptasie pióro w oplakany stan. Cały pokryty był ziemią i brudem, od gołych stóp po czubek głowy.

Szperała w pamięci, zastanawiając się, kim mogłaby być ta istota, i w końcu doszła do wniosku, że jest to jeden z gno-mów-dodomów.

Zdecydowała, że jest wystarczająco bezpiecznie, aby porozmawiać, i odważnie wkroczyła na polanę.

- Dzień dobry - powitała go.

Jegomość przy ognisku zerwał się i upuścił na ziemię kość, którą ogryzał.

- Rany, nie rób tego! - wykrzyknął z wściekłością. - Najpierw uprzedź człowieka, co? A w ogóle to skąd ty tutaj? - Sięgnął w pośpiechu po kość, otrzepując ją palcami.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam pana przestraszyć.

- Przestraszyć! Mnie? Nie przestraszyłaś! Ależ skąd! - Natychmiast zaczął się bronić. - Zaskoczyłaś, to wszystko. Myślałem, że tutaj sam. Miałem prawo tak myśleć. Do tego lasu nikt nie przychodzi. A w ogóle to mów, kim jesteś.

Zawahala się.

- Misty - powiedziała, bo choć nie przepadała za tym imieniem, to wyżej stawiała ostrożność od dumy. - A pan jak ma na imię?

- Poggwydd. To twój zwierzak, to maleństwo za tobą? - Jego oczy nagle ożyły. - Co to jest?

Zbliżyła się do niego i spojrzała na dół. Gwizdek szła za nią.

- Co ty jesz? - odpowiedziała pytaniem.

- Ja? Eee, królika, tak, królika. Sam go złapałem.

- Ma dość długi ogon jak na królika, nie uważa pan? - Wskazała na resztki z posiłku, piętrzące się obok niego na ubłoconej stercie.

Poggwydd zmarszczył czoło z rozdrażnieniem.

- Może. Nie pamiętam. Może to nie jest królik. Może to co innego. Co za różnica?

- Wygląda jak kot.

- Być może. I co z tego?

Mistaya wzruszyła ramionami i siadła naprzeciw niego.

- Nie chciałam tylko, aby robił pan sobie jakieś plany względem Gwizdka. - Wskazała na salamandrę, która obwąchiwała teren. - Jest pan gnomem-dodomem, prawda?

- I jestem dumny z tego - oznajmił z zuchwalstwem nietypowym dla istot na całym Landover najbardziej pogardzanych.

- Cóż, wszyscy wiedzą, że gnomy-dodomy jedzą psy i koty.

Poggwydd z oburzeniem cisnął kość na ziemię.

- To kłamstwo! Ohydne kłamstwo! Gnomy-dodomy jedzą dzikie zwierzęta, a nie domowe! Od czasu do czasu jakieś zabłąkane stworzenie wpadnie im w ręce, ale to już jego wina! Posłuchaj, dziewczynko, musimy się umówić co do jednego, jeśli mamy dalej prowadzić naszą rozmowę. Nie pozwolę, aby mi urągano i aby mnie oczerniano. Nie będę tutaj siedział i się bronił. Byłem tutaj pierwszy, więc jeśli musisz kwestionować uczciwość i charakter gnomów-dodomów, to odejdz zaraz!

Mistaya uniosła brew.

- Pan jest okropnie drażliwy.

- Też byłabyś drażliwa, gdybyś przez całe życie musiała znosić obelgi innych. Od początku dziejów oskarża się gno-my-dodomy o zbrodnie, których nie popełniły. Szydzono z nich i wyśmiewano je, nie zastanawiając się ani przez chwilę, jaką szkodę im się wyrządza. Niewinne dziewczynki jak ty powinny mieć własny rozum, a nie naśladować ciemnych, pełnych uprzedzeń starszych. Nie wszystko, co się mówi, jest prawdą, rozumiesz?

- Rozumiem - przyznała Mistaya. - Przepraszam, że byłam taka podejrzliwa. Tyle się o was opowiada historii.

Poggwydd wykrzywił z niesmakiem twarz najeżoną wąsami.

- Ha! Historie, rzeczywiście! - Ponownie spojrzął na Gwizdka. - A więc któż to jest?

- Salamandra.

- Nigdy o nich nie słyszałem. - Poggwydd wyciągnął oblepioną brudem rękę. - Chodź do mnie, Gwizdek. No chodź, mała. Pozwól się pogłaskać Poggwyddowi.

- Salamander się nie głaszcze - powiedziała szybko Mistaya. - Ich się nie dotyka.

Poggwydd spojrzął na nią podejrzliwie.

- Dlaczego?

- Po prostu nie. To niebezpieczne.

- Niebezpieczne? - Poggwydd spojrzął ponownie na salamandrę. - Nie wygląda groźnie. Raczej śmiesznie.

- To nic. Nie wolno jej dotykać.

- Jak chcesz. - Gnom-dodom wzdrygnął ramionami. Spojrzął na kości leżące na jego kolanach. - Chcesz coś zjeść?

Mistaya pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Co pan tutaj robi?

Poggwydd odgryzł płat mięsa z kości. Miał ostre zęby.

- Podróżuję. - Wzruszył ramionami. - Odpoczywam w tej chwili we własnym towarzystwie, uciekam przed zgiełkiem i hałasem domu, chcę uniknąć tego i owego.

- Ma pan jakieś kłopoty?

- Nie! Żadnych kłopotów! - Spojrzał na nią poirytowany. - Wyglądam na kogoś, kto ma kłopoty? Co? A ty? Mała dziewczynka włócząca się po jakimś zapomnianym lesie? Masz kłopoty?

Zastanawiała się przez chwilę. Chyba miała kłopoty, ale nie zamierzała mu o tym mówić.

- Nie - skłamała.

- Ach nie? To w takim razie co robisz tutaj sama? Wybrałaś się może na dłuższy spacer? Zgubiłaś się?

Zacisnęła usta, gotowa do obrony.

- Nie zgubiłam się. Jestem w odwiedzinach.

- Aha! - Poggwydd zrobił minę. - Ciekawe, kogo odwiedzasz? Może wiedźmę? Tak, właśnie ją? - Wyraz jej twarzy kazał mu zakończyć tę grę. - No już dobrze. Tylko żartowałem. Nie musisz się bać - uspokoił ją pośpiesznie, błędnie odczytując wyraz jej twarzy. - Ale musisz wiedzieć, że ona tu jest, jakąś milę stąd, w Wielkiej Czeluści. Nie schodź tam na dół. Pamiętaj o tym. - Odchrząknął i wyrzucił ostatnią z kości. - A więc kogo tutaj odwiedzasz?

Uśmiechnęła się skromnie.

- Pana.

- Mnie? Ho, ho! A to dopiero! - Wybuchnął śmiechem. - Nie miałaś widocznie zbyt wielkiego wyboru. Odwiedzać mnie! Jak gdyby mała dziewczynka mogła to robić!

- Cóż, ja to robię.

- Co robisz?

- Odwiedzam pana. Siedzę tutaj i rozmawiam z panem. Czy to nie odwiedziny?

Popatrzył na nią surowym okiem.

- Jesteś zbyt cwana, mała. Na imię ci Misty, czy tak? Powiedz mi zaraz, jeśli naprawdę jesteśmy przyjaciółmi, kim jesteś?

Starła się, jak mogła, aby wyglądać na zakłopotaną.

- Już panu mówiłam.

- Owszem. Misty na spacerze w samym środku zapomnianego lasu. W odwiedzinach u przyjaciela, którego nie знаła aż do teraz. - Poggwydd pokręcił głową. - Wyglądasz na kogoś, kto przynosi kłopoty, więc nie wiem, czy chcę jeszcze z tobą rozmawiać. Nie

potrzebuję więcej kłopotów w życiu. Gnomy-dodomy mają ich pod dostatkiem. Żegnaj.

Podniósł się i otrzepał, rozsiewając dokoła kurz i kawałki jedzenia. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Mówił poważnie. Wszystko więc poplątała.

- Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, kim jestem - oznajmiła ze złością. - Dlaczego nie możemy po prostu porozmawiać?

Wzruszył ramionami.

- Ponieważ nie lubię dziewczynek, które prowadzą gierki, a ty to właśnie robisz, prawda? Wiesz, kim ja jestem, ale ja nie wiem, kim jesteś ty. To mi się nie podoba. To nieuczciwe.

- Nieuczciwe? - zawołała.

- Ani trochę.

Patrzyła, jak zaczyna zbierać swój niewielki dobytek.

- Ale ja tak naprawdę też nie wiem, kim pan jest - zauważyła szybko. - Niewiele więcej wiem o panu niż pan o mnie. Znam tylko pańskie imię. A pan zna moje, więc jesteśmy kwita.

Przerwał swoje zajęcie i popatrzył na nią.

- No tak, chyba masz rację. Tak. To prawda. - Odłożył z łoskotem na ziemię paczkę ze swoimi przyborami i znowu usiadł. Mistaya siadła razem z nim. - Proponuję układ - powiedział, podnosząc do góry brudny palec. - Powiesz mi coś o sobie, a ja powiem ci coś o mnie. Co ty na to?

Wyciągnęła swój palec i dotknęła jego, pieczętując umowę.

- Ale pan pierwszy.

Poggywydd zmarszczył czoło, wzruszył ramionami i odchylił się do tyłu.

- Hmm. No dobrze.- Wyglądało, że się odrobinę nad czymś zastanawiał. - Świetnie. Powiem ci, co tutaj robię. Jestem łowcą skarbów naszego pana, samego króla Landover. - Jego oczy nabrały konspiracyjnego wyrazu. - Wykonuję specjalne zadanie, szukam bardzo cennej skrzyni złota, ukrytej gdzieś w tym lesie.

Podniosła brwi do góry.

- To nieprawda.

- A właśnie że prawda! - Natychmiast się oburzył. - Skąd możesz wiedzieć!

- Bo wiem. - Uśmiechała się mimowolnie. Poggywydd rozśmieszał ją prawie tak samo jak Abernathy. Dobrze, ty i tak nic nie wiesz! - Machnął na nią Teką. - Jestem łowcą skarbów dla króla od wielu lat! Znalazłem mnóstwo wartościowych rzeczy w czasie moich wędrówek, tyle ci mogę powiedzieć! Wiem więcej o szukaniu skarbów niż ktokolwiek inny i król to

docenia. Dlatego mnie zatrudnia.

- Założę się, że nawet pana nie zna - upierała się przy swoim. Od dawna nie bawiła się tak dobrze. - Założę się, że nigdy w życiu pana nie widział.

Poggwydd wychodził z siebie.

- Owszem, widział! Tak się składa, że znam go dość dobrze! Znam nawet jego rodzinę. Znam królową! A nawet małą dziewczynkę, która zaginęła! He, mogę nawet ją odnaleźć podczas szukania skrzyni złota!

Wytrzeszczyła na niego oczy. Zaginęła? Ściągnęła z całych sił usta.

- Pan jej nie zna. Pan to wszystko wymyśla.

- Wcale nie wymyślam! Powiem ci coś, skoro tak ci zależy, żeby być niegrzeczną. Córka naszego pana jest o niebo miłszą dziewczynką od ciebie!

- Nie jest!

- Ha! Klituś bajduś. Skąd ty możesz o tym wiedzieć?

- Bo nią jestem!

Gdy się zorientowała, było już za późno. Powiedziała to pod wpływem oburzenia i urażonej dumy, ale przecież i tak by to nastąpiło, ponieważ to była tylko gra i gnom nie wiedziałby, czy jej wierzyć, czy nie. Poza tym chciała zobaczyć jego minę, kiedy będzie to mówiła.

Widok wart był tego. Otworzył szeroko usta, szczerze zdumiony, bełkocząc coś niezrozumiałego, po czym zakończył to potwornym prychnięciem.

- Phi! Co za nonsens! Co za stek bzdur! I kto tu opowiada bajki?

- I wcale nie zaginam! - dodała z pewnością w głosie. - Jestem tutaj razem z panem!

- Nie jesteś córką naszego pana! - wykrzyknął gwałtownie. - Nie możesz nią być!

Skąd pan wie? - przedrzeźniła go. W następnej chwili zakryła twarz rękoma i udawała szok. - Och, przepraszam. Zapomniałam, że jest pan osobistym łowcą skarbów w służbie króla i że zna pan całą jego rodzinę!

Poggwydd popatrzył spode łba. Pochylił się do przodu, kołysząc swoje okrągłe ciało na krótkich, krzywych nogach, jak gdyby się obawiał, że się zaraz przewróci.

- Posłuchaj - powiedział spokojnie. - Dość tych wygłupów. Co innego udawać kogoś, kiedy jest to nieszkodliwe, a co innego naigrawać się z cudzego nieszczęścia. Wiem, że jesteś tylko małą dziewczynką, ale jesteś na tyle rozsądna i duża, aby zauważyć różnicę.

- O czym pan mówi? - rzuciła wściekła, że ktoś poucza ją w ten sposób.

- O córce naszego pana! - odgryzł się. - O tym właśnie mówię! Nie mów mi, że nie wiesz. - Przerwał na chwilę. A może i nie wiesz: mała dziewczynka, zupełnie sama w lesie,

natykająca się na jegomościa jak ja. Kim ty w ogóle jesteś? W końcu nie powiedziałaś tego. Jesteś jedną z czarodziejek, która przyszła w odwiedzinach z mgieł? A może nimfą z krainy jezior albo kimś takim? Nie widuje się was często. Przynajmniej nie my, gnomy-dodomy. - Przerwał, zbierając myśli. - Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to ci powiem, co się stało. Córka naszego króla zaginęła i wszyscy jej poszukują. Nie ma jej od wielu dni, a może nawet tygodni. Zupełnie zniknęła i po całym królestwie Landover rozesłano ludzi, którzy jej szukają. - Nachylił się, ścisząc głos, jak gdyby ktoś mógł ich podsłuchać. - Mówią, że król Rydall ją ma. Pochodzi z jakiegoś Marnhull. Ma ją. I nie chce oddać. Każę walczyć królewskiemu szermierzowi z potworami. Nie wiem tego na pewno, ale tak słyszałem. W każdym razie zaginęła i nie powinnaś się z niej naśmiewać.

Mistaya oniemiała.

- Ale ja jestem tutaj! - upierała się przy swoim, opierając ręce na biodrach. - To naprawdę ja!

Między drzewami coś się poruszyło. Zauważyła to kątem oka i szybko się obróciła, gotowa do ucieczki, czując żołądek pod gardłem i słysząc, jak wali jej serce. W miejscu poruszenia pojawił się kolor, nagły przyptyk złowrogiego zielonego światła, które wypełniło zacienioną przestrzeń między pniami i konarami. Kolor zaczął tężeć i nabierać kształtu, zlewając się w ludzką formę, szczupłą, ciemną i znajomą.

Wróciła wiedźma.

Nocny Cień wyłoniła się z półmroku cicho jak duch. Czerwone jak krew oczy zastygły na Mistai.

- Miałaś nie opuszczać Wielkiej Czułości - powiedziała łagodnie.

Mistaya zamarła. Przez chwilę jej myśli były tak rozproszone, że nie mogła się skupić i wymyślić odpowiedzi. Po chwili udało jej się skinąć głową.

- Przepraszam - wyszeptwała. - Chciałam znowu zobaczyć słońce.

- Chodź i stań koło mnie - rozkazała wiedźma.

- To miało być tylko na jeden dzień - próbowała wyjaśnić Mistaya, przerażona tym, co może się z nią stać, wystraszona wyrazem twarzy tamtej. - Zostałam sama i nie sądziłam...

- Chodź tutaj, Mistayo! - warknęła wiedźma, przerywając jej w pół słowa.

Mistaya ze spuszczoną głową, wolno przemierzała polanę. Zerknęła ukradkiem na Poggydda. Stał przed ogniskiem z szeroko rozwartymi oczami. Mistai zrobiło się go żal. To była jej wina.

- Czekam, Mistayo - ostrzegła ją wiedźma. Dziewczynka powróciła wzrokiem do niej. Nagłe zdała sobie sprawę, że nie ma Gwizdka. Salamandra była przy niej, gdy rozmawiała z

Poggwyddem. Dokąd poszła?

Zbliżyła się do Nocnego Cienia i zatrzymała, bojąc się myśleć, co się za chwilę stanie. Czarownica zmusiła się do uśmiechu, lecz nie było w nim ciepła.

- Bardzo się na tobie zawiodłam - powiedziała półgłosem. Mistaya skinęła głową zawstydzona, nie wiedząc właściwie dlaczego.

- Nie zrobię tego więcej - obiecała. Przypomniała sobie o Poggwyddzie. - To nie była jego wina - powiedziała szybko, spoglądając przez ramię na nieszczęsnego gнома-dodoma. - To moja wina. On nawet nie chciał ze mną rozmawiać. - Zawahała się. - Nie zrobisz mu krzywdy, prawda?

Nocny Cień położyła dłonie na ramionach dziewczynki. Łagodnie, choć zdecydowanie, przesunęła ją na bok.

- Oczywiście że nie. To tylko głupi gnom-dodom. Skłonię go tylko do szybszego ruszenia w drogę.

- Słucham? - Poggwydd odważył się wyrazić swe oburzenie cienkim głosem. - Nic mnie tutaj nie trzyma. Tylko pozbieram moje rzeczy i zaraz...

Ręce Nocnego Cienia uniosły się i na koniuszkach palców zamigotał ostrym światłem zielony ogień. Poggwydd pisnął i skulił się ze strachu. Nocny Cień poczekała, aż ogień stanie się większy, następnie wzięła go w dłonie i pieściła czule, patrząc na gнома. Mistaya próbowała się odezwać, ale nie mogła. Obróciła się do Nocnego Cienia, błagając ją wzrokiem. Nabrała nagle pewności, że jednak wiedźma zamierza skrzywdzić Poggwydda.

Wtedy zobaczyła Gwizdka. Salamandra przycupnęła na skraju drzew, tuż poza zasięgiem wzroku Nocnego Cienia. Jej płaty grzbietowe nastroszyły się, a głowa pochyliła do przodu, jakby się koncentrowała. Z jej pleców zaczęło się wydobywać coś białego, podobnego do szronu.

Co ona robi?

Naraz Nocny Cień posłała zielony ogień w Poggwydda. Jednak księżycowy szron Gwizdka dotarł do niego szybciej. Mistaya krzyknęła, słysząc odgłos uderzenia. Ogień i szron eksplodowały wspólnie i Poggwydd zniknął. Został tylko porzucony worek oraz swąd popiołu i dymu.

- Co to było? - krzyknęła natychmiast wiedźma, przeszukując wzrokiem całą szerokość polany. Obróciła się do Mistai. - Widziałas to?

Mistaya zmrużyła oczy. Z trudem mogła oddychać. Księżycowy szron. Oczywiście, że widziała, ale nigdy by się do tego wiedźmie nie przyznała. Nie po tym, co się stało z Poggwyddem. Dobrze, że przynajmniej Gwizdek uciekła. Nie było po niej śladu.

Zaatakowała wiedźmę drżącym głosem.

- Co zrobiłaś z Poggwyddem? Prosiłam cię, żebyś mu nic nie robiła!

Nocny Cień była zaskoczona wybuchem dziewczynki.

- Uspokój się - uciszyła ją. Jej oczy wciąż skakały niespokojnie po polanie. - Nic mu się nie stało. Odesłałam go do domu, tam skąd pochodzi, z dala od miejsca, które nie należy do niego.

Mistaya nie dawała się przejednać.

- Nie wierzę ci! Nie wierzę już w żadne twoje słowo! Chcę natychmiast wracać do domu!

Nocny Cień spojrzała na nią chłodnym, pozbawionym emocji wzrokiem.

- Jak chcesz, Mistayo - powiedziała łagodnie. - Lecz najpierw posłuchaj, co chcę ci powiedzieć. Możesz to zrobić dla mnie, prawda?

Mistaya kiwnęła głową, zaciskając usta.

- Twojemu przyjacielowi nic się nie stało - powtórzyła wiedźma. - Nie mogłam jednak pozwolić, aby tutaj został. To, co ci powiedział, to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o niego. Wszyscy myślą, że Rydall cię porwał. Twój ojciec tak to zorganizował, aby wszyscy tak myśleli. Puścił tę plotkę, kiedy Rydall próbował cię ująć po raz pierwszy. Zorganizował nawet poszukiwania za tobą, aby wydawało się to bardziej realne. Zrobił tak, aby wprowadzić w błąd Rydalla i wszystkich innych, którzy próbowaliby znaleźć cię dla niego. W ten sposób wydawało się, że nikt nie wie, gdzie jesteś. - Uśmiechnęła się ze współczuciem do Mistai. - Lecz teraz ten mały gnom poznał prawdę. Przypuśćmy, że powiedziałby komuś to, co mówiłaś. Przypuśćmy, że powiedziałby im, gdzie cię widział. Co by się stało, gdyby wieść o tym dotarła do szpiegów Rydalla? Niebezpieczeństwo było zbyt duże. Wysłałam go więc do miejsca, z którego pochodzi, i za pomocą magii wymazałam z jego pamięci wspomnienie tego zdarzenia. Zrobiłam to dla waszego wspólnego dobra.

- Nic nie będzie pamiętał? - zapytała ostrożnie Mistaya.

- Nic. Zrobiłam zatem coś złego? - Nocny Cień nachyliła się nad nią. - A co do powrotu do domu, możesz to zrobić od razu, jeśli chcesz. - Przerwała. - Albo możesz zostać ze mną jeszcze przez trzy dni i wtedy odejdziesz. Jeśli zdecydujesz się zostać, to coś ci obiecuję. Nie będę już cię więcej prosiła, żebyś tworzyła potwory. Wiem, że zrobiłyśmy ich już dość.

Spróbujemy zatem czegoś innego. Co o tym sądzisz?

Mistaya patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami, zaskoczona tą nieoczekiwaną odmianą. Oczy wiedźmy ponownie przybrały srebrną barwę. Stały się łagodne i zniewalające. Mistai przypomniało się, jak spotkały się po raz pierwszy, jak bardzo wiedźma była skora do uczenia jej, jak jej samej zależało na zdobywaniu wiedzy. Przypomniała sobie, *co* czuła, kiedy pierwszy raz posłużyła się magią. Czuła, jak złość i nieufność zaczynają powoli ustępować. Wydawało jej się, że chce kontynuować lekcje. Chciała zostać. Nie musiała wracać do domu zaraz, w tej chwili, skoro Poggwyddowi nic się nie stało i nie trzeba już konstruować potworów.

- Czy moi rodzice czują się dobrze? - zapytała nagle. Nocny Cień wyglądała na zaskoczoną.

- Oczywiście że tak. A jak myślisz, gdzie byłam dziś rano? Zmieniłam kształt i udałam się do Sterling Silver, aby się upewnić. Wszystko jest w porządku. Twój ojciec i mama czują się dobrze. Questor Thews chroni ich przed Rydallem, więc mamy czas, żeby zakończyć twoje szkolenie w posługiwaniu się magią. Wtedy również ty będziesz mogła pomagać ich chronić.

Mistaya wpatrywała się w nią bez słowa. Zdawało się, że Nocny Cień mówi prawdę. Poggwydd nie mówił nic o tym, że jej rodzice znajdują się w jakimś niebezpieczeństwie bądź że stało im się coś złego. Oczywiście trudno było orzec, czy cokolwiek z tego, co powiedział gnom, jest prawdą.

Nagle poczuła się zakłopotana. Westchnęła i odwróciła wzrok od wiedźmy. Na polanie panował spokój i cisza. Były zupełnie same. Słońce rozświetlające niebo sączyło się w dół przez gałęzie drzew. Zaczęła niemalże wierzyć, że Poggwydd-da w ogóle tutaj nie było.

- Właściwie - odezwała się w końcu - mogłabym chyba zostać jeszcze trzy dni.

Bardzo mądrze byś postąpiła - ośmieliła ją wiedźma. Mistaya nie zauważyła napięcia towarzyszącego jej słowom ani ulgi, z jaką sztywne dotąd plecy nieznacznie się wyprostowały. - Nie wolno ci będzie jednak opuszczać Wielkiej Czułości.

Mistaya kiwnęła głową.

- Obiecuję się nie oddalać. - Spojrzała ponownie na wiedźmę badawczym wzrokiem. - Czego będziemy się teraz uczyć?

Nocny Cień ściągnęła usta.

- Medycyny - odpowiedziała. - Leczenia za pomocą magii. - Objęła Mistayę ramieniem i zaczęły iść w kierunku kotliny. - Mistayo - odezwała się miękkim głosem - czy chciałabyś się nauczyć, jak za pośrednictwem magii przywrócić kogoś martwego do życia?

Uśmiechnęła się do dziewczynki i z błogością przymknęła oczy.

POSZUKIWANIA W CIEMNO

Po trzech dniach bezowocnych poszukiwań w Graum Wythe Questor Thews nabrał przekonania, że musieli przeoczyć coś oczywistego.

- Mamy klapki na oczach! - oznajmił krótko. Usiadł na skrzyni do przewożenia towarów, z głową opartą na dłoniach i niezadowolaniem na twarzy. - To jest tutaj, tylko my tego zwyczajnie nie widzimy!

Elizabeth i Abernathy patrzyli na niego w milczeniu. Znajdowali się w jednym z wielu pomieszczeń magazynowych Graum Wythe, głęboko w samym środku zamku, w pokoju bez okien, do którego nigdy nie dochodziły promienie słoneczne, a powietrze czuć było stęchlizną. Już raz go wcześniej przeszukali i w tej chwili byli w trakcie ponownego sprawdzania jego zawartości. Jak dotąd przeszukali wszystko co najmniej raz i ogarniało ich coraz większe zniechęcenie.

- To nie powinno zajmować tyle czasu - oznajmił czarodziej z uporem w głosie. - Jeśli wysłano nas do tego miejsca po to, żebyśmy to znaleźli, to do tej pory powinniśmy się już o to dawno potknąć.

- Byłoby łatwiej, gdybyśmy wiedzieli, czego szukamy - zauważył ponuro Abernathy, osuwając się z ciężkim westchnieniem na drugą skrzynię. Niedobrze mu się już robiło od grzebania w starych pudłach i zagładania w zakurzone zakamarki. Chciał być na zewnątrz, gdzie świeci słońce i powietrze jest świeże. Chciał cieszyć się tym, kim jest teraz, po odzyskaniu swego dawnego wyglądu. O tych wszystkich psich latach zapomniał tak szybko, jak o zeszłorocznym śniegu, jak gdyby tamto się nigdy nie zdarzyło, jakby to był sen, z którego go w końcu obudzono.

Elizabeth zacisnęła usta, przez co na jej okrągłym nosku pojawiły się fałdy.

- Jesteś pewien, że wysłano was tutaj w celu, o którym mówiłeś? - zapytała ostrożnie Questora. - Może to po prostu przypadek? - Usiadła obok Abernathy'ego. - Albo może wysłano was tutaj z jakiegoś innego powodu?

- Jest to możliwe - przyznał wielkodusznie czarodziej - choć mało prawdopodobne. Rzadko kiedy następstwa użycia magii są dziełem przypadku. Prawie zawsze stoi za nimi jakaś przyczyna. Nocny Cień nie popełniłaby błędu i nie pozwoliłaby nam ujść z życiem, jeśli chciała, abyśmy zginęli. Takiego wniosku nie da się uniknąć. Inna magia interweniowała i nas uratowała. Zostaliśmy wysłani tutaj w konkretnym celu, a nie potrafię wymyślić innego, niż uratowanie Mistai.

- A może mylisz się co do tego, że magia jest w Graum Wythe? - upierała się Elizabeth. - Może jest gdzie indziej?

Questor Thews wykrzywił twarz.

- Nie. Musi być tutaj. To musi być magia, którą sprowadzono z Landover. Nic innego nie ma sensu!

Patrzyli się na siebie przez chwilę, nie mówiąc ani słowa, po czym rozejrzeli się po pokoju.

- Czy może istnieć drugi medalion? - zapytał nagle Abernathy. - Taki jak ma nasz król?

Questor uniósł krzaczastą brew w zamyśleniu. Tej możliwości nie brał pod uwagę. Ale nie; Michel Ard Rhi szybko by znalazł taki talizman, a poza tym nie posuwałby się do tak drastycznych środków, żeby zmusić Abernathy'ego do oddania medalionu króla, kiedy pisarz był więźniem w Graum Wythe kilka lat temu.

Czarodziej pokręcił głową.

- Nie, to coś innego. Coś, czego Michel nie mógł rozpoznać. A przynajmniej nie potrafił tego zastosować. - Potarł w zamyśleniu brodaty policzek. - Muszę przyznać, że to naprawdę frustrujące.

- Może powinniśmy coś zjeść - zaproponowała Elizabeth, trącając żartobliwie Abernathy'ego łokciem. - Może lepiej się będzie myślało z pełnym żołądkiem.

- Lepiej by się myślało po krótkiej drzemce - powiedział Abernathy, odwzajemniając jej kuksańca.

Questor Thews obserwował ich bez słowa. Nie podobało mu się to, co widział. Królewski skryba był coraz bardziej zadowolony ze swego nowego życia. Był tak zadowolony z tego, że znowu jest człowiekiem, iż zdawało się, że powrót na Land-over traci dla niego znaczenie. Zapominał o swoich obowiązkach. Los króla oraz jego rodziny wciąż spoczywał na ich barkach, a Questor się obawiał, że Abernathy zaczyna tracić to z pola widzenia. Wiedział, że nie powinien go oceniać, ale to, co się działo, było oczywiste. Abernathy na nowo odkrywał siebie i robiąc to, zmieniał własne życie, aby pasowało do nowych okoliczności. Była to niebezpieczna słabość.

Odechrząknął tak głośno, że tamtych dwoje aż podskoczyło.

- Zanim coś zjemy albo utniemy sobie drzemkę, może powinniśmy jeszcze raz omówić tę sprawę. - Uśmiechnął się, aby złagodzić wymowę słów. - To zajmie tylko kilka chwil, jeśli pozwolicie. Przyznaję, że bardzo mi na tym teraz zależy.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Nie martw się, Questorze. Znajdziesz to wcześniej czy później, choćby to było nie wiem czym. - Przeczesła palcami swoje kręcone włosy. - A nawet jeśli nie, to przecież nie jest to takie złe miejsce na więzienie.

Z jej głosu można było wnosić, że trochę na to liczy. Questor nie odważył się powiedzieć, co o tym myśli.

- Musimy wrócić - powiedział z naciskiem. - Musimy znaleźć magię, która nam to umożliwi.

Elizabeth westchnęła.

- Wiem o tym. - Nie brzmiało to jednak przekonująco. - Ta magia musi mieć taką postać, że jeśli ją zobaczysz, to natychmiast rozpoznasz, prawda? Jeśli rzeczywiście się tutaj znajduje.

- Obejrzelismy już wszystko przynajmniej raz - odparował Abernathy, poprawiając okulary na nosie.

- Może nie oglądamy tego we właściwy sposób - myślał na głos mag.

Elizabeth odchyliła nogi od skrzyni i przyglądała się swoim tenisówkom. Znowu zamilkli, pogrążając się w myślach.

- Chwileczkę - odezwał się nagle Abernathy. - Może to, czego szukamy, wcale nie jest rzeczą. Może dlatego tego nie widzimy. To przecież zaklęcie wysłało nas tutaj, moc magiczna zawarta w słowach. Może potrzebujemy zaklęcia, żeby się stąd zabrać z powrotem?

Questor wytrzeszczył oczy i natychmiast się zerwał ze swojej skrzyni.

- Abernathy, jesteś geniuszem! Oczywiście, że o to chodzi! Zaklęcie! Nie szukamy żadnego talizmanu! Szukamy księgi zaklęć!

Abernathy i Elizabeth również się podnieśli, chociaż ci odnosili się do tego pomysłu ze zdecydowanie mniejszym entuzjazmem.

- Ale czy Michel nie rozpoznałby takiej książki? - zapytał z powątpiewaniem skryba. - Czy nie skorzystałby z niej, żeby w końcu wrócić na Landover i odzyskać tron? Albo czy twój brat by jej nie odszukał, gdy Holiday mu się przeciwstawił? Wiem, że to mój pomysł, ale po namyśle uważam, że nie ma on sensu. Jeśli istniałoby zaklęcie pozwalające wrócić na Landover, to dlaczego któryś z nich go nie wykorzystał?

- Być może dlatego, że nie potrafili - zasugerował czarodziej. Spuścił głowę i machając z ożywieniem rękoma, przechodził majestatycznym krokiem najpierw w jeden koniec zawalonego rzeczami pomieszczenia, po czym z powrotem w drugi. - Może dlatego, że zaklęcie nie działało na nich. Nie wiem. Ale myślę, że tak czy inaczej natknąłeś się na coś. Zaklęcie nas tutaj przywiodło. Można logicznie przypuszczać, że zaklęcie zabierze nas z

powrotem. Odwrotność magii, która sprowadziła nas tutaj. Inny układ słów...

Przez głowę przebiegło mu nieprzyjemne podejrzenie, które pojawiło się już wcześniej, w kuchni Elizabeth, kiedy zastanawiali się nad przyczynami ich przeniesienia z Lando-ver. Wówczas je oddalił, nie mając ochoty rozmyślać o nim poważniej; nie potrafił rozstrzygnąć, czy jest ono możliwe. Teraz powróciło i wyglądało zbyt poważnie, aby je zignorować.

Przerwał wędrówkę i popatrzył na Abernathy'ego w nagłym olśnieniu.

- Abernathy, trudno mi proponować, ale co byś powiedział, gdyby...

Nie zdołał dokończyć. W drugim końcu pokoju magazynowego błysnęło światło i wszyscy troje odwrócili się szybko w tamtą stronę. Światło zrobiło się intensywniejsze i zaraz zniknęło, zostawiając obszarpanego i przerażonego gnom-dodoma, który siedział na betonowej podłodze i trząsał się.

Kiedy zobaczył, że wpatrują się w niego, wciągnął ze strachu powietrze i zasłonił się rękoma.

- Nie róbcie mi nic! - błagał, mrugając szybko powiekami i starając się zwinąć w kulkę. - Ja tylko chcę wrócić do domu!

Questor Thews i Abernathy spojrzeli po sobie, zaskoczeni. Gnom-dodom? Tutaj? Co się dzieje?

- No, no, już dobrze. Nikt ci nie chce zrobić nic złego - rzekł uspokajająco Questor, ruszając do przodu, lecz zaraz zatrzymując się znowu, gdy gnom zaczął tracić oddech. - Nic ci nie jest?

Gnom pokręcił niepewnie głową.

- Nie licząc tego, że zostałem usmażony w ogniu wiedzy, to wszystko w porządku.

Ogień wiedzy? Questor i Abernathy ponownie popatrzyli na siebie.

- Jak się nazywasz?- naciskał go czarodziej. Oblepiony brudem mały jegomość leżał zwinięty na ziemi w niewiarygodnej pozycji.- Daj spokój. Nie chcemy cię skrzywdzić. Wszyscy jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Gnom pociągnął niepewnie nosem, wyglądając spoza skrzyżowanych ramion.

- Gnomy-dodomy mają niewiele przyjaciół - zauważył posepnie. Uniósł głowę. Był to najbardziej obrzydliwy gość, jakiego sobie można wyobrazić: cały w łachmanach, ze zmierzwionymi włosami, rozpaczliwie potrzebował kąpieli. - To wy najpierw powiedzcie, kim jesteście.

Mag westchnął.

- Ja jestem Questor Thews. To jest Abernathy. A to Elizabeth. - Wskazywał na

każdego po kolei. - A teraz ty. Jak się nazywasz?

Poggwydd - powiedział gnom-dodom. Brzmiało to bardzo dumnie. Opuścił ręce i trochę się wyprostował. - Questor Thews, ten nadworny czarodziej? Słyszałem, że jesteś więźniem Rydalla. Ty i ten pies. Czy tam się właśnie znajdujemy? W więzieniu Rydalla? Czy to tam mnie wysłała wiedźma?

- Zaczekaj chwilę. - Tym razem Questor Thews podszedł od razu do gнома i postawił go na nogi. - Wiedźma, powiadasz? Chodzi ci o Nocny Cień?

Poggwydd kiwnął głową.

- A o kogóż innego? - Był teraz trochę bardziej pewny siebie. - To ona mi to zrobiła. Wysłała mnie tutaj. Użyła swego czarodziejskiego ognia. Ale nie odpowiedzieliście mi. Jesteśmy w więzieniu Rydalla? Co się tutaj dzieje?

Questor Thews wziął Poggwydda za ramię, poprowadził do wolnej skrzyni i posadził. Gnom ocierał swój wilgotny nos i bez powodzenia starał się przybrać odważny wyraz twarzy. Nie spuszczał wzroku z Questora, jak gdyby w ten sposób mógł uchronić się przed czymś jeszcze gorszym, co za chwilę może się wydarzyć.

- Poggwyddzie - zwrócił się do niego czarodziej z uroczystą powagą. - Chcę, abys opowiedział nam wszystko, co się wydarzyło, wszystko co pamiętasz, a zwłaszcza to o Nocnym Cieniu.

- Jasne, mogę to zrobić - oznajmił gnom. Zaraz jednak zamilkł, patrząc na niego podejrzliwie. - Przysięgnij mi, że nie jesteście jej przyjaciółmi.

- Przysięgam - powiedział Questor.

Poggwydd kiwnął głową, myślał jeszcze przez chwilę, po czym odchrząknął uroczyście.

- Cóż, myślałem, że zamierza mi coś zrobić, to znaczy wiedźma. Było to widać w jej oczach. Była wściekła na mnie z powodu tej małej dziewczynki. Przyłapała mnie, jak z nią rozmawiałem na polanie, jakąś milę od Wielkiej Czeluści. To śmieszne. Ja jej nawet nie znałem. Pojawiła się zupełnie nagle, wychodząc spomiędzy drzew, i chciała ze mną porozmawiać. Więc rozmawialiśmy, a potem przyszła wiedźma i mała dziewczynka poprosiła ją, żeby mi nic nie robiła, bo to nie moja wina, ale wiedźma chyba jej nie wierzyła, więc...

- Zaraz, zaraz. Chwileczkę! - Questor uniósł ręce w błagalnym geście i zmarszczył z wściekłością brwi. - O jakiej małej dziewczynce ty mówisz? Jak wyglądała? Powiedziała ci, jak się nazywa?

Poggwydd patrzył na niego przestraszonymi oczami, zaskoczony wyrazem twarzy tamtego. Spojrzał na pozostałych, lecz nie znajdując u nich pomocy, znowu powrócił

wzrokiem do niego.

- Nie wiem, jak wyglądała. Kto by tam pamiętał? Była... mała. Miała niewiele lat, może z dziesięć. Poza tym piegi i jasne włosy. - Zmarszczył czoło. - Była bardzo bystra. W czasie rozmowy bawiła się mną. Udawała, że jest... Powiedziała, że jest córką naszego... - Przerwał, nie bardzo wiedząc, co ma dalej mówić. - Powiedziała, że ma na imię Misty.

- Mistaya - westchnął ciężko Questor, robiąc krok do tyłu. - A więc to Nocny Cień ją ma. Albo miała. Poggwydd, czy ona uciekła? Powiedz nam, czy tak było?

Gnom-dodom popatrzył na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Uciekła? Nie wiem, nie mam pojęcia. Nie wiem, skąd przyszła. Nawet nie wiem, kim ona naprawdę jest. Wiem tylko tyle, że wiedźma była wściekła, kiedy zobaczyła, że rozmawiam z małą, i dlatego znalazłem się tutaj! - Przerwał, pocierając porośnięty szczecina podbródek. Zaczęły odpadać kawałki luszczonego się brudu. - Chociaż może to nieprawda. No bo tak: ta mała poprosiła wiedźmę, aby mi nic nie robiła, ale tamta chyba wcale nie zwracała na to uwagi i zamierzała usmażyć mnie na podszwę.

- Ale nie zrobiła tego - wtrącił Questor, chcąc przyspieszyć tempo opowieści, gdyż zależało mu bardzo, aby znaleźć w niej potwierdzenie swoich podejrzeń.

Poggwydd pokręcił głową.

- Nie, bo wiecie, tam była ta salamandra. Myślę, że może ona temu zapobiegła. - Spojrzał na nich z zakłopotaną miną. - Czy to możliwe?

W końcu wydobyli z niego całą historię, chociaż zajęło to trochę czasu. Usłyszeli o tym, jak Mistaya pojawiła się w jego obozie i zaczęli rozmawiać. Usłyszeli o Gwizdku i o tym, że chyba towarzyszyła dziewczynce cały czas. Na koniec gnom powiedział o tym, jak nieoczekiwanie pojawiła się wiedźma, jak była zła, że Mistaya jest na zewnątrz Wielkiej Czeluści, i o jej ataku na niego, prawdopodobnie częściowo odpartym dzięki magii salamandry, i wreszcie o jego pojawieniu się w Graum Wythe.

- Tak jak my! - wykrzyknął Abernathy, gdy gnom skończył. Stał teraz obok Questora Thewsa i wyglądał na dość ożywionego. - Cjuestorze, to samo musiało się nam przytrafić! Interweniowała salamandra, zmieniła czary Nocnego Cienia i wysłała nas tutaj! Wygląda to zupełnie tak samo!

- Rzeczywiście - przyznał Questor, ściągając usta i zastanawiając się nad czymś głęboko.

- Co to za miejsce? - zapytał ponownie Poggwydd. - Nie powiedzieliście mi jeszcze.

- Za chwilę - odpowiedział Questor, odwracając się na chwilę i zaraz powracając do nich. - Ale kto przysłał Mistai salamandrę? To musiało się wydarzyć w tę noc, kiedy

spaliśmy, zanim jeszcze przyszła wiedźma. Byliśmy w krainie jezior, mógł to więc być Władca Rzeki. Ale jedyna salamandra żyjąca poza krainą czarodziejskich mgieł, o jakiej kiedykolwiek słyszałem, służy Matce Ziemi.

- Czy to coś zmienia? - przerwał mu ostro Abernathy. - Ważne, że wiedźma ma Mistayę i używa jej, aby dokuczyć naszemu panu, tak jak obiecała. Miałaś rację, Questorze Thewsie. Znaleźliśmy się tutaj w konkretnym celu i musi on mieć coś wspólnego ze sprowadzeniem pomocy dla Bena Holidaya. Musimy się dowiedzieć, co to jest.

- Księga zaklęć - przypomniał Questor, powracając do miejsca, w którym ta rozmowa się zaczęła. - W takim razie, dobrze. - Odwrócił się szybko, podszedł do Poggwydda i położył mocno obie ręce na wąskich ramionach gnoma. - To, gdzie jesteś, nie ma znaczenia, Poggwydd. Ważne jest to, że nic ci bezpośrednio nie zagraża. Inaczej się ma sprawa z dziewczynką, z Mis ty. Musimy się stąd wydostać i wrócić tam, gdzie ona jest. W tym miejscu znajduje się coś, co może nam w tym pomóc, jeśli uda nam się to znaleźć. To właśnie mamy zamiar w tej chwili robić. Chcę, żebyś został właśnie tutaj, kiedy my będziemy tego szukać.

Poggwydd popatrzył po nich wąpiącym wzrokiem.

- Dlaczego miałbym to robić? Dlaczego nie mogę po prostu pójść do domu? Jak tylko stąd wyjdę, to już znajdę drogę.

Questor spojrzał nań ze współczuciem.

- Nie znajdziesz, nie z tego miejsca. Musisz mi zaufać. - Przerwał, zastanawiając się. - Jeśli będziesz tego próbował, Poggwydd, to Nocny Cień może cię po raz drugi złapać w swoje szpony. Rozumiesz mnie?

Gnom pokiwał szybko głową. Rozumiał to doskonale.

- Zrobię tak, jak mówisz - zgodził się niechętnie. - Jak długo będę musiał czekać?

- Nie wiem. To może potrwać dość długo. Musisz być cierpliwy.

Poggwydd zaczął pociągać nosem.

- Ale ja nie mam nic do jedzenia. Jestem głodny. Abernathy wywrócił oczy ku górze. Questor ścisnął ramiona gnoma i puścił go.

- Wiem. Bądź dzielny. Postaramy się znaleźć coś do jedzenia i przynieść ci tu. Musisz jednak tu zostać, choćby nie wiem co się działo. To ważne, Poggwydd. Nie wolno ci pod żadnym pozorem opuszczać tego pokoju. Dobrze?

Gnom potarł nos i wzruszył ramionami.

- Dobrze. Poczekam. Ale pośpieszcie się.

- Zrobimy, co się da. - Questor cofnął się i odwrócił twarzą do Abernathy'ego i

Elizabeth. - Musimy zaczynać, bez względu na to, czy są turyści, czy ich nie ma. Najpierw główne pokoje, potem z powrotem do pomieszczeń magazynowych. Założę się jednak, że książka, której szukamy, znajduje się na widocznym miejscu.

- Wiecie co - stwierdziła z zadumą w głosie Elizabeth - myślę, że były jakieś książki, które trzymano oddzielnie od pozostałych, które napisane były językiem niezrozumiałym dla nikogo. Mój ojciec wspominał kiedyś o nich.

- To jest już coś! - wykrzyknął Questor z nie ukrywaną radością. - Książki napisane w języku Landover, sprowadzone tutaj przez Michela albo mojego brata! To muszą być one!

Powiedziawszy to, Questor uśmiechnął się uspokajająco do Poggywydda, pomachał mu ręką i cała trójka wyszła z powrotem na wędrowną po zamkowych komnatach.

Poszukiwania zajęły im jednak więcej czasu, niż zakładali; przeciągnęły się do późnego popołudnia, kiedy ostatni turyści rozchodzili się do swoich autokarów i samochodów i wracali do domów. Dwukrotnie przetrząsnęli pokoje zamkowe, zanim znaleźli to, czego szukali. Książki znajdowały się w każdym pokoju i większość z nich była pod kluczem. Dlatego musieli bardzo uważać, kiedy po odwróceniu uwagi turystów i przewodników otwierali zamki i szybko rozstrzygali, czy są tam jakieś książki, które ich interesowały. Przy otwieraniu drzwi Questor posługiwał się magią, żeby było szybciej, ale sprawdzanie książek zajmowało przesadnie dużo czasu i nie przynosiło żadnego skutku.

W końcu, kiedy zbliżał się czas zamknięcia zamku, Eliza-beth przypomniała sobie o masywnej, starej gablocie w pokoju gościnnym na górze, schowanej w niszy okna mansardowego, która pozostawała niewidoczna z drzwi przegrodzonych sznurem. Były w niej jakieś książki, przypomniała sobie. Tylko kilka, ale pamiętała o nich, ponieważ ojciec mówił jej kiedyś coś o ich okładkach. Podążając za sugestią, ruszyli szybkim krokiem do pokoju gościnnego, gdy w holu na dole rozległ się dźwięk dzwonka oznajmującego koniec zwiedzania. Gdy dziewczynka i Abernathy stali na straży, Questor przeszedł nad sznurem odgradzającym pomieszczenie i lawirując między szeregiem mebli, dotarł do gabloty. Zajrzał do środka. Rzeczywiście, były tam książki, jakiś tuzin, wszystkie w oprawach z ciemnego materiału, zasłaniających tytuły. Na drzwiach wisiała kłódka, lecz szept magicznego zaklęcia wystarczył, aby się dostać do wnętrza.

W podnieceniu Questor sięgnął ponad kolekcją wyrobów ze szkła ametystowej barwy, które stały przed książkami, i wyciągnął pierwszą z nich. Ku jego rozczarowaniu była napisana po angielsku i nie miała w ogóle nic wspólnego z Land-over. Sprawdził kolejne dwie. Było to samo. Jeszcze jedna ślepa uliczka, pomyślał. Z coraz mniejszą nadzieją zaczął

szybko sprawdzać pozostałe. Książki o ogrodnictwie, podróżach i historii.

- Questorze, pośpiesz się! - syknął Abernathy od strony drzwi, gdy głosy z końca korytarza zaczęły się szybko przybliżać.

Questor otworzył ósmą książkę ze zbioru i jego brwi strzeliły do góry. Była napisana w starym języku Landover, którego powszechnie używali dawni magowie. Przekartkował ją pośpiesznie, aby się co do niej upewnić, gdy nagle wyraźniej usłyszał głosy - śmiech, krótkie powitanie Elizabeth i jej odpowiedź. Gorączkowo wcisnął się między ścianę i gablotę, gdzie był niewidoczny dla kogoś stojącego w drzwiach.

- Wciąż myszkujesz, Elizabeth? - zapytał ktoś, zatrzymując się za sznurem. - Nie jesteś głodna?

- Och, już prawie skończyliśmy - odpowiedziała, wybuchając nerwowym śmiechem. - Czy nic się nie stanie, jeśli zostaniemy jeszcze chwilę?

- Godzinę - powiedział drugi głos. - Później wychodzimy. Zawołaj nas, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Głosy oddaliły się korytarzem i w końcu ucichły.

- Questorze! - Abernathy ostrzegł go drugi raz, tracąc prawie zupełnie cierpliwość.

Questor uwolnił się z kryjówki i spojrzał na swoje odkrycie. Ostrożnie ściągnął obwolutę z materiału. Na skórzanej oprawie wytłoczone były płatkami złota symbole, które układały się w tytuł: *Mitologie przejścia*.

- A niech to! - mruknął. Wsunął książkę na miejsce i wyciągnął następną. *Historia Greensward*. Sięgnął po trzecią. *Teoria magii i sposoby jej wykorzystania*. - Tak, tak, tak! - wyszeptał czarodziej z ulgą. Wiedział, że nie może tracić czasu na czytanie jej tutaj. Sprawdził ostatni wolumin, lecz niczego nie znalazł. Miał nadzieję, że ten, który trzyma w dłoniach, jest tym właściwym. Ruszył szybko przez pokój z powrotem do drzwi. - Mam ją! - oznajmił tryumfalnie, gdy znalazł się przy Elizabeth i Abernathym.

Niespodziewanie włączył się alarm. Wszyscy podskoczyli, a z ust Elizabeth wydarł się krótki krzyk. Questor szybko wepchnął książkę do torby, z którą przyszedł.

- Co się stało? - zapytał, ciężko chwyając powietrze i potrząsając na wszystkie strony kosmykami siwych włosów. - Co ja zrobiłem?

- Nie sądzę, aby to była twoja wina. - Elizabeth chwyciła go za ramię, gdy obracał się w jedną i drugą stronę, szukając wzrokiem napastników. - To alarm przeciwpożarowy. Ale nie mam pojęcia, co mogło go uruchomić.

Questor Thews i Abernathy natychmiast spojrzeli na siebie.

- Poggwydd! - krzyknęli.

Rzucili się korytarzem do schodów i zaczęli zbiegać po nich, potracając się wzajemnie i potykając, mówiąc do siebie wszyscy naraz.

- Nie powinniśmy byli zostawiać go samego! - lamentował Questor, przyciskając torbę z cenną zawartością mocno do piersi.

- Powinniśmy byli go związać i zakneblować! - warknął Abernathy. Z dołu dobiegły odgłosy krzyków.

- Może to wcale nie on! - pocieszała ich Elizabeth. Lecz oczywiście to był on. Kiedy dotarli na dół schodów, dwóch strażników właśnie weszło do holu, wlokąc za sobą Poggwydda. Gnom był cały rozczochrany i od stóp do głowy pokryty popiołem. Wył żałośnie i wrywał się trzymającym go za rękę strażnikom, którzy nie byli zbyt pewni, kogo ujęli.

- Stary, ja to wszystko widziałem! - mamrotał jeden z nich.

- Zamknij się i trzymaj go dobrze! - warknął drugi ze złością.

Poggwydd dostrzegł Questora Thewsa i zaczął wołać o pomoc, ale czarodziej wykonał szybki gest dłonią i przerażony gnom natychmiast zaniemówił. Ruszał z rozpaczą ustami, lecz nic się z nich nie wydobywało.

- Odsuńcie się, ludzie - zawołał jeden ze strażników, gdy mijali ich z wrywającym się gnomem.

- Co tam macie? - zapytał Questor, udając ciekawość gapia.

- Nie wiemy. - Gdy strażnik przestał na chwilę uważać, Poggwydd próbował go ugryźć. - To chyba jakaś mała. Brudna jak świnia, ale dwa razy od niej brzydsza. Znaleźliśmy ją w kuchni, jak próbowała rozpalić ogień. Wyglądało to prawie tak, jakby chciała ugotować jakieś jedzenie, które wcześniej ukradła, no ale przecież to tylko mała, no nie? W każdym razie włączył się alarm, bo inaczej to chyba spaliłaby całą tę budę. Spójrzcie na nią. Mały, złośliwy diabeł. Musiała uciec z jakiegoś zoo albo czegoś takiego. Nie mam pojęcia, jak się tutaj mogła dostać.

- Uważajcie na nią - powiedział Questor, starając się uniknąć pełnego wściekłości spojrzenia Poggwydda.

- Na pewno będziemy uważać. - Strażnik się roześmiał.

- Spokojnie, mały - zawołał Questor za szarpiącym się gnomem. - Niedługo ktoś się o ciebie upomni!

- Nie mogę się tego doczekać! - zawołał do tyłu strażnik po czym nieszczęsny Poggwydd został wyciągnięty przez frontowe drzwi i zniknął im z widoku.

Questor, Abernathy i Elizabeth stali przez chwilę, patrząc w ciszy za gnomem. W końcu odezwał się mag:

- To moja wina. Zupełnie o nim zapomniałem.

- Powiedziałeś mi, żeby czekał, tam gdzie jest - przypomniał Abernathy, okazując wyraźny brak współczucia. - Powinien był posłuchać.

- Questorze, co zrobiłeś, żeby nic nie mówił? - zapytała Elizabeth.

Czarodziej westchnął.

- Rzuciłem zaklęcie. Nie mogłem pozwolić, aby powiedział kim jesteśmy, a to właśnie miał zamiar zrobić. Poza tym sprawy przybrałyby dla Poggwydda o wiele gorszy obrót, gdyby odkryli, że potrafi mówić. Wierzcie mi, lepiej dla niego, że myślą, iż jest zwierzęciem.

- Przecież on j e s t zwierzęciem - mruknął Abernathy. - Głupim gnomem.

- Głupim czy nie, musimy mu pomóc - powiedziała z miejsca Elizabeth.

- Po pierwsze - oznajmił szybko Questor - musimy wrócić do domu, gdzie będzie można przestudiować książkę i dowiedzieć się, czy to jest to, czego szukamy.

- Oby tak było - powiedział mrukliwie Abernathy. - Nie mam ochoty kolejny raz oglądać Graum Wythe!

- Jak myślicie, dokąd go zabrali? - zapytała Elizabeth, ściągając brwi ze zmartwienia.

- Chyba tam, skąd jak sądzą, uciekł - odpowiedział Questor bez zainteresowania. Zerkał do torby na książkę.

- Chodzi mi tylko o to, abyśmy nie zapomnieli o nim drugi raz - upierała się Elizabeth. Ruszyli w stronę wyjścia. - Wygląda tak bezradnie.

- Wierz mi, że nie jest niczym więcej jak tylko... - Abernathy prychnął. Myślał o skłonności gnomów-dodomów do jedzenia zabłąkanych zwierzątek domowych. - Nie zasługuje ani na gram twojego współczucia. To nieznośny gnom i nic więcej.

Elizabeth wzięła go za rękę i ścisnęła ją.

- Ciężko się z tobą dzisiaj rozmawia, Abernathy. To nie jego wina, że się tutaj znalazł.

- Ani nasza. Nie jesteśmy jego niańkami.

- Ona ma chyba rację - wtrącił Questor Thews. Abernathy popatrzył na niego ze złością.

- Wiem, że ma rację. Nie musisz mi o tym mówić.

- Próbowałem tylko zauważyć, że...

- Do diabła z tym, Questorze Thewsie, przestań się już powtarzać.

Nie przerywając kłótni oraz wysłuchując uwag Elizabeth, która chciała przywrócić między nimi choćby pozory pokoju, czarodziej i skryba doszli korytarzem do drzwi frontowych zamku i wyszli na zewnątrz.

Z dziedzińca przed nimi odjeżdżał właśnie samochód policyjny hrabstwa King.

Po powrocie do domu Elizabeth Questor Thews spędził całą noc, czytając skradzioną książkę. Siedział zwinięty w fotelu klubowym w drugim końcu sypialni i tylko niewielka, pojedyncza lampka oświetlała strony przewracane jedna po drugiej. Dość wcześnie nabrał pewności, że jest to ta książka, której szukali, i że w jej tekście znajdują się ukryte rozwiązania zagadki stojącej za ich nieprawdopodobną ucieczką przed Nocnym Cieniem. *Teoria magii i sposoby jej wykorzystania*. Tu znajdowały się odkrycia wszystkich magów od zarania dzie231

jów Landover, przedstawione w postaci postulatów i aksjomatów, teorii już udowodnionych i takich, które wciąż czekały na sprawdzenie; brakowało jedynie przepisów i zestawów składników potrzebnych do wykonania poszczególnych potraw. Były tam teorie, nie formuły, ale to wystarczało, żeby dotrzeć do istoty rzeczy. Questor wiedział nawet, czego szukać. Nienawidził siebie za to, lecz oczywistość prawdy, przed którą stał, była nieuchronna, odkąd zgodził się z możliwością jej istnienia. Z zapamiętaniem, nieustrudzenie czytał każdy najmniejszy fragment, nie zwracając uwagi na zmęczenie, tłumiąc narastające obawy.

W drugim kącie pokoju spał Abernathy, z twarzą odwróconą od światła. I całe szczęście. Jego przyjaciel nie mógłby teraz patrzeć na niego spokojnie.

Gdzieś po północy, w trakcie jednej z długich, wolno upływających godzin Questor Thews odkrył to, czego szukał. Nie przerwał jednak czytania, nie chcąc przesądzać sprawy, dopóki nie sprawdzi, czy nie ma czasem lepszej odpowiedzi, chociaż i tak już wiedział, że nie będzie innej. Doczytał książkę do końca i zaczął jeszcze raz od nowa. Studiował poszczególne ustępy i rozważał inne możliwości, aż rozbolała go głowa. Wtedy cofnął się do fragmentu, który odkrył wcześniej, i przeczytał go ponownie, wolno i w skupieniu. Nie mogło być pomyłki. Tego właśnie szukał. To była odpowiedź, której potrzebowali.

Westchnął i położył książkę na kolana. Spojrzał znowu na Abernathy'ego i do oczu napłynęły mu łzy. Jego twarz zmarszczyła się i poczuł w piersi dławiący ból. Życie potrafiło być czasami bardzo okrutne. Żałował, że nie może być inaczej. Żałował, że nie mogło się to przydarzyć komuś innemu. Jego tyczkowate ciało zapadło się, tworząc worek starych kości obciążony pomarszczoną skórą, a serce w piersi skurczyło w obolały węzeł.

W końcu, wyczerpany tym przeżyciem, wyciągnął rękę, zgasił światło i siedząc bez ruchu w ciemności, czekał poranka.

WIDMO

- Książka ma tytuł *Potwory w wyobraźni mitycznej człowieka* - powiedział Bert,

szepcząc prosto do ucha Willow.

Jechali we dwoje na wciąż spłoszonej Jurysdykcji, Willow z przodu, Ben za nią. Bunion odnalazł konia po długiej pogoni i teraz kierowali się z powrotem na zachód, w stronę Green-sward. Przed nimi wyrastała czarna ściana nadciągającej burzy. Za sobą zostawili resztki rubaka i siarkowy fetor popiołów i gazów z Ognistych Źródeł. Słońce paliło niemilosiernie, lejący się z góry żar zmieniał spieczoną ziemię Wschodnich Pustkowi w piekło.

Deszcz będzie zbawieniem, pomyślał ze znużeniem Ben, starając się zapomnieć o rosnącym pragnieniu.

- I w tej książce były potwory Rydalla? - zapytała Willow w odpowiedzi, obracając się nieznacznie, aby dojrzeć kawałek jego twarzy.

Kiwnął głową, zatapiając ją w szmaragdowych włosach żony i wciągając ich piaskową woń.

- Olbrzym czerpiący swą siłę przez kontakt z ziemią, demon potrafiący przybrać wygląd i umiejętności każdego wroga, z którym się zmierzył, i robot, człekopodobna maszyna zakuta w zbroję i niezwyknięta. - Przeniósł wzrok na pulsujące od żaru odległe rejony równiny, próbując się rozeznac w topografii terenu coraz bardziej przesłanianego mrokiem burzy. - Nie pamiętam dokładnie poszczególnych historii, ale wyraźnie widzę rysunek robota na okładce. Wygląda zupełnie tak samo jak ten Rydalla. Wszystkie monstra wyglądały tak, jak gdyby Rydall czytał tę książkę!

- Przecież to niemożliwe, przyznasz? Ben westchnął.

- Wydaje się że nie.

Willow odwróciła głowę i popatrzyła przed siebie. Powietrze drżało od skwaru i kurzu. Gdzieś tam był Bunion, szukając ewentualnego zagrożenia. Gdyby je odkrył, miał znaleźć sposób, żeby je ominąć. Kolejna konfrontacja w ich sytuacji była nie do pomyślenia.

- Gdzie jest ta książka? - zapytała Willow.

- W bibliotece - odpowiedział Ben. - To jedna z tych, które przywiozłem ze sobą z mojego poprzedniego świata. Jedna z książek, które jak myślałem, będę chciał mieć. Pamiętam, dlaczego wybrałem akurat tę. Miałem ją, odkąd byłem chłopcem, i wydawało mi się, że przedstawia coś, co miałem nadzieję znaleźć tutaj, na Landover. Jak gdyby to, co nie było prawdziwe w moim poprzednim życiu, mogło się stać rzeczywistością w tym. - Pokręcił głową. - Mam to, o czym marzyłem, prawda?

Willow milczała przez chwilę.

- Ale jak Rydall mógł się o tym dowiedzieć? Ben wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To nie ma sensu. Skąd mógł wiedzieć o tej książce, a nie o jakiejś innej? Czyżby przeczytał całą moją bibliotekę? Czy jego magia pozwala mu przewertować każdą książkę na chybił trafił i czytać je na odległość? - Z trudem przełknął ślinę w suchym gardle i stłumił w sobie wściekłość. - Wciąż nie daje mi spokoju uczucie, że to wszystko ma zbyt osobisty wymiar. Rydall używa moich rzeczy do walki ze mną. Uderza w moją rodzinę i przyjaciół. Porywa Mistayę, Questora i Abernathy'ego. Atakuje mnie i ciebie, ściga nas wszędzie i wystawia swoje potwory do walki przeciwko Paladynowi. Depcze mi nieustannie po piętach. Nie rozumiem tego po prostu. Pozornie chodzi o oddanie tronu Landover, ale wszystko wskazuje na to, że Landover nie ma z tym wiele wspólnego.

Willow skinęła głową, nie patrząc na niego.

- Rzeczywiście - przyznała i znowu zamilkła.

Jechali przez całe popołudnie, aż spotkała ich burza, gdy byli już blisko granicy Greensward. Czarne chmury przewaliły się gwałtownie nad nimi, zasłaniając słońce i błękitne niebo, i po chwili spadł ulewny, oślepiający deszcz, w okamgnieniu zmywając z nich kurz i brud podróży. Powietrze zrobiło się chłodniejsze. Jurysdykcja posuwała się z trudem, kuląc głowę przed zacinającymi strugami deszczu i kołującą wichurą. Niedługo potem pojawił się Bunion i poprowadził ich do klonowego gaju, który osłonił ich przed wilgocią. Zsiadli z koni, ściągnęli ubrania, wykręcili je i rozwiesili przy ognisku, które koboldowi udało się w jakiś sposób rozpalić. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na miękkiej trawie pod baldachimem drzew, obserwowali, jak burza krąży wokół nich i w końcu przechodzi dalej. Zapanowała ciemność i świat poza ich obozowiskiem zniknął z widoku. Ponownie się ubrali, zjedli bez entuzjazmu łydgi Bonnie Blue, owinęli się w podróżne płaszcze i szybko zasnęli.

Kiedy się obudzili, znowu padało. Z niskiej powały ołowianych chmur sączyła się nieprzerwanie leniwa mżawka. Wszystko wokół nich stało się w porannym świetle szare i zamglone. Kolejny raz dosiedli Jurysdykcji i wyruszyli w drogę. Bunion poszedł przodem. Jego mała, pająkowata figura skakała w półmroku, dopóki zupełnie nie zniknęła z widoku. Letni dzień był ciepły i wypełniony wonią wilgotnej ziemi. Przed nimi rozciągały się zielone i żółtawe łąki Greensward, równe połacie ziemi uprawnej, stare lasy i pastwiska, wszystkie poprzecinane rzekami i jeziorami. W deszczowych oparach woda miała kolor roztopionego metalu, którego powierzchnię mierzwią słabe poddmuchy wiatru wiejącego przez równiny.

Przed południem powrócił Bunion z drugim koniem. Nie wyjaśnił, skąd wziął zwierzę, a Ben i Willow nie pytali. Nie był to koń pociągowy, lecz wyszkolony wierzchowiec. Willow stanęła przed brązową klaczą i przez chwilę przemawiała do niej uspokajającym głosem, po czym dosiadła jej i zbliżyła się do Bena. Uśmiechnęła się i

mrugnęła okiem do Bu-niona. Po chwili kobold znowu zniknął.

Jechali dalej do następnego popołudnia. Przez całą drogę lał deszcz, nie pozostawiając na nich suchej nitki, z wyjątkiem krótkich okresów, kiedy rozbijali obóz i suszyli się przy ognisku, które Bunion, jak się wydawało, potrafił rozniecić w każdych warunkach. Minęli Rhyndweir i kilka innych zamków władców Greensward, lecz nigdzie się nie zatrzymali. Benowi nie zależało, aby się widzieć z kimkolwiek, a poza tym wolał zmniejszyć możliwość dalszych ataków Rydalla do minimum. Ku jego zdziwieniu nie nastąpił już żaden. Ben był przekonany, że skoro Rydall znalazł ich we Wschodnich Pustkowiach z rubakiem, to jest w stanie znaleźć go wszędzie. Biorąc pod uwagę częstotliwość ataków i konsekwencję, z jaką je przeprowadzano, oczekiwał, że następny już powinien do tej pory nastąpić. Z drugiej strony Rydall wykorzystał już cztery spośród obiecanych siedmiu pojedynków i być może myślał nad zmianą strategii. Ben uznał, że nie warto się dłużej nad tym zastanawiać. Był wdzięczny za chwilę wytchnienia.

Wykorzystał ten czas na myślenie. Dzięki płaszczowi, który służył jako tarcza przed żywiołami natury, dzięki Willow, która jechała obok niego w milczeniu niby duch, a także dzięki kurtynie deszczu ogarniającego wszystko wilgotną, szarą ciszą, mógł się odciąć od niewygód i nudy i skupić się na zagadce Rydalla. Zaczynał rozważać możliwości, których wcześniej nie brał pod uwagę. Niektóre z nich brały się z rosnącego poczucia bezradności. Czuł, jak ucieka czas. Wcześniej czy później Rydall wyśle potwora, przed którym nikt go nie obroni - ani Paladyn, ani Strabo, zupełnie nikt. Wcześniej czy później jego możliwości obrony będą niewystarczające i walka o przeżycie się zakończy. Zapobiec temu mogło jedynie odkrycie tajemnicy, za którą skrywał się Rydall, a Ben nie był ani trochę bliższy jej rozwiązania. Zdecydował zatem, że porzuci tradycyjne sposoby myślenia na rzecz czegoś nowego, odważniejszego. Nie wolno mu było dać się prowadzić Rydallowi. Musiał zerwać z chodzeniem ścieżkami, które otworzył dla niego król Marnhull, i zacząć otwierać własne. Wokół Bena Holidaya została utkana sieć i czuł, jak się zacieśnia z każdą nową nitką. Musiał znaleźć sposób na przerwanie pajęczyny.

Jego rozmyślenia brały się chyba jednak nie tyle z rozpaczy, ile ze świadomości, że w starannie utkanej pajęczynie Rydalla jest kilka luźnych nitek. Pierwsza z nich miała coś wspólnego z rosnącym przekonaniem Bena, że wysyłanie przez Rydalla potworów do walki z Paladynem było częścią gry, dotyczącej bardziej Bena niż tronu Landover. Druga z kolei wiązała się z rozpoznaniem w trzech spośród czterech potworów Rydalla postaci z książki *Potwory w wyobraźni mitycznej człowieka*. Wszystkie trzy zostały stworzone z wiernym oddaniem każdego szczegółu na podstawie opisu autora, jak gdyby Rydall skopiował

stworzenia prosto z rysunków w książce. Trzy, lecz nie czwarty. Nie, czwarty - rubak - pochodził skądinąd.

Ulubiona sztuczka magiczna wiedźm, jak poinformował go Strabo.

Na Lando-ver mogło chodzić wyłącznie o Nocny Cień.

Wcześniej nie brał poważniej pod uwagę, że wiedźma może być w to wplątana. Po cóż miałyby to robić? Rydall był kimś obcym, uzurpującym sobie prawo do władzy, intruzem, którego cele były w zupełnej sprzeczności z celami wiedźmy. Z drugiej strony nie było nikogo, kto by bardziej nienawidził Bena Holidaya i jego rodziny niż ona. Gdyby zapomnieć na chwilę o oczywistej obecności Rydalla, to wyglądało to zupełnie na jej sprawkę. Użycie czarnej magii, atak na rodzinę i przyjaciół oraz starannie obmyślane próby zniszczenia go - wszystko to zakrawało na działania Nocnego Cienia. Mimo że nie miał z nią żadnego kontaktu od przeszło dwóch lat, nie spodziewał się, że ona zapomni o swej groźbie nieprzebaczenia mu nigdy tego, co się wydarzyło w kabałowej szkatule. Za to, co poczuła, kiedy oboje zostali odarci ze swoich tożsamości. Za to, że utraciła własną godność.

A jeśli nie było żadnego Rydalla? No owszem, mógł ktoś być przebrany za króla Marnhull, ale jeśli sam Rydall był fikcją? Nikt nie słyszał nigdy o Rydallu czy o krainie Marnhull - ani Władca Rzeki, ani Kallendbor, ani nawet Strabo, który był wszędzie. Nikt nie potrafił znaleźć Rydalla ani Marnhull. Nie było śladu po Mistai, Questorze Thewsie i Abernathym. Nie było znaku armii najeźdźców gotowej wtargnąć do Lando-ver. Jedynym fizycznym dowodem na istnienie Rydalla w całej tej historii było pojawienie się króla Marnhull i jego towarzysza w czarnej opończy u bram Sterling Silver.

A zatem, dumiał Ben, może to wszystko było skrzętnie zaplanowanym oszustwem? Do tego dochodziło jeszcze jedno pytanie: Jakiego miejsca w całym Lando-ver nie przeszukał, odkąd zginęła Mistaya? Jakie miejsce zaniedbał ze względu na brak bezpośredniego do niego dostępu oraz na brak wystarczającego powodu, żeby to zrobić? Gdzie nikt jeszcze nie zaglądał?

Do Wielkiej Czeluści, siedziby Nocnego Cienia.

Podejrzenia Bena nabrały większej mocy. To, co na początku było tylko jedną z rozważanych możliwości, teraz zaczęło świecić zupełnie innym światłem. Nocny Cień jako Rydall; było w tym tyle samo sensu, co w innych wyobrażonych możliwościach. Albo raczej Nocny Cień jako okryty czarnym płaszczem towarzysz Rydalla, poprawił się. Przypomniawszy sobie, w jaki sposób zakapturzony jeździec przyglądał mu się, kiedy zszedł na most podnieść rękawicę, zapamiętał intensywność jego ukrytego spojrzenia. Przypomniawszy sobie, jak obaj jeźdźcy patrzyli na Mistayę, kiedy weszła na mury obronne.

Poczuł ucisk w piersiach i żołądek podchodzący do gardła.

Był już wieczór trzeciego dnia ich wędrówki, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się Sterling Silver. Zamek wyłonił się z mroku nieoczekiwanie niczym stworzona przez dziecięcą wyobraźnię mara, która nagle nabrała realnych kształtów. Zbliżając się do wyspy, rozpoznawali migoczące od deszczu wieże przechodzące w solidne, kamienne mury obronne, dostrzegali szczegóły z drewna i metalu oraz nasiąknięte wodą flagi i proporce. Pokonali fosę, przedzierając się przez zasłonę z mgły, po czym przejechali pod uniesionymi kratami. Czeladź znalazła się natychmiast przy nich, aby zabrać konie i wprowadzić je do suchej stajni. Ben i Willow, nic nie mówiąc, udali się do komnaty sypialnej, ściągnęli przemoczone ubrania i weszli do wanny z parującą wodą, aby się rozciągnąć i wymoczyć. Gdy ból i zmęczenie po podróży częściowo ustąpiły, wyszli z wody, wytarli się i włożyli świeże ubrania.

Następnie Ben zaprowadził Willow na dół do biblioteki, żeby się bliżej przyjrzeć egzemplarzowi wspomnianej przezeń książki. Znaleźli ją prawie natychmiast. Stała na półce w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Wyciągnął ją i spojrzał na okładkę. Nie było wątpliwości: to był robot Rydalla. Przekartkował egzemplarz i w chwilę później znalazł rysunek przedstawiający olbrzyma. Zaraz potem był opis, w którym autor przedstawia demona potrafiącego uosabiać każdego przeciwnika.

Pokazał książkę Willow.

- Widzisz? Zupełnie takie same jak potwory Rydalla. Kiwnęła głową.

- Ale jak on to zrobił? Skąd wiedział o tej książce i o tych właśnie potworach? Ben, nawet ja nic o niej nie wiedziałam. Nie wiedziałam nawet, że jest tutaj. Nigdy o niej nie rozmawialiśmy, ani razu. Skąd mógł zatem Rydall o niej wiedzieć'?

Zdał sobie sprawę, że ona ma rację. Nigdy nie zabierał jej na dół i nie pokazywał żonie. Nigdy o niej nie rozmawiali. Nigdy nie było powodu, żeby to robić. Sprowadził ją ze sobą, przeniósł przez czarodziejskie mgły, wypakował, włożył na półkę w bibliotece i zapomniał o niej.

Aż dotąd. Stał blisko sylfidy i patrzył na książkę w milczeniu. Na zewnątrz wciąż padał deszcz, stukając o kamienie z ponurą, niezmienną monotonią. Ben poczuł dziwne ukojenie, jakby w każdej chwili mógł zasnąć. Był bardziej zmęczony, niż chciał się do tego przyznać, ale nie mógł sobie pozwolić, żeby iść do łóżka, dopóki nie rozwikła tajemnicy Rydalla i jego potworów. Dopóki nie znajdzie sposobu na sprowadzenie Mis tai do domu.

Mistaya.

Spojrzał ze zdziwieniem na Willow.

- Powiedziałaś, że nie znałaś tej książki. A wiesz, kto o niej wiedział? Mistaya. Przylapałem ją kiedyś, jak czytała ją i kartkowała strona po stronie. Nic wtedy nie powiedziałem, nie przerwałem jej. Myślę, że nawet nie wiedziała, że na nią patrzę. Była taka mała, że nie sądziłem, aby coś z tego rozumiała... - Zamyślił się nad czymś. - Willow - powiedział spokojnie - chcę, abyś czegoś wysłuchała i powiedziała mi, co o tym myślisz.

Następnie opowiedział jej o swoim podejrzeniu, że to Nocny Cień mogła stworzyć Rydalla i że wiedźma z Wielkiej Czeluści może kryć się za wszystkim, co im się przytrafiło. Podał jej wszystkie argumenty, przedłożył wszystkie możliwości i przedstawił wszystkie podstawy swych domysłów. Willow słuchała z uwagą, nie przerywając mu, czekając aż skończy.

- Chodzi o to - powiedział na zakończenie ze zmartwioną miną - że Mistaya mogła powiedzieć Nocnemu Cieniowi o tej książce, mogła opisać potwory, mogła nawet narysować obrazek. Jest na tyle bystra, żeby je zapamiętać. Prawdopodobnie rozumiała więcej, niż sądziłem.

- Ale po cóż miałyby to robić? - chciała natychmiast wiedzieć Willow. - Dlaczego miałyby cokolwiek robić, żeby pomóc wiedźmie?

Ben pokręcił głową.

- Nie wiem. Próbuję to tylko ułożyć w jedną całość. W każdym razie ona widziała tę książkę i jeśli Nocny Cień jest Rydalem, to właśnie Nocny Cień ją uprowadził. I ma ją w tej chwili.

Willow patrzyła na niego długo i spokojnie, rozważając płynące stąd możliwości.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, kto jeszcze wie o więzi między medalionem i Paladynem? Powiedziałaś, że tylko ty i ja. Ale przecież Nocny Cień też wie. Była z tobą w kabałowej szkatule, kiedy używałaś medalionu.

Ben wziął głęboki oddech.

- Masz rację. Zapomniałem o tym.

- Powiedziałaś, że sądzisz, iż posłużono się magią, aby ukryć medalion, kiedy robot zaatakował w Rhyndweir. Nocny Cień ma taką moc. - Twarz Willow ściągnęła się. - Ben, musimy udać się do Wielkiej Czeluści.

Ben odłożył książkę z powrotem na półkę.

- Wiem. Pojedziemy jutro, zaraz z rana. Jest za późno, aby wyruszać jeszcze dzisiaj. Jesteśmy wykończeni. Musimy chociaż jedną noc spędzić w suchym łóżku. - *Zbliżył się do niej i objął ją w pasie.* - Ale na pewno pojedziemy - obiecał. - I jeśli Mistaya tam będzie, to ją odzyskamy.

Willow oplotła jego szyję ramionami i oparła głowę na piersi. Obejmowali się w milczeniu, dodając sobie otuchy i czerpiąc siłę ze splotu ciał, uodparniając się na uczucie lęku drążące ich od środka.

Cienie na zewnątrz wydłużyły się, zapowiadając zmierzch. Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej.

Obiad zjedli sami w mrocznej ciszy jadalnego holu, siedząc pochyleni blisko światła świecy, które odpychało od siebie ciemności. Nie mówili do siebie zbyt wiele, zbyt zmęczeni, żeby rozpoczynać rozmowę, głęboko pogrążeni we własnych myślach. Kiedy skończyli, udali się do sypialni, wsunęli pod pościel i szybko zasnęli.

Była północ, kiedy Ben się obudził. Leżał cicho przez chwilę, próbując odzyskać orientację. Czuł delikatne mrowienie w miejscu, gdzie medalion spoczywał na jego piersi, ostrzeżenie, że coś jest nie tak. Usiadł powoli, wysilając słuch, aby rozpoznać odgłosy dochodzące zmroku. Deszcz w końcu ustąpił, choć niebo zasnuwane było całunem chmur, które przesłaniały światło księżyców i gwiazd. Pośród atramentowej nocy słyszał ciche, delikatne plaśnięcia wody kapiącej z okapu i blanków murów obronnych. Oddech leżącej obok Willow był równy i spokojny.

Wtedy usłyszał, jak coś skrobie o kamień na zewnątrz okna, dźwięk prawie nie do wychwycenia, szmer naciągających kłopotów. Wysunął się z łóżka zwinnie i bezszelestnie, czując już teraz, jak medalion parzy mu skórę. Ogarnęła go panika. Wiedział, co się zbliża, ale nie był na to przygotowany. Nastąpiło to zbyt szybko. Wcześniej przekonał sam siebie, że Rydall nie uderzy tak szybko, będzie chciał się zastanowić przed wysłaniem piątego potwora.

Ben rozejrzał się po pokoju, szukając pomocy. Gdzie był Bunion? Nie widział kobolda od czasu ich powrotu. Może był gdzieś niedaleko, pod ręką? Odwrócił się do łóżka i Willow. Musi ją stąd wydostać. Musi zabrać ją w bezpieczne miejsce, z dala od tego, co się ma zaraz wydarzyć.

Dotknął jej ramienia i potrząsnął delikatnie.

- Willow! - syknął. - Obudź się!

Otworzyła natychmiast oczy, jasnoszmaragdowe nawet w prawie zupełnej ciemności, duże, głębokie i pełne zrozumienia.

- Ben - powiedziała.

Światło w pokoju zmieniło nagle tonację. W oknie pojawił się cień i Ben odwrócił się raptownie w jego stronę. Cień wypełnił otwór i przysiadł w nim, przygarbiony na tle nieco

śniejszej czerni nieba, szczupły, żylasty i straszliwie znajomy. Nie mógł ich widzieć, lecz Ben czuł na sobie badawcze spojrzenie jego oczu.

Nie poruszył się, wiedząc, że zanim to zrobi, będzie martwy. Dłoń już obejmowała medalion, jak gdyby instynktownie sięgnął po jedyną pomoc, jaka mu została. Czuł pod palcami wyryty wizerunek rycerza wyjeżdżającego konno z zamku o wschodzie słońca, Paladyna opuszczającego Sterling Silver, aby stoczyć walkę w imieniu swego króla. Czuł obraz i wpatrywał się w cień w oknie, widząc teraz, że nie jest on zupełnie gładki i napięty, jak myślał wcześniej, lecz w rzeczywistości w wielu miejscach poszarpany i nierówny. Wyglądał, jakby przeżył jakąś potworną tragedię i nosił rany, których nic już nie może wyleczyć. Poszczególne fragmenty odstawały od cienia, jak gdyby ktoś poodrywał z niego płaty skóry. Popękane kawałki kości sterczały z tego, co kiedyś było stawami. Nie wydawał żadnego dźwięku, lecz Ben słyszał nieme zawodzenie straszliwego bólu i rozpacz.

Głowa cienia drgnęła, przechylając się nieznacznie w jedną stronę, i z mroku błysnęły srebrne, kocie oczy.

Benowi oddech uwiązł w gardle.

To był Ardsheal, powracający z martwych.

Nie miał czasu się zastanawiać, jak to możliwe, ani rozważać, co to znaczy. Jego reakcja była instynktowna i pozbawiona motywu oraz nadziei. Zacisnął palce na medalionie, który błyskawicznie rozblęsnął włócznie jaskrawobiałego światła. Willow krzyknęła. Ardsheal rzucił się na Bena niczym czarna pantera na swoją ofiarę, szybciej niż myśl. Był tam już jednak Paladyn, pojawiając się nagle w niewiarygodnej eksplozji światła, która wybuchła w wolnej przestrzeni między królem a jego napastnikiem. Rycerz podniósł się, rozsiewając blask skrzącego się srebra zbroi i oręża i chwytając w powietrzu Ardsheala, odrzucił go na bok. Ardsheal runął na kamienną ścianę, a Paladyn potykając się odleciał w stronę Bena. Zakuty w metal łokieć szermierza grzmotnął Bena w głowę, od czego ten padł na łóżko obok Willow tak oszołomiony, że z trudem mógł utrzymać medalion w dłoni.

Ardsheal w okamgnieniu znalazł się znowu na nogach,

242 wyprostowując się ze zwinnością węża, a szybkość, z jaką odzyskał siły, zadawała kłam jego żalosnemu wyglądowi. Mimo bólu i zawrotów głowy Ben patrzył, jak się podnosi, choć obraz był zamazany. Ból i zawroty odczuwał jednak we wnętrzu zbroi Paladyna, gdzie teraz jego świadomość została wtłoczona bez prawa weta i miała tam zostać, dopóki nie wygra lub zginie. Widział, jak Willow obejmuje jego cielesną skorupę, szepcząc mu z zapamiętaniem coś do ucha. Przez ułamek sekundy przemknęło mu przez głowę pytanie, co ona mówi, przypominając sobie, że chciał ją wyprowadzić z pokoju przed rozpoczęciem

walki. W mroku dostrzegł kawałek twarzy Ardsheala pozbawiony jednego oka, od czoła do policzka bieгло po niej głębokie cięćie, a cała skóra była poorana ranami. Widział wcześniej, jak runął z okna zamku Rhyndweir, jak powlókł za sobą robota na skały w dole, na nieuchronną śmierć. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak mógł coś takiego przeżyć.

W następnej chwili umysł Paladyna zamknął się jak przysłonięty przyłbicą i jedyne, co pozostało w pamięci, to wspomnienia niezliczonych walk toczonych i wygranych przez rycerza. Wszedł w swoje twardsze od stali drugie „ja”, w weterana sprawdzonego w tysiącach bojów, z których tylko on wychodził zwycięsko. Wycofał się do swojej zbroi i swego doświadczenia, odcinając się od świata zewnętrznego, zapominając o mężczyźnie i kobiecie siedzących za nim na łóżku, o zamku, w którym teraz walczył, przeszłości i przyszłości, o wszystkim z wyjątkiem przeciwnika chcącego go zniszczyć.

Ardsheal wykonał nieznaczny ruch w lewo, sprawdzając przeciwnika. Sądząc po jego nieruchomym wzroku, poharatanych kościach i skórze oraz po otwartych ranach, pokrywających całe ciało, powinien być martwy. Lecz żył po śmierci, karmiony siłą magii, która walczyła w jego niegdyś pozbawionych życia tkankach i żądała od niego wykonania jeszcze jednego zadania, zanim będzie mógł spocząć na dobre. Paladyn to wyczuwał, czerpiąc swoją wiedzę z tego, co było w nim wrodzone, oraz z jakiejś iskry rozumu i pamięci należących do Bena Holidaya. Obserwował, jak widmo przed nim zmienia co rusz pozycję niby wąż, szukając słabego punktu. Ujrzał tkwiące w nim zagrożenie, dojrzał istotę stworzoną z magii dla jednego tylko celu: aby go odnaleźć i zniszczyć. Dojrzał w nim to, co tkwiło w niewielu spośród tych, z którymi musiał się zmierzyć - widział w nim przeciwnika równego sobie.

Ardsheal ruszył do ataku z prędkością światła, tak nisko, że trudno było odsunąć nogi. Paladyn opadł na niego, próbując przykuć go sztyłem do ziemi, lecz na próżno dźgał kamienną podłogę. Ardsheal zdążył się już wywinąć, po czym zaraz rzucił się na przyłbicę rycerza, wykręcając ją z dziką zawziętością. Paladyn otrząsnął się po uderzeniu i wstał kolejny raz, aby zmierzyć się z przeciwnikiem. Szybkość i siła, spryt i doświadczenie - to wszystko cechowało Ardsheala, który nie czuł niczego innego z wyjątkiem zniewalającej go magii. Taki się nie zatrzyma; taki nie zrezygnuje. Będzie dopóty atakował, dopóki nie padnie.

Żadna żywa istota nie jest w stanie się przeciwstawić Ard-shealowi. Nie ma istoty bardziej od niego niebezpiecznej. Takie były słowa Władcy Rzeki.

Ardsheal przycupnął w ciemności, gotowy do skoku. Przez krótką chwilę Paladyn pomyślał o tym, żeby wyciągnąć pałasz, lecz broń była zbyt nieporęczna i ciężka do walki z tym przeciwnikiem. Bardziej przyda się coś mniejszego, przynajmniej do momentu, gdy się

nadarzy okazja, a musi się nadarzyć, jeśli chce przeżyć.

Przełożył sztylet do lewej dłoni, sięgając prawą po nóż bojowy, i w jednej chwili Ardsheal był już na nim, szarpiąc zbroję i kończyny. Gwałtowny atak zachwiał Paladynem, który odsunął się do tyłu, słysząc skrzywienie puszczejących zapieć i czując, że płyty metalu mogą zaraz odpaść. Zapominając o sztylcie, zacisnął obie opancerzone dłonie na torsie stworzenia i znowu cisnął nim na bok. Tamten prawie natychmiast powrócił do niego, atakując ze zwierzęcą dzikością, oszalały do nieprzytomności. Jego niewyobrażalną siłę wspomagał brak uczuć, a karmiły ją nagle przyływy magii. Walczył bez żadnych zahamowań, bez jakichkolwiek przeszkód, które mógł zrodzić rozum bądź uczucia. Jego zmagania były czyste i niczym nie ograniczone, skupione tylko na jednym. Czy zwycięży, czy przegra, i tak straci życie.

Po raz trzeci Paladyn go odrzucił, lecz tym razem zdążył wyciągnąć nóż, zanim tamten przyszedł do siebie. Kiedy natarł kolejny raz, zdołał go nadziać na ostrze i przeciąć na dwoje. Jego oddech stał się chrapliwy i nierówny. Chociaż nie przyznawał się do tego, ponieważ nie mógł sobie na to pozwolić, zaczął tracić siły. Nie potrafił powiedzieć, czy to z powodu liczby odbytych walk w tak krótkim czasie, czy raczej słabszej kondycji króla, któremu służył, ponieważ oba czynniki decydowały o tym, czy przetrwa. Polegał na samym sobie, lecz nieuchronnie związany był z człowiekiem, który wydawał mu rozkazy oraz używał mu siły i woli. Gdyby królowi zabrakło stanowczości, jemu również by nie starczyło. Takich myśli nie wolno mu było jednak dopuszczać do siebie. Powiedział więc sobie, iż ma szybko zakończyć tę walkę i przestać spekulować.

Ardsheal zaczął go podchodzić, unikając światła, kryjąc się w mroku niczym jeszcze jeden błądy cień nocy. Zrezygnował z frontального ataku; przymierzał się do zrobienia czegoś innego. Paladyn obrócił się, śledząc ruchy tamtego, nie opuszczając swego miejsca przed królem i królową. Zbroja wisiała na nim luźno, w kilku miejscach oderwana na zatrzaskach. Zaczynał się pruć. Był równie poszarpany jak jego napastnik. Czuł na sobie badawcze spojrzenie tamtego, szukające słabego punktu. Bez zbroi Paladyn był bezbronny. Ardsheal wyczuwał to. Jedno, odpowiednio mocne uderzenie mogło wystarczyć.

Zasugerował szybki ruch do przodu i cofnął się. Sfingował kolejny atak. Paladyn nie pozwolił się odciągnąć, pozostał nieporuszony. Wtem zdał sobie sprawę z tego, co Ardsheal zamierza zrobić. Próbował go wywabić z miejsca, w którym stał, aby król i królowa zostali odsłonięci. Chciał ich zabić, czując prawdopodobnie, że to oznaczałoby również klęskę Paladyna.

Jak gdyby czytając w jego myślach, Ardsheal przypuścił nowy atak. Był on tak dziki i

błyskawiczny, że Paladyn zdążył zareagować, kiedy ten prawie go mijał. Z trudem zdołał

chwycić ramię Ardsheala, gdy napastnik już sięgał po królową. Pociągnął go do tyłu i cisnął nim w bok. Tym razem ruszył za nim z zamiarem zakończenia walki, ale znowu był zbyt wolny. Ardsheal zdążył się podnieść i ponownie zniknąć w mroku.

Jeszcze dwukrotnie stworzenie próbowało prześliznąć się obok niego i dwa razy niemalże mu się to udało. Jedynie doświadczenie i determinacja pozwoliły Paladynowi trzymać go w bezpiecznej odległości. Siedząca na łóżku za nim królowa, zaczęła teraz krzyczeć, nie głośno, lecz nikłe dźwięki zdradzały całą jej rozpacz i niedolę. Była silna, ale jej lęk okazał się zbyt przerażający, aby mogła go ukryć. Ardsheal wzbudzał w niej trwogę. Król ponownie odzyskał przytomność. Usadowił się przed nią i wzniosł medalion do góry niczym talizman. Paladyn wiedział, że byli zbyt delikatni, aby przeżyć, gdy on padnie.

Zatruwająca umysł myśl tkwiła w głowie tylko przez chwilę. Wyrwał ją jak cierń i odrzucił z dala od siebie.

Ardsheal rozplątał się w pustce, każąc Paladynowi szukać go z zapamiętaniem po omacku. Wtem pojawił się tuż przed nim niczym ogarnięty szalem fragment mroku, wskakując mu na głowę i przyciskając go do podłogi. Chciał się przedrzeć obok niego, lecz Paladyn padając na ziemię, natychmiast złapał go za nogę i pociągnął do tyłu. Ardsheal kopał powalonego szermierza i szarpał jego nadwątlony pancerz. Paladyn poczuł ból. Doprowadzony do ostateczności, mimo gradu ciosów, ostatnim wysiłkiem, który w większej części brał się z serca, podciągnął się na kolana i po raz ostatni odrzucił Ardsheala na bok.

Kiedy Ardsheal podniósł się na nogi, jedno ramię zwisało mu bezwładnie. Sam Paladyn również nie wyglądał najlepiej. Przypominał złomowisko pogiętej zbroi i porozrywanych zapieć, a obolałe mięśnie i wyczerpane kończyny pozwalały mu zachować pionową pozycję jedynie resztką siły woli. Z ust i innych części ciała ciekła mu krew. Wciąż ścisnął bojowy nóż, wciąż czekał na okazję użycia go. Czas jednak szybko uciekał, kurczył się w tej chwili w zatrważającym tempie.

Ardsheal ruszył do przodu z nieprzejeđnaną siłą.

Wtem drzwi do pokoju gwałtownie się rozwarły i do środka wtargnęła mała, szczeniasta furia, aby przyłączyć się do walki. Runęła na Ardsheala i przyparła go do muru. Zęby i pazury należały do Buniona, który najwyraźniej wpadł w szal. Ardsheal dał się zaskoczyć. Siła ataku kobolda ogłuszyła go. Wykreślił się dziko, próbując się pozbyć napastnika. Paladyn rzucił się do przodu, w końcu widząc szansę dla siebie. Wbił sztylet w czaszkę Ardsheala z taką siłą, że zatopiła się aż po rękojeść. Ardsheal wygiął się do tyłu, srebrzyste oczy zasnuły się krwią. Oderwał od siebie Buniona i obrócił się ku Paladynowi.

Rycerz zdążył już jednak wyciągnąć olbrzymi pałasz i z każdym gramem siły, jaka mu jeszcze została, zamachnął się nim i wymierzył wrogowi potężny cios z góry. Ostrze trafiło w ramię przy szyi i cięło prosto w dół, torując sobie drogę aż do serca stworzenia.

Ardsheal osunął się na ziemię. Ciałem wstrząsnęły drgawki i w okropnych oczach pojawiło się słabe odbicie lęku przed czymś, czemu nawet najciemniejsza magia nie jest w stanie się oprzeć. Oczy zastygły i magia się ulotniła. Śmierć kolejny raz ukradła Ardsheala.

Połamana, wycieńczona i poszarpana karykatura srebrnego rycerza wyciągnęła pałasz z trupa i odwróciła się do króla Landover, który kulił się na łóżku. Ich oczy się spotkały i zatrzymały. Paladyn miał dziwne wrażenie, że patrzy na samego siebie. Zaczął opadać na jedno kolano, lecz pochwycony w światło medalionu wciąż wyciągniętego w dłoni króla, został przeniesiony w ramiona kojącego snu.

W ciszy, która nastąpiła potem, Ben i Willow usłyszeli, jak na nowo zaczyna padać deszcz.

Wezwani strażnicy gwardii królewskiej usunęli to, co pozostało po Ardshealu. Ucichły odgłosy walki. Po wyjściu żołnierzy i doprowadzeniu pokoju do porządku Bunion zaciągnął wartę pod samymi drzwiami. Kobold obwinał siebie za to, co się stało. Kiedy nastąpił atak, był na kolejnym rekonesansie, tym razem pod murami zamku, lecz wróg, którego szukał, prześliznął się obok niego i wszedł do środka nie zauważony. Nie mówiono o tym, lecz przeprosiny były aż nadto

widoczne w jego ukradkowych spojrzeniach oraz błysku zębów.

Kiedy Ben i Willow zostali w końcu sami, przyłgnęli do siebie z siłą, z jaką człowiek chwyta się kruchej skały, gdy nie czuje gruntu pod nogami. Nie mówili do siebie nic. Stali objęci i pokrzepiali się swoją bliskością. Mimo letniego upału Willow cała drżała. Ben, choć sprawiał wrażenie spokojnego, był wewnątrz zdruzgotany.

Z powrotem położyli się do łóżka. Otaczający ich mrok nie dawał już wytchnienia, oczy błędziły po pokoju, uszy reagowały naajsłabszy nawet szmer. Nie mogli spać i nie próbowali tego robić. Ben uspokajał drżącą Willow, chcąc odpędzić choć na krótką chwilę jej lęk przed stworzeniem, które przyszło ich zabić. Tulił ją mocno do siebie i próbował znaleźć słowa wyznania, które musi teraz złożyć, jeśli marzy o odzyskaniu spokoju.

Na zewnątrz krople deszczu stukały równym rytmem o kamienie wyściełające zamkowe place.

- Muszę ci coś powiedzieć o Paladynie - odezwał się w końcu, pośpiesznie wypowiadając słowa, których nie umiał lepiej poskładać. - Nie jest to łatwo wyjaśnić, ale

spróbuję. On i ja jesteśmy tą samą osobą, Willow. W tej chwili czuję w sobie cały jego ból. Czuję, jak przeszywa jego członki, jak nadwreżył duszę, jak bliski jest załamania go. Czuję to, kiedy toczy walkę, ale czuję to również teraz. - Wziął głęboki oddech. - Mam wrażenie, że może rozerwać mnie na kawałki, połamać mi kości i powalić na ziemię. Nawet teraz tam jest. Odszedł, ale to nic nie zmienia. - Poczuł, jak Willow odsuwa głowę od jego ramienia, aby zobaczyć jego twarz. Czuł, jak jej palce przesuwają się po jego piersi.

- On jest częścią mnie, Willow. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Jest częścią mnie i zawsze nim był, odkąd przybyłem na Landover i przejąłem medalion władzy królewskiej. Medalion łączy nas ze sobą, sprawia, że stajemy się jednością, kiedy wzywam go z miejsca, w którym czeka. - Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok. - Gdy medalion go wzywa, magiczna moc przenosi jakąś część mnie do wnętrza jego zbroi.

Nie chodzi o moje ciało albo o umysł, ale o serce, wolę i świadomość celu. Bierze to, co mu jest potrzebne. W pewnym sensie król i królewski szermierz są tym samym. Na tym polega prawdziwa tajemnica medalionu. Nie mogłem ci jej wyjawić. Jej szmaragdowe oczy wpatrywały się w niego łagodnie.

- Dlaczego nie mogłeś mi jej wyjawić? - zapytała cicho.

- Ponieważ bałem się, jak na to zareagujesz. - Zmusił się, żeby spojrzeć jej prosto w oczy i nie odwrócić głowy. - Chciałem ci to powiedzieć. Czułem, że powinienem, że nie mam prawa zatrzymać tego dla siebie, ale się bałem. Nie wiedziałem, co zrobisz, wiedząc, że za każdym razem, kiedy jest przyzywany Paladyn, to właściwie ja, a przynajmniej jakaś ważna część mnie samego toczy tę walkę. Jak byś zareagowała, wiedząc, że śmierć Paladyna może pociągnąć za sobą moją śmierć. - Potrząsnął głową. - Ale jest coś jeszcze gorszego niż to. Za każdym razem, kiedy wchodzę w Paladyna i staję się jednym z nim, czuję, jak coraz bardziej się oddalam od tego, kim naprawdę jestem. Staję się nim i za każdym razem jest mi trudniej wrócić. Żyję w ciągłym lęku, że za którymś razem nie będę mógł w ogóle wrócić, ponieważ nie będę chciał, ponieważ zapomnę, kim jestem, ponieważ spodoba mi się to, kim zostałem. Jakże kusząca jest siła tej magii! Kiedy jestem Paladynem, on jest tym wszystkim, czego pragnę. Gdyby medalion nie sprowadzał mnie ponownie do mnie samego, gdyby nie zabierał Paladyna, to nie wiem, czy mógłbym kiedykolwiek wrócić z własnej woli. Myślę, że mógłbym być stracony na zawsze.

Ból w jej oczach był nie do zniesienia.

- Powinieneś był mi powiedzieć - odezwała się cichym głosem.

Kiwnął głową z braku słów.

- Nie rozumiesz, Ben? Kiedy znalazłam cię w jeziorze Irrylyn, oddałam ci się bez

reszty, na dobre i złe. Należę do ciebie i nic mnie od ciebie nie oddali. Nic!

- Wiem - przyznał.

Nie, nie wiesz, bo inaczej nie wahałbyś się mi tego powiedzieć. - Jej głos brzmiał miękko, lecz tkwiła w nim twardość żelaza. - Nie ma rzeczy, których nie możesz mi powiedzieć, Ben. Nigdy ich nie będzie. Zawsze będziemy ze sobą, do samego końca. Wiesz, jak brzmi przepowiednia. Znasz prorocstwo. Nigdy nie powinieneś wątpić w siłę jej prawdziwości.

- Obawiałem się - zaczął, ale uciszyła go szybko.

- Nie, zapomnij o tym na razie. Zostaw to. - Dotknęła go delikatnie. - Opowiedz mi jeszcze raz. Cały jego ból wraca do ciebie? Czujesz wszystkie rany, które poniósł, broniąc ciebie?

Przymknął oczy.

- Czuję, jakbym rozpadał się na części. Czuję, jakbym umierał, a nie potrafię znaleźć rany, która mnie zabija. Ona jest wszędzie, wewnątrz i na zewnątrz. Jestem w częściach rozrzuconych po całym pokoju: w powietrzu, w odgłosach deszczu, we własnym oddechu. Nie wiem, co robić. Paladyn wygrał, ale ja najwyraźniej przegrałem. Wezwanie go po tak krótkim czasie było czymś ponad moje siły. Willow, ja nie mam do tego serca!

- Ciii, już dobrze - uspokoiła go, przytulając się doń. Pocałowała go w usta. - Masz wystarczająco dużo serca dla nas wszystkich, Benie Holidayu. Na tym zawsze polegała twoja siła. Przeżyłeś potworne walki. Żaden zwykły człowiek nie dokonałby tego, co tobie się udało. Nie odbieraj sobie zasług. Nie pomniejszaj tego, co zrobiłeś. Posłuchaj mnie. Tajemnica Paladyna jest teraz nasza, twoja i moja, i nie musisz jej sam dźwigać. Pomogę ci. Znajdę sposób, żeby ci dopomóc, kiedy będziesz znużony i przybity, tak jak w tej chwili. Pomogę ci się uchronić przed bólem. Jeśli będziesz musiał wejść w Paladyna dla naszego dobra, ja znajdę sposób, żeby wyciągnąć cię z powrotem. Zawsze. Kocham cię.

- Nigdy w to nie wątpiłem - odpowiedział miękko. - Już dawno bym się poddał, gdyby nie to.

Pogłaskała go delikatnie po czole, całując jeszcze raz. Czuł się coraz bardziej rozluźniony i zaczął powoli tracić świadomość rzeczywistości.

- Zaśnij - wyszeptwała.

Kiwnął głową, a oddech robił się stopniowo równiejszy i głębszy. Ból częściowo ustąpił. Wspomnienia walki w skorupie Paladyna straciły na ostrości, wycofując się pod delikatnym dotykiem Willow. Sen odnowi jego siłę i rano będzie mógł działać dalej. Pozostawała tylko świadomość, że doświadczenie to będzie się powtarzało przy każdym

przeobrażeniu. Ale i z tym jakoś sobie poradzi, pomyślał. Nawet z tym.

Uspokoił się, odsunął strach i rozpacz. Trzeba znaleźć Mistayę, pomyślał. Znaleźć ją zdrową, a wtedy nie będzie szkoda tego wszystkiego. Sprowadzić Questora i Abernathy'ego. Zakończyć z Rydallem z Marnhull i jego podstępą grą.

Pośród ciszy atramentowej nocy słowa te brzmiały jak szept nadziei.

Odszukać Nocny Cień w Wielkiej Czułości. Tam odkryć prawdę.

W chwilę później zapadł w głęboki sen.

PSIE MARZENIA

Kiedy Abernathy obudził się następnego ranka, po stosunkowo dobrze przespanej nocy (zważywszy na bolesne doświadczenia poprzedniego dnia), Questor Thews siedział na krześle naprzeciwko jego łóżka, wbijając weń wzrok niczym nadciągająca śmierć. Wyglądało to bardzo niepokojąco. Abernathy zmrużył oczy, sięgnął po okulary i przez dłuższą chwilę przyglądał się czarodziejowi z uwagą.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Mag kiwnął głową, potem pokręcił nią, nie mogąc się zdecydować.

- Musimy porozmawiać, stary druhu - oznajmił przygnębiony.

Niewiele brakowało, a skryba wybuchnąłby śmiechem, słysząc powagę w głosie przyjaciela. Po chwili zauważył, jak chmurnie patrzyły na niego przygaszone oczy tamtego, i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Questor Thews był czymś głęboko zatroskany.

- Cóż - odezwał się w odpowiedzi i znowu zamilkł, jak gdyby to jedno słowo załatwiało sprawę i nie wymagało dalszej rozmowy. Podniósł się, usiadł i przez chwilę mimowolnie podziwiał płynne linie swych ramion i nóg, dłużej skupiając się na wyglądzie palców u rąk i nóg. Te u rąk były długie i szczupłe, u nóg zaś były skurczone jak gumowe cukierki, których smak niedawno poznał. Elizabeth miała ich całą torbę na dole w kuchni i zawsze go nimi częstowała. Nie podobało mu się to, że przypominały mu jego palce. Odchrząknął. - O czym chciałbyś rozmawiać? - zapytał, mając nadzieję, że nie będzie to dotyczyło Poggydda.

Questor Thews podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Wyglądał jak wysoki, przygarbiony strach na wróble, z którego wyłazi słoma. Odchylił zasłonę i wyjrzał na zewnątrz, mrużąc oczy od światła. Dzień był słoneczny i ciepły, niebo bezchmurne, a świat budził się do życia.

- Zejdźmy na dół na dziedziniec i usiądźmy w cieniu tamtych drzew - zaproponował z wymuszoną wesołością.

- Dobrze. - Abernathy westchnął.

Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i dopiero wtedy dotarło doń, że Cjuestor Thews chce porozmawiać o książce. Abernathy zapomniał o niej, zaabsorbowany nieoczekiwanym pojawieniem się Poggwydda w Graum Wythe i późniejszym pojmaniem go. Gnom-dodom był kolejnym wygnańcem z Land-over, uwięzionym tak jak oni, choć oczywiście z tą różnicą, że Poggwydd tak naprawdę nie chciał mieć nic wspólnego z tym światem, gdy tymczasem Abernathy coraz lepiej się czuł w miejscu swego wygnania.

To oznacza, wnioskował, że książka ujawniła przed Que-storem wiedzę dotyczącą przeniesienia się. To dlatego czarodziej nie spał. Znalazł wreszcie odpowiedź i starał się znaleźć sposób, jak zakomunikować to Abernathy'emu, który jak wiedział, nie miał wielkiej ochoty wracać. Choć, skryba przekonywał sam siebie, nie jest to prawdą, bo chciał wrócić, gdyż rozumiał tak samo jak Cjuestor, że król ich potrzebuje, że Mi-staya znajduje się w rękach Nocnego Cienia i że zdarzy się coś okropnego, jeśli nie powrócą na czas i nie zapobiegną temu.

Ale czemu? Co ma się wydarzyć? Żałował, że nie zna na to odpowiedzi. Nie zaszkodziłoby mieć trochę więcej pewności w tej sprawie.

Skończył naciągać buty i wyszedł z łazienki prosto na Questora. Czarodziej popatrzył na niego, wyraźnie wstrząśnięty, i szybko się odwrócił.

- Och, dziękuję ci bardzo! - rzucił Abernathy. - Czy mam spodnie założone na drugą stronę? A może moje buty są niewłaściwego koloru?

- Nie, nie. - Mag przyłożył dłoń do czoła ze zboląłą miną. - Twój wygląd jest bez zarzutu. - Machnął tajemniczo rękoma w powietrzu. - Wybacz mój brak uprzejmości, ale nie zmrużyłem oka przez całą noc.

Abernathy skinął głową, nie mając pojęcia, dlaczego to robi.

- Może byśmy w końcu zeszli na dół i zaczęli naszą rozmowę - naciskał, pragnąc mieć to z głowy. - Zobaczmy, czy Elizabeth już się obudziła. Powiemy jej, żeby poszła z nami.

Questor jednak szybko pokręcił głową.

- Wolałbym, aby ta rozmowa przebiegała tylko między mną i tobą. - Opuścił wzrok i przygryzł dolną wargę. - Wybacz mi, proszę.

Abernathy się nie sprzeciwił. Otworzyli drzwi sypialni i ruszyli krótkim korytarzem, a potem po schodach w dół. Gdy mijali zamknięte drzwi Elizabeth, usłyszeli dobiegający z pokoju jej śpiew. Przynajmniej jedna osoba miała dobry humor. Weszli do kuchni i znaleźli się na wprost pani Ambaum. Parzyła właśnie herbatę, a gdy odwróciła się ku nim, zobaczyli śmiałą, rubaszną i czujną twarz, na której wypisany był tryumf.

- Rozmawiałam zeszłego wieczoru z ojcem Elizabeth. Nie przypomina sobie, żeby miał wujka Abemathy'ego. Nie przypomina sobie nikogo o takim imieniu. Co pan na to?

Jedna dłoń zacisnęła się na sitku do herbaty. Uzbroiła się na wypadek, gdyby przyszło im do głowy, żeby próbować jakichś sztuczek.

Abernathy uśmiechnął się czarująco.

- Nie widzieliśmy się od wielu lat. Ostatnim razem chyba jak byliśmy jeszcze chłopcami.

Kąciki ust gospodyni wykrzywiły się.

- Kazał powiedzieć Elizabeth, że przylatuje dziś wieczorem. Chce się wam przyjrzeć.

Abernathy zmrużył oczy, wyobrażając sobie to spotkanie. Pani Ambaum zadarła głowę, jak gdyby chciała zajrzeć mu pod czaszkę.

Questor Thews wziął sprawę szybko w swoje ręce.

- Coś takiego! - zawołał. Ujął Abernathy'ego za ramię i przeprowadził obok zaskoczony gospodyni, kierując się w stronę drzwi. - Proszę się tym nie martwić! - zawołał przez ramię. - Wszystko zostanie wkrótce wyjaśnione!

Zeszli po schodach werandy i znaleźli się na podwórzu. Abernathy z trudem się powstrzymał, aby się nie obejrzeć i nie sprawdzić, czy pani Ambaum nie patrzy na nich.

- Niewiele obchodzi mnie ta kobieta - wymamrotał. Twarz Questora wykrzywił grymas.

- Daj spokój. Ty też ją niewiele obchodzisz.

Przeszli na tylne podwórze, z dala od budynku, żeby żadne wścibskie uszy nie podsłuchały tego, o czym rozmawiają. Abernathy spojrział w niebo i ogarnął wzrokiem obszerną kopułę błękitu. Wciągnął zapach kwiatów, traw i lekkiej wilgoci. Pani Ambaum odeszła w niepamięć.

Dotarli do starej, pomalowanej błyszczącą białą farbą ławki i usiedli, spoglądając przez szeroką połąć pustych pól ku zachodowi, gdzie wznosiły się na tle bezkresnego nieba białe szczyty Gór Kaskadowych.

Po chwili milczenia Abernathy spojrział na Questora.

- A zatem? - powiedział.

Czarodziej westchnął, położył splecione dłonie na kolanach i niespokojnie westchnął jeszcze raz.

- Mamy problem - stwierdził.

Abernathy czekał, aż stało się jasne, że Questor nie wie, co powiedzieć dalej.

- Questorze, czy mógłbyś wypowiadać za jednym razem więcej niż jedno zdanie?

Inaczej stracimy cały dzień.

- Dobrze, w porządku. - Czarodziej zaczął okazywać więcej emocji. - Ta książka. *Teoria magii i sposoby jej wykorzystania*. Przeczytałem ją zeszłej nocy. Właściwie to dwa razy. Dokładnie ją przestudiowałem. Sądzę, że jest tam to, czego szukamy.

Abernathy kiwnął głową.

- Ty sądzisz? To chyba nie wystarczy tym, którzy czekają na twoje zdecydowane „tak” lub „nie”.

- Cóż, to książka o magii, a magia nigdy nie jest precyzyjna, jak sam wiesz. A ta książka dotyczy teorii, są to ogólne rozważania na temat różnych form magii, ich działania, zasad i cech im wspólnych. Nie ma tam zatem takich poleceń jak: „Weź oko jaszczurki, dodaj łapę żaby, zamieszaj trzy razy w lewą stronę” albo czegoś podobnego.

- Mam nadzieję, że nie.

- No oczywiście, że to nie jest prawdziwe zaklęcie. To tylko przykład na konkretne zaklęcie, w przeciwieństwie do ogólnej teorii. Ta książka traktuje o teorii, jak już powiedziałem, więc nie można być niczego pewnym, dopóki się tego nie wypróbuje. Można tylko dostosować teorię do danej sytuacji i mieć stosunkowo dużą pewność, że się uda. Abernathy zmarszczył czoło.

- Jakoś mnie to nie uspokaja. Raczej przywołuje dawne wspomnienia.

Questor Thews wyrzucił do góry rękę.

- Do licha, Abernathy, traktuj to poważnie! Twoje nonszalanckie uwagi w niczym nie pomagają! Proszę, nie sil się już na dowcip! Po prostu słuchaj mnie!

Patrzyli na siebie w ogłuszającej ciszy. Uśmiech na twarzy Abernathy’ego zgasł.

- Wybacz mi - powiedział, zdziwiony, że słowa te przeszły mu przez gardło.

Questor kiwnął pośpiesznie głową, dając do zrozumienia, że zapomina o całej sprawie. W końcu są przyjaciółmi.

- Teoria - kontynuował, wybierając konkretny wątek rozmowy. - Książka ujawnia teorię, którą pamiętam z czasów, kiedy uczyłem się u mojego brata, jeszcze za panowania starego króla. Mówi ona mniej więcej tyle: kiedy jedna magia interweniuje, aby zasadniczo zmienić wynik drugiej, wtedy w celu odwrócenia konsekwencji interweniującej magii trzeba posłużyć się trzecią magią, aby przywrócić rzeczom ich wcześniejszy kształt. A zatem zostaje zastosowana pierwsza magia, druga zmienia jej rezultat, a trzecia cofa wszystko do kształtu pierwotnego.

Abernathy patrzył na niego wielkimi oczami.

- A co z konsekwencjami magii pierwszej, kiedy skutki magii drugiej zostały

zanegowane?

- Nie, nie, to nie ma żadnego wpływu! Pierwsza magia została już zlikwidowana! - Wargi Questora zacisnęły się, a krzaczaste brwi ściągnęły. - Nadażasz za mną?

Nocny Cień próbowała nas zabić za pomocą swojej magii. Nie udało jej się, ponieważ interweniowała inna magia, ta która należy do salamandry, jak przypuszczamy. Teraz musimy zastosować trzecią magię, aby przywrócić rzeczom dawny kształt. Tutaj się gubię. Jakim rzeczom przywrócić dawny kształt?

Questor przymknął oczy.

- Chwileczkę, chodzi o coś jeszcze. Druga magia, aby pokonać pierwszą i jednocześnie ułatwić możliwość przyszłego zanegowania jej samej, musi posłużyć się katalizatorem. Jest nim jakaś mniej ważna konsekwencja zadziałania magii, której nie można pomylić z niczym innym. Konsekwencja ta ułatwia dominację drugiej magii nad pierwszą. Trzeba ją traktować jako formę poświęcenia. W niektórych wypadkach właściwie nią jest. Na przykład jedno życie oddane dla uratowania innych. Dość trudno to odwrócić. Zazwyczaj ta konsekwencja nie ma znaczenia dla przebiegu wydarzeń poza tym, że ma stanowić widoczną wskazówkę tego, co ma być z powrotem cofnięte na właściwe miejsce. - Wziął głęboki oddech. - Przepraszam. Wiem, że trudno się w tym połapać.

Lecz Abernathy pokręcił powoli głową i twarz nagle mu zbladła.

- Cjuestorze, ty mówisz o mnie, prawda? Mówisz o zamianie mnie z powrotem z człowieka w psa. Przyznaj.

Jego przyjaciel westchnął i skinął głową.

- Owszem.

- Sądzisz, że jeśli się użyje magii zmieniającej mnie z powrotem w psa, wtedy konsekwencje drugiej magii będą cofnięte, a my zostaniemy odesłani z powrotem na Landover. Czy tak?

- Tak.

- Przecież to śmieszne. - Z jego głosu jednak nie wynikało, że jest to zabawne, i chyba w to nie wierzył. Gdzieś w głębi czuł, że jest właśnie tak, jak to przed chwilą logicznie przedstawił. Jakaś cząstką spodziewał się tego od pierwszej chwili, gdy zdał sobie sprawę ze swego szczęścia. Wydawało mu się to oczywiste, że nie może się cieszyć takim szczęściem bez ponoszenia żadnych konsekwencji, że nie może tak łatwo uciec przed swym przeznaczeniem. Nienawidził siebie za to, że tak myślał, ale nic na to nie mógł poradzić. Przeklęty przez los. Zesłany do czyśćca. To, co mu się przydarzyło, to tylko wakacje od rzeczywistości i nic więcej. - Mogłeś się mylić - upierał się, próbując zachować zimną krew,

choć rozpacz zaczęła już w nim narastać i czuł, jak fala gorąca przechodzi z szyi na twarz.

- Mogłem - przyznał Questor Thews. - Ale sądzę, że raczej nie. Zgodziliśmy się już co do tego, że wysłano nas na stary świat naszego króla, aby uratować nam życie i dlatego, że coś, co tu jest ukryte pomoże nam znaleźć drogę powrotną. Magia, która nas tutaj wysłała, miała niby wyposażyć nas w klucz do naszego więzienia. Wszystko jest tak, jak było, z wyjątkiem twego przeobrażenia, chyba że ono samo jest kluczem. Nie ma innego powodu, dla którego miałyby się to wydarzyć. Jest to zbyt poważna zmiana, aby ją traktować jako skutek uboczny. Musi się za tym kryć coś więcej, a cóż innego to może być?

Abernathy podniósł się na nogi - ludzkie jeszcze - i ruszył majestatycznym krokiem. Zatrzymał się, kiedy był na tyle daleko od czarodzieja, żeby poczuć, iż jest sam, i popatrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie zrobię tego! - krzyknął.

- Nie proszę cię o to! - odpowiedział tamten. Abernathy zamachał z oburzeniem rękami.

- Nie bądź śmieszny! Oczywiście, że prosisz!

Obrócił się nagle, gotów przyjąć wyzwanie. Questor Thews wyglądał staro i krucho.

- Nie, Abernathy, nie proszę. Jakże mógłbym? To przecież ja ciebie zamieniłem. Wypadek? Owszem, ale to nie tłumaczy tego, co się stało. Przemieniłem cię z człowieka w psa, a potem nie potrafiłem tego cofnąć. Żyłem ze świadomością tego niepowodzenia dzień w dzień przez całe życie. A teraz znalazłem się w sytuacji, w której oczekuje się po mnie, że zamienię cię po raz drugi. Muszę ponownie przeżywać najgorsze chwile mego życia, wiedząc, zauważ, że wciąż nie potrafię odwrócić konsekwencji tych czarów. - W oczach starego człowieka były łzy, które ocierał z nagłą furią. - Mogę ci powiedzieć, że samo zastanawianie się nad tym jest niemal nie do zniesienia.

Nie tylko dla ciebie, pomyślał posepnie Abernathy. Spojrzał na siebie, na swoje prawdziwe „ja”, na odzyskane „ja”, i przez chwilę wyobraził sobie, że znowu będzie psem, kudłatym, niezdarnym i śmiesznym stworzeniem jak kiedyś. Uzmysłowił sobie, że znowu jest uwięziony wewnątrz obcego ciała i walczy o zachowanie własnej godności, każdego dnia stara się przekonać tych, którzy go otaczają, że jest człowiekiem tak jak oni. Jak można oczekiwać od niego takiego poświęcenia? To miała być cena za powrót na Landover? Wiedział jednak, że jest to coś więcej. Była to cena za to, że żyją. Gdyby nie interwencja tajemniczej magii, zginęliby. Nocny Cień skończyłaby z nim. Z nimi dwoma. I Questor miał niewątpliwie rację, choć z bólem o tym mówił. Jego przeobrażenie z psa z powrotem w człowieka miało swój cel, a jedynym sensownym był ten, który odkrył czarodziej po

przestudiowaniu księgi o magii.

Mógł zatem zostać albo wrócić. Wybór należał do niego. Questor nie chciał próbować go przekonywać do żadnej z możliwości. Czarodziej sam zmagał się z własnymi demonami. Abernathy musiał wybrać bez niczyjej pomocy. Jeśli odrzuci przeobrażenie, zostanie tutaj w pułapce. Ma to swoje dobre i złe strony. Nie ma potrzeby ich tu wymieniać. Oczywiście Ben Holiday też pozostałby w pułapce. Nie będą mogli mu pomóc. Z drugiej strony jeśli pozwoli Questorowi odwołać się do magii, to prawdopodobnie wróci on na czas, aby pomóc królowi. Ale czy na pewno? Czy naprawdę powrót ma sens, czy też rzeczy będą się toczyły własną koleją, niezależnie od jego decyzji? Gdyby tylko mógł to wiedzieć! Inaczej miałyby się sprawy, gdyby przez swój powrót miał uratować króla i jego rodzinę przed Rydallem i Nocnym Cieniem, a inaczej, gdyby jego powrót niczego nie zmieniał.

Rzucił okiem w stronę domu. Pani Ambaum wyglądała przez okno i patrzyła na nich, z zadowoleniem popijając herbatę. Zemsta przyjdzie przed zmierzchem, myślała. Wciąż nie było śladu Elizabeth. Za domem, od strony frontowego podwórza, w miejscu gdzie droga zakręcała, aby później skryć się za wzniesieniem, podnosiło się znad horyzontu słońce w postaci mglistej zasłony, przeświecającej przez szpaler drzew.

Podszedł z powrotem do Questora Thewsa i zatrzymał się tuż przed nim, patrząc badawczo na starą, zmęczoną twarz.

- Naprawdę nie sądzę, abym mógł to zrobić - powiedział cicho.

Czarodziej kiwnął głową. Jego skurczona twarz przypominała kłębowisko zmarszczek.

- Nie mam ci tego za złe.

Abernathy wyciągnął przed siebie dłonie i popatrzył na nie. Pokręcił głową.

- Czy ty w ogóle pamiętasz zaklęcie, którego użyłeś, aby mnie zamienić za pierwszym razem?

Questor nie podniósł głowy, lecz kiwnął, że tak.

- Po tylu latach. Czy to nie ciekawe? - Abernathy popatrzył na siebie. Zamiana nastąpiła nie tak znowu dawno temu, a już zdążył się przyzwycząić do swojej starej skóry. - Lubię siebie takiego, jakim jestem teraz - wyszeptał.

W drzwiach pojawiła się Elizabeth.

- Śniadanie!

Żaden się nie poruszył. Po chwili Questor pomachał do niej.

- Zaraz będziemy! - zawołał. Spojrzał na przyjaciela. - Naprawdę mi przykro.

Abernathy uśmiechnął się smutno.

- Wierzę ci.

- Dałbym nie wiem co, żeby nie musieć ci tego mówić, wszystko, żeby tylko było inaczej. - Przygryzł wargi.

- Jeśli nie jest tak, jak mówisz - zastanawiał się na głos Abernathy - to zostanę uwięziony tutaj jako pies.

Questor Thews kiwnął głową, patrząc mu tym razem prosto w oczy.

- Ale tak jest. Jesteś tego pewien, tak?

Czarodziej jeszcze raz kiwnął głową, nie odzywając się.

- Muszę się zdecydować w tej chwili, prawda? - dopytywał się niechętnie Abernathy. - Jeśli mamy się na coś przydać królowi i Mistai, musimy wracać jak najszybciej. Nie ma czasu na długie zastanawianie się.

- Nie, raczej nie.

- Dlaczego zatem nie przedyskutujesz tego ze mną?

- Przedyskutować z tobą?

- Przekonaj mnie do jednego lub do drugiego. Ty wybierz to, czego będziesz bronił. Albo przekonuj mnie do jednego i do drugiego. Ale daj mi jakieś argumenty, nad którymi będę mógł się zastanowić. Daj mi coś, z czym będę mógł się nie zgodzić. Daj mi jakieś opinie inne od moich, których będę mógł wysłuchać!

- Już ci wyjaśniłem...

- Przestań wyjaśniać! - Abernathy nagle się ożywił. - Przestań być taki racjonalny! Przestań być bierny! Nie stój i nie czekaj, aż sam podejmę decyzję!

- Ale to twoja decyzja, Abernathy, nie moja. Przecież wiesz o tym.

- Nic nie wiem! Zupełnie nic! Jestem już zmęczony tym, że nie wiem, co się dzieje z moim życiem! Chcę jedynie, żeby było tak jak kiedyś, a nie pozwala mi się na to! Wciąż wymaga się ode mnie, abym grał tak, jak to robiłem, kiedy się pojawiliśmy na tym festiwalu Bumble-coś-tam, tyle że nie widzimy teraz żadnej publiczności! Dlaczego miałbym się zgodzić ciągnąć to dalej? Nie lepiej po prostu sięść i nic nie robić?

- Nierobienie niczego równa się robieniu czegoś! - Teraz 1 Questor zaczął się trochę gorączkować. - Tak czy inaczej dokonujesz wyboru!

Abernathy zacisnął pięści z wściekłości.

- Więc wciąż powracamy do tego samego: i tak dokonuję wyboru, nawet jeśli to nie jest w ogóle wybór.

- Zaczynasz już pleść!

- Próbuję odnaleźć w tym sens! Questor Thews westchnął.

- Zjedzmy najpierw śniadanie, a później może...

- Och, daj spokój! Wracam!

- ...będzie łatwiej się nad tym zastanowić jeszcze raz. Czarodziej przestał nagle oddychać. - Co ty powiedziałeś?

Abernathy z trudem się powstrzymał, żeby głos mu się nie załamał.

- Powiedziałem, że wracam! Chcę, żebyś użył zaklęcia, aby mnie zmienić! - Widząc zmianę na zmęczonej twarzy tamtego, nagle się uspokoił. - To nie jest aż taka trudna decyzja, Questorze. Kiedy już będzie po wszystkim, będę musiał się pogodzić żyć z samym sobą. Jeśli mam być znowu psem, będę w stanie się do tego dostosować. Pogodzę się z tym, wiedząc, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, aby pomóc naszemu panu i jego rodzinie. Bo gdybym został człowiekiem i później miał się dowiedzieć, że zmieniając się w psa, mogłem uratować ich życie... wyobrażasz chyba sobie, co bym czuł. - Przerwał, aby odchrząknąć. - Poza tym złożyłem przysięgę. - Przez dłuższą chwilę wyglądał na najsmutniejszego człowieka pod słońcem. - Jestem nadwornym pisarzem królestwa Landover i przysięgałem służyć królowi. Jestem zobowiązany służyć mu na wszelkie sposoby. Teraz może bym chciał, aby było inaczej, ale nie mogę zmienić faktów.

Questor Thews wpatrywał się weń rozszerzonymi oczami, w których pałał dziki ogień.

- Jesteś niezwykły - powiedział miękko czarodziej. - Naprawdę.

Nagle objął przyjaciela rękoma i uściskał, ocierając się brodą o gładką skórę Abernathy'ego.

- No cóż - odparł Abernathy w odpowiedzi, zaskoczony reakcją tamtego. Próbował okazać obojętność. - Ty też.

Poszli do domu zjeść śniadanie z Elizabeth. Siedli we troje przy stoliku w kuchni stłoczeni nad miskami płatków z mlekiem. Pani Ambaum krzątała się nadzwyczaj gorliwie przez jakiś czas, jak gdyby chciała mieć kontrolę nad tym, co robią, po czym jednak porzuciła swoje starania i zniknęła w głównych drzwiach obiecując, że wróci koło południa.

Zaraz po jej wyjściu Elizabeth powiedziała:

- Tata wraca dziś wieczorem; przylatuje samolotem z Nowego Jorku.

- Pani Ambaum już nas o tym poinformowała - oznajmił Questor. Nie patrzył na Abernathy'ego. Jego przyjaciel jadł z głową pochyloną nisko nad miską, ręką podpierając czoło.

- Musimy wymyślić jakąś inną historię - ciągnęła Elizabeth. Jej kręcone włosy były

jeszcze mokre po umyciu, a twarz świeżo wyszorowana pastą do pielęgnacji skóry. - To nie będzie trudne. Powiemy, że pani Ambaum nie zrozumiała i że wy...

Questor kręcił już jednak głową.

- Nie, Elizabeth. To nie będzie konieczne. Abernathy i ja wyjeżdżamy.

- Wyjeżdżacie? Kiedy? Questor uśmiechnął się smutno.

- Niezwłocznie. Zaraz, jak tylko skończymy jeść.

Na jej twarzy natychmiast pokazało się rozczarowanie.

- Znalazłeś zatem sposób, żeby tam wrócić, prawda? Questor kiwnął głową.

- Dziś w nocy.

Zagryzła wargi. Spojrzała na Abernathy'ego, marszcząc czoło.

- Przecież dopiero co przybyliście. Nie możecie zostać trochę dłużej, choćby jeden dzień? Może mogłaby...

- Nie, Elizabeth. - Abernathy wyprostował się i jego życzliwe oczy spotkały się z jej przepełnionym rozpaczą spojrzeniem. - Król nas potrzebuje. Tak samo Mistaya. Każda zwłoka może okazać się niebezpieczna. Nie możemy zostać.

Elizabeth spuściła wzrok na płatki i zamieszała w nich kilka razy łyżką.

- To niesprawiedliwe. Nie chcę, żebyście myśleli, że jestem egoistką. Wiem, że wasz powrót jest bardzo ważny, ale wy dopiero co tutaj przybyliście. - Podniosła oczy i szybko je znowu opuściła. - Czekałam cztery lata, żeby was znowu zobaczyć.

Abernathy nie mógł powiedzieć ani słowa. Jego twarz była sparaliżowana.

Przez krótką chwilę trwała cisza.

- A co z Poggwyddem? - zapytała w końcu. Questor odchrząknął.

- Poggwydd powróci z nami. Abernathy i ja postaramy się go uwolnić, zaraz po wyjściu stąd.

- Pójdę z wami - oznajmiła natychmiast Elizabeth.

- Nie - powiedział szybko Abernathy, myśląc o tym, iż wystarczy, że oni sami muszą iść, ale powstrzymał się od komentarza.

- On ma na myśli to - rzekł Questor, zrywając się na nogi - że w chwili uwolnienia Poggwydda od razu znikamy. Puff! i nas nie ma. - Próbował się uśmiechnąć. - Gdyby były jakieś

problemy, nie chcielibyśmy, abyś była w nie wplątana. Czy nie jest tak, Abernathy?

- Ale możecie potrzebować mojej pomocy! - Elizabeth nie czekała na to, co Abernathy

ma do powiedzenia. - Nie wiecie, jak się poruszać po Seattle! Jak chcecie znaleźć Poggwydda?

- No cóż. Może mogłabyś nam pomóc - zaproponował czarodziej, łagodząc napięcie.

- Elizabeth. - Abernathy położył ręce na stole i westchnął. - Gdybyśmy mogli zostać, tobyśmy zostali. Gdybyśmy mogli spędzić choćby odrobinę więcej czasu z tobą, tobyśmy to zrobili. Jesteś naszą przyjaciółką. Zwłaszcza moją. Teraz już podwójnie. Są jednak granice ryzyka, na które możemy cię narażać. Wystarczająco dużo kłopotów będziesz miała, żeby wyjaśnić ojcu naszą obecność tutaj.

- O niego nie muszę się martwić! Nie martwię się o panią Ambaum ani o nikogo innego! - Była nieugięta.

- Wiem - odpowiedział miękko. - Zawsze byłaś bardzo dzielna. Nikt nie mógł cię powstrzymać. Gdyby było inaczej, nie siedziałbym tutaj dzisiaj i nie rozmawiał z wami. - Uśmiechnął się smutno. - Martwimy się jednak o ciebie. Martwimy się, że coś może ci się przydarzyć i my za to będziemy odpowiedzialni. Pamiętasz, jak było z Michele Ard Rhi? Pamiętasz, jak niewiele brakowało, a spotkałoby cię coś złego? Bałem się o ciebie nie na żarty. Nie mogę ryzykować, aby coś takiego miało się powtórzyć. Musimy się pożegnać teraz. Tutaj, w tym domu, gdzie wiemy, że jesteś bezpieczna. Proszę cię o to, Elizabeth.

Przez chwilę się zastanawiała, po czym skinęła głową.

- Dobrze, Abernathy. - Wciąż była wytrącona z równowagi, nieufna i zdenerwowana.
- Chyba tak. - Westchnęła. - No cóż. Najważniejsze, że znowu jesteś człowiekiem, prawda? Najważniejsze, że nie jesteś już psem.

Abernathy uśmiechnął się dzielnie.

- Tak, najważniejsze, że nie jestem psem. Dokończyli śniadanie w milczeniu.

Aby się dowiedzieć, co się stało z Poggwyddem, Elizabeth zadzwoniła na komisariat policji hrabstwa King, skąd odesłano ją do Stacji Kontroli Zwierząt hrabstwa King, a stamtąd z kolei do schroniska dla zwierząt w dzielnicy Elliott. Ponieważ nikt nie był pewien, jak zaklasyfikować Poggwydda, a tym samym co z nim zrobić, przekazywano sobie gnoma z rąk do rąk jak stary but. Jego obecna sytuacja również była tymczasowa, jak się dowiedziała w trakcie rozmowy z jednym z pracowników schroniska dla zwierząt. Przed południem spodziewano się wizyty zoologa z ogrodu zoologicznego Woodland oraz antropologa z uniwersytetu Washington. Mieli ustalić, gdzie wysłać Poggwydda na dalsze badania.

Elizabeth odłożyła słuchawkę i zdała relację.

- Lepiej, żebyście się pośpieszyli - powiedziała, po czym wezwała taksówkę i dała im pieniądze na przejazd do schroniska. Na koniec udzieliła im ostatnich uwag i słów zachęty i

dała numer telefonu, na wypadek gdyby sprawy się zupełnie pogmatwały i okazało się, że jednak potrzebują jej pomocy. Tak naprawdę w głębi ducha liczyła na to, mając nadzieję, że jeszcze wróci, choć dobrze wiedziała, że będzie inaczej. Kiedy taksówka przyjechała, uścisnęła ich obu i życzyła bezpiecznej drogi. Pocałowała Abernathy'ego w policzek i szepnęła mu, że jest jej najlepszym przyjacielem, mimo że jest z innego świata, i że zawsze będzie na niego czekać, bo wie, że on któregoś dnia wróci. Abernathy oznajmił, że spróbuje, i dodał, że nigdy jej nie zapomni. Nie zdołała powiedzieć, że ona również nie zapomni, i zamiast tego wybuchła płaczem. Sporo wysiłku kosztowało Abernathy'ego to, żeby się nie rozplakać razem z nią.

Po chwili mag i skryba byli już w drodze. Pędzili cztero-i pięciopasmowymi autostradami, wyprzedzali inne pojazdy, na grubość lakieru omijając wszelkiego rodzaju bariery i przeszkody. Przejechali przez most, skręcili w opadającą mocno w dół ulicę, dwupasmówką jechali już z mniejszą prędkością i wreszcie zajechali na parking obok budynku z czerwonej cegły, na którym widniał napis: „Schronisko dla zwierząt hrabstwa King”.

Podali taksówkarzowi pieniądze od Elizabeth i z wyraźną ulgą stanęli z powrotem na twardym gruncie. Droga się rozwidła i na obu jej końcach znajdowały się wejścia. Poszli w lewo, lecz siedzący za stolikiem pracownik o znudzonym obliczu skierował ich z powrotem na zewnątrz do drugich drzwi. Przy kolejnym stoliku młoda kobieta w mundurze spojrzała na nich wyczekująco.

- Profesor Adkins? Pan Drozkin? - zapytała na powitanie.

Questor uznał to za doskonałą okazję. Uśmiechnął się i skinął głową.

Młodej kobiecie najwyraźniej kamień spadł z serca.

- Czy panowie się domyślają, co to może być? - zapytała. - Nikt z nas tutaj nie widział nigdy czegoś takiego. Jest nie do zniesienia! Próbowałam wszystkiego, pozostali zresztą też, ale nie możemy się nawet do niego zbliżyć. Gdy poliq'a go przywiozła, zdjęłam krępujące go pasy, a on próbował wyrwać mi rękę. Poza tym on je wszystko! Wiedzą panowie, co to jest?

- Jestem prawie pewien, że tak - powiedział Questor Thews. - Czy możemy go zobaczyć?

- Oczywiście. Proszę tędy. - Jak najszybciej chciała się pozbyć kłopotliwego ciężaru. Abernathy doskonale ją rozumiał.

Przeszli przez ciężkie, metalowe drzwi i dalej korytarzem do pomieszczenia z klatkami. Na samym końcu znajdował się Poggydd, wciśnięty w kąt największej z klatek. Ubranie wisiało na nim w strzępach, a sierść posklejana była od brudu i potu. Całe ciało od

stóp do głowy poznaczone było ranami i zadrapaniami, a z ust zwisał mu język. Nawet jak na gno-ma-dodoma był w oplakanym stanie.

Kiedy ich zobaczył, skoczył na równe nogi i rzucił się na kraty z zadziwiającą furją. Grzmocił i gryzł ciężkie pręty z zapiekłą dzikością, próbując ich dostać w swoje ręce.

- Jeszcze mu się pogorszyło! - z zaskoczeniem stwierdziła młoda kobieta. - Powinam mu natychmiast podać coś na uspokojenie!

- Nie, nie. Zaczekajmy z tym jeszcze chwilę, proszę - przerwał pośpiesznie Cjuestor. - Chciałbym go zwyczajnie poobserwować w tej chwili. Nie chcę go otepiać. Czy może nas pani zostawić na kilka minut... Przepraszam, nie znam pani nazwiska.

- Beckendall. Lucy Beckendall. - Wyciągnęła dłoń, którą Questor serdecznie uściskał, nie troszcząc się o przedstawienie samego siebie, bo i tak już zapomniał, za kogo został wzięty. Tylko kilka minut? - powtórzył z nadzieją w głosie. - Będziemy tu zwyczajnie stać i przyglądać mu się.

Poggwydd skakał jak oszalały w górę i w dół po prętach, szczerząc zęby, wymachując pięściami, rozpaczliwie próbując coś powiedzieć.

- Oczywiście - zgodziła się. - Będę na zewnątrz. Proszę zawołać, jeśli panowie będą mnie potrzebowali.

Zaczekali, aż wyszła za ciężkie drzwi i zamknęła je dokładnie za sobą. Questor popatrzył na Abernathy'ego, po czym zbliżył się do klatki.

- Przestań już! - warknął na Poggwydda. - Zachowuj się i posłuchaj mnie! Chcesz stąd wyjść czy nie?

Poggwydd, zmęczony wybuchem, opadł na podłogę i wpatrywał się w nich osłupiały. Było bardzo duszno i w powietrzu unosił się zapach środka antyseptycznego. Abernathy'emu stanął przed oczami obraz samego siebie uwięzionego wewnątrz klatki przez cały dzień i mimowolnie współczuł gnomowi.

- A teraz słuchaj! - Questor zwrócił się zdecydowanym tonem do Poggwydda. - Nie ma co skakać! Przyszliśmy najszybciej, jak tylko mogliśmy, zaraz jak tylko dowiedzieliśmy się, gdzie jesteś!

Poggwydd wskazał z frustracją na swoje usta.

- Och, oczywiście, chcesz coś powiedzieć. - Questor zmarszczył groźnie czoło. - Tylko mów po cichu, żeby cię nie usłyszano, bo inaczej znowu cię uciszę. Zrozumiałeś?

Gnom kiwnął z ponurą miną. Questor wymówił po cichu kilka słów, wykonał parę gestów i Poggwydd odzyskał głos, wciągnąwszy uprzednio głęboko powietrze.

- Nie śpieszyliście się! - powiedział. - Mogłem tu umrzeć! Ci ludzie to zwierzęta!

Questor skłonił lekko głowę, przyznając mu rację.

- Wybacz nam. Ale już jesteśmy. Przyszliśmy cię wyciągnąć i zabrać z powrotem na Landover.

- A może ja nie chcę iść! Może mam już ciebie dość, Questorze Thewsie? I twojego przyjaciela też?

- Nie bądź śmieszny! Chcesz zostać tutaj?

- Nie, nie chcę zostawać tutaj! Chcę wyjść! Ale jak wyjdę, chcę iść sam. Sam łatwiej znajdę drogę niż z wami. Mogę się założyć!

- Nie znalazłbyś drogi z pustego pola, a co dopiero z innego świata!

- Zostaw go, Questorze! - warknął Abernathy. - Już i tak straciliśmy sporo czasu!

Cała trójka zaczęła się gorączkowo kłócić, kiedy niespodziewanie metalowe drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lucy Beckendall. Wszyscy troje natychmiast zamilkli. Patrzyła po kolei na każdego z nich, prawie pewna, że słyszała, jak stworzenie z klatki mówi.

- Zaistniało jakieś nieporozumienie - oznajmiła z niewyraźną miną. - Jest tutaj dwóch panów, którzy się przedstawili jako profesor Adkins z uniwersytetu Washington i pan Drozkin z ogrodu zoologicznego Woodland. Ich dokumenty już widziałam. A czy panowie mogą się czymś wylegitymować?

- Oczywiście - oznajmił szybko Abernathy z uśmiechem na twarzy. A niech to! - zaklął w duchu. Ruszył szybkim krokiem wzdłuż klatek, przeszukując kieszenie i kręcąc głową. Kiedy znalazł się przy Lucy Beckendall stojącej w drzwiach, oparł mocno ręce na jej ramionach, odsunął ją do tyłu i zatrzasnął drzwi. - Questorze - wrzasnął, zapierając się mocno o drzwi, bo z zewnątrz natychmiast rozległo się walenie. - Pomóż!

Czarodziej podciągnął rękawy, uniósł chude ramiona i posłał w kierunku zamka grudkę niebieskiego prądu. Zamek i klamka stopiły się w jedno.

- Proszę bardzo. Tędy już nie wejdą! - oznajmił z zadowoleniem.

- Również my już tędy nie wyjdziemy! - Abernathy cofnął się od drzwi. - Lepiej zatem, żebyś wiedział, co robić dalej!

Questor Thews odwrócił się błyskawicznie do gнома

- Jest tylko jeden sposób wyjścia, panie Poggyddzie: z nami, z powrotem na Landover. Jeśli cię zostawimy, znowu cię zamkną do klatki i to w ciągu kilku minut. Kto ci wtedy pomoże? No cóż, przykro mi, że znalazłeś się w takiej sytuacji, ale to nie nasza wina. Nie ma zresztą czasu na roztrząsanie tej sprawy. - Zamiast walenia usłyszeli mocne uderzenia młotką, metaliczny brzęk dochodzący z miejsca, gdzie znajdował się stopiony zamek. Questor ściągnął usta i wymierzył w gнома kościsty palec. - Pomyśl o tym, co będą z tobą robili!

Eksperymenty! Testy! Różnego rodzaju lekarstwa! Wybieraj sam, Poggwyddzie: albo wolność na Landover, albo klatka do końca życia.

Poggwydd oblizał swoje brudne wargi, w oczach pojawił się błysk trwogi.

- Zabierzcie mnie stąd! Pójdę z wami! Nie będę stwarzał problemów! Przrzekam!

- Słuszna decyzja - mruknął Questor. - Odsuń się od drzwi.

Gnom-dodom popędził w kąć klatki. Mag obrócił kilka razy dłońmi, wykonał parę gestów i drzwi klatki się otworzyły.

- Wychodź! - rzucił czarodziej.

Poggwydd wysunął się potulnie i przycupnął jak zbity pies.

- Przestań! - rozkazał Questor. - Nic ci nie zrobimy! Wstawaj!

Poggwydd się wyprostował, lecz dolna warga mu drżała.

- Nie chcę już widzieć tej małej dziewczynki! Ani jej salamandry! Nigdy!

Questor nie zwracał nań uwagi, obcasem buta zaznaczając już okrąg na betonowej podłodze. Kiedy skończył, przywołał gнома i Abernathy'ego do wnętrza. Stali blisko siebie w ciszy. Czarodziej wziął głęboki oddech, zamknął oczy i zaczął się koncentrować.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - szepnął Abernathy, nie mogąc się powstrzymać.

- Cicho! - rzucił mag.

Na zewnątrz zaniechano walenia młotkiem i teraz rozległy się liczne głosy. Nadsięgnęły posiłki, pomyślał ponuro Abernathy. Wtem coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Próbowali je wyważyć! Futryna i zawiasy drgnęły od siły uderzenia. Tynk pękł w kilku miejscach i posypał się na dół. Niewątpliwie wkrótce drzwi ustąpią.

Questor zaczął powoli i wyraźnie wymawiać słowa zaklęcia. Wniknął głęboko w siebie dla lepszej koncentracji i zdawało się, że nie słyszy odgłosów walenia i krzyków. Świetnie, pomyślał Abernathy. To w stylu czarodzieja, żeby pozwolić się rozproszyć i pomylić zaklęcie. Kim w końcu zostanie? Rzodkiewką? Spojrzał na Poggwydda. Gnom pochylił głowę i zamknął mocno oczy. Rękoma oplótł swe kościste ciało. No tak, pomyślał Abernathy, wszyscy mamy stracha.

Questor ciągnął swoje monotonne buczenie, aż jego czoło pokryło się kropelkami potu. Abernathy dostrzegł wyraźnie napięcie na jego twarzy. Znowu mnie zamienia, pomyślał. Nienawidził każdej chwili tego procesu. Nagle naszła go ochota, żeby wrzasnąć i przerwać działania maga. Pohamował się jednak. Podjął już przecież decyzję. Jego los jest przesądzony. Spojrzał w dół na siebie, chcąc zapamiętać jak najwięcej szczegółów swego wyglądu, aby się później nad tym nie zastanawiać. To nie takie straszne być psem. Nie, wcale nie.

Wokół nich wystrzelił nagle gejzer światła, wypełniając okrąg od podłogi do sufitu, ogarniając ich jasnym cylindrem. Głos Questora stał się donośniejszy, słowa strzelały jak koc trzepany na wietrze. Poggwydd zaskamlał. Abernathy pomyślał o Elizabeth. Cieszył się, że nie ma jej tutaj i nie widzi tego, co się dzieje. Lepiej, że pamiętała go takim, jaki powinien być.

Światło rozbłysło do oślepiającego promieniowania. Abernathy poczuł, jak się rozpuszcza. Uczucie to nie było dla niego zaskoczeniem. Doświadczył go już kiedyś, ponad dwadzieścia lat temu.

Zamknął oczy i pozwolił, aby stało się to, co i tak miało nastąpić.

JAD

Droga do Wielkiej Czułości zajęła Benowi i Willow większą część dnia. Wyruszyli zaraz po wschodzie słońca w towarzystwie Buniona i dwóch tuzinów żołnierzy gwardii królewskiej, kierując się na północ, potem na wschód, przez pagórkowaty teren, w stronę granicy Greensward. Stamtąd udali się prosto na północ i zmierzali wzdłuż krawędzi porośniętych lasami wzgórz ku kryjówce wiedźmy. Letni skwar nie zelżał, okrywając ich ciała wilgocią i porażając oczy celofanową aureolą słońca. Wiatru było tyle co na lekarstwo. Prawie żadnego cienia. Rytm marszu był wolny i równy, często jednak stawali na popas dla nabrania sił. Wszystko wokół nich tonęło w parnej martwocie.

Rozłożyli się obozem w miejscu, skąd brały swój początek wody Anhaltu. Usiedli na niewysokim urwisku nad rzeką, którą zdążyli przekroczyć przed zachodem słońca, i obserwowali, jak płowiejące światło zmienia barwę na fioletową i różową. Nisko nad ospałymi wodami przelatywały czaple i żurawie, łowiąc coś na kolację.

- Dotrzemy tam jutro przed południem - oznajmił Ben po długiej chwili milczenia, chcąc nakłonić niezwykle cichą Willow do jakiejś rozmowy. - Wtedy się dowiemy.

- Ja już wiem. - Głos sylfidy był słaby, pełen rezygnacji. - To Nocny Cień ją ma. Wyczuwam to. Chciała mieć Mistayę od samego początku i w końcu znalazła sposób, żeby ją dostać.

Gdy patrzyli w stronę nadciągającej ciemności, jej ramię dotykało Bena, lecz odległość między nimi była mimo to przerażająca. Przez cały dzień oddalała się od niego, zamykając się coraz bardziej w sobie. Teraz znajdowała się w miejscu, z którego nikt nie był w stanie jej wyciągnąć, jeśli sama tego nie zapragnęła. Ben czekał cierpliwie, aż sobie z tym poradzi, mając nadzieję, że to nie on jest przyczyną jej przygnębienia. Odchrząknął, zanim znowu przemówił.

- Prawdopodobnie myśli, że Mistaya jest jej własnością. Mała jest zapłatą za to, co się jej przytrafiło w kabałowej szkatule.

Willow przez chwilę milczała.

- Gdyby chodziło tylko o spłatę długu, który u niej zaciągnąłeś, toby ją ukradła i na tym koniec. Zażądałaby okupu albo ją zabiła, aby nas w ten sposób zranić. Zamiast tego uknuła ten skomplikowany plan, wciągając do niego Rydalla i jego potwory. Mistaya stanowi nagrodę, którą może zdobyć lub stracić, ale jest czymś jeszcze. Myślę, że Nocny Cień ma wobec niej jakieś dodatkowe plany.

- Jakie plany? - Ben popatrzył na nią. Pokręciła głową.

- Nie wiem. Być może ma to coś wspólnego z magią Mistai. Urodziła się w Wielkiej Czeluści, więc może coś je ze sobą łączy. A może chodzi o coś jeszcze gorszego. Być może chce tak zmienić myślenie Mistai, aby odzwierciedlało jej własne.

- Nie, Mistaya nigdy by na to nie pozwoliła. - Myśl o tym zmroziła Bena do szpiku kości. - Ona jest zbyt silna.

- Nikt nie jest silniejszy od Nocnego Cienia. Ją napędza jej własna nienawiść.

Ben umilkł, czując rosnące przerażenie na myśl o tym, że Mistaya może stać się kimś takim jak Nocny Cień. Rozum podpowiadał mu, że to się nigdy nie może zdarzyć. Emocje twierdziły coś zupełnie innego. Te dwie opcje zmagaly się w nim, gdy siedział, obserwując wydłużające się na ziemi cienie, ciemniejące wody rzeki i mrok, w którym pogrążyły się wzgórza.

- Mogłaby to zrobić, żeby zadać nam ból - odezwał się w końcu. - To jest możliwe. - Wziął głęboki oddech. - Ale jak wyjaśnić zagadkę Rydalla?

- Rydall daje jej czas niezbędny do tego, żeby pracować nad Mistaya. Rydall zajmuje naszą uwagę, trzyma nas na dystans i wytrąca z równowagi. Nie pozwala nam pojąć tego, co się tutaj naprawdę dzieje, aż do czasu gdy będzie za późno. - Spojrzenie jej było puste i nieobecne.

- Myślisz o tym przez cały dzień, prawda? - zapytał cicho. - To dlatego jesteś tak daleko ode mnie.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się blado.

- Nie, Ben. To nie dlatego. Przygotowuję się już na jutrzejszy dzień. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że stracę Mistayę. Albo ciebie. A może was oboje. Niełatwo się z tym pogodzić, ale to całkiem możliwe.

- Nie stracisz żadnego z nas - przyrzekł, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie, choć wiedział, że czyni obietnice, których być może nie zdoła dotrzymać.

Spali niespokojnie, pełni obaw o to, co ich czeka następnego dnia. Wstali o wschodzie słońca, zjedli szybko śniadanie i byli w drodze, zanim słońce w pełni uniosło się ponad szczyty na wschodzie. Kolejny dzień było parno i duszno, znowu więc poruszali się jak powolni pływacy w leniwym nurcie. Bunion trzymał się z przodu, czujnie rozglądając się za następnymi potworami Rydalla. Pozostało jeszcze dwóch i Nocny Cień mogła się zdecydować na uwolnienie ich teraz, jeśli rzeczywiście to ona była Rydallem. Ben wciąż miał co do tego wątpliwości, choć Willow była przekonana, że tak właśnie jest. Jednak w tej chwili jego wątpliwości dotyczyły wszystkiego.

Krajobraz przed nimi rozwijał się niczym postrzępiony dywan wypalonych traw i zielonych lasów z linią podziału rozmytą w drżącym od upału powietrzu. Przysłuchiwał się odgłosom tarcia postronków o skórę koni, które mimo spiekoty posuwały się uparcie do przodu. Co zrobi, kiedy dotrą do Wielkiej Czułości? Czy wyśle Paladyna? W jaki sposób stawi czoło wiedźmie? Jak się dowie prawdy o Mistai?

Spojrzał na jadącą obok niego w milczeniu Willow. To, co wyczytał z jej twarzy, mówiło mu, że powinien jak najszybciej *znaleźć* odpowiedzi na te pytania.

Nocny Cień wiedziała o ich nadejściu dużo wcześniej, zanim znaleźli się w zasięgu jej wzroku. Wiedziała o nich prawie od chwili, gdy opuścili Sterling Silver, i przez całą drogę bacznie ich obserwowała. Spotkanie, które planowała od samego początku, miało w końcu dojść do skutku. Holiday w jakiś sposób rozpoznał jej zamiary. Nie wiedziała, jak to zrobił, ale najwyraźniej tak było. Gdyby nie poznał prawdy, nie jechałby do Wielkiej Czułości.

Uświadomiła sobie wyraźną nieuchronność rozwoju wydarzeń. Ardsheal ją zawiódł, podobnie jak pozostałe wysłane przez nią stwory. Zgodnie z umową zawartą przez Rydalia, zostały jej jeszcze dwa potwory, ale czas uciekał i miała już tylko jedną możliwość. Bawiła ją gra toczona z Holidayem. Cieszyła się, widząc, jak się zмага w walce z kolejnymi monstrami, aby przeżyć i uratować ukochaną córkę. Bawiło ją, gdy za każdym razem załamuje się coraz bardziej, drażony fizycznie i emocjonalnie przez siły, których w żaden sposób nie może zrozumieć. Skąd mógł wiedzieć, że to magiczna moc Mistai działa przeciwko niemu? Skąd mógł wiedzieć, że tak to właśnie na niego oddziała? Cieszyło ją to, ale największa radość była dopiero przed nią.

Wyczekiwanie na to pozwalało jej utrzymać złość i frustrację w ryzach, bo choć nigdy by się do tego nie przyznała, to mimo wszystko była rozczarowana tym, że Holiday wciąż żyje. Niełatwo było zapomnieć, ile czasu, wysiłku i magicznej mocy kosztowało ją to wszystko i nie pomagał argument, że tak to zaplanowała. Nocny Cień nienawidziła przegrywać, nawet jeśli potrafiła sobie wytłumaczyć, że tak właśnie miało być. Pragnęła

śmierci Holidaya, a jej odroczenie, bez względu na przyczyny, było trudną do przełknięcia pigułką.

Wciąż miała jednak swój plan i wierzyła, że jest on bezpieczny, nawet gdyby w trakcie jego realizacji wystąpiły nieoczekiwane przeszkody. Mistaya należała wciąż do niej, była nieświadomym narzędziem jej poczynań i będzie wykorzystana zgodnie z zamiarem, aż wszystko dobiegnie końca. Nawet może lepiej, że dzieje się to teraz, wcześniej, niż zaplanowała. Coraz trudniej było zapanować nad Mistayą. Dziewczynka coraz niechętniej dawała się nakłaniać do wykonywania ćwiczeń z magią, które zarządzała wiedźma, nabierając podejrzeń co do roli, jaką w tym wszystkim odgrywa. Wystarczyło, że odmówiła pomocy w stworzeniu kolejnego potwora po tym, jak zawiódł robot. To, że odważyła się opuścić czeluść, było nie do zniesienia. Mimo to wiedźma nie zaniechała swych poczynań. Kolejny raz znalazła sposób, aby wykorzystać Mistayę, łącząc magiczną moc dziewczynki z własną w celu ożywienia Ardsheala i wysłania go przeciwko Holidayowi, choć wymagało niemałego sprytu ze strony wiedźmy, aby ukryć prawdę o całym przedsięwzięciu. Następnym razem byłoby trudno oszukać Mistayę.

A jednak da się to zrobić, przyrzekła sobie wiedźma. Ostatni raz.

W czasie pierwszego dnia podróży Holidaya do Wielkiej Czeluści Nocny Cień pozwoliła Mistai zajmować się własną magią. Pozwoliła jej ćwiczyć to, na co miała ochotę, dodając słowa otuchy, tworząc nieskrępowaną atmosferę. Pozostał tylko jeden dzień, dowiedziała się Mistaya. Jeden dzień i zaraz potem pojedzie do domu. Wiedźma miotała się niespokojnie po kotlinie, nie potrafiąc się skupić na niczym z wyjątkiem mających nadejść wydarzeń, które planowała od dwóch lat. Oddaliła się w stronę mgieł, gdzie dziesiątki razy wyobrażała sobie tę chwilę, widząc dokładnie cały jej przebieg, na samą myśl czując radość. Holiday martwy. Holiday, który w końcu znika. Stało się to jedynym celem jej życia. Było jej tak niezbędne jak powietrze do oddychania.

Nocą oddaliła się w postaci wrony do miejsca, w którym spał król-marionetka w towarzystwie sylfidy i strażników. Chętnie oświetliłaby mu twarz i wydziobała oczy, gdyby mogła to zrobić, tak wielka była jej nienawiść. Wiedziała jednak, że nie powinna ryzykować tak pieczołowicie przygotowanego planu. Nie powinna zapominać o końcu, jaki dla niego zaplanowała. Upewniła się, w jakiej odległości znajduje się od Wielkiej Czeluści, ile czasu potrzebuje na dokończenie niezbędnych przygotowań, i odleciała z powrotem, tam gdzie szykowała nań zasadzkę.

Następnego ranka zaczęła, aż Mistaya zje śniadanie, po czym zbliżyła się do niej. W dziwny sposób ugrzecznona, z nieuchwytną grozą wiejącą z obejścia, podpłynęła do

dziewczynki z uśmiechem na twarzy i przytknęła swoją wiotką białą dłoń do jej policzka.

- Twój ojciec przyjeżdża dzisiaj po ciebie - oznajmiła zniewalającym głosem.

Mistaya spojrzała na nią pytająco.

- Powinien tu być przed południem. Stęskniłaś się za nim?

- Tak - odpowiedziała dziewczynka, nie kryjąc emoq'i, co doprowadziło wiedźmę niemal do wściekłości.

- Zabierze cię do domu, do Sterling Silver. Ale nie zapomnisz o mnie, prawda?

- Nie zapomnę - odparła łagodnie dziewczynka.

- Wiele się razem nauczyłyśmy. - Nocny Cień odwróciła wzrok w kierunku drzew.

Mistaya oddaliła się od niej od czasu przybycia do Wielkiej Czułości. Nabrała dystansu tak, jak tylko dzieci potrafią. Był to gorzki dowód wdzięczności. Nie tego się spodziewała. - Pozostało jeszcze wiele tajemnic do odkrycia, Mistayo - rzekła, próbując odzyskać choćby część z tego, co straciła. - Pozwolę ci je poznać któregoś dnia, jeśli będziesz miała na to ochotę. Wszystko ci pokażę. Wystarczy, że poprosisz. - Ponownie spojrzała na Mistayę. - To może być również twój dom. Któregoś dnia może zapragniesz przyjść i zamieszkać ze mną. Może uznasz, że tu jest twoje miejsce. Jesteśmy bardzo podobne. Musisz o tym pamiętać. Różnimy się od innych ludzi. Jesteśmy czarownicami i zawsze pozostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Prawie wierzyła, że tak jest rzeczywiście. W jej słowach było dostatecznie dużo szczerości, żeby takie odnieść wrażenie. Los jednak zadekretował już dawno temu, że to nie będzie możliwe. Jej obsesyjna nienawiść do Holidaya zdecydowała, że musi być inaczej.

Mistaya opuściła nieśmiało oczy.

- Odwiedzę cię kiedyś. Gdy będzie to już bezpieczne. Uśmiech Nocnego Cienia był chłodny i sztywny.

- Może być szybciej niż się spodziewasz. Postarałam się, aby Rydall wycofał wyzwanie. Gdy twój ojciec przybędzie, on będzie tutaj czekał. Kiedy już odejdzie z Landover, nie będzie konieczne utrzymywanie jakichkolwiek barier między nami. Jestem pewna, że twoi rodzice zgodzą się z tym.

Mistaya ściągnęła brwi.

- Rydall się wycofa? Na dobre? Poddał się całkowicie?

- Przekonałam go, że tak będzie lepiej dla wszystkich. - Oczy Nocnego Cienia zmrużyły się. - Za pomocą magii można wiele zdziałać. Tego cię właśnie chciałam nauczyć.

Mistaya spuściła wzrok i zaczęła wygładzać ubranie, po czym odezwała się szeptem:

- Wiele się od ciebie nauczyłam.

- Byłaś pojętną uczennicą - pochwaliła ją wiedźma. - Masz ogromny talent. Nie zapominaj, że to ja pierwsza ci o tym powiedziałam, że pierwsza ujawniłam przed tobą to, czego inni nie zrobili, że pomogłam ci odkryć, kim naprawdę jesteś. Nikt inny nie chciał tego dla ciebie zrobić. Tylko ja. - Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy. Nocny Cień czuła, jak zmienia się równowaga w układzie ich wzajemnych stosunków. - Mam coś dla ciebie - zwróciła się do dziewczynki.

Mistaya wzniosła oczy w górę. Nocny Cień zanurzyła dłoń w sukni, wyciągnęła srebrny łańcuszek z wisiorkiem i zawiesiła go na szyi małej. Wisiorek miał kształt róży, której płatki były wiernie oddane, a łodyga i kolce w zawiły sposób wydobyte z metalu.

- Proszę - powiedziała, robiąc krok do tyłu. - Prezent dla ciebie, żebyś pamiętała o mnie. Dopóki go będziesz nosiła, nie zapomnisz czasu spędzonego wspólnie ze mną.

Mistaya uniosła wisiorek, trzymając go delikatnie między palcami. W jej zielonych oczach malowało się zdziwienie i wdzięczność. Dziecięca twarz promieniała.

- Jest piękny, Nocny Cieniu. Dziękuję ci bardzo. Będę go nosiła cały czas, obiecuję.

Wystarczy kilka godzin, pomyślała wiedźma, nie zdradzając na zewnątrz swego uśmiechu. Wystarczająco długo, aby spotkać się z kochającym ojcem i uścisnąć go po raz ostatni. Wystarczająco długo, aby ukryta w wisiorku magiczna moc przekłuła kolcami róży skórę króla-marionetki i pozwoliła przesączyć się śmiertelnemu jadowi do jego ciała. Potem możesz zrobić z moim prezentem, co zechcesz. Najpierw musi wypełnić swoje zadanie.

Najpierw ty musisz wypełnić swoje.

Questor Thews opuścił światło swojej magii z zawrotem głowy, który niemalże zwałił go z nóg. Chwiał się przez chwilę, starając się odzyskać równowagę, gdy tymczasem jasność stopniowo gasła. Gdy poczuł na nowo grunt pod nogami, uspokoił się, zamrugał oczami, pozbywając się resztek krępującej ciała niewygody, i szybko rozejrzał się po okolicy. Z wyraźną ulgą zauważył, że znajduje się z powrotem na Landover. Było południe. Przez gęstą zasłonę drzew dojrzał na niebie kilka bladych księżyców. Z zarośli i spomiędzy pni omszałych drzew wystawały łodygi Bonnie Blue. Dotarły do niego znajome zapachy. Żadnego z nich nie można było pomylić z niczym innym. Choć znajdował się z powrotem na Landover, nie była to już kraina jezior. Krajobraz był inny. Był gdzie indziej, gdzieś dalej na północ...

- O rany, mam już tego dość! - krzyknął poirytowany Poggwydd, chwytając się kurczowo rękawa Questora. Czarodziej podskoczył, zaskoczony dotknięciem. - Nie wiem, co zrobiłeś, żeby nas tu sprowadzić, ale następnym razem pójdę sobie po prostu pieszo! Czy ja powiedziałem „następnym razem”? Powiniennem się ugryźć w język! Nie będzie żadnego

następnego razu! O, nie! Nie w moim wypadku! - Kurcząc twarz, jak gdyby zamierzał pozbawić ją wszelkich rysów, puścił Questora i odwrócił się na pięcie. - Życzę panu miłego dnia! Miłego dnia, do widzenia! - Nagle stanął jak wryty. - Wielkie nieba, a temu co się stało?

Patrzył na Abernathy'ego. Skryba królestwa Landover siedział na ziemi obok wiekowego drzewa hikory, przypatrując się sobie wielkimi oczami. Był znowu psem, miękko włosym terierem, włochatym i rozczochranym. Z każdego miejsca spod ubrania, tam gdzie to tylko było możliwe, wystawała sierść. Uszy miał nastroszone, a na długim nosie opierały się przekrzywione okulary. W brązowych oczach mieszał się strach ze smutkiem. Przyglądał się swoim ludzkim palcom - tylko to pozostało mu z ludzkiego ciała. Po chwili wzruszył ramionami, spojrzął na gнома i westchnął.

- Cóż cię niepokoi, Poggwyddzie? Nie widziałeś nigdy wcześniej gadającego psa?

Przez pomarszczoną, pokrytą sierścią twarz Poggwydda przebiegła cała seria dziwnych skurczów, gdy sapiąc i plując, próbował odzyskać głos.

- Cóż, ja... oczywiście, ja... Tfuuu! Przecież ty wcale nie byłeś wcześniej psem!

Abernathy powoli podniósł się na nogi i otrzepał.

- Wcześniej, to znaczy kiedy?

- Przed chwilą! Zanim zmiotła nas magia czarodzieja! Do licha, byłeś człowiekiem!

Uśmiech Abernathy'ego, nawet jak na psa, był bardzo smutny.

- To było tylko przebranie. Oto, jak wyglądam naprawdę. Nie widzisz tego? - Znowu westchnął, po czym spojrzął na maga. - No cóż, miałeś rację, Questorze Thewsie. Gratulacje.

W odpowiedzi czarodziej skinął krótko głową.

- Owszem, wygląda na to, że miałem. Powtarzam, iż wolałbym, aby było inaczej.

- Wszyscy byśmy woleli, aby sprawy układały się inaczej, ale taka jest już rzeczywistość, czyż nie? - Abernathy powiódł zdziwionym wzrokiem dokoła. - Gdzie my w ogóle jesteśmy?

- Właśnie miałem zapytać naszego przyjaciela - odpowiedział czarodziej, patrząc z kolei na Poggwydda.

Zdawało się, że gnom-dodom jest przerażony pytaniem. Spojrzął szybko w prawo i w lewo, jakby chciał znaleźć potwierdzenie swoich podejrzeń, po czym dla dodania sobie powagi odchrząknął uroczyście.

- Jesteśmy właśnie tam, skąd wyruszyliśmy. A właściwie skąd ja wyruszyłem. To tutaj mnie znalazła mała dziewczynka, wtrącając się w nie swoje sprawy, nie mając poszanowania dla... - Przerwał natychmiast, widząc mroczny cień wypełzający z oczu czarodzieja. - Aha! Chcesz pewnie usłyszeć, że znajdujemy się jakąś milę od Wielkiej Czeluści.

- Nie rozumiem - powiedział Abernathy, podchodząc do nich bliżej. - Co my tu robimy? Dlaczego nie jesteśmy z powrotem w krainie jezior?

Cjuestor Thews pocierał energicznie policzek, skręcając wąsy w szczurze ogony, i rozmyślał nad tym intensywnie.

- Jesteśmy tutaj, stary druhu, ponieważ Mistaya jest tutaj: na dole, w kotlinie razem z Nocnym Cieniem. To tutaj Poggwydd widział ją po raz ostatni. Wiedźma zabrała ją z powrotem do Wielkiej Czułości i nie ma powodu przypuszczać, że już jej tam nie ma. Sądzę, że zostaliśmy tutaj sprowadzeni, aby ją uratować.

- Nic z tego nie rozumiem! - oznajmił nagle gnom. - Ale to nie szkodzi, zupełnie nie szkodzi, bo i tak nie chcę tego w ogóle rozumieć! Chcę po prostu już sobie pójść. A zatem żegnajcie obaj i życzę wam powodzenia!

Kolejny raz ruszył przed siebie, tym razem kierując się na wschód, byle dalej od kryjówki wiedźmy.

- Nie jesteś ciekaw, co się stanie z Nocnym Cieniem? - zawołał za nim Questor.

- Nie jestem ciekaw niczego, co ma jakikolwiek związek z wami! - Gnom nie zwołał kroku. - Wiem i tak już więcej, niż trzeba! Znacznie więcej! - Szurał zawzięcie stopami po ziemi, wznosząc tumany kurzu. - Wyświadczcie mi przysługę, proszę. Jeśli spotkacie tę małą dziewczynkę, pozdrówcie ją ode mnie i powiedzcie jej, że nie chcę się już nigdy z nią spotkać. Niech nie bierze tego do siebie, ale niech tak właśnie będzie. - Jego głos przybrał niebezpiecznie na sile. - Mam nadzieję, że jest córką króla! Mam nadzieję, że zostanie królową! Mam nadzieję, że jeśli kiedykolwiek wybierze się na jakiś spacer, to nie natrafi na mnie! Miłego dnia!

Wszedł między drzewa i zniknął, zostawiając za swoją obszarpaną, przygarbioną sylwetką masę gwałtownych gestów i niezrozumiałych pomruków.

Questor natychmiast o nim zapomniał i odwrócił się do Abernathy'ego z napięciem w oczach.

- Wiesz, co teraz musimy zrobić, prawda? Abernathy popatrzył na niego obrażony, że mag traktuje go jak dziecko.

- Wiem doskonale. Być może wiem lepiej od ciebie.

- W takim razie pośpieszmy się. Mam przeczucie, że dzieje się coś złego.

Rzeczywiście. Przeczucie było niejasne, ale nie można go było lekceważyć. Towarzyszyło mu już na starym świecie Bena Holidaya, ponaglając do szybkiego powrotu na Landover, aby zapobiec czemuś, co miała w swoich planach wiedźma. Teraz to uczucie jeszcze się nasiliło, zamieniając się w pewność, że pułapka zastawiona na Holidaya i jego

rodzinę zaraz się zamknie i że tylko on i Abernathy mogą temu zapobiec. Być może było zbyt dużo próżności i przesady w założeniu, iż na nich spoczywa tak wielka odpowiedzialność, lecz Questor chciał wierzyć, że istnieje powód dla poświęcenia przyjaciela, że służą większej sprawie. Jego czary mogły kosztować Abernathy'ego utratę ludzkiej tożsamości, ale pozwoliły im powrócić na Landover, do miejsca, w którym po raz ostatni widziano Mistayę i gdzie prawdopodobnie wciąż jest przetrzymywana, a to musiało coś znaczyć. Nocny Cień powiedziała im, że Rydall jest jej tworem, że to ona uruchomiła cały łańcuch wydarzeń, który miał zmiażdżyć Holidaya, i że Mistaya miała być instrumentem służącym do zniszczenia go. Wiedźma posługiwała się w jakiś sposób dziewczynką, aby dobrać się do króla. Gdyby udało im się dotrzeć do niej na czas, być może mogliby coś zmienić.

Ruszyli szybkim krokiem z odsieczą, przedzierając się przez półmrok lasu i skwar południa. Wokół nich zaroilo się od komarów poderwanych do lotu ich pośpiechem i zwabionych wonią potu. Questor oganiał się machinalnie od nich, pochłonięty własnymi myślami. Przydałby się w tym momencie koń, choć Abernathy nie chciał mieć z końmi nic wspólnego, więc może lepiej było, że szli pieszo. Przeszli przez strumień i minęli polanę pocętkowaną purpurowymi i żółtymi polnymi kwiatami. Z ukrycia poderwały się zięby i poszybowały w górę. Abernathy ciężko sapał, lecz Questor nie zwolnił tempa. Jego samego kosztowało to niemało wysiłku. Nadwierał stare kości, nie zważając na ból w stawach. Zmuszał się do jeszcze szybszego marszu. Podwinął poły szat i parł niezdarnie do przodu ścieżką wijącą się wśród wysokich traw i ciemnych zarośli.

- Questorze, zwolnij! - usłyszał za sobą sapanie Abernathy'ego, który podążał w coraz większej odległości za nim.

Czarodziej ani myślał go słuchać.

Przed nim, w zasięgu wzroku, znajdowały się już mgły i mrok Wielkiej Czułości.

DUCH HOLIDAYÓW

Mistaya siedziała z Nocnym Cieniem na pokrytym trawą wzniesieniu na południowym krańcu Wielkiej Czułości, kiedy jej oczom ukazał się rodzice jadący na koniach. Przed nimi szedł Bunion, wyłaniając się z południowego skwaru niczym pająk ze swej kryjówki, pochylony ze zmęczenia nad wypaloną słońcem ziemią. Po bokach podążali za nimi żołnierze gwardii królewskiej, uzbrojeni w lance i miecze, błyszczący w blasku słońca zalewającym ich pancerze. Zobaczywszy ich, grupa zwolniła, ściągając koniom wodze i zatrzymując się po chwili. Mistaya dostrzegła napięcie na twarzy ojca, widziała ruch jego oczu ogarniający pusty kawałek łąki oddzielający go od córki i to, jak w końcu spoczęły na

Rydallu.

Władca królestwa Marnhull siedział na swoim czarnym wierzchowcu w niewielkiej odległości na prawo od niej, ukryty pod czarną zbroją i płaszczem, z opuszczoną przyłbicą, nieruchomy w cieniu rozłożystego kasztanowca. Czekał już tam, kiedy Nocny Cień i Mistaya wdrapały się na obrzeże kotliny. Nie uczynił żadnego znaku zdradzającego, iż zauważył ich przybycie. Nie poruszył się ani nie odezwał słowem. Również teraz trwał w kamiennym bezruchu, patrząc prosto przed siebie w kierunku króla Landover.

Wiedźma podniosła się, a razem z nią Mistaya. Oczy Bena Holidaya natychmiast przeniosły się na córkę. Mistaya chciała biec do niego, zawołać, zrobić albo powiedzieć cokolwiek, lecz Nocny Cień jej zabronił. „Pozwól mnie pierwszej przemówić”, ostrzegła ją. „Negocjacje między Rydallem a twoim ojcem osiągnęły bardzo delikatny etap. Musimy bardzo uważać, aby ich w żaden sposób nie zepsuć”. Mistaya rozumiała to. Nie chciała robić niczego, co mogło narazić jej ojca na dodatkowe niebezpieczeństwo. Chciała jedynie pojechać do

domu. Myślała o tym od powrotu do Wielkiej Czułości po spotkaniu z Poggywyddem. Stawała się coraz bardziej niecierpliwa. Perspektywa spotkania rodziców po tylu tygodniach napawała ją radością, ale również obawą. W tej chwili poczuła, jak w środku wzbiera w niej nagła fala emocji, które wywołują ścisk w gardle i napęniają oczy łzami. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się za nimi stęskniła. Nie wiedziała, że tak bardzo chce wrócić do domu.

- Panie! - zawołała nagle wiedźma. - Twoja córka jest tutaj ze mną, cała i zdrowa. Jest gotowa wrócić do domu. Zdobyłam przyrzeczenie Rydalla, że będzie mogła to zrobić. Zgodził się wycofać z Landover. Nie będzie już więcej gróźb i ataków. Musisz jedynie obiecać, że nie będziesz szukał na nim odwetu za to, co się stało.

Mistaya czekała niecierpliwie, co nastąpi dalej. Zapadła długa chwila ciszy, jak gdyby jej ojciec nie wiedział, co ma odpowiedzieć, jak gdyby był zupełnie zaskoczony tym, co usłyszał. Widziała, jak spojrział na jej matkę, a ta odpowiedziała mu coś spokojnie. Bunion poruszał się niespokojnie między nimi, połyskując zębami i nie spuszczać oczu z wiedźmy.

- A co z Questorem Thewsem i Abernathym? - odkrzyknął Ben Holiday.

- Oni również wrócą! - odpowiedziała wiedźma.

Abernathy i Questor? Mistaya spojrzała pytającym wzrokiem na Nocny Cień. O czym oni mówili? Czy czarodziejowi i skrybie coś się przydarzyło? Przecież mieli być w Sterling Silver? Tak właśnie jej powiedziano.

Nocny Cień uśmiechnęła się do niej zimno spod kaptura czarnej peleryny. Nie należy się tym przejmować, mówił uśmiech. Nie interesuj się tym.

- Nie będę szukał odwetu, jeśli wszyscy powrócą cali - usłyszała zgodę ojca, choć nie umknął jej uwagi niepokój, z jakim wypowiadał te słowa. Popatrzyła na rozdzielającą ich przestrzeń, pusty, wypalony kawałek łąki przylegający do mrocznego zagłębienia czeluści. Wydało jej się, że ojciec oddalony jest od niej cały szmat drogi.

Nocny Cień położyła wiotką białą dłoń na jej ramieniu.

- Teraz będziesz musiała pójść do ojca, Mistayo - oznajmiła. - Kiedy ci powiem, żebyś to zrobiła, wyjdź mu na spotkanie. Nie zbaczaj z obranej drogi. Idź prosto do niego. Do nikogo innego. Rozumiesz mnie?

Nagle Mistaya zdała sobie sprawę, że dzieje się coś, czego nie rozumie, że coś się za tym wszystkim kryje, coś niebezpiecznego. Wyczuwała to ze słów Nocnego Cienia. Zawahała się, myśląc gorączkowo, co powinna zrobić, ale wiedziała, że nie zdoła niczemu zapobiec. Może się jedynie zgodzić. Bez słowa kiwnęła głową.

- Panie! - zawołała kolejny raz wiedźma. - Twoja córka idzie do ciebie! Zsiądź z konia i wyjdź jej na spotkanie. Idź sam! Taka jest umowa, którą zawarłam z Rydallem.

Znowu Mistaya zauważyła, że ojciec znowu się waha. Widziała, że ma wątpliwości. Coś nie dawało mu spokoju, coś, z czym nie mógł się pogodzić. Pomyślała, że może powinna go uspokoić, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że sama nie jest pewna, co się dzieje. Jej zielone oczy drgnęły, aby odnaleźć Rydalla. Władca królestwa Marnhull nie ruszył się. Spojrzała szybko na Nocny Cień. Twarz wiedźmy wciąż była spokojna i pozbawiona wyrazu.

Jej ojciec zsiadł z konia i zaczął powoli iść przed siebie. Bunion ruszył za nim, lecz ten odesłał kobolda machnięciem ręki.

- Teraz ruszaj! - szepnęła jej szybko wiedźma do ucha. - Uściśnij go serdecznie ode mnie!

Mistaya ruszyła niechętnie przed siebie, wciąż roztrząsając swój niepokój, wciąż zastanawiając się, co jest nie tak. Szła niezdecydowanie, stawiając małe kroki po suchej trawie, patrząc na zbliżającego się ojca. Obejrzała się do tyłu na Nocny Cień, lecz wiedźma nie zareagowała, stojąc jak wysoki posąg na tle wilgotnej mgły czeluści. Mistaya odgarnęła włosy opadające jej na twarz, rzucając spojrzenia zielonych oczu na prawo i lewo. Jej ojciec szedł dalej równym krokiem, lecz cały czas zachowywał ostrożność. Zobaczyła, jak na jego ustach pojawia się zatroskany, pełen niepewności uśmiech. Widziała wyraźnie jego oczy. Wyrażały ulgę, jak gdyby się nie spodziewał, że ją jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Znowu poczuła wypełniające ją zakłopotanie. Dlaczego tak na nią patrzył?

Nagle zapragnęła zrobić tak, jak poleciła jej wiedźma. Chciała przytulić ojca z całej siły, przytrzymać go blisko siebie, poczuć uścisk silnego ciała. Chciała, by wziął ją na ręce i

udzielił schronienia, dał spokój i bezpieczeństwo. Chciała powiedzieć mu, jak bardzo za nim tęskniła. Chciała uzyskać zapewnienie o jego miłości do niej.

Dzień był parny i gorący, a powiew muskający jej twarz suchy jak skrzydła muchy.

- Ojcie - szepnęła i popędziła do przodu. Wtem ciszę przerwał rozpaczliwy krzyk.

- Panie mój! Mistayo! Stójcie!

Cjuestor Thews wypadł pomiędzy drzew na lewo od niej i potykając się, znalazł się na zalanej słońcem łące. Rozczochrany i zaniedbany, w ciągnących się za nim strzępach szat, rzucił się ku nim, wymachując rękoma. Białe włosy i broda unosiły się rozwiane nad głową, a oczy miał dzikie i przerażone jak u zwierzęcia ściganego przez myśliwych. Mistaya i Ben obrócili się zaskoczeni, patrząc na obszarpaną postać pędzącą w ich kierunku. Spośród drzew, jakieś trzydzieści metrów za nim, wyłonił się Abernathy, sapiąc i dysząc, bezskutecznie próbując dotrzymać mu kroku.

Wtem do uszu Mistai dotarł wściekły krzyk, który wyrwał się z piersi Nocnego Cienia. Wiedźma przykucnęła, przybierając wygląd kota gotowego do skoku, i wyciągnęła ramiona, jak gdyby odpychała od siebie coś okropnego. Czerwone jak krew oczy utkwiała w Mistai.

- Podejdź do ojca! - krzyknęła z furją.

Mistaya ruszyła w odpowiedzi do przodu, ledwie świadoma tego, co robi, lecz Questor był coraz bliżej, biegnąc uparcie do przodu mimo upału i kurzu, przebierając dziko rękoma i nogami. Mistaya ponownie się zatrzymała, sparaliżowana.

- Mistayo, nie! - wrzasnął Questor Thews. - To pułapka! Nagle wszyscy chcieli znaleźć się przy niej: matka gnała do przodu na swojej klaczy, mając przed sobą Buniona, a z tyłu żołnierzy gwardii królewskiej Nocny Cień uniosła ręce i rozłożyła szeroko szaty niczym wielki drapieźny ptak Ry-dall próbował odzyskać kontrolę nad swoim czarnym wierzchowcem, który nagle wpadł w panikę i stanął dęba, Abernathy biegł na oślep przez suche trawy, gubiąc obuwie, i w końcu jej ojciec, który nagle zerwał się do gwałtownego sprintu. Jednak pierwszy dopadł jej Questor Thews, pokonując ostatni fragment dzielącej ich przestrzeni jak biegacz rzucający się na taśmę. Chwycił ją, jakby była szmacianą lalką, i przycisnął do piersi.

- Mistayo! - wyszeptał z ulgą.

Wtem między nimi rozbłysło złowrogie zielone światło, wypryskując z wisiora jak rozbite szkło. Questor Thews chrząknął, poczuwszy nagły wstrząs, i z twarzy odpłynęła mu krew. Uścisk, którym obejmował Mistayę, zelżał i starzec opadł na kolana, z trudem próbując się jej przytrzymać.

- Questorze! - wrzasnęła przerażona.

Cofnęła się, gdy zdała sobie sprawę, skąd się brało światło, i szybko spojrzała w dół. Ciernie na łodydze róży urosły do niewiarygodnych rozmiarów i sterczały z piersi czarodziej niczym ostrza sztyletów. Z ran sączyła się krew. Questor drżał, naprężając palce jak pazury. Sapał, nie mogąc złapać powietrza. Mi-staya wyrwała kolce z jego ciała, zerwała wisiołek i cisnęła go na bok. Niewidzące już oczy Questora zatrzymały się na niej, po czym starzec zwałił się na ziemię i znieruchomiał.

- Questorze! - krzyknęła Mistaya, z trudem łapiąc powietrze. - Questorze! Wstań, proszę!

Czarodziej nie poruszał się. Nie oddychał. Mistaya skoczyła na równe nogi, łkając z wściekłości i rozpacz.

- Nocny Cieniu! - krzyknęła. - Zrób coś)

Ojciec szybko zbliżył się do niej i wyciągnął ręce, ale odepchnęła go. Pomknęła do miejsca, gdzie leżał wisiołek, rzuciła na niego okiem, po czym mrużąc oczy, spojrzała ponad wypaloną równiną.

- Nocny Cieniu!

Wiedźma zastygła w miejscu. Jej blada, gładka twarz pozbawiona była wyrazu, lecz oczy w\ i pełniła dzika wściekłość. Opuściła ręce, strząsając zgromadzoną w nich magię.

- To ty dałaś mi ten wisiołek! - wrzasnęła Mistaya. - To twoja wina!

Ręka Nocnego Cienia zakreśliła w powietrzu łuk.

- Nie ja za to odpowiadam! Questor Thews nie powinien się wtrącać! Był głupcem!

- Zaufałam ci! - krzyknęła Mistaya.

Teraz była już przy niej również matka, zsiadając z konia i pędząc do niej. Żołnierze gwardii królewskiej zatrzymali się za nimi z bronią w pogotowiu, a Bunion syczał ostrzegawczo na wiedźmę.

- Mistayo, popatrz na mnie - rozkazała Willow.

Mistaya powstrzymała ją jednak machnięciem dłoni, podniosła wisiołek i wyciągnęła go oskarżycielsko w stronę Nocnego Cienia.

- Przygotowałaś to dla mojego ojca, prawda? To miało być dla niego?

- Nie miałam zamiaru...

- Nie okłamuj mnie już więcej!

- Tak! - wyrzuciła z siebie wiedźma. - Tak, to miało być dla niego! Trucizna miała pozbawić życia właśnie jego, a nie tego starego głupca!

Mistaya trzęsła się z wściekłości. Jej małe ciało było naprężone jak drzewce włóczni,

sztywne i gotowe wystrzelić w powietrze. Dłonie zacisnęły się w pięści, a po policzkach ciekły łzy.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła.

Rzuciła na ziemię wisiołek. Małe dłonie uniosły się i wystrzelił z nich ogień, miażdżąc go na miejscu i zamieniając metal w proch. Ben i Willow cofnęli się bezwiednie do tyłu, przerażeni mocą Mistai.

W końcu i Abernathy dotarł do nich, sapiąc ciężko, z wywieszonym jęczorem. Nachylił się bezzwłocznie nad Questorem Thewsem, przytykając psie ucho do piersi starca.

- Nie słyszę bicia serca! - wyszeptał.

Mistaya ruszyła wolnym krokiem w stronę Nocnego Cienia z determinacją i nieugiętą wolą.

- Pomóż mu albo pożałujesz! - syknęła. - Słyszysz mnie, Nocny Cieniu?

Wiedźma zrobiła krok do tyłu i zaraz się wyprostowała.

- Jak śmiesz mi grozić, mały głuptasie! Wciąż jestem twoją nauczycielką i zasługuję na szacunek!

- Nigdy nie byłaś niczym więcej jak tylko kłamliwą, nędzną oszustką! - warknęła dziewczynka. - Nabrałaś mnie! Posłużyłaś się mną! Po co kazałaś mi tworzyć potwory? Do czego potrzebny ci był olbrzym czerpiący moc z ziemi, istota z metalu i pozostali? Do czego ich użyłaś?

- Zostali wysłani, aby zabić twego ojca - usłyszała z tyłu głos matki. - Zapytaj ją, czy zaprzeczy.

- Rydallu! - Nocny Cień obróciła się szybko do władcy królestwa Marnhull. - Czekales na swoją okazję! Proszę, oto ona! Możesz zabić Holidaya!

Rydall wciąż nie mógł się uporać ze swoim wierzchowcem. W końcu z trudem udało mu się zapanować nad przerażonym zwierzęciem. Słyszac słowa Nocnego Cienia, odwrócił się w jej stronę; z ciała okrytego czarną zbroją emanowało niebezpieczeństwo. Przez moment wydawało się, że chce ją zaatakować. W następnej chwili wyciągnął miecz, krzyknął wyzwanie, spiął konia ostrogami i ruszył na Holidaya. Bunion był jednak szybszy. Kobold popędził na władcę królestwa Marnhull z obnażonymi zębami, niczym czarna plama rozmazana w letnim skwarze, i rzucił się na głowę konia. Zwierzę spłoszyło się, cofnęło, bryknęło i zrzuciło Rydalla z siodła. Gdy spadał, jego prawa stopa uwięzła w strzemieniu. Ciężar zbroi nie pozwolił mu się uwolnić. Zwalił się na ziemię, za cofającego się konia, który przygniótł go podkutymi żelazem kopytami. Koń wyrwał do przodu, ciągnąc swego bezradnego jeźdźcę po równinie. Od korpusu zaczęły odpadać kawałki zbroi i na ziemi

pojawiła się krew. Żołnierze gwardii królewskiej popędzili, aby złapać przerażonego konia, lecz nim schwycili go za lejce, Rydall, król Marnhull, był już zaledwie zniszczonym, sponiewieranym strąkiem.

Mistaya wciąż posuwała się w kierunku Nocnego Cienia.

- Nie! - wrzasnęła wiedźma, najwyraźniej zaskoczona. - Teraz jesteśmy kwita! Życie za życie! Rydall wraca tam, skąd przyszedł, a ty i ja, dziewczynko, robimy dalej to samo!

Mistaya jednak nie zwolniła kroku. Jej ojciec i matka ruszyli szybko za nią; mieli zawzięte miny. Bunion gnał z powrotem, skacząc przez brązowe trawy jak sprężyna. Żołnierze gwardii królewskiej otoczyli ich kołem. Ben Holiday wyciągnął medalion i kierował go w stronę światła. Na twarzy Nocnego Cienia pojawił się strach. Przysiadła, sposobiąc się do stawienia czoła swym lękom. Jej twarz przybrała potwornie dziki wyraz, a z palców zaczął się wydobywać zielony ogień. Mista-ya błyskawicznie wyciągnęła w jej stronę ręce, z piersi wydarł się okrzyk, a z dłoni wystrzeliła magia, której siła poderwała wiedźmę do góry. Oniemiała czarownica potoczyła się do tyłu. Po chwili podniosła się z ziemi rozwścieczona.

- Nie! Nie wolno ci mnie dotykać! Nie masz prawa! - Okręciła się w stronę Mistai. Jej blada, wykrzywiona twarz wyrażała jedynie szpetotę. Straciła zupełnie kontrolę nad sobą. - Pokażę ci, co naprawdę potrafi zdziałać magia, mała wiedźmo! Wyślę cię tam, gdzie twoje miejsce!

Uniosła ręce i na koniuszkach palców zatańczyły złowrogi, zielone płomienie. Mistaya zwarła przed sobą dłonie w geście samoobrony.

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, pojawiła się Gwizdek, stając na skraju Wielkiej Czeluści. Z pióropusza na grzbiecie uniósł się szron i zamienił we wstęgi pary. Nocny Cień zdała sobie sprawę z jej obecności o ułamek sekundy za późno. Obróciła się, lecz magia salamandry szybowała już w jej stronę, podcinając jej nogi. Machając dziko rękoma, straciła panowanie nad zaklęciem i runęła na ziemię. Jej magia spłynęła na dół, opadając kroplami wokół niej jak deszcz.

Dziwna mieszanina owinęła się wokół Nocnego Cienia i w okamgnieniu strawiła ją całą. Zdążyła zaledwie wydać krótki okrzyk i natychmiast zniknęła.

Przez następną chwilę nikt się nie poruszył. Stali w miejscu jak zamurowani, nie do końca przekonani, czy wiedźma z Wielkiej Czeluści nie wróci. Nic takiego nie nastąpiło. Gwizdek podeszła do Mistai, która stała sparaliżowana przed tłącym się kawałkiem ziemi, gdzie jeszcze przed chwilą stała wiedźma. Salamandra podniosła na dziewczynkę pełne

łagodności oczy i powoli zamachała ogonem. Mistaya wybuchnęła płaczem.

Ojciec zbliżył się do niej, ukląkł i oparł dłonie na jej szczupłych ramionach, obejmując ją i patrząc prosto w oczy.

- Już wszystko w porządku, Mistayo - powiedział. - Wszystko już dobrze. - Przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał.

Po chwili wzięła ją w ramiona Willow, objęła i ukołysała, uspokajając słowami, że już po wszystkim i że jest bezpieczna. Ben podniósł się i podszedł do rozciągniętego na gołej ziemi Rydalla, którego otaczali teraz kręgiem żołnierze gwardii królewskiej. Opadł na jedno kolano obok pokonanego króla, uniósł czarną przyłbicę i zajrzał do środka. Spod grzywy rudych włosów mrugnęły na niego nabiegłe krwią oczy.

Ben Holiday pokręcił ponuro głową.

- Kallendbor - wyszeptał.

Lord Greensward zakasłał słabo. Twarz i brodę pokrywały mu strużki krwi, a jej świeży strumień sączył się z ust.

- Powinienem... być cię zabić... pierwszego dnia... na moście. Nie powinienem był... słuchać wiedźmy.

Wciągnął ostani haust powietrza, westchnął i zastygł. Oczy patrzyły nieruchomo w przestrzeń. Ben opuścił przyłbicę. Wyglądało na to, że Kallendbor nie potrafi zaakceptować świata takim, jaki jest. Tylko śmierć Bena mogła go zadowolić. Musiał być rzeczywiście doprowadzony do ostateczności, skoro sprzymierzył się z Nocnym Cieniem. Teraz Ben zrozumiał, w jaki sposób robot zdołał się do nich dostać w zamku Rhyndweir, przez nikogo nie zauważony. Teraz wiedział, jak wiedźmie udało się za pomocą magii sprawić, że Ben myślał, iż zgubił medalion. Wszystko zorganizował Kallendbor. Nocny Cień musiała mu powiedzieć, że Ben się zbliża, a on zastawił pułapkę na króla Landover i czekał, aż ten zginie. Teraz lord Rhyndweir sam leżał martwy i prawdopodobnie nikt już nigdy nie zrozumie szaleństwa, która nim zawładnęła i doprowadziła do tego wszystkiego.

Podniósł się i ponownie wrócił do rodziny. Mistaya pochylała się już nad Questorem Thewsem w otoczeniu innych, z twarzą napiętą i skupioną.

- On nie może umrzeć - mówiła, gdy Ben się zbliżył i przyklęknął obok niej. - To moja wina. To wszystko moja wina. Muszę to naprawić. Muszę.

Ben popatrzył na Willow. Uniosła przerażone oczy, by napotkać jego wzrok. Questor Thews nie oddychał. Serce przestało bić. Nic nie można było dla niego zrobić.

- Mistayo, on to zrobił z miłości do ciebie - powiedział miękko Abernathy, dotykając jej ramienia. - Tak jak i my wszyscy.

Mistaya jednak prawie go nie słuchała. Sięgnęła po bezwładną dłoń Questora.

- Nauczyłam się czegoś od Nocnego Cienia, co może pomóc - mruzczała z zapalem. - Nauczyła mnie, jak leczyć. Czasami nawet martwych. Może będę mogła uleczyć Questora. Tak czy inaczej, mogę spróbować. Muszę spróbować.

Odchyliła się do tyłu na piętach i zamknęła oczy. Ben, Willow, Abernathy i Bunion wymienili pełne niepewności, ostrożne spojrzenia. Mistaya przywoływała magię, której nauczyła ją wiedźma, a to nigdy nie przynosiło nic dobrego. Nie używaj jej, chciał powiedzieć Ben, ale wiedział, że mu nie wolno. Słońce świeciło na nich z góry, a powietrze gęste od skwaru wypełniała wilgoć. Wszystko na łące wokół nich zamarło w bezruchu, jak gdyby nie było tu żadnej żywej istoty, albo też te nieliczne, które jednak były, czekały na ostateczny wynik tych zmagania. Mistaya wzdrygnęła się i jasny blask spłynął z jej ciała wzdłuż ramienia na Questora Thewsa. Czarodziej leżał nieruchomo, na nic nie reagując. Jeszcze dwukrotnie blask światła przebiegł z ciała Mistai do ciała Questora. Powieki dziewczynki trzepotały niespokojnie, głowę miała opuszczoną, pozwalając włosom spływać swobodnie wokół jej twarzy. Ben znowu pomyślał, czy nie powinien interweniować, i ponownie powstrzymał się przed tym. Miała prawo robić to, co może, powiedział sobie. Miała prawo próbować.

Nagle Questor Thews drgnął. Ruch tak zaskoczył Mista-yę, że wydała z siebie niewielki krzyk i opuściła rękę. Przez chwilę nikt się nie poruszał. Wtem Abernathy pośpiesznie nachylił się nad starym przyjacielem, słuchał przez chwilę, po czym podniósł zdziwiony wzrok.

- Słyszę, jak bije jego serce! - wykrzyknął. - Słyszę, jak oddycha! On żyje!

- Mistayo! - wyszeptał Ben i przytulił córkę do siebie.

- Wiedziałam, że mogę to zrobić, ojciec - odparła. Trzęsa się i czuł, jak ciepło opuszcza jej ciało. - Wiedziałam, że mogę. Naprawdę mam magiczną moc.

- Oczywiście, że masz - przyznał przerażony Ben i natychmiast kazał przynieść zimną wodę i ręczniki.

Pozostali również chcieli objąć Mistayę, z wyjątkiem Buniona, który uśmiechnął się do niej, szczerząc zęby. Okryto ją ręcznikami, podano wodę do picia i temperatura znowu się podniosła. Wydawało się, że dochodzi do siebie. Jednak walka o życie Questora jeszcze się nie zakończyła. Rytm serca był słaby, oddech płytki i wciąż nie odzyskiwał przytomności. Trucizna ciągle pozostawała w jego ciele i choć Mistaya zdołała ją częściowo unieszkodliwić, nie udało jej się jednak zahamować jej działania całkowicie. Ben wysłał kilku żołnierzy na poszukiwania wozu, a pozostałym kazał w tym czasie zbudować nosze. Umocowali do nich

Questora, przyczepili je do Jurysdykcji i powoli ruszyli w stronę domu.

Mistaya uparła się, żeby jechać na noszach obok Questora. Kiedy znaleziono wóz, również siadła obok niego. Przez całą drogę trzymała go za rękę.

OKAZ

Po powrocie do Sterling Silver Mistaya przez sześć dni siedziała przy Questorze Thewsie, gdy ten spał. Prawie bez przerwy trzymała go za rękę. Wychodziła jedynie wtedy, gdy było to konieczne, i to tylko na krótkie chwile. Posiłki stawiała na stoliku przy łóżku, a spała na sienniku na podłodze. Od czasu do czasu pojawiała się Gwizdek, zjawiając się zniemacka tylko po to, żeby wiedziała, iż jest w pobliżu, i zaraz ponownie znikła. Niejednokrotnie o północy Ben wślizgiwał się do komnaty sypialnej, aby okryć córkę kocem i wygładzić jej zmierzwiłone włosy. Za każdym razem zastanawiał się, czy nie zanieść jej do jej własnego łóżka, lecz przecież dała jasno do zrozumienia, że chce pozostać blisko, aż sprawa dobiegnie końca. Questor mógł umrzeć albo wyzdrowieć, w każdym jednak wypadku chciała być przy nim, kiedy to się stanie.

Składając poszczególne fragmenty w całość, Ben odtworzył historię tego, jak Nocny Cień próbowała go zniszczyć. Wydobył od Mistai informacje o tym, jaką rolę w tym wszystkim odegrała Matka Ziemia, dostarczając Gwizdka, która miała pomóc w pokrzyżowaniu planów Nocnego Cienia, a potem już razem z Willow zdołali wydedukować, iż to mądrości salamandry zawdzięczają, że udało im się spotkać razem i odkryć prawdę, mimo że każde z nich zostało oszukane na swój sposób. Abernathy przedstawił swoją część, próbując pomniejszyć rolę, jaką w uratowaniu życia Bena spełniła jego przemiana z psa w człowieka i z powrotem z człowieka w psa. Ben jednak nie dał się zwieść; wiedział, jak wiele musiało kosztować nadwornego pisarza wyrzeczenie się kolejny raz ludzkiego kształtu. Skryba mówił ze spokojem o Questorze Thewsie i jego determinacji w ratowaniu Mistai. Martwiło ich jednak to, jak dziewczynka może przyjąć śmierć Questora.

Willow spędziła długie godziny na szczerych rozmowach z Mistayą o Nocnym Cieniu i jej doświadczeniach w Wielkiej Czeluści, częściowo eliminując poczucie bólu i winy, jakie dręczyło córkę. „To nie twoja wina, Mistayo” - dowodziła - „że wiedźma użyła cię przeciwko ojcu. To nie twoja wina, iż nie zdawałaś sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nie zamierzałaś przecież wyrządzać ojcu żadnej krzywdy ani nie chciałaś w żaden sposób pomagać wiedźmie. Tak naprawdę, to używałaś magii po to, aby pomóc uratować życie swemu ojcu”. Matka twierdziła, iż na jej miejscu zrobiłaby to samo. Wiedźma oszukała ich wszystkich i to nie pierwszy raz. Nocny Cień była przenikliwą i przebiegłą lawirantką, która potrafiła zniszczyć

każdego, kto miał choć trochę mniej odwagi i siły charakteru. Mistaya musiała przyjąć to do wiadomości. Musiała zaakceptować myśl, iż zrobiła wszystko, co w danej sytuacji dało się zrobić.

Ojciec, rozmawiając z nią w którymś momencie sam na sam, powiedział:

- Musisz sobie wybaczyć, Mistayo. Popełniłaś błąd, ale jest on częścią okresu dorastania. Dorastanie jest bolesne dla każdego dziecka, a tym bardziej dla ciebie. Pamiętasz, co mówiła ci Matka Ziemia?

Mistaya skinęła głową. Rękę trzymała zaciśniętą na dłoni Questora, jeden palec przytykając do słabo bijącego pulsu w nadgarstku.

- Dorastanie dla ciebie będzie trudniejsze niż dla wielu innych. Ze względu na to, kim jesteś i skąd pochodzisz. Z powodu twoich rodziców. Chciałbym, aby było inaczej. Chciałbym to zmienić, ale nie mogę. Musimy pogodzić się z tym, kim jesteśmy w tym życiu, i starać się czerpać z niego jak najwięcej. Niektórych rzeczy nie zmienimy. Możemy jedynie próbować pomagać sobie nawzajem w sytuacjach, kiedy widzimy, że pomoc jest potrzebna.

- Wiem - powiedziała cicho. - Ale i tak nie czuję się przez to lepiej.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Wyciągnął rękę i przyciągnął ją delikatnie do siebie. - Wiesz co, Mistayo, chyba nie mogę już myśleć o tobie jak o dziecku. Przynajmniej nie o dziecku, które ma dwa lata.

Pokręciła wciąż opuszczoną głową.

- Może nie jestem taka dorosła, jak wszyscy myślą. Miałam tyle zaufania do samej siebie, ale nic z tego by się nie wydarzyło, gdybym była trochę ostrożniejsza.

Uścisnął ją lekko.

- Jeśli będziesz pamiętała, że następnym razem to ty decydujesz o użyciu swojej magii, to jeśli chodzi o mnie, będziesz wystarczająco dorosła.

Ben wysłał do Władcy Rzeki wiadomość, że jego wnuczka jest bezpieczna i że wkrótce przyjedzie go odwiedzić. Powrócił do spraw związanych z zarządzaniem Landover, chociaż myślami był ciągle w sypialni z Mistayą, siedzącą obok Que-stora Thewsa. Jadł i spał, nie czując takiej potrzeby, i miał kłopoty z koncentracją. Kiedy byli sami, Willow rozmawiała z nim, dzieląc się swymi myślami, wątpliwościami; podnosili się nawzajem na duchu, jak tylko mogli.

Mistaya jeszcze kilkakrotnie użyła magii, próbując dodać sił Questorowi Thewsowi. Powiedziała rodzicom o swoich zamiarach, aby mogli być przy niej i udzielić jej swego wsparcia. Magia spływała, skrząc się, w dół jej ręki do ciała starca bez widocznego efektu. Mistaya powiedziała im, iż czuje jej zmagania z trucizną wiedźmy, ich wewnętrzną walkę ze

sobą. Stan zdrowia czarodzieja nie poprawił się jednak. Rytm bicia serca pozostał wolny, oddech był nierówny i starzec wciąż nie odzyskiwał przytomności.

Próbowali go karmić zupą i wodą. Niewiele jadł. Przypominał szkielet wciśnięty w prześcieradła i obciągnięty woskową skórą, w którym trudno było dopatrzeć się śladów życia.

Mistaya próbowała go wzmocnić innymi formami magii, szepecząc mu czule do ucha, przelewając w niego niezmierzone pokłady swojej miłości. Nie rezygnowała. Pragnęła, aby obudził się dla niej, aby otworzył oczy i przemówił. Błagała usilnie, aby żył.

Jej rodzice i Abernathy stopniowo tracili nadzieję. Widziała to w ich oczach. Chcieli wierzyć, ale dobrze zdawali sobie sprawę, że szansę na przeżycie są niewielkie. Ich troska nie zmalała, lecz wyraz oczu zdradzał, że się pogodzili z najgorszym. Przygotowywali się na to, co jak sądzili, jest nieuchronne. Abernathy nie mógł już rozmawiać z nią w obecności Questora. Każde z nich zamykało się w sobie i kryło uczucia. Zaczęła tracić nadzieję. Zaczęła się obawiać, że starzec będzie już leżał tak zawsze, uwięziony między snem a śmiercią.

Wtem, siódmego dnia jej czuwania, kiedy usiadła przy nim w komnacie sypialnej w świetle wczesnego poranka i patrzyła przez okno, jak słońce zabarwia kolorami niebo, poczuła, jak jego ręka zaciska się nieoczekiwanie na jej dłoni.

- Mistayo - wyszeptał słabo, otwierając oczy. Z trudem mogła oddychać.

- Jestem tutaj - odpowiedziała, czując, jak łzy zaczynają jej płynąć po policzkach. -

Nie zostawię cię.

Zawołała głośno matkę i ojca, nie wrywając dłoni z mocnego uścisku starca, i czekała z niepokojem, aż przyjdą.

Vince zakończył swoją zmianę w ogrodzie zoologicznym Woodland w Seattle i był w drodze do samochodu, kiedy nieoczekiwanie zmienił kierunek i wrócił do ptaszarni, aby jeszcze raz popatrzeć na wronę. Przeklęty ptak go fascynował. Była dokładnie tam, gdzie zostawił ją wcześniej, siedząc samotnie na gałęzi pod samą kopułą ogrodu. Pozostałe ptaki trzymały się z dala, nie chcąc mieć z nią nic wspólnego. Trudno było im mieć to za złe. Wyglądała na stworzenie o nikczemnym charakterze. Vince również jej nie lubił. Nie mógł jednak przestać o niej myśleć.

Wrona o czerwonych oczach. Nikt nigdy nie słyszał o czymś podobnym do niej. Nigdzie takiej nie było.

Pojawiła się zupełnie znikąd. Dosłownie. Tego samego dnia, w którym wydarzył się ten incydent w schronisku dla zwierząt hrabstwa King, kiedy to dwóch świrów podających się

za Drozki i jakiegoś gościa z uniwersytetu ukradło tamtą małpę. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało. Po prostu rozplynęli się w powietrzu, jeśli miało się ochotę wierzyć w rozpowszechniane dokoła kłamstwa. Następnie w jakieś niecałe dwie godziny później pojawił się ptak, w tej samej klatce, z której zniknęła małpa. Czy to przypadek? Nikt tego, oczywiście, nie potrafił wyjaśnić. Przypominało to jedną z tych historii o UFO, gdzie w trakcie spotkania z obcymi ludziami przytrafiają się różne dziwne rzeczy, ale później nikt nie potrafi udowodnić, że to się naprawdę zdarzyło. Vince wierzył w UFO. Vince wierzył, że na świecie dzieje się wiele rzeczy, których nie można wyjaśnić, ale przez to nie są one mniej prawdziwe. Podobnie było z tym ptakiem.

W każdym razie znaleźli tam ptaka, tę wronę z czerwonymi oczami, która leżała w klatce, oszołomiona. Ludzie ze schroniska dla zwierząt nie byli głupi. Kiedy ją zobaczyli, rozpoznali gatunek, nawet jeśli dokładnie nie wiedzieli jaki to rodzaj. Złapali ją zatem z zamiarem przeprowadzenia dalszych badań. Ptak egzotyczny, a zatem należy do zoo. Teraz do ogrodu zoologicznego Woodland należało określenie, co to jest. Nikt nie wiedział, ile czasu może to zająć. Kilka miesięcy, zastanawiał się. Może lat.

Vince nachylił się do ogrodzenia, starając się zmusić ptaka do spojrzenia na siebie. Tamten nie zrobił tego. Nigdy nie patrzył na nikogo. Ale i tak się czuło, że cię obserwuje. Jakby kątem oka. Vince żałował, że nie zna jego historii. Mógł się założyć, że była niezła. Mógł się założyć, że była lepsza od niejednej o UFO. W tym ptaku kryło się coś więcej niż tylko to, co było widać gołym okiem. Można się było przekonać o tym po jego sposobie bycia. Trzymał się na uboczu, pełen pogardy dla innych, obrażony i wściekły na cały świat. Pragnął się stamtąd wydostać. Chciał wrócić do miejsca, z którego przybył. Można było to dostrzec w tych czerwonych oczach, jeśli patrzyło się w nie wystarczająco długo.

Vince jednak nie lubił patrzeć zbyt długo w oczy wrony. Kiedy to robił, mógł prawie przysiąc, że były to oczy ludzkie.

SPIS TREŚCI

Mistaya 7

Rydall z Marnhull 20

Gwizdek 36

Zakłęcie 51

Wyzwanie 60

Pokusa 73

Bumbershoot 88
Powrót do Graum Wythe 100
Spełnione obietnice H5
Ardsheal 131
Opowieść Nocnego Cienia 147
Pancernik 160
Smoczy wzrok 177
Rubak 192
Poggwydd 202
Poszukiwania w ciemno 218
Widmo 233
Psie marzenia 252
Jad 271
Duch Holidayów 282
Okaz 293